

De. I 1
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 150.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1878.

SERYA V.

Czerwiec.

TOM II. — ZESZYT VI.

WARSZAWA.

Skład i Exp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

— 400 —

Ukończono druk dnia 5 czerwca 1878 roku.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. Poezya ruchu w muzyce. (Studyum estetyczne). Przez Bolesława Wilczyńskiego.	349
II. Syn marnotrawny. Opowiadanie z końca XVIII-go wieku. Przez J. I. Kraszewskiego.	375
III. Drogi żelazne w Królestwie Polskiem. Równowaga między interesem Towarzystw prywatnych a interesem ogółu. Przez Antoniego Wrotnowskiego.	406
IV. Przegląd teatralny. (Za rok 1877).	419
V. Kronika lwowska. Przez Władysława Zawadzkiego.	428
VI. Pięć ustępów z cyklu powieści historycznych J. I. Kraszewskiego. Ocenił Ernest Swieżawski.	443
VII. Z Wystawy Paryzkiej.	490
VIII. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
Podkomorzy koronny Zygmunta III. Napisał Ludwik Zarewicz (Lwów, 1876). Przez I—d.	500
Kronika Kollegium Lubieszowskiego XX. Pijarów, przez ks. Antoniego Moszyńskiego. Kraków, 1876 r. (w 8-ce str. 174). Przez R.	504
Dzwony w gubernii Kieleckiej. (Rzecz archeologiczno-historyczna). Przez ks. Władysława Siarkowskiego. Warszawa, 1878 r. (w 8-ce str. 50). Przez W.	506
IX. Korrespondencya. Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.	509, 514
X. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne.	517
XI. Nekrologia.	520



Dc. II. 1.

POEZJA RUCHU W MUZYCE

(STUDYUM ESTETYCZNE).

PRZEZ

Bolesława Wilczyńskiego.

Wszelkie życie objawia się fizycznie ruchem, którego natura od pewnych sił ukrytych zależy. Otóż jedną z własności tych sił jest peryodyczność, różny wymiar czasu nadawany ruchowi. Mają tę peryodyczność ciała niebieskie w krążeniu, organizmy zwierzęce w pulsującym krwi obiegu. I płynące do oceanów wody i wiatrów krzyżujące się kierunki i wzrost roślin oraz kryształów, zgoła wszelka fizyczna czynność przyciągania i odpychania, ma swemu ruchowi pewną peryodyczność nadaną. Różność tej peryodyczności i jej objawy, zaczawszy od prawidłowych ruchów wielkiego systemu ciał, aż do owych drgań, to spokojnych, to gorączkowych, życia fizyologicznego, są niczém inném, jeno rytmem. W tym powszechnym ruchu odbywa się głucha muzyka, której tony nie samém uchem człowiek przejmuje, lecz całym swym mechanizmem nerwowym, uposażonym w najdoskonalszą zdolność odczuwania wszystkich tętn życia.

Jakoż w istocie nadzwyczajną jest ta wrażliwość człowieka na rytmy. Przechodzień, zapatrzony na spokojny wody spadek, zawiązuje z tém zjawiskiem stosunek. Rytm wodospadu odbija się w jego nerwach pewną jednostajnością, pewnym spokojem. Więc wpływa na równowagę pulsów, co go właśnie w stan przyjemnego marzenia wprawia. Trudno mu się oderwać od tego spokoju i nieprzerwanego porządku w ruchu, tak mu z tém dobrze, tyle w tym stanie rytmów jest siły pociągającej, tyle wyrazu nieskończoności. Ztąd téż łatwo poetycznej doznaje szczęśliwości, że daném mu jest żywe słowo natury rozumiéć, gdy mu ruch gwiazd o wieczności mówi, gdy szum wiosennego rodzenia nasuwa niewyczerpane myśli o żywotności pierwiastku, wytwarzającego ciągle rojenie się materji, gdy peryodyczna gra zjawisk o prawdach wszechbytu naucza. W chwilach duchowego skupienia natura przemawia do człowieka, a jego spotęgowaną czułość dotyka wówczas najdrobniejsze tętno, najlżejsze zewnętrzne drganie. Goethe, poeta i filozof, najznamienitszych prawd się dowiedział, że umiał słuchać tajnych spowiedzi natury.

Organiczne rytmy w naturze powiązane są ze sobą dziwnie sympatycznymi związkami. Jedne ruchy wywierają wpływ na drugie,



a wszystkie, przechodząc kolejno przez coraz wyższe hierarchie tworów, gromadzą się u człowieka w najobfitsze zbiorniki życia. Pod takim lub innym peryodycznych ruchów wrażeniem, krew w człowieku przyspiesza, zwalnia, statkuje lub zakłóca swą pulsową rytmikę. Doświadczenia stwierdziły, że puszczone z żyły krew w takich popłylnie ruchach, jakimi są rytmy muzyki lub innych miarowych uderzeń, silnie wzruszających chorego. Ztąd każda odmienna rytmiczność zewnętrzna odmiennie wrażenia na organizm wywiera, a odmienny popęd uczuciom daje. Równemi uderzeniami czas mierzony, usposabia do spokoju. Wszystkie, jakie człowiek znosił na sercu ciężary, mienia się w lekką a przyjemną treść: namiętności łagodnieją, cierpienia tracą swą moc przygniatającą. Wówczas myśl ponad niemi się wznosi; człowiek może z własnymi obcować uczuciami, może je do przeświadczenia, do pewnej równowagi estetycznej przywieść. W szóstej preludyi Szopena znajdziesz, jak głębokość żalu pod wpływem otaczających improwizatora wrażeń, w poetyczną tęsknotę przeszła. Na strunach rozżalonej duszy grała posępna samotność. To niebo zachmurzone, ta rytmicznie spadająca kropla wody po deszczu, ów stan spokoju, w którym niewidomy czasomiar zdaje się wieczność wybijać—oczyliwy wyobraźnią poety, który miał swoje trwogi z powodu wydalenia się przyjaciół wyśpiewać. Obacz, że ów rytm kojący zakradł się do samej improwizacyi.

Inaczej usposabiają człowieka rytmy, których uderzenia są nierówne, urywane, niespodziewane. Otrzymane ztąd wrażenia są nagłe, porażające, a bezpośredniem ich następstwem niepokój, gorączkowy stan czułości. Takie rytmy są gwałtami porządku w zjawiskach, więc i w uczuciu gwałtem się objawiają. To są sprawy przestachu, grozy i trwogi. Umić tych rytmów używać sam człowiek, gdy namiętności nie pohamuje i gromami gniewu wybucha.

Otóż, opierając się na prawach przyrodzonej rytmiki, ułożył człowiek estetyczną symbolikę swoje, wyróżniając formy, które są temperamentu objawem, oraz harmonijnym w poruszeniach ciała rysunkiem, od innych, które jego jaźń wewnętrzną tłómaczą. Chód, bieg, postaciowanie, mówienie, wymierzają się rytmiką, zdolną wytwarzać nieprzebrane bogactwo form w czasie, od prostej ruchliwości mięśniowej, aż do wykształconej choreografiki, wymowy i piękna dramatycznego. Takie rytmy są wyrazem tej żywotniejszej swobody, która przez ruchy ciała i głośnym słowem objawiać się rada. Działają one bardzo silnie na krew, na system nerwowy, a ztąd nadzwyczajne znaczenie rytmiki w wytworach piękna.

Już z tego wstępu widać, jak ważną w sztuce muzycznej rytm pełni rolę. Rytm jest miarą trwania tonów w melodyi, więc jest organiczną, żywotną stroną muzyki. U Greków rytmika uprawiana była jako naczelną pomiędzy wyzwolonemi umiejętnościami, ile że w ich twórczości przeważał duch plastycznego sztukmistrzostwa, tak w czasowaniu muzycznym i w metrycznej składni mowy, jak w wymiarach

rzeźby i budownictwa. Dla obeznania się z tą ważną podwaliną sztuki, nie ze strony technicznej, lecz estetycznej, należy rozpatrzyć znamiona tego piękna samego w sobie i w jego stosunku do piękna tonów.

I.

Rytmu muzyczne są wyrazem ruchów człowieka plastycznych.

Najpierwsze objawy rytmiczności w pierwiastkowej sztuce każdego ludu wyszły bezwątpienia z natury, z cielesnej dzielności, z ochoty do wytwarzania zmysłowej uciechy, w której biorąc udział, dusza trosk życia zapomina. Więc w obyczajowej kronice, a mianowicie w tańcach szukać rytmów początku należy. Sztuka muzyczna tak dalece z tego tanecznego wątku czerpała, że nawet w kościele długo innej nie umiano pojmować muzyki, jak tę rytmowaną. Jakoż często w czasach tworzenia się sztuki chrześcijańskiej, rytm świecki do świątyni wkraczał. Wszakże przeważył nad tą świeckością i dziś w kościele obowiązuje ów *cantus fortis* liturgiczny, który jest bez rytmu. Ta jedyna muzyka, pomiędzy innymi dozwolonemi lub tylko przez Kościół cierpianemi, jest przezeń ustanowioną. Różni się ona od świeckiej właśnie zupełną bezrytmowością, że niby niema nic wspólnego z ciałem i jego krewką naturą. To ją czyni idealną poezją czystego ducha, poezją wiecznej chwały i uwielbienia, wyrazem nicestwa ciała w obec Boga i prawd religijnych. Dlatego czterogłos śpiewacki tej muzyki, niczém do zmysłów nie przemawiając, budzi ducha chrześcijańskiego do rozmyślenia nad znikomością doczesną, a poi serce słodyczami nieograniczonej wiary i nadziei.

Gdzie jeno powstało życie obyczajowe i towarzyskie, tam się objawiła, wedle stopnia cywilizacji, potrzeba wyzwania ducha na swobodę, dogadzania krewkościom ciała, ochocie i wesołości. Obaczymy, że z tego urosła sztuka estetycznego zadawalniania umysłu przez wdzięki żywej plastyki, poezya ruchów człowieka. Otóż, jak wszystkie objawy swobody obyczajowej, tak i tańce musiały odbić w sobie jaźń charakterystyczną ludów i społeczeństw. Owszem, mamy przed sobą żywy rodzaj sztuki, który muzycznie wyraził jedną wspólną a wielką ideę czasu, a tym rodzajem jest muzyka wojskowa marszów. Uważ tę ideę porządku, co w monarchicznej państwowości utkwiała. Objawiła się ona przedewszystkiem w sile zbrojnej, ile że stan wojskowy, urządzając swawolną średnich wieków rycerskość, stał się tém samym naczelnym państwowego ciała organem. I otóż w imię tej przodkującej siły zmienia się postać pieśni, która dawniejsze rycerstwo do boju, do wypraw lub na awanturę wiodła. Ta pieśń, prawie wszędzie nabożna, rozpalająca rycerza imieniem wiary, teraz mu każe walczyć gwoli porządku i patryotycznych względem państwa obowiązków. Więc melodia nabożnego słowa wojskowemu teraz poddaje się rytmowi. On jest tu przeważnie na

względzie, bo wyraża ścisły porządek ruchów, a już w samym tym porządku tkwi idei wyraz. Uważ to czasowanie stanowcze, rozkazujące, ile w niem dzielności i monarchicznej powagi, ile tu owęj siły, wytwarzającej w całej gromadzie wojska jedne organiczne ruchy. Takie czasowanie wyraziło wszystkie szczegóły życia obozowego; na niem się też opierając, samo natchnienie stworzyło sztukę zagrzewania do ataku, sztukę obchodzenia tryumfów i wielkich uroczystości narodowych. Jak piękno melodyi uwydatniło w muzyce marsza całą epopeję uczuć patryotycznych, tak piękno rytmu usymbolizowało tu ducha jedności i siły narodowej. Wszakże strona rytmiczna jest w muzyce marsza panującą, bo sztuka wychodzi tu z wielkiej plastyki ruchów organicznych wojskowych i dlatego, przeniesione do sztuki powszechniej, rytmy marszowe cechują ją zawsze piętnem tryumfalności.

Wracając do tańca, zważyć należy, że taniec ludowy jest wyrazem życia patryarchalnego. W całej swój prostocie maluje on obyczaj, lubo surowy i nieukształcony, lecz naturalny, nie ujarzmiony w formy towarzyskiej umowy. Więc nie jest romansowem uwidzieniem postaci, tém mniej wyrazem wytwornych uczuć, lecz tylko obrazkiem trzęswej uciechy, niczém inném nie wywołanej, jeno niewinną prostotą duszy. Chłopiek, upiękuszający taniec piosenką, jak w bolero lub krakowiaku, nie tańczy przecież dla dogodzenia marzącej wyobraźni. Jak w piosence, tak w tańcu, chodzi mu raczej o wesołość niezachmurzoną, o śmiech serdeczny, do którego sam siebie, tancerkę i całe rad pobudzać koło weselne. Taniec jego wynika z naturalnej sympatyj uczuć, oraz ze swobodnej twórczości, nie umiejącej jeszcze piękna przez ruch i postaciowanie układać i dlatego wyraża szczerą uciechę, wolną od wszelkiej powagi, która dopiero z wyższych towarzyskich wynika stosunków. Wszakże dla tego samego że jest tyle swobodnym, jest taniec ludowy pełnym oryginalnej fantazyi, tryska życiem natury, mieni się wszystkimi jej jaskrawymi barwami. Ten ognia chciałby ze siebie wykrzesać, więc rytmicznymi razami swą taneczną tęgość objawia; ów cały w ruchach nieumiarkowanych, całym swém ciałem weselić się pragnie; bo przedewszystkiém chodzi tu o niezmordowany tan, o zupełnie wśród wesela zagrzebanie powszednich trosk i kłopotów. Oczywiście jest, że taki taniec musiał w muzyce odbić się rytmem. Że lud do tańca używa głosów melodyjnych bardzo jasnych, ztąd też i muzyka taneczna jego z piosenek wesołych powstaje, lubo same melodye piosenne już inny pod wpływem rytmiczności przybierają wyraz. Rytm jest tu tak dalece organicznym, że lubo naczelnym u ludowych grajków jest instrument melodyjny, toż bez basetli, bębna, lub innych narzędzi wybijających ruchy, istotna taneczność obejśćby się nie mogła. Bez tych narzędzi zabawa blednieje, traci na ochocie i oryginalności. Są temu dowodem skażone tańce mieszczań. Rozumić to chłopiek polski, kiedy mówi:

Skrzypicielu, będziesz w niebie,
Basetlista koło ciebie;

Cymbalista jeszcze dalej,
Bo w cymbały dobrze wali!

Ztąd też używanie bębna doszło u ludowych grajków do wielkiego stopnia zręczności. Lud chętnie do tańca w przeróżne stroi się brzękadła, że te rytmiczne hałasy, jego ruchom wtórując, ułatwiają członkom trud taneczny, a tém samém lekkości i swobody przyczyniają. Otóż i sama melodia na owém rytmiczném opiera się czasowaniu, które jest najczęściej skoczne, a zawsze krótkimi wybijane tonami. Jedne z tych rytmów naśladują rażny skok, inne, jak u ludów południowych, odbijają szybki wir ruchów, a wszystkie są zwięzłe i dosadne. Czysta melodia niema tu gdzie rozpostrzeć krasę swoją; za ciasno tu dla idealności jój tonów; bo taniec ludowy, naturą przesiąknięty, wypowiada rytmem przyrodzoną ludowi szczerą jawność, zewnętrzną charakteru.

Rytmika ludowej muzyki, właśnie dlatego, iż nie jest towarzyskim przepisem tłumioną, że jest naturalnym życia miejscowego odbiciem, przedstawia niemały do etnograficznych badań przyczynek. Wszak od wieków istnieje, na stokach cywilizacji, owa poezja ruchów, niby plastyczny duszy wizerunek, którego idealnym tłumaczem jest poezja myśli, owa niedawno na widok odsłonięta i z zapałem powitana piosenna literatura ludów. Obie ściśle ze sobą się wiążą, bo czego nie pojmiemy w splecionej ideologii słowa, to ci wyjaśni jędrny, dosadny i niezmiernie charakterystyczny układ tonów muzycznych. Uważ muzykę polskiego ludu, jaki tu oryginalny a żywy obraz duszy jego. Mazur i krakowiak są o tyle wyosobnionem tworzywem w sztuce, o ile niepodobnym do innych jest lud, który się w niem usymbolizował. A najprzód forma tego tworzywa wskazuje na łączność, na braterską w starożytnéj Polsce spójnię stanów. Ze śluby szczeréj miłości wiązały naród, że wzajemnie pomagano sobie w sprawie moralnego dobra, ztąd też kmiołek, bardziej umysłem i sercem jednoczył się ze szlachcicem, niż to się działo później lub gdziekolwiekindziej. Owszém, o ile się zadłużał ze strony uczuć rycerskich, o tyle oddawał, a nawet z nawiązką, ze strony cnót rodzinnych i obyczaju. Otóż tworzywo taneczne polskie nosi na sobie cechy wspólności narodowej, bo chociaż niektóre z tańców, staczając się całkiem do ludu, zdrobniały w jego dzisiejszém odosobnieniu, to przecie i po tych resztkach znać jeszcze ich historyczne pochodzenie. Mazura, krakowiaka i polskiego, tańczył jednako panek i chłopiek i dlatego uwieźła w nich treść, odróżniająca je wybitnym całokształtem od innych tanecznych, pospolicie ludowych wytworów. Nigdzie nienaśladowana rytmika mazura, wyraża tę szlachetną dzielność uczucia, mocą którego człowiek nadaje ruchom swoim stanowczy popęd naprzód, nie mitrząc ich żadnym względem bojaźni lub rachunku. Taką dzielność ruchom swoim nadać jeno ten może, kto głęboko ma sobie wszezpioném uczucie niezależności, kto nosi w sobie moralnego szlachectwa zasób. Nadzwyczajny tego tańca urok ztąd pochodzi, że wyraża ducha swobo-

dy, że tryska wzorzystymi kształty fantazyi, że jest niewyczerpany, zawsze świeży i nowy. Jakoż wszystkie pomienione tańce odznacza ów układ, że się toczą parami, w jednolitym porządku, rozwijając się wedle planu wybranego, najdzielniejszego z taneczników. Wszak krakowiaka tańczono dawniej wcale po rycersku, t. j. mężczyźni sami ze sobą, zkąd mu téż właśnie pozostała cecha mękości, dziś tak dosadnie uderzaniem podkówek okazywana. Z wejściem na scenę dziewczki, przybiera taniec kształty najpiękniejszego z poematów rodzinnych, jako wizerunek miłosnych zachodów i weselnych kolarzeń. Całe grono malowniczo ubrane, bo i w duszy skrzy się radość świetlana. Strojna w różnobarwne, z podarków uzbierane wstęgi, niby w żywą historią rodzinną toż i miłosnych związków, dziewczyna stanowi źródło estetycznego smaku, oraz piśennych natchnień. Patrz jak nadobny ułożył sobie ubiór młodzieniec, jak lekko a zgrabnie oboje zagajają ruch taneczny, obrazując figurycznie cały poemat zalotów, oświadczyń, odmowy i przyzwolenia. Krakowiak jest jedynym tańcem, gdzie tanecznik nie do narzuconej przez grajka stosuje się formy, lecz owszém, sam sobie muzykę układa, polecając jej wykonanie grajkowi, niby mistrz i wirtuoz na zawołanie. Przecież on poeta, pieśniarz natchniony, więc stać go na nutę własną, by ogniścięj i pięknięj, ku podziwieniu drużyny, mógł czterowiersz myśli swojej ułożyć. Że uczucia nadzwyczaj szybko rodzą się w duszy prawego Chrobaty, że niecierpliwość i niepomowienie w ruchu stanowią tło jego charakteru, ztąd ów oryginalny sposób rytmowania muzyki, którą odznacza synkopa, t. j. nieco przeciągnięte brzmienie jednéj ze środkowych nut taktu, jako skutek wypuszczenia następującej po niej nuty. Przekorne uderzenia na słabe części ki w taktie, są równie wyrazem przyśpieszonego uczuć rozlewu.

Z rytmiką tańca ludowego przechodzi do sztuki muzycznej wszystko to, z czego te rytmy są wytworzone. Stają się one przedstawicielami charakterystyki żywej, miejscowej; stają się na obszarze sztuki drgającym nerwem, określającym jaźń pokrewną, typ rodowy. W ogólności zaś używa ich sztuka wszędzie, gdzie chce wielką żywotność, wielką plastykę charakterystyczną wytworzyć, gdzie zamierza bicie pulsów przyśpieszyć a przemówić do słuchacza owym ruchem, który z przyrodzonej, nieuprawnionej swobody człowieka wyszedł. Znajdziesz te rytmy przedziwnie naturalność odtwarzające w wielu utworach muzyki scenicznej i symfonicznej. Mozart, ów natchniony duszy ludowej znawca, stworzył w swoim *Don-Żuanie* niespożyte typy, ze względu na naturalną prostotę uczuć. Toż i Beethoven chętnie z téj naturalnej czerpał poezyi. W jego sielankowej symfonii dosadnie się zarysowują owe ruchy spokojne, nieco ociężałe, owe rozsądkiem miarkowane uczucia, które lud niemiecki charakteryzują.

Przejdźmy do bardziej estetycznych sztuki tanecznej wytworów. W dziejach dwóch stuleci XVII i XVIII, jaśnieją wśród wysoko ucywilizowanego świata, dwa piękne tańce, niby dwie epopec towarzyskie, me-

nuet na Zachodzie i taniec polski (*polonaise, pollacca*) na Wschodzie. Oba są wytworem pięknym, szlachetnym życia społecznego, oba są towarzyskości upoetyzowaniem, w którym się wyraziła cała treść duchowa epoki i charakterów. Wszakże, pomimo tę spólność estetycznego rozwoju i spólność pochodzenia, każdy z nich wyobraża odmienne społeczeństwo i dlatego w odmiennój przedstawia się formie.

Menuet jest wyrobem onój arystokratycznej społeczności francuskiej, która obcemu hołdując pięknu, zaparła się swój natury rodzimój, swój własnej jaźni. Polor tej społeczności wynikł z przywileju, ze szlacheckiej dumy, a ubrał towarzystwo w niedostępną dla innych, w sztucznie zmyśloną, błyszczącą suknię salonową. To obowiązujący kodeks wielmożnych rodów, najwyższa klasyka cywilizacji. Ale dlatego, że ta szkoła niczém inném, jeno historyczném naśladownictwem stanęła, zamknęła się w formie bez ducha, niby zbiór pięknych lecz martwych posągów. Nie obaczysz w niój skrzącego życia, bo to epoka estetycznych przywłaszczeń, których złotemi więzami tém chętniej się otaczano, że ochraniały społeczność przed widmami niebezpiecznego realizmu. Patrz, jak w menuecie wszystko posągowo wymierzone. Osoby są jak czarodzieje przybrane; strój ich wytworny i manierowany, nie ze swobodą ruchów, lecz raczej licuje z kunsztownym ciałą układem; raczej do owych nadaje się miękkich a niewieścich tonów, jakie postać, twarz, uśmiech, spojrzenie i mowa przyjąć mają. Nic tu nie wolno zmieniń, od peruki i muszek, aż do najdrobniejszego ruchu. Wszystko jest nader ważne a pełne delikatnego smaku. Człowiek jest tu cały zaprzątnięty uwagą na przepis, a dusza jego spoczywa pod zasłoną farb i utoczonych słówek.

Muzyka menueta wiernie ów wytwór salonowego obyczaju odbiła. Pełno tu wdzięku w śpiewności. Przez barwne i szykowne tony, czujesz wielką elegancję a rozkoszny nastrój tanecznych figur. Kołysze się ta melodia, niby wabiąca nimfa, w przezystej a lekkiej obłoczy tonów, bez żadnej swawoli, bez fantazyi i namiętności, piękna jedynie swą delikatną rzeźbą. Toż i ruch jój pięknym jest ową powagą trzech czasów, na których rytmiczność wdzięk każdego poruszenia wybija. Nie znaleźć tu fantazyi ani swobody, bo toby grubiaństwem trąciło; więc wszystkie rytmy wymierzone, płyną, nie krwi strumieniem, lecz czarodziejstwem wypieszczonych ruchów człowieka. Muzyka menueta całkiem weszła do wielkiej muzyki instrumentalnej, a znacząco w sztuce muzycznej przedstawia owo piękno życia i obyczaju, które, rozlewając się na cały świat ucywilizowany, stało się powszechném, obowiązującym. Wszakże, dla tej sztuczności swojej, dla braku fantazyi, menuet został tém, czém jest, niby skamieniałością form, niezdolnych rozwinać się w poemat, w treść żywotną a organiczną, jak się rozwinął taniec polski.

Obaczmyż czém jest ten drugi taniec, również upowszechniony, a do dni naszych, lubo w bladój resztkce form, w towarzyskim obyczaju przechowany. Piękném piórem opisał go Brodziński. „Polski taniec

jest jeden ze wszystkich, który mężkiemu wiekowi przystoi, który powadze żadnego stanu nie ubliży. Dlatego jest on tańcem monarchów, bohaterów, a nawet starców, jedynym tańcem, który ubiorowi rycerskiemu przystoi. Nie wyraża żadnego uczucia namiętności, ale zdaje się być tryumfalnym pochodem i wyrazem ułagodzonych rycerskich uczuć. Przeto znamionuje go zawsze uroczysta powaga. Jest to może jedyny taniec, który nie przypomina, jak inne, ani uniesień ludu jeszcze surowego, ani zalotności ludu przez cywilizację zniewieściałego. Prócz tego ogólnego charakteru, ma razem właściwą cechę zwyczajów i obyczajów narodowych....” „Dawni Polacy tańczyli poloneza z dziwną grzecznością obok szlachetnej powagi. Przy krokach posuwistych, bez skoków, urozmaicał tańczący swą postać poruszeniami szabli, czapki i rękawów, pokręcaniem wąsa, które to gesta oznaczają rycerza, obywatela i męża. Kto widział Polaka w polskim stroju tańczącego, ten przyznać musiał, iż taniec ten jest tryumfem osób dobrze zbudowanych, umiejących swój chód powagą i szlachetnością, a rysy twarzy mężką wesołością ożywić. Przy zaczęciu tańca, Polak, kładąc czapkę pod pachę, przy ukłonie przed damą, pokręcając wąsa jedną ręką, drugą na szabli opierając, okazuje mężką zalotność i dumną niejako wystawność. Prowadząc damę z uszanowaniem, ręką tylko nieco w łokciu zagiętą, w przyzwioitém oddaleniu, zdaje się z uszanowaniem ku niej i dumą wewnętrzną, przedstawiać ją zgromadzeniu. Kieruje nią nie według stałych przepisów, jak w innych tańcach, lecz według własnej woli, łagodzonej powagą i uprzejmością, tak jak mąż w ciągu domowego pożycia. Dama niema tu miejsca do wystawnej zalotności i do zachwycających przemian kibici; wyraża tylko skromną powagę, a przy wspaniałym ubiorze, przy posuwistym pochodzie na czele milczącego grona, które za sobą prowadzi, wyobraża ideał wyższej istoty. Jak polski lud zachował jeszcze śpiewy przy tańcu, które mu tyle wesołości dodają, tak stan rycerski w Polsce ma jedyny w Europie taniec, do którego zachęty i okraszy służy wymowa. I tu jeszcze odznaczają się Polacy, którzy, jako naród sejmujący, uważali wymowę za towarzyszkę wszelkich czynności. Polonez był i jest polem do rozwinięcia wymowy, jaką uczucie lub sama uprzejmość jednej płci ku drugiej, natchnąć jest w stanie....”

Otóż głównymi przymiotami polskiego tańca są: z jednej strony mężkość, szlachetność i wielka powaga ruchów człowieka, usiłującego być w towarzystwie tём, czём jest w społeczeństwie; a z drugiej rycerska grzeczność i nieposzlakowany szacunek dla płci pięknej, której jest przewodnikiem. Ale patrz co na tych przymiotach rozściela się treści i fantazyi, co indywidualnej swobody w ruchach i zachowaniu się, co charakterystyki silnej, wybitnej a pełnej samoistności. Każda postać jest tu osobą, noszącą w sobie całą treść narodowego ducha i z tą ten humor, to istotne natchnienie, z jakim poloneza dawnymi czasy tańczono. A wymowa? Wszakże to apoteoza tańca, korona towarzyskiego obyczaju, uświetniająca go tём, co jest najpiękniejszego w czło-

wieku—darem słowa. Dla téj niewyczerpanéj treści poetycznéj, sztuka muzyczna utworzyła z polskiego tańca poemat. Jak sam taniec przedstawia bogate studyum dla kompozytora, pod względem treści idealnéj, tak rysy i kontury jego rytmiczne dają mu nieograniczone pole do rozwinięcia fantazyi. Jak menueta, tak i poloneza odznacza owo czasowanie szlachetne, rycerskie, na trzy powolne wymiary, które w sztuce muzycznój jest najpiękniejszém, że wyraża estetyczność, pewien ruchów wykształt, odróżniający je od skoczności prostaczej. Wszakże, o ile w menuecie rycerskość czasowania zdrobniała, zniewiesiała, o tyle w polonezie pełnymi a silnymi objawia się rysami. Jest tu mężkość, powaga, jest ogień, z którego muzyczne natchnienie całemi piersiami wytryskać może. Polonez niewyczerpaném odznacza się bogactwem rytmów. Masz je raz szeroko z trzema głównymi czasami idące, niby poważny chód rycerza; masz je w synkopach, które są bardzo pięknym wymiarem kilku sprzecznych, lecz uharmonizowanych, wzajemnie dopełniających się ruchów, co właśnie tłómaczy dojrzałą w zewnętrznych objawach swobodę człowieka; masz je w charakterystycznych przestankach i fermatach, po których coraz inne kroje peryodów następują, niby figuryczna fantazyja tańca; masz je zgoła w rozliczném grupowaniu się melodyi, raz majestatycznój i poważnéj, to znów dzielnej i butnéj, a w danéj chwili czułej, wpadającéj w łagodny liryzm tonów. Uważ między innymi tę końcową kadencyę poloneza, ile w niéj malowniczej wymowy. W téj jednéj kadencyi, tak odrębnój od wszystkich w muzyce, streszcza się narodowa oryginalność i piękny charakter tańca.

Najszczytniejszy tańca polskiego poemat stworzył Szopen. W artystycznój wyobraźni jego odbił się wizerunek narodu, tworzącego w pięknej plastyce swą żywą poezyą. Dla tego polonez Szopena nie jest samego tańca ograniczonym wyrazem; myśl jego sięga głębiej, bo maluje owe ruchy duszy, owo rojenie się uczuć, po których już nie samego tanecznika, lecz pełną treści narodowej osobę poznajemy. Rytm takich tańców jak polonez, wnoszą do sztuki wielką siłę i mężkość. Są one wyrazem powagi i wspaniałości, szlachetnych a wzniosłych uczuć, jakimi kompozytor jest natchniony.

Z mnogiej liczby tańców narodowych wybrać wypadło te dwa, dla okazania estetycznego piękna, które w ruchach człowieka stężało i sztukę muzyczną zapłodniło. Wspomnieć już tylko pobieżnie przychodzi, że takiegoż samego znaczenia, lubo odmiennój charakterystyki, a zatém coraz inszój w muzyce treści, są wszystkie te taneczne wytwory, które się wykształciły na tle ducha narodowego a zawarły w sobie oryginalne cechy temperamentów, usposobień psychicznych i stopnia cywilizacyi. W jednych z tych tańców znajdziemy rytmy mdłe, bez wyrazu i dzielności, snujące się jednostajnym wirem, jak np. w tańcu niemieckim, gdzie ruch jest raczej usymbolizowaniem marzącéj wyobraźni, aniżeli serdecznych uczuć wyrażeniem. To téż uczucia przechodzą tu wyłącznie na idealność melodyi, królującéj w walcu, a rozwi-

jającej się w poezję platonizmu, w poezję zachwycających duszę—szałów. W innych tańcach znaczą owe ruchy namiętne, patetycznej i romansowe,— tłumaczące—gorące uczucia ludów południowych, z których to ruchów wytworzyła się mimika teatralna i piękno choreografiki. Te dały ze siebie najobfitszą treść muzyce, ile że sztuka muzyczna obok nich się kształciła. W tej rytmice pełno plastycznej wymowy, bo uosabia ona tę społeczność czynną, pałającą a twórczą, która co chwila w formach nadobnych się obrazowała, i w kształtach żywych rada była sama siebie oglądać. Miłość lubuje się tu w postaciowaniu i ruchach, bo to najpiękniejsza mowa w ojczyźnie Michała Anioła i Canowy. Namiętność kocha się w teatralnej układności, bo tu człowiek zna powaby i czarodziejskie moce swego ciała. Wszelka uroczystość narodowa jawi się w allegorycznych grupach, w malowniczości przedstawień, pochodów i tryumfów, bo to epoka tworzenia piękna żywego, ucieleśniającego najmuńiejszy ruch uczuć, epoka ciągłego zachwyty dla pięknej wystawności.

Owóz, gdy liryzm muzyczny rozwijał idealne piękno śpiewności na mowie ludzkiej, a więc w pieśni—jednocześnie w tanecznej nucie tworzył się związek przyszłej sztuki instrumentalnej. Samodzielnie dziś rozwinięty, ograniczał się niegdyś ów rodzaj sztuki jedynie drugorzędną rolą wspierania melodyi. Wszakże już sam wynaleziony harmoniczny akompaniament, nadawał arii w operze pewną miarę, zaokrąglął jęj kontury i pewną rytmicznością piętnował. Z drugiej strony, melodia piosenna, łatwo na nutę taneczną poza obrębem sztuki lirycznej przechodząca, również w rytmicznym akompaniamencie instrumentów odpowiednią tańcowi jedrność znajdowała, z tą wszakże różnicą, że tu się kształtowała pewna jęj organiczność. Gdy tedy maluczka i małoznacząca drużyna grajków, operze towarzyszących, rosnać poczęła, a to dla wygrywania tak tanecznych międzyaktów, jak wstępów czyli małych symfonii, nie znajdowano dla tych urywków muzyki wyzwolonej innęj formy, jak rytmiczną formę tańca. Ta forma była już gotową, ile że balet dawno był we Włoszech znanym i jako *intermedium* do liryki scenicznej wprowadzanym. W Anglii i Francji wielkiego dorobił się znaczenia, ubiegając się o lepsze z operą, a niejednokrotnie nad same piękności śpiewu przez ówczesną publiczność był przekładanym. Toż wiek Ludwika XIV do podniosłości estetycznej przyprowadził nieprzystojną dotąd baletu i pantominy swawolę; Niemcom zaś przypadło w XVIII wieku uczynić z tańca piękno charakterystyki prawdziwej, historycznej. Więc rosła i rozwijała się owa forma w usamowolniającej się nieznacznie sztuce instrumentalnej, przechowując w sobie rytmy tanecznych pierwiastek. W pierwszych próbach sztuka ta wsiąkała w siebie żywą i nieprzerobioną jedrność ruchów człowieka, a nawet przejmowała w ramy swoje całkowity taneczny wyobraźni wytwór. Z tego się składały pierwiastki owęj symfonicznej muzyki, która, od zewnętrznych człowieka objawów poczynając, miała później jego najgłębsze psychologiczne tajniki wypowiedzieć.

Rytmy tedy w sztuce muzycznej przedstawiają najprzód ową zewnętrzną stronę człowieka, która się objawiła przez ruchy towarzyskie i obyczajowe. Rytmy takie są wyrazem charakteru narodowego, bo pięknem muzycznym wypowiadają naturę poruszeń duszy plemienną, rodową. Wszystko tu żywe, tętniące krwią, odtypowane obyczajem, że zda się masz przed sobą znane ci z ruchów, ukochane z przymiotów, więc własnej duszy pokrewne postacie. Ztąd ta wielka żywotność każdej muzyki miejscowej, charakteryzującej się żywiołami własnymi, oryginalnymi.

Nadto, rytmika plastyczna jest cechą dawniej, tak zwaną klasyczną szkoły. Ztąd ta wykończoność, okrągłość, malownicza całość peryodów i okresów, że te peryody i okresy kształtowały się wedle estetycznej miary ruchów człowieka. Takt jest tu całością, która zawiera w sobie najprzód wymiar ruchu organicznego, głównego, jakoby modłę, porządkującą wszystkie inne poruszenia; krom tego, mieści w sobie jeszcze rozliczne grupy tęten, mających charakteryzować i piękną różnaitością główny ruch ożywiać. Jestto gra pulsów, ta sama, która pobudza człowieka do nadawania wdzięku, takiej lub innej swoim ruchom wyrazistości. Gromadzą się one całości taktów w pewną okrągłą liczbę, wyrażającą pewien zakres ruchów, mniej lub więcej skończoną doskonałość plastycznego wytworu. Jest tedy w kroju i tętnach takiej muzyki żywioł realności widomej, dotykanej, malowniczej, który sprawia, że piękno melodyi przemawia do nas pulsami naszej własnej natury. Ow żywioł spotęgowywa artystyczną radość słuchacza, bo do piękna czystej harmonii, na której śpiewność się opiera, dodaje jeszcze żywotne tonów melodyjnych ruchy.

II.

Rytmy są wyrazem dramatycznej żywotności człowieka.

Jeśli w plastycznych ruchach ciała, w marszu, tańcu, mimice i postaciowaniu, objawia człowiek uczucie—to tém bliżej jego psychicznej treści, będą te żywotne objawy, które są bezpośrednią, dramatyczną jego wymową. Śmiech, płacz, łkanie, zanoszenie się, żywość głosowych poruszeń, a nadewszystko bogata muzyka mowy, wypowiadają się pewną rytmicznością, pewnymi nieregularnymi a wielce wyrazistymi tętnami. Są one najsilniejszą barwą, malującą uczuciową i charakterystyczną osobistość człowieka, są wytworem idealizującej wyobraźni, przyrodzoną wywnętrzania się sztuką. Przez nie odbija się co chwila na zewnątrz, w nieustannej symboliczności, duszy jego wizerunek. Symbolika głosowa dopomaga samej mowie taką lub inną treść żywotnie przedstawiać, a zdolność człowieka we władaniu nią, jest w istocie przyrodzonym mu artyzmem. Uważ jaka tu odcieniów doskonałość i jakie dramatycznego ruchu bogactwo. Samém cieniowaniem śmiechu możesz wypowiedzieć rozliczne uczucia i odmalować róż-

nę wnętrza twojego treść; więc wypowiesz szczerłość, naiwność, prostotę, stan uszczęśliwienia; oddasz ironią, szyderstwem, niedowiarstwem. Płaczem odcieniujesz obrazy bólu, żałości, rzewnego smutku, a nawet wezbranie radości. Takim lub innym rytmem głosu wyrzucisz ze siebie rozliczną siłę uczucia, to rwącą gwałtownym prądem namiętności, to pałającą żarem przekonania i wiary, to płynącą łagodną słodyczą i anielskim spokojem. Pod wpływem uczucia i wyobraźni, człowiek mówiący śpiewa, a ta muzyka jego, ta deklamacja serca, jest najistotniejszą pięknosci mowy znamieniem. Sztuka kaznodziejska ubiegłych czasów, była sztuką grania na strunach serc pobożnych. Głos, jego koloryt, a nade wszystko rytmika kaznodziejskiego słowa, wywoływały płacze, jęki, lub głośne w świątyni zachwyty objawy. Toż i dziś dusza ludu, karmiąca się prostotą wiary, łatwo owym muzycznym na serce wpływom kaznodziejskiego słowa ulega. Im więcej żywotności w człowieku, tym silniejszą i wyrazistszą będzie owa muzyka mowy, za pomocą której do ujawnienia się na zewnątrz sobie dopomaga. Ztąd też, im żywotniejszą a bardziej męzką jest uczucie, tym mocniej przez samą rytmikę się wyrazi. Przeciwnie, przy łagodności, słodyczy i spokoju uczuć niknie wyrazistość rytmiczna, bo jaśnieją one natomiast idealną melodyą mowy, której towarzyszy pewna miła bierność w układzie twarzy i w ruchach, jak to u płci niewieściej ogólnie widzieć się daje.

Czém jest żywotność mowy u dwu odmiennych szczepów: romańskiego i germańskiego, tym samém odznacza się żywotność ich muzyki. Mowa Italii, z ludowego języka do ostatecznego wykształcenia przychodziła w onej epoce, w której pociąg do rzeczy pięknych wszechwładnie królował. Wyobraźnia miękła pod czarodziejskim wpływem wiejącego ze strony starożytnego świata ducha sztuki. Już wiek Leona X chętnie dopełniał całopalenia moralności na rzecz artystycznej formy. W utworach literackich mniejsza było o cel, o ideę, byle forma była urocza. Dostojni mecenasowie zamykali oczy na fałsz i obłudę, bo chodziło im jedynie o hojne wspieranie talentu; toż sama zależność talentu od owych możnych ognisk protekcji, odciskała w sztukach i literaturze tę pieczęć zepsucia moralnego. Dość wspomnieć Machiavela, lub nadskakującego dworom poetę Aretyna. Otóż ta miękkość wyobraźni, w uroku form rozlubowanej, przewodniczyła kształceniu mowy, której słowa stały się niby z najpiękniejszego ciała utoczonemi wdziękiniami. Pełno tu tonów samogłoskowych, a starannie wyrobione poruszenia ust i języka, różnie odcieniają całość tych tonów, są gardlanymi dźwiękami spółgłoskową obłóczą. Spółgłoski nie pokrywają, lecz nadobnie uwydatniają głosowanie mowy, co czyni, że każdy ton staje się tu jasnym i czystym spółdźwiękiem, wpadającym do ucha w tak doskonale wykończonej formie, w jakiej go wydać jest w stanie tylko człowiek-artysta. Toż z grupowania słów tych wynika melodia o tyle piękna, że każda samogłoska ma swój ton właściwy, a łagodnym, nie tamowanym zbyt niemi szelestami łączeniem się z innymi, tworzy muzykę tonów rozkoszną, czarującą.

Ale ta muzyka mowy nie mogła się utworzyć tylko piśmiennie. Jeśli akademia la Crusca komentowała język mistrzów poezji, a urabiała gramatykę jego, to duch mowy włoskiej zdawna już w żywym słowie istniał. Budzącą się umysłowość narodu otaczały pamiętki i wspomnienia Rzymu, karmiąc ją wielkimi tradycjami owęj potęgi słowa, która niegdyś tak wszechwładnie publicznem uczuciem rządziła. Krasomowa odżyła we Włoszech, a lubo pod innem rozwijała się ciepłem czasu, to jednak rozpałała wyobraźnię tym samym ogniem życia pięknego w słowie. Pośród tej krasomówczej twórczości wystają wielkie postacie czynu społecznego: tu trybun Rienzi, usiłujący wskrzesić sławę Romy; tam pełen zaparcia się bohater serca Savonarola, wypalający gorącym słowem plamy społeczne i nauczający wolności a religii; ówdzie dwunastu mnichów, wiążących się ślubem ubóstwa i misyi, które to apostołowanie, przepowiadające przyszłość, po całej Italii strach i grozę roznosiło. Toż umiał jeden z tych misyonarzy, Franciszek Montepuciano, porywać swém słowem lud słuchający, a przywodził go do najwyższego żalu, do płaczu i uroczystych przyrzeczeń. Zgoła były to czasy kaznodziejstwa i krasomówstwa, czasy przepowiedni, posłanictw publicznych i wielkich zbiegowisk ludu, gdzie z natchnienia płynęły źródła słowa żywego. Wsiąkały te źródła w masy, a wytwarzały sztukę mówienia, powszechną umiejętność deklamowania uczuć za pomocą melodyi i rytmiki. Wszak nie tylko z tej strony politycznej i religijnej były silne popędy do kształcenia umiejętności, ile że, krom wszczepiającej się krasomowy klasycznej, były to czasy ludowych poetów, publicznych wystaw i wspaniałe urządzanych zabaw, gdzie, obok malowniczości widowiska, płynęły, jak z rogu obfitości, słowa i muzyka. Wielka żywość uczucia i ciągle drgająca siła wyobraźni, prowadzi tu człowieka do ciągłego oblekania ducha swego w formy; a że ze wszystkich form, mowa jest najbliższą i najprędzej dającą się użyć, tedy wykształciła się ta forma w Italii w najpiękniejsze arcydzieło ludzkie. W żywej mowie Włochów, melodia głosu wspieraną jest przez wyrazistą a bogatą rytmikę, bo rytmika jedynie, jako sztuka deklamowania, pięknie uplastycznia, tak złożoną w melodyi idealność uczuć, jak zawarte w słowie znaczenie myśli. Deklamacja jest przyrodzoną italskiej mowy formą, bo jest wyrobem artystycznego a ciągle potrzebującego pięknie tworzyć ducha narodu. Melodyi włoskiego języka nie można inaczej wykazać, jak przez rytmiczną deklamacją; inaczej bowiem mowa bledniećby musiała, a w samęj jednostajności ruchu rozpląnęłaby się krasa i znikłaby jęj plastyka. W plastykę gwaru wkłada mieszkaniec Italii żywość i namiętność swoich uczuć, a z takowego plastyczności upodobania, urosła, w sztuce scenicznego grania, dramatyczność mowy.

Otóż uważ, że muzyka włoska jest tej samęj natury, ile że na krasomowie rodzimęj swą formę kształciła. Melodya roztacza się tu urokiem najpiękniejszych dźwięków, ale jęj stronę wymowną stanowią rytmy. Znajdziesz tę deklamacyjną rytmikę w różnej formy *recytaty-*

wach, które w operze włoskiej wiele znaczyły, bo były samą treścią, samą prawdą lirycznego dramatu. Recytatywy wzorowały się na mowie, przejęły w siebie jej obrazowość, a dały w nowszych czasach już gotową formę do prowadzenia motywów w sztuce.

We Francyi, lubo o wiele później, również pod wpływem klasycznej literatury, uchował się ten sam do krasomówstwa popęd. Krępowany monarchicznymi więzami, z tém większą siłą wybuchł razem z wielką rewolucją. Odtąd wszedł w życie, a rozrósł się w charakterystyczną narodowości cechę. Znajdziesz to umiłowanie krasomówczej swady tak w instytucyi politycznej, prawnej, naukowej i religijnej, jak w każdym innym objawie życia społecznego. Mocą wrażeń, jakie żywe słowo odczynia, zasiewały swe ziarno we Francyi nowe idee, a sama wielkiego Mirabeau postać jest wyrazem owego ducha narodowego, pełnego żywotności i natchnień, który płodność ideałów swoich najlepiej żywém słowem objawiał. Lubo pod wpływem spoważnionego stylu dzisiejszej nauki i książkowego języka, coraz bardziej ta twórcza fantazyja mowy maleje, przecież ją znajdziesz jeszcze w wielu miejscach, gdzie natchnienie i żywość wyobraźni nad chłodem rozumu górę biorą. Toż krasomówstwo tak dalece jest w charakterze francuzkiego narodu, że się w nie chętnie szarlatanizm przybiera. Znajdziesz w Paryżu różnego rodzaju, nieraz nader wątpliwj wartości wykłady publiczne, oraz mowy klubowe; zwabi cię nie jedna uliczna swada, nie jeden pusty w sobie ale ponętny panegiryk, że staniesz i podziwiać będziesz tę prześliczną mowy płodność, świetność i żywość. Umieją Francuzi mówić, opowiadać i śmiać się w sposób taki, że możnaby już z tego samego psychologiczne tworzyć o nich wnioski. Mowa francuzka odznacza się również spółdźwięczną czystością tonów. Znajdziesz tu ich wielką mnogość: te same samogłoski są raz otwartemi usty wymawiane, a wydają ton pełny, harmoniczny; raz głos, o czeluść się opierając, wydźwiera je ostro lub miękko, to znów je lekkim tchnieniem, niby muśnięciem wiatru po strunie, wykonywa. Za każdym razem poddają się te samogłoskowe tony odmiennym uderzeniom rytmiki w wymowie. Dysonans tu nie istnieje, bo mówca nie poszukuje przeciwieństw w dźwiękach, lecz raczej puszcza wodze ruchowi głosu, rytmuje swą melodyjną mowę. Toż czarująco żywą i jaskrawą jest ta jego rytmika. Raz posuwa melodyją słowa szalonym pędem, to nadaje ruchowi rozliczne zwroty i przestanki, to się zrywa piorunem, to igra znakami i słówkami, tworząc z tych znaków i przydatkowych słówek coraz inszą grę wymowy—rzekłbyś istna fantazyja muzyczna. Nigdzie indziej lekka komedia, farsa dramatyczna i wodewil nie idą z takim życiem jak we Francyi. To są właściwe geniuszu narodowego wytwory, które téż w scenicznóm odegraniu żadnemu, jeno francuzkiemu najlepiej udają się aktorowi. Taż sama fantazyja stworzyła jedyny w sobie i oryginalny rodzaj sztuki, tak zwaną operę komiczną, pomysł Andrzeja Grétry, której ostatnim mistrzem Auber, poniewolny świadek wypaczenia się francuzkiej sztuki w Offenbachowską karykaturę.

Muzyka francuzka pełną jest rytmicznego ruchu. Melodya mówi, śmieje się, dowcipuje, stroi się i upiększa melismatami, a ciągle zmienia się w czasowaniu, że zda się rytmika muzyczna igra tonami tak samo, jak mówca francuzki słowami igrać lubi. To charakterystyczne mienianie się rytmów jest główną muzyki francuzkiej cechą, jest jój bogactwem. Jak włoska muzyka urobiła formy dramatyczne w melodyi, tak francuzka dała popęd do wytwarzania charakterystyki, niby różnych barw życia zewnętrznego. Jak tamta, będąc istotą uczucia, pozostała w głosie ludzkim, tak ta zakwitła i rozbijała w instrumentacji, gdzie dowcipną roztacza figuryczność, a gdzie jest dopełnieniem, stroną żywotną dramatycznej osoby. Obie wytworzyły piękno rytmów w melodyi, bo melodia była tu sztuki muzycznej istotą.

Zupełnie innemi odznacza się cechami szeroko rozrodzona mowa germańskich a anglo-saskich plemion. Tworzenie sztuki mówienia uległo tu wpływowi tej samej fantazyi, jaka wszystkie objawy piękna swą tajemniczą otoczyła zasłoną. Mieszkaniec germański północy nie ma wyobraźni żywej, kształtującej co chwila piękne formy, ale zatapia raczej umysł w ideę, w abstrakcyę. Obcy nadobnej fantazyi, rozważa głębiej i istotę wewnętrzną piękną i dlatego formy sztuki jego nie przedstawiają się odrazu zmysłom, nie czynią wrażeń, bo są jedno środkiem, ku wyrażeniu głębokiej idei służącym. Ztąd też, o ile był społeczny, skłaniający się tu ku spokojowi, a wyrabiający się przez powolną pracę ducha, nie wywoływał potrzeby wpływania na masy siłą głośnego słowa, o tyle mowa plemion germańskich wcale wdziękami krasomowy się nie odznacza. Trybunę i publiczne place zastępuje tu pismo, rozpowszechniające ideę i kształtujące umysł samą duchową treścią. Pismo, zwłaszcza w Niemczech, jest tą samą wielką dźwignią społeczną, jaką u starożytnych Rzymian, a następnie u ich spadkobierców, żywe słowo było. Ale całkiem rzecz inna tworzyć przez żywe słowo a przez pismo. Człowiek mówiący więcej do serca zstępuje i do wyobraźni się odnosi; bo tworzy muzykę, która go samego upaja a natężonym improwizatorem czyni. Więc i myśl jego, nie tyle dojrzałością, ile młodzieńczym uczuciem piękną będzie. Zaś człowiek piszący niemy jest, a ta niemota nie rozplómienia serca, lecz pobudza do wewnętrznego skupienia i władze rozsądku podnosi. Otóż ta niemota cechuje i mowę germańskich a anglo-saskich plemion. W mowie angielskiej, holenderskiej, niemieckiej, nie ma melodyi. Pełno tu dysonansów i nieprzyjemnych dla ucha dźwięków. Uważ owe kilkogłosowe składnie ai, aü, æu i t. p., z krótkim wymawianiem ostatnich głosek. Są to wybitne dysonanse, pochodzące ze zlewania się tonów. Mowy pomienione zawierają wielkie mnóstwo takich cierpkich dysonansów; rzekłbyś że wyobraźnia, mając upodobanie do fantastycznego wykrzywania dźwięków, gromadzi głoski w języku piśmiennym na to, aby je wymawiać jakimś tonem zmieszonym, niejasnym. Wymawianiem rzędzi tu nie poczucie prawidłowości i miary, lecz mistyczna fantazyja, lubująca się w tajemniczych dźwiękach o tyle, o ile lubuje się w ciem-

nych kolorytach malarstwa i w przepaścistych ideałach poezji. Ztąd różne sposoby wymawiania, ztąd ta indywidualność narzeczy teutońskich, z których każde ma równe prawo do typowości, bo każde oryginalną wytworzyło sobie w praktycznym użyciu filologiczną fizyognomią. Między pokrewnymi mowami germańskimi nie znaleźć tego fonicznego podobieństwa, jakie w mowach romańskich istnieje. Krom przeciwdźwięczności tonów samych przez się, mówca germański tworzy liczny zastęp szelestów ustnych, którym celną nadaje wartość. Przycieniąją te fałsety samo gardlane głosowanie, co nadaje mowie pewną tajemniczą sprężystość, pewną wewnętrzną, niewidzialną moc. Z taką mową nie licuje deklamacyjna rytmika, bo w niej nie ma do muzycznego uwydatnienia, bo rytmika wydałaby na pośmiewisko tę mowę myśli, która nie w rozkosznych pieluchach natchnienia, lecz wśród znojnój rodzi się pracy ducha. Miejsce rytmiki zastępuje tu dysonans, który, jeśli nie czynia słuchacza zewnętrznem mowy pięknem, to go zniewala do zstępowania myślą w głąb rzeczy mówionej.

Téjże saméj natury są muzyczne germańskiej fantazyi upodobania. Muzyczność niechętnie się tu objawia przez samę czystą melodyą; owszem, wyobraźnia skłania się ku wytwarzaniu rozlicznych starć głosowych, ku zestawieniu dźwięków ze sobą; więc pociąg ma do takiej eufonii, która przyciąganiem i odpychaniem tonów życie muzyczne objawia. Wynika ztąd deklamacya harmoniczna, cale inna od tamtéj rytmicznój, bo dźwignią jéj jest już ruch wewnętrzny, niedotykalny, niby fizyologiczny, który w dysonansie ma sprężyny swoje.

Z tego porównawczego muzyki i mowy wywodu, okazuje się, że obie, z tych samych wychodząc źródeł psychologicznych, mimowolnie te same przyjęły estetyczne cechy. Nowożytna sztuka czerpie swą żywotność w owych pełnych treści wybuchach temperamentu i objawach charakteru. W niejednym dziwnie na serce lub na wyobraźnię działającym urywku muzyki, obaczysz jak się w melodyi odtętniły te same rytmy, jak w harmonii duch mowy utkwiał. Usłyszysz wyraźnie, jak melodia śmieje się lub płacze, jak tony jéj gwarzą, biesiadują, weselą się iskrami rytmów, skarżą się przeciągle, boją urywaniem westchnieniami. W niejednej kompozycyi uderzy cię harmoniczne upodobnienie ruchów słowa, niby w piękno dźwięków przybrany wizerunek myśli ludzkiej. Wszak na tém upodobnieniu romantyczna fantazyja oparła żywotność poezji muzycznej. Obacz ową znaczącą w poemacie symfonicznym całośćkę, tak zwane *Scherzo*. Sama nazwa oznacza żart, figlarność, śmiech, zgoła coś lekkiego, dowcipnego. Otóż ta nazwa upoważniła sztukę do coraz doskonalszego wzorowania rzeczy na żywej poezji człowieka. Każdy z mistrzów inaczej ów obrazek malował, lecz wszyscy w nim ten sam psychiczny wizerunek przedstawili. Masz tu niby owe, ze swobody człowieka wynikające sceny, gdzie śmiech, skry lekkiego dowcipu i żwawy humor, rozkosznemi perłami się sypią. Widzisz wabiące uśmiechem twarze, słyszysz leciuchne serc bicie i tryskanie złotych promyków radości, istne bogów olimpijskich ucztowanie.

Takiemi być wydają się sławne Mendelssohna *scherza*. Niektóre, barwą minorową pokryte, dziwne nadają uroku owemu uczującemu serca obrazkowi, piętnując go charakterem melancholii. Nierównie poetyczniejszy Beethoven przedstawiał w poemacie tak głęboki obraz, że nieraz uczestnikowi wypadnie upodobnić go do jakiegoś duchów biesiady. Dramatyczne w piątej symfonii *scherzo* nie jestże przygotowaniem, ni by tajemną znową, po której w finale bohaterki ma nastąpić pochód? Lubo mistrze ci posiłkować się mogli idealną obrazowością poezji pisanej, lecz utworom swoim mimowiednie dawali piętno żywej, własną wyobraźnią pochwyconej prawdy.

Otóż na takowej rytmice rozwija się dramatyczność sztuki muzycznej. Nowoczesna umiejętność kojarzenia śpiewu ludzkiego z orkiestrą, do wielkiej doskonałości sztukę dramatyzowania postaci ludzkiej doprowadziła. W orkiestralnych ruchach malują się sceny, wypowiadają żywe znaki osób, ich dramatyczny charakter i czynność. W znakomitej scenie z opery *Fidelio*, gdzie wypuszczeni z więzień przestępcy witają dzień słoneczny, dziwnie pięknie muzyczna faktura stan ich wewnętrzny wypowiada. Oddech piersi, wielką wezbrany radością z oglądania słońca, nie może się uspokoić; te długo milczące postacie dają sobie teraz folę, więc najprzód modlitwę chciałyby Panu złożyć; ale ich głos obumarły nie słuca woli, szepcze, urywa się, słabnie. Jakoż ta niemoc organiczna, skutek wielkiego uczuć nabrania, doskonale rytmiką muzyczną się wyraża. Rossini rozlał źródło pięknego dowcipu i attyckiego humoru za pomocą rytmiki w swoim *Cyruliku*. Umysł i serce słuchacza przeniknione są od początku do końca elektrycznymi ruchami swobodnej, artystycznej wyobraźni. Meyerbeer umiał oddać w muzyce ową siłę ironii i sarkazmu, które człowiek tak doskonale rytmiką głosu wyraża. Wszystkie piękniejsze nowoczesnej sztuki utwory, napisane w chwili młodzieńczego a silnego życiem natchnienia, dlatego nas czarują, że są prawdziwem lubo nieświadomem odbiciem dramatyzujących się uczuć naszych.

Z tych tedy źródeł pochodzące rytmy, przedstawiają w muzyce człowieka symbolizującego najwewnętrzniejszą, najgłębszą treść swoją. Człowiek, którego dusza żyje, którego uczucie nie przygniótł ciężar myślenia, wypowiada się co chwila owym językiem natychmiastowym, natchnionym, nie skrzepowanym żadną potrzebą tajenia się. To przywilej owej młodzieńczości duszy, która z przepełnionej czary obfity dar naokół rozrzuca. Piękno samej melodyi, bez rytmów uważanej, jest ni by idealnym zapłodnieniem uczuć; dopiero rytmy, na których się melodia opiera, stanowią jej dojrzałość, są rzeczywistém uczuć wcieleniem. Ztąd ta żywotność muzyki, ta jej pociągająca symboliczność, że przedstawia młodzieńcze życie ducha ludzkiego, że ruchem tonów wypowiada nieprzebrane tętna wewnętrzne, te same, które człowiek różnemi drogami pięknego używotniania się na wierzch wydać usiłuje.

W nowoczesnej, dramatyzującej sztuce, takt przestaje być ową doskonałą miarą ruchów, jaką był w dawnej szkole. Mistrz przedsta-

wia w swoim utworze dramat osoby, żywy, bijący jęj własném uczuciem, zatem wolny, niezależny od form powszechnych, przez nikogo innego nie stworzony. Więc właściwie niéma tu taktu, niéma wymiaru, bo ten jest formą powszechną, jest wytworem, krępującym wolność indywidualnych, bezpośrednio psychicznych poruszeń. Dlatego w nowoczesnej kompozycji takt jest raczej modłą szkolną, jest przyjętą umiejętnością stawiania znaków i szykowania formuł muzycznych. Wszakże dla wykonawcy niéma on znaczenia ściśłej formy, niekoniecznie zawiera w sobie wymiar, który wedle stałego przepisu zachować należy. Muzyka nowoczesna przeciwnie, odnosi się do artystycznej indywidualności wykonawcy, do jego własnej inteligencji i dojrzałości uczuć. Ma on utwór nietylko wykonać, lecz swoim własnym duchem odtworzyć, ma dzieło mistrza przez swą własną siłę do życia powołać. Ztąd pochodzi, że jeden i ten sam utwór, inaczej przez każdą inną osobistość jest wykonany, bo każda ma swój własny używotniania się sposób. Nadto, nie każdy wykonawca jest jednakowo co do władz estetycznych uposażonym. Więc nie każdy znajdzie się w stanie liczne a różnostronne bogactwa sztuki odtwarzać. W tém właśnie leżą olbrzymie trudności dzisiejszej kompozycji, wymagającej wiele od duchowej wartości artysty,—a stanowiącej osobną, nader poważną sztukę muzycznego wykonawstwa.

III.

Rytmu muzyczne są piękniem odtworzeniem ruchów natury.

We wstępie była mowa o tém, że świat zjawisk objawia swą żywotność rozliczną ruchów rytmicznością. Owe drgające szmery, ciche melodye i huczne gry żywiołów, coraz innymi rytmami zalatują do wnętrza człowieka, dając mu znać o treści, wypadkach i znaczeniu życia zewnętrznego. Człowiek, czy w otoczeniu sielankowém, wśród chórów gospodarnie krzątającego się życia, czy w samotnej puszczy, czy w górach, czy na morzu, zgoła wobec powabnych, szczytnych lub groźnych scen natury, zanim posiędzie wyobrażenie a ujmie wartość zewnętrznego objawu, musi najpierw próbę wrażeń odbyć, musi zetknąć nerwową czułość swoją z ową przedmiotów grą żywotną. Nie może ten przejąc się poezją morza, kto go na własne nie widział oczy, kto nie wysłuchał tej jego mowy, poważnej w spokoju, strasznej i gwałtownej w rozprężeniu. Wyobrażenia przedmiotowe, drogą opowieści chwycone, dają umysłowi jeno idealne uobecnienie rzeczy, lecz nigdy mu nie przedstawiają obrazu prawdy, dopóki prawda ta swym własnym organem do duszy nie przemówiła.

Otóż sztuka muzyczna przejmując ową chwilę zespalandia się scen natury z duszą człowieka. Mistrz odtwarza tę mowę podczas ślubowin ducha swego z duchem przyrodzenia; ślepe dramaty, odbijając się

w zwierciadle wrażeń jego, pięknieją i dlatego potężnie na słuchacza działają, że są prawdą zewnętrzną, płomieniem artystycznym oświeconą. To jest główną treścią nowoczesnej muzyki opisowej, nieporównanej w poetyckim bogactwie, a dotykającej granic wyobraźni w sposób żywy, żadnej innej sztuce nie przysługującej. Żadna bowiem sztuka nie jest w stanie tak wrażenie uobecnąć ten sam żywot, ten sam na uczynku schwytyany ruch, te same drgania zewnętrznych dramatów, które w rzeczywistości tyle na uczuciu człowieka ciążyą. Nie mocną tu jest poezya słowa, że daje tylko idealną opowieść; nie mocną sztuka malarska, że pochwyca tylko jedną z mnóstwa chwil dramatu. To przeciwległe położonych sztuk pięknych stanowisko, jest właśnie przyczyną ich wzajemnego w opisowości wspierania się. Bo co jedna stworzy ze strony przestrzennego, zakłętego w płótnie pojawu, co muzyka wypowie w czasie, ze strony żywotnego czynu, to poezya pojaśni i do przeświadczenia poda. Wzrok i słuch tak dalece się tu bratają, że mimowolnie jeden zmysł szuka pomocy drugiego, dla uzupełnienia ideału téj saméj przedmiotowej prawdy, jaka w naturze istnieje, a której całość jednocześnie przez wzrok i słuch człowiekowi się udziela. Ztąd wielki wpływ na poetyczną wyobraźnię w onych chwilach dramatycznego przedstawienia, gdzie przedmiotowa muzyka, plastyka i poezya ze sobą się schodzą. Obaczymy estetyczne warunki téj tak wiele dziś ważącej sztuki opisywania w muzyce.

Wszystkie pojawy życia zewnętrznego, ujęte w szczupłe ramy widzenia i słyszenia ludzkiego, pomimo swą żywotność, puste są i głuche same przez się, aż dopóki téj ich próżni nie zapełni duch w postaci człowieka. On tylko nadaje ślepy pojaw istotną wartość; przezeń jedynie one kontury, światła i tony nabierają znamion poetyczności. To odnoszenie się obrazów świata do obecności ducha ludzkiego, tak dalece jest w saméj naturze prawem piękna, że widz, znajdujący się wobec uroków przyrody, lecz w samotnym, bezludnym ostępie, sam siebie stawia do obrazu, sam ze siebie wysnuwa stosunek przedmiotowy, swém własnym uczuciem zapełnia krajobraz, iżby mógł artystycznie widoku używać. Pojmuje to sztuka malarska, gdy w każdą ramkę krajobrazu umieszcza jednostkę ludzką, gdy wobec dramatów natury stawia człowieka, jako ognisko, skupiające w sobie ich rozrzuconą treść i piękno. Tak malarz, wykończający obraz rozhukanego morza, umieszcza na brzegu rozbitek, w którym się skupia cała wielkość, cała przepaść poezyi. W muzyce tą jednostką ludzką jest melodia, jako głos człowieka. Ona nadaje dźwiękom opisowym treść i piękno. Bez niéj kompozycya opisowa pustą jest i głuchą; muzyka bowiem, bardziej niż plastyka, całkiem wychodząc z uczucia, tam tylko jest istotnym pięknem, gdzie jest człowiek, gdzie głos jego. Opowiada kompozytor ciszę morza i gwar szczęśliwego wylądowania, opisuje głuchotę pustyni, mówi szmerem strumyka, powiewem nocy letniej, kołysanką snu dziecięcego, ale na tle tych rytmów rozwija melodia, jako główną myśl opisu, jako uczucie człowieka, w którym się treść skupia. Dlatego jedy-

nie ta opisowa muzyka jest piękną, że opisowość jej posłuszną jest tonom melodyi, że rytmy przedmiotowe harmonicznie się dostrajają do głosu człowieka, do idealnego w tonach uczucia.

Ztąd wynika, że sztuka muzyczna nieinaczéj, jeno pięknie ma od-
tworzać surowe ruchy przedmiotowe. Mają się one uduchownić mu-
zyczną umiejętnością i poetycznym kompozytora natchnieniem, a tém
samém grubéj pozbyć się szorstkości. Nie idzie tu bowiem o wierne
naśladowanie, lecz o odtworzenie rytmów takimi, jak w wyobraźni stę-
żały, jak sercem wstrząsnęły. Burzliwe, niestrojne i zamętne zjawiska
natury, szlachetnieją w harmonicznym potęgach tonów, stają się istotną
mową, artystycznym poezji przedmiotowej przedstawieniem. Strzedz
się powinna sztuka zbytecznego w opisywaniu realizmu, bo ten zasłania
najpiękniejszy jej przymiot—idealność, a razi słuchacza zbyt nagiém
przedmiotowości potrąceniem. Im szlachetniej potrafi mistrz swą opi-
sowość przedstawić, tém głębsze sprawi na słuchaczu wrażenie. W tym
celu unika on dotykania wszelkiej materyalności nizkiej, nie mającej
z duchem człowieka wyższego związku. Rażącem jest w operze dro-
biazgowy opis czynności zewnętrznych. Muzyka ustać powinna tam,
gdzie się odbywa zanadto twarda rzeczywistość, gdzie się spełnia sama
fizyczna rzeczy konieczność. Niepomierne w kierunku dramatycznym
postęp, jaki cechuje operę od czasu Rossiniego, nosi zarazem na sobie
świadectwo grubych obłądów sztuki. Dramat, przepiękny muzyką,
usiłuje wszystkie odstępnić drobiazgi, odczasować najniemuzyczniejsze
ruchy, owszem, zda się coraz fatalniej poszukiwać owych wielkich scen
natury, któremi geniusz Szekspira poezją obdarzył. Ztąd owa próżna
napuszystość rozdźwięków, ów hałas aż nadto realny, częstokroć
śmieszny, zgoła owa pretensya do przedmiotowego wyrażania prawdy,
która na poniżenie wskazuje wzniosły, czysto idealny rodzaj sztuki,
jakim jest dramat liryczny.

Muzyka opisową zwaną, nie jest opisowością we właściwém zna-
czeniu. Ona nie może być samym opisem, bo przedstawia stronę ży-
wotną, stronę czynu. Wiéć jest raczéj opisowo-dramatyczną, ile że
wyobraża sceny, z rozlicznych stosunków człowieka do zewnętrznego ży-
cia wynikające. Jakoż w obec takiego znaczenia opisowości, sztuka
pasuje mistrza na idealnego poetę. Powinien on przedewszystkiem
idealnie pojmować przedmiotowość w swoim poemacie. Posłuchaj jeno
iście mistrzowskiego opisu. Tu, zpośród gry zjawisk, lekko dot-
kniętych pięknościami tonów zidealizowanych, rozbrzmiewa głos nadziei,
dziękczynienia, miłości, słowem pocieszające tchnienie ducha ludzkiego,
który zwycięstwo nad materyą odnosi. Muzyczne wrażenie takowego
opisu jest pełne uroku dla słuchacza, właśnie dlatego, że pod symbo-
liczną zasłoną muzyki moralna prawda spoczywa.

IV.

Stosunek rytmów do tonów melodyi.

Z powyższego poglądu wynika wniosek, że rytmy muzyczne nie czém inném, jeno są tego samego żywostanu objawem, który jednakim prawom, co do miarowości czasu, w rozlicznych sposobach natychmiastowego symbolizowania się, podlega. Ztąd ścisła pokrewność sztuki muzycznej z najpowszechniejszą wywnętrzania się sztuką; ztąd jej przeważna rola i niezaprzeczona wartość społeczna. Z trzech źródeł czerpie rytmika muzyczna, jak to wyżej wyłożono: z plastyki ruchów człowieka, z dramatyczności jego i ze stosunku do ruchów przedmiotowych. Więc fizyologiczna zawartość sztuki muzycznej odnosi się do tej wszystkiiej treści wewnętrznej człowieka, która sama siebie co chwila na jaw żywotnie wydawać usiłuje. Owa treść, poszukując coraz piękniejszego dla siebie organu, idealizuje się w melodyach i harmoniach muzyki, gdzie się też utaja, niby przyrodzona rozkosz cielesna w poetycznych osłonach miłości. Toż jedynie z tych trzech źródeł, to jest z żywotnej człowieka fantazyi pochodzące rytmy, są istotném pięknem w muzyce. Są one psychologicznej treści prawdziwém odbiciem. Każdy ton jest tu na swoim miejscu; rytmika uwydatnia go w takim wymiarze ruchu, na ile stać było siłę wzruszenia i jakoś uderzających w duszy tęten. Wsłuchaj się uważnie w rytmikę Wagnerowskiej muzyki. Twórca Tannhäusera i Lohengrina wypowiedział za pomocą tonów ową legendową poezją niemiecką, którą wyobraźnia ludu w naturalnej obłoczności życia pojęła. Wypadało tę naturalność tworzywa uszanować, bo w niej tkwi właśnie ta uzacniająca strona mytu, że przez powszechne formy żywota wyraża treść moralną, podniosłą. Myt staje się prawdopodobnym, nabiera powagi, jaka rzeczom objawionym przystoi. Otóż sztuka rytmów odtwarza najsubtelniejsze sceny powieści. Każda postać, każdy dramatyczny obraz, stają się tu niejako studyami psychicznymi, tyle w nich prawdy, objawiającej się symbolicznie przez ruchów żywotność. Treść ludzka wewnętrzna poruszała wyobraźnią muzycznego poety. Zdaje się że dusza jego całkiem się przeniosła w ów świat na poły zmyślonego, na poły prawdziwego bohaterstwa, aby na złotych skrzydłach fantazyi przynieść opowieść tego, co się w ludnej a tajemniczój sferze duchów dzieje. Wagner sam jest poetą mistycznym, więc w dramatach swoich dał wszystkie widzenia i uczucia ludów celtycko-germańskich — odtworzył muzycznie starodawny epos w całym blasku piękna, dobra i psychologicznej prawdy. Jest tedy równie wymownym w swój muzyce, jak wieszczący o duszy ludzkiej Beethoven, jak piewcy nczuć miłosnych i rodzinnych, Weber, Moniuszko i inni.

Zupełnie inaczej przedstawia się muzyka, którój ruch nie wychodzi z owych źródeł żywotności artystycznej człowieka, którój rytmy są nienaturalne, wymyślane, sztuczne. Nie ma tu prawdy. Każdy ton

wyduje się być nie na swoim miejscu; kształty harmoniczne zdają się nie mieć żadnego związku; słyszysz łamanie się figur bez celu, niby popis harmonicznego ruchu, niby rozpadająca się budowa, której żaden cement nie spajał. Wszystko tu wywrócone. Muzyka taka wyobraża człowieka, któremu konwulsje odebrały swobodę ruchów, którego mowa przykrém jąkaniem jest. W takie dziwaczenie wpada niejednokrotnie szaleństwo kompozytorskie, tworzące pod wpływem gwałtownego dążenia do oryginalności, a pozbawione poetycznego namaszczenia geniuszu. Takim dziwacznym wydaje się być nie jeden zładniąd piękny utwór dzisiejszej muzyki, że kompozytor nie chciał trzymać się prawdy swego natchnienia, lecz poszukiwał wcale odrębnych pomysłów, abstrakcyjnie wyosobnionego kunsztu. Twórca Tristana i Nibelungów stał się dobrowolnie takim dziwakiem, że z muzyki zamierzył myśląc uczynić poezją, że sparaliżował tętna i ruchy w dramatycznym liryzmie. Wielu też w dzisiejszej szkole jednostronnych czcicieli beethovenizmu, podobnie jak bezwzględni harmoniści, są estetycznymi dziwakami.

Muzyka ubiegłych epok nie znała bogactw rytmiki; jój przymiotem było przeważnie piękno tonów, w których akustycznej doskonałości całą podstawę sztuki upatrywała. Nowoczesna muzyka przeciwnie, wolała raczej czystość tonu skazać, niż się wyrzec wielkiego rozwoju, jaki za pomocą rytmów osiąga. Panowanie rytmów jest tu wszechwładne, zwłaszcza w muzyce instrumentalnej, gdzie niejednokrotnie znika dla słuchu całość tonu pośród mieniającej się gry ruchu. Ale na treść nowoczesnej sztuki składają się wszystkie jój z różnych epok techniczne bogactwa, tak pod względem rytmiki, jak ze strony melodyjnego i harmonicznego tonowania. Dla tego oznaczyć należy estetyczny stosunek rytmów do melodyi.

Dwojakim jest ów stosunek: 1° Rytmu rządzą tonami melodyi i 2° Rytmu ulegają tonom melodyi.

1° Najpierwszą muzycznością gdzie rytmy rządzą, jest mowa ludzka. Organ mowy opiera się na kilku tylko tonach, a mianowicie na tych w zakresie kwintowej skali położonych. W najpiękniejszej krasomowie i wśród najsilniejszego wezbrania uczuć, liryczna mowa strona nigdy dalej za kwintę toku mówienia nie rozciąga. Każda modulacyjna zmiana głosu już jest innym tokiem, zakreślającym znowu granice swoje na kwintowej przestrzeni. Taka jest toniczna podstawa tworzenia pięknej mowy. Ztąd ton sekstowy można zwać w dyatonice pierwszym stopniem, prowadzącym do właściwej muzyki tonów, do śpiewu czystego. W powszechném użyciu różnią się między sobą mowy rozlicznych ludów większą lub mniejszą śpiewnością. Do najwięcej śpiewających w mowie należą szczepy romańskie i słowiańskie, jako mające w swojej naturze największy zasób uczuciowego liryzmu. Otóż to ograniczenie skali w sztuce mówienia wynika ztąd, że główną jój cechą jest ruch słowa—rytmika. Różnie się zbiegają wśród ustnych porużeń głoski, mające całość wyrazu utworzyć; różnie biegną całości wyrazów, budujące frazes lub peryod, a wszystkie dzielą się między sobą

różnymi przestankami, odznaczają naciskiem i grą ruchu różną. W tej grze uwydatnia się ruch myśli, jako duchowa, własną pracą spłodzona brzemienność mówiącego—więc jego dzielność, siła przekonania, zapasy, drażliwość, spokój, panowanie nad sobą, zgoła wszystka wewnętrzna robota, oraz niezliczone jego charakteru odcienia. Rytmika jest tu życiem samym, któremu ton piękną barwę nadaje. Lubo ta barwa w wielu wypadkach nabiera wagi znaczącej symboliki, a mianowicie w owych rozdzwiękach mowy, co są niewieściem uczuciem, zapytaniem, wykrzyknikiem, miłosną spowiedzią i t. p., lubo, mówię, w owych chwilach lirycznego nastroju melodia mowy zdaje się sama bez rytmiki przemawiać—to dzieje się to jedynie pod wpływem większej wrażliwości człowieka na tony melodii, niż na objawy ruchu. Piękny dźwięk głosu chwyta za serce; jemu też przeważnie ucha nadstawiać radzi jesteśmy. Pomimo to wszakże mowa jest muzyką rytmów, które rozliczną grą słów rządzą, od potężnej twórczości krasomówców, aż do zacisznej wymiany myśli i uczuć. Bo mowa, będąc przedewszystkiem objawem ruchu, już umysłowo wykształconego, poszukuje raczej jasnego miarowania i wypukłości, niż lirycznych brzmień, w którychby się jej określiłość gubiła.

W muzyce właściwej sztuka rytmowania od rodzaju instrumentów zależy. Najbardziej podatni są ku temu narzędzia, których brzmieniem rządzi siła mięśniowa człowieka. Znajdują się one w bezpośrednim poddaństwie wykonawcy, są bezwarunkowo jego woli posłuszne, a ztąd najlepiej wielmożność ruchów jego wyrażają. Do takich zaliczyć najprzód wypada fortepian, potem narzędzia smyczkowe, a w ogóle wszystkie te, których mechanizm i akustyczne przymioty wielką uległość wykonawczą przedstawiają. Z tego działu wyjąć należy organ, którego czynnik brzmieniorodny jest zupełnie woli grającego nieuległym, jako też bassetę i kontrabas, pełniące w koncercie, dla zbyt ociężałe drgających tonów, rolę głównego, podstawowego wymiaru. Krom tych, wszystkie inne, poruszane do brzmienia ręką człowieka, są właściwymi tłumaczami owej dzielności w muzyce, która w dawniejszym stylu *di bravura* wynikała z samego szkolnego przepisu, a dzisiaj ma znaczenie indywidualnej wolności kompozytora.

Uważ co najbardziej w nowoczesnej sztuce przemawia. Oto bogactwo życia, a wielmożność czynnego symbolizowania nieskończonych ruchów uczucia i wyobraźni. Owe przeciągłe tony, wymowne przestanki, elektryczne rzuty, zgoła ta nieprzebrana ruchu fantazyja, która dzisiejsze style odznacza, jest nieskończonej żywotności w sztuce objawem. Rozpoznajesz w muzyce najwyższe wcielenie poezji—dramatyczność. Ton staje się niejako pośrednikiem pomiędzy idealnym pięknem sztuki a psychologiczną prawdą żywota. Temi grupami tonów i stawianiami się na czas figurami, temi biegnącymi potokiem lub urwanymi nutkami, rządzi wolna indywidualna fantazyja, to jest artystyczna dzielność i poetycka siła sztukmistrza. Słyszysz głosami muzyki wypowiedzianą grę dramatu, jaki się w wyobraźni i w uczuciu mistrza

wyrabiać; masz przed sobą mowę, w której, również z pomocą własnej wyobraźni i własnego dramatycznego uczucia, czytać możesz niewyczerpaną treść z życia. Szukmistrz bowiem wkłada w symbole dźwięków ową przepaść rzeczy, którą dzisiejszy człowiek na dnie ducha swego zobaczył. Więc spostrzegasz, że tonami muzycznymi rządzi tu rytmika, stonująca kryterium treści. Słuchasz tej muzyki całym twym jestestwem, w poetycznym władz napięciu, i dopiero z tego ogólnopoetycznego stanowiska oceniasz piękność utworu. Teraz rozumiesz logikę tonowania, a w harmonii, dysonansach i koloraturze utworu, poznasz wieszczę głosy i poetyczne natchnienie szukmistrza. Ten staje się tu powłoką organiczności ruchu, a wśród kipiącego życia niknie miękka i bierna jego liryczność. Wykonywanie takiej muzyki wielce trudne przedstawia zadanie. Wykonawca zwalczać musi robotę techniczną, której mistrz nie tworzył dla łatwego i na samej wprawie polegającego popisu; więc musi opanować, przyswoić ją sobie; więc stanąć ma na wysokości tych samych sił duchowych, które tonami kompozycji rządziły. Muzyka Beethovena przedstawia wiele takich szkopułów technicznych. O nie się rozbija niejednokrotnie talent i artystycznych środków zasób. Zdaje się, że fantazyja mistrza nie ograniczała się względami na niemoc lub niedostatki materyalne w wykonywaniu jego wielkich ideałów. Ztąd też w doskonaleniu tego wykonawstwa nigdy miary i końca niema.

2^o Jak w dramatyzmie muzycznym rytmika, tak w czystym liryzmie ton panuje. To królestwo dźwięków, idealny kraj piękna czystego, w którego cudownych blaskach niknie roisko ruchu, rozplywa się rytmiczna treść żywota. To sfera poetów serca—lutnistów. W opisywaniu liryzmu przodują te instrumenta, któremi nie rządzi siła mięśniowa człowieka i których brzmienie wcale nie zależy lub tylko nader względnie od krewkości grającego. Więc najprzód głos ludzki, o ile po za granicę gry słów wychodzi, potem organ, fletowe narzędzia i w ogóle wszystkie te, gdzie bezpośrednim sprawcą brzmienia jest powietrze, a zatem siła, niezależna od drobnych drgań systemu nerwowego. Dźwięk tych instrumentów wyrabia się powolnie, miękko, nie tyle wedle woli indywidualnej, ile podług fizycznego prawa. Do tego chóru śpiewnego należą bezwątpienia skrzypce i wiolonczelle, lubo liryczność ich, a zwłaszcza skrzypiec, jest w śpiewnym użyciu bardziej dramatyczną, przenikającą, niż spokojną. Z głosu ludzkiego naśladowana, śpiewność ich warunkuje się doskonałym, niezmiernie wprawnym ręki prowadzeniem. Zważyć jeszcze wypada, że gdy siła i doniosłość tonu jest tkómaczem patetycznego uniesienia, to głos ludzki ulega z tej strony indywidualnej potędze śpiewaka i wielką nad innymi instrumentami ma przewagę. Żaden inny jak głos ludzki nie zdręga tak dynamicznie spotęgowaniem brzmieniem, żaden nie wyda tak przejmującego tonu boleści, ani tak żywego z głębi duszy krzyku. W orkiestrze naśladowają go w tej mierze instrumenta dęte miedziane. Atoli niezależnie od tego dramatycznego przymiotu, głos ludzki jest panem liryki i wzorem

w gronie lirycznych instrumentów. Jest on nie woli, lecz intuicyi człowieka posłusznym, ile że dramatyzm wokalny nie od ruchu, ale od lirycznej siły tonu zależy.

Tę o narzędziach wzmiankę uzupełnić należy uwagą, że sztuka nowoczesna niekoniecznie ściśle ich estetyczne przymioty w praktyce stosuje. Umiejętność Haydna i Mozarta rzadko się dziś przytrafia. Nic powszechniejszego jak gwałcenie organów muzycznych w imię estetycznej wolności. Uważ owo łamanie gardła do nic nie znaczących a ckliwych rozdźwięków, tyle ubliżających szlachetności i królewskiej powadze, jaką głos człowieka w rzeszy instrumentalnej mieć powinien. Uważ ów powszechny zwyczaj niepomiarowanego rządzenia siłami instrumentów, owo pomijając innemi szarpanie wiolonczeli i nadużywanie bardzo określonych w charakterze narzędzi dętych miedzianych, że pomnę całego chóru muzycznego nieestetyczny koncert. Taki gwałt, zadany pięknej naturze instrumentów, jest lekceważeniem sztuki, a sprawia niesmak w słuchacz, bo jest wynaturzeniem, sprzecznością. Ruchy muzyczne przedstawiają się jak sparaliżowane, uwigzione; liryzm nie przemawia do uczucia; dźwięk instrumentu pozostaje tém czém jest—bezwładną materją. Zakryć tę bezwładność przed słuchaczem, natchnąć duszą martwe narzędzie—jest zaiste sztuki instrumentalnej zadaniem, które się osiąga przez wszechstronne rozumienie i nieposzlakowane piękna poczucie.

W liryce muzycznej rytm jest sługą tonów. Służy on do uwydatnienia ich piękności; więc okazuje i na wierzch wydaje głosy melodyi, niby niepokalaną idealność uczuć. Wszystkie cechy i przymioty tonów jawią się tu w blasku samej cherubicznej atmosfery. Rytmika porządkuje te cechy, nasuwa głosy do akompaniamentu, stawia je we właściwem miejscu, w grze światłocieniów harmoniczych; ale jest im uległą i kryje się za niemi. Śpiewak łagodzi ruchy w swęj pieśni, czaruje, czynia je pewną niemocą, bo siła idealnego uczucia zażęgnęwa prądy jego własnych tęten cielesnych. Dlatego może rytmu swęj pieśni do pewnego stopnia zmieniać, miarkować, i byle główna osnowa i rozkład techniczny były zachowane, melodia będzie zawsze tego samego uczucia odbiciem.

Otóż w liryzmie fizyczną przyczyną ruchu jest niepochwycona szybkość drgania tonu. Ta nieujęta czynność muzyki sprawia w słuchacz drzenie wewnętrznych centrów nerwowych; ztąd też przejmuje czułość jego dreszczem, to płynnym i spokojnym, to namiętym i gwałtownym. Więc psychicznie odbywa się w nim pewien pociąg, łagodny lub namiętny, do tonów, do ich gry brzmieniorodnej. W lirycznym pieśniarstwie, sama artystyczna skłonność i nastrój duszy, prowadzą śpiewaka do sympatycznych tonów skali. Owóz ciągnie ku nim, zaczępiając najsilniej o te, które jego uczuciu wtórują. Ruch jest tu wyrazem pociągu pieśniarza do wybranych sobie tonów, jako do najwymowniejszych śpiewnego ideału symbolów. Od różnic i znamion tego pociągu zależą rozliczne stopnie liryki, zaczęwszy od cichęj i prostęj

pieśni, aż do kantaty. Wszak jedynie wśród tych chwil lirycznego nastroju, rodzi się pieśń na ustach dziewicy i na ustach matki, jako zbudzona miłość. Nic one nie wiedzą o ruchu życia, lecz słyszą w sobie miękkie szeptanie kochania i dla wyłonienia się szukają czarodziejstwa tonów. Toż i artysta, na którego spadły w danej chwili owe bogów dary, nic nie wie o ruchu, o siłach żywota. Wtenczas odbywają się w nim tajemne dreszcze zachwytów i utęsknień, życie bozostauu—i dlatego śpiewa najpiękniejszymi tonami, niby czystym tchem miłości. Samo tedy utajone drganie tonów już się przyczynia pośrednio do posuwania głosów melodyi, które przyjmują ruch i trwanie takie, na jakie stać gorącość sympatii i siłę drżącego uczucia w pieśniarzu. Ale dzielność rytmiczna niknie tu pośród czarownych fal tonowania. Dlatego wielką w liryzmie pełni rolę instrument, jako dźwięku muzycznego barwa. Ile jest brzmieniorodnej mocy w instrumencie, tyle w nim przymiotów lirycznych zaważy. Głos ludzki przed innymi idzie, że ton jego najbogaciej i najprawidłowiej harmonikalnymi odcieniami brzmienia uposażony. Najuboższe są pod tym względem fletowe narzędzia.

Liryzm jest najwyższem muzyki pięknem, bo jest mową duszy, wolnej od nacisku tęten cielesnych i wrażeń realnych; to co właśnie jest sztuki muzycznej najwznioślejszą cechą. Bez liryzmu muzyka byłaby samym ruchem, samem w dźwięczną fantazyą przybranem roiskiem natury, i lubo piękna życiem, nie miałaby czoła ku niebu wzniesionego. Upowszechniona w sztuce zimna, rozsądkowa pomysłowość, mająca natchnienie zastąpić, jest świadectwem psychicznego niedostatk, wyschnięcia źródeł, z których ideał powstaje muzyczny. Tę nagość swoją sztuka wówczas osłania wielkością, wystawnością, zgoła podziwu godnym wyzyskiwaniem technicznej strony piękna. Lecz baczmy, że jeśli wśród tworzenia swego,—sztukmistrz nie napił się z czystego źródła idealności, nie doznał miłosnych upałów i nie przykląkł przed najpiękniejszym obliczem sztuki, wówczas wielkość jego pycha, a utwór niezgłębioną próżnią podziwi. Tém najpiękniejszym obliczem, czarującym osobistą dzielność sztukmistrza, jest idealność tonów—liryzm muzyczny. W sztuce religijnej przedstawia to oblicze sam człowiek, śpiewający głosem najzacniejszych uczuć swoich; w sztuce scenicznej również je przedstawia człowiek, wypowiadający lirycznie treść swoją.

Piękność tonu, melodyi, harmonii i rytmu, składa się na formy sztuki muzycznej. Melodye i harmonie, wychodząc ze zmysłu, wyrażają się przez czułość wrażeń i przez artystyczną zdolność człowieka. Są tedy samem pięknem, samą ambrozyą, czemś inszém, niż wszelka realność, czemś nieodgadnionem, czyniającem umysł i cudownie działającym na delikatne serca wstrząśnienia. Rodzące się z promienia słonecznego gry kolorów, są tém samem dla oka. Nauka zebrała pierwiastki i własności barw, ale się zatrzymała tam, gdzie się ich malownicze harmonie poczynają. Bo harmonie barw, równie jak harmonie tonów, poczynają się w estetycznym wnętrzu człowieka; tam się

układają w nieprzebrane wzory, wedle wyższego od natury prawa, a nie mają innego początku, jeno nieskończoną twórczość ducha. Oto istotne znamię sztuki pięknej. W obec tych całkiem idealnych znamion, rytmika w muzyce jest niejako żywiołem realnym, bo jest odbiciem ruchu rzeczywistego. Przez rytmikę sztuka muzyczna wchodzi w przemożną, zjawiskową treść żywota. Ale harmonie tonów uszlachetniają tę realność, opromieniają czynność i ruch swą idealną pięknnością. Przez nieskończone form wytwarzanie i przez fantazyą tonów, muzyka, pomimo że o żywe ideały wyobraźni zaczepia, zostaje zawsze w swojej istocie samém *pięknem*. Jak formy jęj wyrobiły się przez osobliwą, muzyczną pojętność człowieka, jak symbolikę jęj tylko osobliwa, muzyczna wyobraźnia obejmować jest zdolną—tak treść jęj jest osobnym ideałów światem, który poezyą muzyczną nazwać wypada.

SYN MARNOTRAWNY.

OPOWIADANIE Z KOŃCA XVIII-go WIEKU *).

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

TOM I.

VIII.

Tacy ludzie, jak pan starosta Daliborski, sami na wszystko co na ich barkach spoczywa, nie starczą; muszą mieć pomocników i sprzymierzeńców. Daliborskiemu téż na nich nie zbywało, nie licząc domowych i podrzędnych, jak Małdrzykowski, Pusterski i pomniejsi, codzienno pełno u niego było przynoszących i odbierających zlecenia. Nikt jednak tak blisko nie był serca, kieszeni i interesów, jak szwagier, którego z nicości wywiódłszy, ożenił z jakąś siostrą, wyposażył i posługiwał się nim jak niewolnikiem.

Zwał się ów jegomość Paliszewskim, był niepozornym, zarazem niegłupim, ale natura go stworzyła na istotę bierną. Przyprzężony

*) Dalszy ciąg — patrz zeszyt za maj r. b.

do wózka cudzego z drugim obok szedł wyśmienicie, ale do hołobli się nie zdał. Nie brakło mu inteligencji ani sprytu, nie miał w sobie tój sprężyny motora, który się woła nazywa, a przez który życie idzie. Zostawiony sam sobie Paliszewski musiał do spółki wziąć bodaj największego głupca, byle ktoś go popędzał i nim kierował. Los nadał jemu Daliborskiego, a Daliborskiemu to wyśmienite narzędzie. Człowiek był nieoceniony, ale pod rozkazami zawsze, sam na nic. Znano go pod imieniem *anima damnata* pana starosty. Dla niego Paliszewski gotów był w ogień i w wodę, nie mieli dla siebie tajemnic. Starosta wiedział doskonale, że ta biedna istota zdradzić go nie może, bo by w nim zdradził siebie.

Ożenienie tego biedaka z siostrą było środkiem przywiązania tóm silniejszego do swych losów. Siostra ta, stara panna, brzydka, swarliwa, dostała posażek i administrowała u brata w Daliborzu, mąż się z nią rzadko widywał, ale za nią nie tęsknił. Mieli jedną córeczkę i dla tój żył Paliszewski. Był to człek krągły, zażywny, którego myślenie nie wysuszało, troska nie jadła, widać na nim było wyśmienitą strawność i byt doskonały. Jadł sławnie, pił wiernie, słucał i spełniał cudownie.

Gdy wieczorem późnym wyszedł starosta od wojewodziny, tak był zamysłony, że noga za nogą się wlokąc, nim do mieszkania swego się dobił, na zegarach biła jedenasta. W pokoju swoim na kanapce znalazł szwagra, podpartego na łokciu i usypiającego snem dusz niewinnych, które nic nie mają na sumieniu. Paliszewski chrapał..

Wniście starosty rozbudziło go cudownie, ręką tylko potarł po twarzy i stał już uśmiechając się na rozkazy.

— Spóźniłem się cokolwiek—odezwał się wchodząc starosta—przepraszam cię, mój kochany Julku, ale to z tými babami.

Paliszewski się uśmiechnął, nie miał on tój pasyi i wołał sztukamię z kwiatkiem od najpiękniejszój bogini, lecz wchodził w te pasye ludzkie i miał komizeracyą nad niemi.

Starosta zaczął rozwiązywać ogromny ów chomąt muślinowy, którym szyję miał opasaną: ciężył mu.

Paliszewski nawet pytać się nie śmiał, o jakim rodzaju bab była mowa, czekał na konfidencyą. Wtém Daliborski zbliżył mu się do ucha poufnie i z wyrazem rozmarzenia jakiegoś począł:

— Wiesz? wracam od wojewodziny.... Była tu! Mówiłem ci o niój. Stare to moje amory! Kochałem się w niój niegdyś szalenie i miałem łaski; kochało się i drugich wiele, choć nie wiem, czy z takim sukcesem. Byłem tak oszalał za nią, że gotowym się był ożenić, choć niewielebym po niój wziął. Więcej długów niż majątku... Lepiej się stało! Wojewoda ją wziął, stary, niedługowieczny, a gdy owdowieje a odziedziczy, będzie to partya pierwsza w kraju. Ręczę ci! nikt jój nie weźmie tylko ja!

Uderzył się po piersi.

— Czemu byś nie miał wziąć!—szepnął Paliszewski.

— Tylko, trzeba się od tego bestyi, dawnego, zapalonego jój amanta, a dziś nieprzyjaciela głównego uwolnić.

— A wiem! wiem!—zamruczał Paliszewski—toć za nim chodzę, niewymawiając, razem z tym bałwanem Pusterskim.

— Ale co! bałwanem! a zaraz bałwanem—podchwycił Daliborski.—Jak ja tego nie lubię! to jest sąd płytki. Inne są daleko funkcyje Pusterskiego, małe na oko, niemniej potrzebne. Tacy ludzie, jak ten bałwan, bywają najużyteczniejsi.

Zmieszał się mocno Paliszewski, spuścił oczy i palcami coś po stole zaczął przebierać. Nie był kontent z admonicji.

— Przepraszam cię, Julku! ale ja z tobą ceremonii nie robię, mówię co myślę, bo cię kocham—ciągnął starosta rozbierając się powoli.—Nie gniewaj się.

— Ale, cóż znowu!—rozmiał się Paliszewski—który gniewu ani mógł przypuścić.

— Powiedz-że mi, ty, co ludzi tak dobrze penetrujesz! co on myśli? co robi? Widzisz! Pusterski może mi powiedzieć, tam był, tam się upił, taką burdę zrobił, ale ty! ty idziesz do gruntu! ty wytlómaczysz mi człowieka: ja go tak, jak nie znam.

Ułagodzony tém przemówieniem, Paliszewski rozmiał się dyskretnie dla siebie, tak że uśmiech jego prawie na wierzch nie wyszedł. Usiadł na kanapce, otarł twarz nieco wilgotną po śnie ciężkim i począł głosem stłumionym, ale wyraźnym, głosem tych ludzi, co nie czują prawa podnosić go wysoko, a potrzebują, by ich słyszano. Mówił jak machina, równo, gładko, bez zająkań i namysłania, jak gdyby miał to wszystko dawno przygotowane w kieszeni i potrzebował wysypać tylko.

— Widzisz, kochany bracie! ja ci powiem. Na oko to człowiek bardzo zwyczajny, szafapat, szafawiła, urwis, nic więcej; a ot nieprawda! Ja go nie rozumiem. My z nim dobrze, ja często, gęsto zagadam do niego i pobaraszkuje z sobą. Ja go znam, a dobrze nie rozumiem. To człek, jakby to powiedzieć, skomplikowany! Tak! to człowiek skomplikowany!

Daliborski, z pewnym sympatycznym politowaniem, patrzył na szwagra i uśmiechał się. Paliszewski mówił dalej:

— Tak, to jest człek skomplikowany! Niemożna powiedzieć, edukacją odebrał piękną, dużo umie i wie, jak chce, to mówi dobrze i rozsądnie. Al! no we łbie, coś jest! teraz, od czasu wyzdrowienia, rozkochany jak kot. Myślałem zrazu, że w tój Strańskiej.

— Ale, co znowu!—przerwał starosta—to stary kustosz...

— A no! niczego jeszcze! i on ją jednakowo ściska, choć nie o nią chodzi. Nie o nią! ja już doszedłem!

— Byłem tego pewnym!—zawołał starosta.

— Zaczaił się na siostrzenicę Melliniego, śliczne dziewczę! jak pączek!... Przez Strańską intryguje, ta ją do siebie sprowadza i piwa nawarzą!

— O! ona do tego! samo prawie!—rzekł Daliborski—to jój fach, do tego ona zrodzona!

I śmiać się począł.

— A juści się z nią ożeni!

— Ani mu to w głowie—rzekł Paliszewski—ale ją weźmie, to pewna! Już kiedy dziewczyna tam chodzi dobrowolnie na romanse o zmroku, to nie bez kozery.

— Doktor nic nie wie?— spytał mecenas.

— Ani odrobineczki...

— Hm! a cóż dalej?

— No, nie!—mówił Paliszewski.—Ale temu szatawile godzinka wieczornego romansu, żeby jak słodka była, mało! Co robić z dniem? Wyjdzie z rana, myślisz, gdzie do porządnej winiarni, albo na kawę, albo do garkuchni, gdzie się uczciwi ludzie zbierają? Nigdy! Łazi po najbrudniejszych szynkach, z furmanami i czarną gawiedzią, w karty gra, albo pójdzie, gdzie proste dziewczki bieliznę myją, siądzie na kłodzie i baraszkuje z niemi. Spotykam go pozawczoraj, myślisz jak? na drewni, na kłocu z furmanem w družbarta tnie. Jak mnie zobaczył, począł się śmiać, rzucił tyńfa i przyszedł do mnie. Ja go pytam: cóż się stało? A on na to: (a jesteśmy z sobą *per ty*).—Cóż ty myślisz? że wasze towarzystwo porządnych ludzi zabawniejsze od tego? A niech was pioruny!... Nudy i głupota. Tu przynajmniej natura gruba, cała, bez pozoty i bujna. Kiedy się łają to od psów, kiedy biją, to pięściami w mordę, a kiedy kochają, to choć na środku rynku. Otóż to mi robi dystrakcyą, że ja sobie porównywał nasze wymoczone elegantki i wymokłych śledzi do furmanów i praczek. Skorupa jużciż inna, człowiek takuteńki, ten sam, tylko nie maluje się i nie gra komedy. A myślisz, że nie potrafią sprytnie łągać? że kobiety z bosomemi piętami nie są zalotne po swojemu?

Mnie to bawi!

Ot co robi—dodał Paliszewski—teraz go nie znajdziesz przez cały dzień, tylko po takich dziurach, po szynkach i w takim pięknym towarzystwie.

Daliborski się zamyślił.

— Z desperacyi filozofem został—rzekł cicho.

Po namyśle wstał starosta i przybliżył się do szwagra.

— Wiesz o moich projektach—rzekł.—Dla wojewodziniej nic niemam do odmówienia, bo służąc jój służę własnej sprawie. Wojewoda ma pod siedmdziesiąt lat, otyły, lada apopleksya pójdzie na piwo do Abrahama, a po roku i niedzielach sześciu ja się z nią ożenię; trzeba więc, nie tracąc czasu, przygotować wszystko... Ją od tego przesładowcy uwolnić, między nim a ojcem położyć nieprzebytą zaporę. Ojciec, jeszcze słyszę, ma słabość do niego.

Ty mi jesteś potrzebnym do tego.

— Ja? ja?—spytał Paliszewski—a to jak?

— Sprowadź go na wieczrę kawalerską, do siebie, ja tam przyjdę; wszystko się zrobi.

Zadumał się Daliborski.

— Co do siostrzenicy doktora, możnaby mu dać znać o tém co się knuje i szyki pomieszać, ale! kto wie? może tak lepiej. Niech panę porwie, niech nowym wybrykiem się dobije; szeroko się mówić będzie o téj sprawie. Jeżeli się ożeni, to ojca obrazi, bo dumny a to mieszczańka prosta; jeżeli porwie tylko, zrobimy z tego gwałt i sprawę kryminalną. Więc, na téj drodze, dać mu pokój! mnie co innego potrzeba... Sprowadź nas tylko razem!...

Daliborski jakby pod brzemieniem jakichś myśli, westchnął smutnie parę razy. Siadł rozebrany przy stoliku, u którego z drugiej strony oparty był Paliszewski, i począł z niezwykłym sobie, jakimś smętnym wyrazem:

— Ciężkie życie na tym świecie, mój Julku!

— Tobie?—roześmiał się szwagier.

— Al choćby i mnie!—odparł starosta.—Na oko, nieprawdaż?—szczęśliwym się wydaje! A! bodajes tak zdrów był. Ot, i z tą wojewodziną! Kochałem się w niej, rachuję na nią, służę jęj, a czasem jak pomyślę, ciarki po mnie chodzą! Piękna kobięta, ale straszna! W oczach ma coś, co trwoży, jakiś fałszywy blask, jakieś szataństwo. Wojewodzie się w niej kochał, i, kat go wie, co między niemi było, a poszła za ojca i teraz ściga go tak, że... że...

Niedokończył mecenas.

— Kochałem się ja. Byliśmy z sobą tak blisko i dobrze, że nie można lepiej. A kochał się szalenie generał, a włożył się do niej książkę, którego raz u niej o zmroku zastałem, gdy matki nie było. Wyprysnęła mi się, że ją naszedł, że go nienawidzi. Kat ją wie, co w niej siedzi.

Ale po wojewodzie weźmie milionową fortunę... a ja, mając w ręku ją, dorobię się dziesięć razy większej. Ręczę za to.

— Mój bracie—odezwał się Paliszewski—a pewnyż ty jesteś, że ona pójdzie za ciebie?

— Musi!—roześmiał się Daliborski.—Wiem jęj wszystkie tajemnice, mam ją w ręku; jeśli się uda wojewodzica z ojcem na wieki rozbratać, jeszcze większą nad nią siłę pozyskam.

No—dodał mecenas, gładząc się po głowie—a przecież i z twarzy się podobać mogę, a to stare kochanie!

Rozmawiali dłużej, gdy Paliszewski spytał, jak on w swoich izdebkach ma przyjmować takiego panicza.

— Z nim ceremonii przecie nięma, kiedy z furmanami gra w drużbarta przy kieliszku wódki—odparł mecenas.

— A powtóre—dodał Paliszewski—że on wieczory trawi zawsze u Strańskięj z tą panną...

— Juźci z nią do późna nie siedzi—rzekł zniecierpliwiony Daliborski—urządź się jak chcesz, a trzeba mnie z nim konieczniesz sprowadzić i winę tęgiego przysposobić.

We dwa czy trzy dni później, rano zadyszany Paliszewski przyszedł na ucho szepnąć mecenasowi, że wojewodzica zastał w szynku, wedle jego zwyczaju, zabawiającego się podbudzaniem dwu pijanych chłopów do bójki, i że udało mu się go na wieczór koło dziewiątej do siebie zaprosić.

Mieszkanie miał Paliszewski w tym samym domu co szwagier, tylko o jedno piętro wyżej i bardzo skromne. Przedpokój, sypialnię i dużą izbę, w której pisał, jadł i klientów przyjmował. Elegancy tam nie było. Na ten dzień jednak trochę pacholik od starosty przymiótł pokój i stolki poustawiał. Dla kompanii prosił Paliszewski dwu komparsów, którzy w różnych wypadkach jemu i staroście służyli.

Byli to, w całym znaczeniu wyrazu, na żoździe mecenasu, ludzie — do wszystkiego.

Szlachta podlaska, oba niby posesyonaci, odziewani byli sumptem Daliborskiego, jedli za jego grosze, upijali się jego winem i stawali pod rozkazy. Miał z nich świadków, oponentów, gardłaczy, wabiarzy, — co chciał. Zwali się Czurmiński i Bankiewicz. Mieli oba tytułiki: jeden Cześnikiewicza, drugi Komornika.

Przychodzili, jak im kazano, w danej godzinie i recytowali swe role — doskonale.

Trzeba np. było się kim poświadczyć Daliborskiemu, kazał przyjść Komornikowi, zupełnie niezależną grającemu rolę; odwracał się ku niemu.

— Ale, prawda! komorniku, — toż ty ich znasz!

— Ja! jak moje pięć palców...

— Powiedz, że — i t. d.

W innym razie, gdy trzeba było nastraszyć, Cześnikiewicz wpadał z plotką jakąś zręcznie ułożoną, i, zawsze niby wypadkiem, zalewał nią oczy jak ukropem klientowi.

Niekiedy oni dwaj, z przybranymi innymi komparsami, którym pożyczano *ad hoc* pasy i buty (z warunkiem natychmiastowej restytucji), wchodzili grać rolę tłumu na pokojach starosty.

W sądach były z nich użytki różne, na sejmikach służyli za prowodyrów, jak stare barany rogate, co trzodę wiodą za sobą.

Komornik i Cześnikiewicz zjawiali się zawsze zawczasu: Komornik prawił dykteryjki, których miał moc niezliczoną w zapasie, Cześnikiewicz był mocny w kuchenną łącinę; oba mieli postawy poważne, przyzwoite i kostiumy co się zowie porządne.

Wieczorem, gdy na wojewodzica oczekiwał Paliszewski, Komornik i Cześnikiewicz już mu zawczasu kompanii dotrzymywali. Na stole dwie talie kart położono i butelczyna już pomagała do zabicia czasu. Oba statyści pili z partesów.

Wicek obiecał się po ósmej, ale nie przybył aż o dziewiątej, w humorze nie dobrym. Zamaszysto do izby wpadł, czapki nie zdejmując, aż w pośrodku jęj. Paliszewski był już gotów na przyjęcie.

Gość pierwsze lepsze krzesło chwycił, objął je, jakby na konia siadał, nie pytając, za butelkę pochwycił i chciał sobie nalewać, gdy Paliszewski syknął. W butelce była deszczówka dla pospolitych gości, podał natychmiast wytrawnego.

Za jednym zamachem parę lampek wypił wojewodzie i dopiero wąsy otarł.

— Nie złe—rzekł—ma swój odrębny brzoskwiniowaty smaczek, warto mu dać buzi.

Nalał Paliszewski trzecią, a Komornik i Cześnikiewicz zaraz się starali wmieszać do rozmowy, bo utrzymanie jój należało do ich obowiązków.

Ale o włos w początku nie rozbił się humor i zabawa o fatalny szkopuł: zaczęto go mianować wojewodzie.

— Ale kto u miliona kroćset asindziejom powiedział, że ja wojewodzie? Jako żywo! choć nim mogłem być, nie jestem, nie chcę być, i mianować mnie tak nie pozwalam.

— A jakże?—spytał Paliszewski.

— Jak sobie chcesz, najlepiej Wincenty. Do szui teraz należę, więc Szujkiewicz.

I śmiać się zaczął.

— Czemuż nie Szujski?—zapytał Komornik.

— Bo to kniazowska i dostojna rodzina, do której się ja przypytywać nie mam prawa. Tymczasem zaś, na tém dosyć.

Baraszkować poczęto. Opowiadał Komornik zabawną sprawę z przeszłej reasumpcy trybunału między wdową Mandzińską a kawalerem Panderskim, o najazd na jój folwark i gwałt, gdzie w inwentarzu rzeczy przez Panderskiego zabranych, figurowały poduszki, przez niego wprzód przywiezione wdowie, gdy się z nią miał żenić. Rozmaite procesy wywody i głosy, dupliki, repliki, obrony pocieszne powtarzał Komornik, imitując głosy patronów tak doskonale (miał do tego talent osobliwy), iż się za boki trzymać było potrzeba.

Oprócz tego, Komornik gdy sobie podochocił, zabawiał towarzystwo nadzwyczaj piękném udawaniem szczekania i warczenia dwu gryzących się psów, piał jak kogut, miauczał jak kot, ptastwa głosy naśladował nieporównanie; jednakże do tego jeszcze na razie nie przyszło, bo to był zwykle deser ku końcowi.

Wojewodzie śmiał się z opowiadań, lecz, wedle swego obyczaju, potrzebował drwić z kogoś, począł więc potrosze jeździć po Komorniku i Cześnikiewicz, gdy drzwi się ze stukotem otworzyły, i z fajką na długim cybuchu, rozpięty, jak gdyby się tu nikogo spotkać nie spodziewał, wszedł Daliborski. Staął najprzód zmieszany niby.

— A! przepraszam! Spodziewałem się szwagra samym zastać! Stokrotnie przepraszam.

Popatrzał na wojewodzie, którego widywał dawniej z daleka i z wielką uprzejmością witać go i przypominać mu się zaczął. Wojewodzie przyjął go z razu kwaśno.

Niezważając na to, przysiadł się Daliborski do niego. Rozmowa zaraz znowu na żartobliwe wpadła materye. Daliborski gdy chciał, był zabawny i dowcipny, bo w ogóle robił z siebie co mu było potrzeba.

Nie łatwo rozchmurzył wojewodzica, lecz w końcu Wicus się zwolna począł uśmiechać. Starosta karty niby bez myśli wziął do ręki, pstryknął parę razy, bawił się niemi.

Na widok ich twarz się wojewodzicowi rozjaśniła.

W kilka minut później Daliborski już zakładał mały banczek, a wojewodzie poniterował. Z oględnością i chciwością biędnych ludzi, tyńfami stawili Komornik i Cześnikiewicz, usiłując się pożywić.

Paliszewski pilnował lampek i dolewał z największą troskliwością, aby szkło nie wysychało.

Wszyscy się rozochocili. Wicek strzelał słowami grubemi jak z pistoletu. Daliborski śmiał się i dopomagał.

Upłynęła tak godzina może, gdy gospodarz na stronę nieco począł pod jakimś pozorem odciągać komparsów. Starosta ciągle grał z wojewodzicem.

— Chociaż przypadek nas zbliżył do siebie, Wicku, zupełnie niespodziewanie—rzekł pocichu—jam mu wielce wdzięczen, bom dawno waćpana dobrodzieja szukał.

— Mnie? a toż do czego? na co ja panu się mogłem zdać!?

— Może ja wam—odparł tajemniczo mecenas.

Wicek się rozśmiał.

— Mnie bo w ogóle oprócz szklanki wina, ładnej twarzyczki i kart, mało się co przydało. Nie mam żadnych interesów, żadnych sperand, i—zgoła nic do czynienia z prawem i ludźmi!

— Ale ja historią pańską doskonale znam — odezwał się Daliborski — położenie téż. Jednak utrzymuję, że zdaćbym się na coś mógł.

— Naprzykład?—spytał Wicek—tylko, mój mecenasie, nie bierz mnie za dudka i nie myśl abym się ja dał na niego wystrychnąć.

— Oto, powiem *ex intimo corde*, mnie was żal.

— Zmiłuj się, nie żałuj! ja tego nie lubię.

— Położenie przykre...

— Z téj beczki nie pij do mnie, bo kartami cisnę i pójdę!—zawołał wojewodzie—jakom żyw!

Nic nie zmieszany Daliborski ciągnął dalej.

— Znam tę przewrotną kobietę która waszego nieszczęścia jest przyczyną.

Wojewodzie spojrział tylko nań.

— Kobięta przewrotna, łotr baba, to prawda—rzekł—ale nie ona przyczyną nieszczęścia mego tylko ja sam. Zadurzyłem się w pięknej buzi, zaufałem żmii, którą zgnieść było trzeba...

Na to już niema ratunku.

— Przynajmniej na to skandaliczne wydziedziczenie was, którego ona jest sprawczynią, byłby ratunek—dodał adwokat.

— Zadnego niema, bo ja się sam wydziedziczyłem. Ojciec mi przestał być ojcem, nie chcę od niego nic.

— Bardzo dobrze, ale waćpan masz schedę po matce.

— I tej nie chcę—odparł dumnie wojewodzie zmarszczony, okazując że radby co rychléj skończyć rozmowę.

— Nie wydasz mnie pan z sekretu?—rzekł cicho, pochyliwszy się Daliborski.

— Jeżeli się tego lękasz, to mi go nie mów. Po kiego licha, ja o to nie proszę.

Ciężko szło, starosta jednak nie dawał się odegnąć.

— O to po prostu panu powiem, iż wiem, z najlepszego źródła, że pan wojewoda życzyłby sobie, abyś się upomniał o schedę matki. Boi się żony—i, choćby ją chciał wam oddać—niemoże, kobiéta jest chciwa.

Wojewodzie się uśmiechnął.

— Gdyby wiedziała, że krew starego w złoto się przemieni, wytoczyłaby mu ją do kropki.

— Tymczasem—kończył Daliborski—wojewoda was kocha, radby wam dać to co należy, a niema pretekstu... Trzeba zażądać.

Wojewodzie rzucił na stół karty i wstał prostując się.

— To być może—odparł—bo znam serce ojca; słaby jest, ale dobry: kochał mnie, kocha jeszcze może...

Głos mu drżał.

— Ale właśnie dla tego że on mnie kocha, że ja go kocham, że wiem iż ta Harpia-by mu pokoju nie dała i zagryzła go, gdyby, uchowaj Boże, majątku uszczerbić dał—nie chcę... nie chcę!

— Ale jakże tak pan zostaniesz!—zapytał niby z wielką czułością, Daliborski—żyć powietrzem nie można.

Wojewodzie minę zrobił pogardliwą.

— Nie frasujcie się o mnie, rzekł—nie wiele ja dziś dbam o przyszłość, mam jeszcze przyjaciół. Dopóki wojewoda żyje, ja kroku nie zrobię; a później, później, zobaczymy.

Waćpan prawnik przecie jesteś — dodał — powinieś to wiedzieć, że prawa moje do macierzystej schedy alienowane być nie mogą... Zatem kiedyś się to znajdzie, i—jechał je sęk!

Rzucił kartami o stół.

— Pijmy lepij, a o plugawych rzeczach nie gadajmy; zbiera mi się na wymioty: daj pokój!

— Tylko słowo—odparł Daliborski—jedno słowo. Prawdą jest co pan mówisz, praw tych utracić nie możesz, przedawnienia na nie niema; ale tymczasem się dobra sprzeda, pieniądze jójmość zabierze... i... kwita!

— Niech będzie kwita! Staremu ja ostatnich dni nie zatruję—odparł z goryczą wojewodzie. Żal mi go! Co to jest być przykutym do takiego stworzenia co z ciebie krew wysysa, a żółcią cię poi, które-

go imie fałsz i zdrada, kłamstwo i chytróść; stworzenia co w uśmiechu ma jad i jest wcieloną szatanicą!

Mówiąc to zaczerwieniał się strasznie wojewodzie, wypił wino, szklanką stuknął tak że ją rozbił i siadł na krześle, podparłszy się na rękę.

Rozmowa dalsza w tym przedmiocie, stawała się niepodobną... Daliborski wyciągnął dłoń i z milczącym współczuciem, doskonale odegranym, ścisnął rękę zimną milczącego wojewodzica.

— Gdybym waćpanu dobrze mógł kiedy w czém służyć—mruknął—proszę mną dysponować.

— Lichegobyś miał ze mnie klienta,—rozśmiał się wojewodzie—biędę klepię sam i do niej nikogo zaprzęgać nie myślę.

— He!—rozśmiał się mecenas—czy pewno?

Popatrzeni sobie w oczy.

— Cóżes to słyszał?—spytał wojewodzie—że się do Strańskiej umizgam?

— Byłbym głupi, gdybym temu wierzył; bo Strańska na zabawkę jednego wieczora pół biędy, ale na dłuższy termin?!

Wojewodzie się rozśmiał.

— Jest tam przecie dworek niedaleko, a w nim śliczności dzieweczka, hm! hm!

— Mecenas wiesz wszystko—odparł nieco zmieszany Wicek—jednak nie kładź palca między drzwi, proszę!

— Wcale przeszkadzać nie myślę, a pomocy w tém pan nie potrzebujesz: życzę tylko szczęścia.

Wojewodzie spojrział chmurno.

— Ze też to ludzie wszystko wiedzieć muszą.

— Albo się wszystkiego domyślą—rzekł Daliborski.—Przyznasz pan, że Strańska teraz nikogo nie zbałamuci. Gdy ją miecznik brał na swoim folwarku u ekonoma, była śliczności dziewczyna, a no! dziś, na dewotkę jeszcze ujdzie, a na tak popsuty smak jak pański! ho! ho!

— Smak podobno oba na jedném kwaśném jabłku popsuliśmy!—zawołał wojewodzie—waćpan też pokryjomu do tego szatana cholewki smaliłeś!

Daliborski się zmieszał trochę, ale na krótko; głową trząsnął:

— Durzyło się tam wielu—rzekł krótko.

— Ja się nie dziwię, bom pierwszy i najgorzej oszalał, za co do dziś dnia pokutuję. Ale—dodał zuchowato—nicma tego złego, coby na dobre nie wyszło; teraz żadnej kobiecie nie wierzę i gdyby się wełzy roztopiła, nie żal mi żadnej. Imię ich wszystkich: fałsz i zdrada!

Gramy!—zawołał chwytając karty.

Starosta rad nie rad, wziął ze stołu karty także, poczęli grać i mówić o czém inném.

Podano wkrótce wieszercę, przy której pustoty było wiele, a wojewodzie, jakby chciał sobie zapłacić za przykrą rozmowę, zjadliwie począł wszystkich przedrwiwać. Daliborski, któremu się też parę

razy dostało na odlew, wyniósł się gniewny. Komornik i Cześnikiewicz prychali, nie śmiejąc się zbyt oburzać, bo ich wejrzenia Paliszewskiego wstrzymywały. Po północy już tego napity, śpiewając na całe gardło, wojewodzie Komornika gwałtem za socyusza wzięwszy, spuścił się ze wschodów. Komornik nie był też trzeźwy. Towarzysz przez całą drogę mu kułaki dawał i ostrzegał go za każdą razą, że się zbyt do ścian zbliża i tłucze.

Jeszcze w ulicy słychać było śpiewanie gościa, gdy Paliszewski spuścił się do szwagra.

Znalazł go złym i kwaśnym.

— A co?—zapytał Paliszewski.

— Nic!—rzekł Daliborski—Kraków nie odrazu zbudowany. Początek zły, ja się tém nie zrażam. Nie wypiera się bardzo siostrzenicy doktora: tu go ja wezmę. Bez grosza i zapasu jój nie porwie, bo z czémże będzie uciekał? Na to pieniędzy trzeba. Fajwłowi i innym musimy zapowiedzieć, żeby mu złamanego szeląga nie pozyczali.

— Napisze do księcia generała, przyśle—rzekł Paliszewski.

Starosta się rozśmiał.

— Tęgiś!—rzekł.—Książę przyparty do kąta, w żywe oczy, juści da ostatniego dukata, a na listy ani grosza. Sam potrzebuje i niema. Matka się z królem poróżniła, król nie da. Lipski i Mierzejewski wszystkie źródła kredytu wyczerpali, Kodeńszczyzna zadłużona, a tu sejm, na który ogromnych sum potrzeba! Tęgiś!

— Więc—dodał po małym przestanku Daliborski—niech się kawaler rozkocha, rozplómieni; panny nie dostanie, gdy pieniądze mieć nie będzie. Wówczas i ojca sprzeda i zrobi co mu każą.

— Młody jest, panna piękna, a miłość sumieniu milczeć każe. Chybaby miał pieniądze!—westchnął starosta.

— Dużo ich niema, a traci wiele—rzekł Paliszewski.

— Więc, cierpliwość! Żeby mu się tylko z panną udawało, o czém nie wątpię. Kawaler ładny, panicz, wisus; taka kuropatewka co siedziała w krzaczku, niepodobna, aby sobie nim głowy nie zawróciła.

Paliszewski, słuchając z admiracją wywodów szwagra, wyrażał całą postawą głęboką cześć, jaką czuł dla jego geniuszu.

Wstał pan starosta.

— Idź spać, a z oka go nie spuszczać: postawimy na swoim.

IX.

Pan wojewoda był potomkiem starego, dobrego, szlacheckiego domu, który, gdy tego zaszała potrzeba, wywiódł się od jakiegoś króla Gotów, brzmieniem swojego nazwiska; ale, w historii kraju, dom ten nigdy znacznego i wybitnego nie uzyskał stanowiska. Gocka ta krew w żyłach przodków wojewody płynęła jakoś spokojnie i do wielkich

czynów a śmiałych wystąpień nie zagrzewała. Ludzie byli zacni, możni, na majątku rośli, na znaczeniu w województwie zyskiwali, zresztą żyli dla siebie więcej i na ustroniu.

Odnaczała ich ta dobroduszość, która była przyczyną zguby ostatniego pana wojewody. Mając syna i córkę dorosłych z pierwszego małżeństwa, w późnym wieku ocieżyła, z nogami, w których już pedogra (naówczas jęj aparycyi sobie winszowano, jako znaku długiego życia) założyła mieszkanie, dał się młodzieuchnej wziąć panience i wystrychnąć na męczennika. Widzieliśmy już potrosze czém panienka była, ta może byłaby sobie innemi drogami szukała szczęścia z piękną twarzyczką a małym mieniem, gdyby nie matka, kobiéta w przewrotności i zepsuciu ją przewyższająca.

Była to saskich owych dobrych czasów wychowanica, w których się Augusta II tradycye żywe jeszcze utrzymywały. Matka Denhoffowej, pani Bielińska była dla innych wzorem. Za jęj przykładem szła ta pani i sama rozpoczęła konkury około bogatego, niedołęznego wojewody, obrachowawszy dobre piękność córki, jego słabość, licząc i na to, że nie mógł być długowiecznym. Wojewodzie ożenienie z młodzieuchną, sławną z piękności i żywego temperamentu Dosią, ani się śniło, gdy mu matka sama stręczyć ją i w najrozmaitszy sposób zbliżać go do nięj zaczęła.

Wiedziała dobrze o zalotności Dosi, o mnogich jęj konkurentach, o szalonej miłości wojewodzica, którego raz sama, zastawszy w córki pokoju, odprawiła z domu. Wszystko to nie powstrzymało jęj, owszem może przyspieszyło swatanie gwałtowne wojewodzie.

Pomiędzy matką a córką na cztery oczy nie mało się scen odegrało gwałtownych, w końcu Dosią, gdy się świat tego najmniej spodziewał, jednego poranku, pocichu u Ś. Krzyża zaślubioną została wojewodzie.

Starzec dał się opanować, ująć, związać; taił się przed własnym synem dostrzegłszy, iż był małżeństwu przeciwnym; ukrywał przed córką. Fakt spełniony Warszawa przyjęła zdumieniem, niedowiarstwem, niektórzy oburzeniem, bo o stosunkach panny z wojewodzieciem wiedziano, reszta śmiechem.

Co się tam później w pałacu wojewody działo, który, kochając syna, koniecznie go chciał mieć przy sobie, gdy młoda macocha pozbyć się go usiłowała; o tém mówiono wiele, różnie, nikt szczegółów nie wiedział.

Złośliwi utrzymywali, że tragiczne sceny poprzedziły wygnanie syna marnotrawnego, że raz podana mu z rana czekolada, gdy ją dał pieskowi, zabiła go na miejscu; że wojewoda obwinał go o zbrodniczą zdradę i zamach na spokój i szczęście jego domowe, i t. p. Skończyło się na tryumfie młodej macochy, na wygnaniu syna, z zastrzeżeniem, ażeby się ojcu na oczy ukazywać nigdy nie śmiał: na wydziedziczeniu.

Lecz, od chwili, gdy się to spełniło, wojewoda, który swego pierworodnego kochał, wpadł w rodzaj smutku i melancholii, z których

go nawet pieszczoty i nadszkwania ślicznej pani wywieść nie mogły. W opiece jej i matki, które dom cały, służbę, wszystko co otaczało starca, pochwytyły w ręce swoje, dopuszczając do niego tylko tych, których wybierały, wojewoda zdziecinniał: postradał resztę woli, energii i rozumu.

Pilnowano go tak, iż słowa prawie wymówić nie mógł, któregooby mu nie podyktowano; robił to tylko, co dozwolono: zostawał pod najściślejszym nadzorem. A że pedogra często przykutym go do krzesła trzymała, matka i wojewodzina przyjmowały same gości i zabawiały się swobodnie.

Starościna, matka Dosi, średnich lat kobiéta, chcąca być młodą, miała wszystkie wady owych pań z czasów Augusta II, dla których życie było pasmem rozrywek. Kosztowała je wiele za młodu, potem ruina majątku zmusiła ograniczyć się bardzo; teraz gdy dostatek powracał, chciała go używać w całym znaczeniu tego wyrazu. Córka była dla niej narzędziem. Bawić się potrzebowała ciągle. Z resztkami piękności szukała gwałtownie adoratorów, żyła wrzawą, ruchem, zgrają, którą się otaczała, lubiła grać, potrzebowała jeść wytwornie. Wszystkie te gusta miała téż córka w wysokim stopniu, a matka raz wydawszy ją za mąż tak szczęśliwie, nietylko nie hamowała jej fantazyi, ale się niemi cieszyła. Żadne względy na tej drodze wstrzymać ich nie mogły.

Nieszczęśliwy starzec był tak ślepy a tak łatwo go jednem pogłaskaniem po twarzy i podaniem rączki ukołysała, gdy był zburzonym, piękna Dosią, iż mogły dwie kobiety robić z nim co chciały. Powoli, stopniami, stare sługi rozpedzone zostały, aby żadne słówko żalu po przeszłości nie doszło uszów jego.

Na samym ostatku pozostał Filip Makowski, który wojewodzicowi od młodych lat służył, był z nim razem w szkołach, nie opuszczał go nigdy. Gdy inni dali się gracyami na wieś powywozić, pensjami poodpedzać, pod pozorem, że starzy byli i nieudolni do zwawej służby w domu, Filip nie dał się wysadzić, a wojewoda nawet oparł się wprost odprawieniu go i powiedział, że chyba chcą śmierci jego, jeśli mu Filipa odbiorą.

Starościna i wojewodzina nie zwątpiły iż na swoim postawiały, ale tyle już i to szybko dokonały, że uważały pośpiech zbytni za niebezpieczny, za nazbyt bijący w oczy. Odłożono sprawę Filipa na trochę później. Wojewodzina ją zwolna przygotowywała na różny sposób: najprzód udając wielką czułość dla starca, który się męczył i potrzebował odpoczynku, potem znajdowała że mu się ręce trzęsły, że nie miłą woń z sobą wnosil do pokoju, że się zapominał i t. p. Wojewoda słuchał nie odpowiadając, ale służyć sobie nie dawał nikomu oprócz niego.

Dwie kobiety instynktem czuły w nim wroga, wiedziały że wychowywał, wynosił na ręku wojewodzica, że po nim płakał, że zagnie-

wane serce ojca usiłował rozbrajać dla syna... podejrzywano go o różne zdrady...

W tych domowych zajściach, które zaraz po ożenieniu, gdy wojewodzica ojciec jeszcze trzymał przy sobie, odegrały się między czterema murami, Filip podobno grał jakąś rolę, której mu pani przebaczyć nie mogła.

Na ostatku był to szpieg domowy niebezpieczny, a panie obie miały mnóstwo tajemnic, których nie życzyły sobie rozgłaszania. Nie sposób było prawie zapobiedz, aby Filip późno przychodzących do starościny i wojewodziny gości poufających nie widział. Nie zbywało na nich, bo obie panie miały nadzwyczaj rozległe stosunki. Francuz Labuś, średnich lat, sekretarz jakoby starościny mieszkał przy niej w pałacu. Wojewodzina miewała konferencye z różnymi młodymi elegantami, kończące się częstokroć tak późno, iż ich nawet najpilniejsze sprawy nie mogły wytlómaczyć. Wszystko to Filip zdrajca mógł wiedzieć, pochwyć i powiedzieć o tém staremu, który jak ślepy był także zazdrosny. Żona mu wmówiła co chciała, ale podejrzania wracały, i, co najosobliwsza, nigdy nie były słuszne. Wojewoda czeptał się ludzi niewinnych, a bijących w oczy skandalów, nie widział.

Największą jednak Filipa winą było to, że kochał panicza, że go bronił, i że serce ojcowskie do łaskawości dlań skłaniał. Nie można go było jakoś schwytać na uczynku, gdyż młoda pani byłaby użyła środka, już wypróbowanego: albo on, albo ja!

Sama groźba, iż żona go mogła opuścić, równała się śmierci dla wojewody. Kochał ją! kochał ją miłością starca rozpaczliwą, dziką, straszną: nie mógł żyć bez niej. Łagodne słowo wymogło na nim wszystko, groźba przerażała; łaska pani, pogłaskanie, pocałunek, w wielkich razach, złożony na czole, wprawiały w szal wojewodę.

W salonie nie spuszczał z niej oka; stawał się śmieszny, bo, gdy na nią patrzył, usta mu się mimowolnie roztwierały, zwisła warga dolna, oczy wychodziły na wierzch, ręce się trzęsły. Zdawał się zdala chcieć pochwyć każde jej słowo, napierać się jak dziecko, aby się ku niemu zwróciła; niekiedy niecierpliwość starca dochodziła do gwałtownych oznak niepokoju: tupał choremi nogami, rękami bił o krzesła poręczę, a jeżeli mógł chodzić i pedogra mu niezbyt dokucała, jak cień się snuł za nią: dla jednych było to pobudką do śmiechu, dla innych prawdziwym smutkiem i upokorzeniem. Zkądinąd bowiem był to człowiek nie bez dobrych przymiotów, serca szlachetnego, głowy otwartej gdy z namiętności ochłonał. Matka i córka obchodziły się z nim wcale inaczej w salonie, gdy osób było wiele i oczu, a inaczej sam na sam lub w kółku małym, dla którego stosunki domowe nie miały tajemnic. Przy ludziach był przedmiotem poszanowania, starań i czułości, powoływano się na niego, okazywano mu uległość, niemal i posłuszeństwo; żona pieściła, matka jej troskliwą była nad wyraz o zdrowie, prawiono mu słodycze. Gdy goście odeszli, często grubiańsko się z nim obchodzono, i nie słuchano wcale, zdając

go na Filipa, odpowiadając opryskliwie, albo nie myśląc nawet wcale odpowiadać. Żona dawała mu do zrozumienia, że ją męczył i nudził i że jęj sprawiał obrzydliwości.

Obcierała rękę, gdy ją pocałował, krzywiła się i kończyła półgłosem:

— Dałbyś bo jegomość pokój z temi karesami... kiedy choroba do krzesła przykuwa. Co to już o tém myśleć. Otrzyjże gębę, bo ślina ciecze. Pfel i t. p.

Przy gościach w żywe oczy mu wmawiano rozmaite dyspozycye o których nigdy nie myślał, a którym zaprzeczać nie śmiał. Korzystano potem z tego robiąc co się podobało i łając starego, że się zapominał. Za wszystko to wynagradzała chwilka w salonie, albo, gdy bardzo był rozdrażniony, pogłaskanie pod brodę. Obawiano się o jego zdrowie i życie, bo jeszcze zapisy nie były doprowadzone do skutku, wiele interesów nie pokończonych, i życie jego potrzebném było. To téż codzień przychodził doktor Becker, który między innymi, nie zapominał zalecać, aby się w zbytne czułości z żoną nie wdawał, bo każde podobne rozczulenie jest, jak się wyrażał, ćwieczkiem do trumny. Stary wojewoda byłby wszakże i trumny się nie uląkł, gdyby tylko Dosia dlań trochę miłszą być chciała. Mógł on sprawiedliwie powiedzieć, jak to staropolskie przysłowie: „Chwałaż Bogu, goście, to się i gospodarz przy nich pożywi.” W istocie żywił się tylko przy nich, ale nie zawsze do gości wychodzić mu było wolno. Gdy mógł zaważać, naówczas i doktor niepozwalał... i na korytarzach były przeciągi, i tysiączne do wyjścia przeszkody. Zostawać musiał sam w swoim pokoju, do którego mało kogo, i to tylko za zezwoleniem pani, dopuszczano, a że się nudził, grywał z Filipem w arcaby albo w maryasza na zdrowaśki za dusze zmarłe.

I tego dnia w pałacu była kompania liczna, wojewoda zawsze należał do party dworskiej, którą w czasie tego sejmku, *pieczeniarzami* nazywano; trzymał z królem, od którego miał dwie wstęgi i któremu wiernie służył wpływem swoim, dopóki ten wpływ posiadał.

Na pokojach więc widywać było można najczęściej i prawie wyłącznie to, co z dworem trzymało: adyutantów króla, szambelanów, przyjaciół, niekiedy osoby do rodziny należące, marszałkostwo Mniszchów, nawet panią Krakowską i nieodstępne jęj towarzysza wojewodę Mokronoskiego. Pani starościnie i wojewodzinie stosunki te najlepiej się uśmiechały, bo obie łakome były na korzyści, jakie z nich płynęły, a miały ciągle coś do wyrabiania dla siebie lub dla drugich: wszystkie inne sprawy były im zresztą obce.

Miewał téż wojewoda za lepszych czasów odwiedziny ambasadora, u którego bywał na zwykłych obiadach niedzielnych, odwiedzał go De Cachi, austriacki reprezentant, który najlepiej bezczynność austriacką reprezentował; Buchholtz i jego teść starosta hamersztyński, z którego mało gdzie się nie wysmiewano, tak go Stackelberg, wiecznie drwąc z niego, śmiesznym uczynił.

Pani starościnnie i młodej pani szło o utrzymanie tych stosunków i dlatego wojewodę czasem do salonu wpuszczano i dawano obiady paradne; znacznieszą jednak część czasu zawadzał stary i kazano mu być chorym.

Tak właśnie i tego wieczora, na który wprowadzimy czytelnika, wojewoda dopuszczonym nie był. Markotny i kwaśny siedział sam w swoim pokoju, a choć apartamenta, w których przyjmowano, dosyć były odległe, aż tu dochodziły, gdy drzwi otworzono, odgłosy rozmowy i śmiechów, biegania sług, turkot powozów. Wojewoda wsparty na rękę przy stoliczku, na którym stała szklanka jakiegoś napoju, zdawał się drzemać z nudów, gdy stary Filip wszedł na palcach pociachu. Chód jego tak znał wojewoda, a przybycie tak zgadywał, że się zaraz odwrócił. W pokoju było dość ciemno. W kącie, na gierydoniku paliły się dwie woskowe świece żółte pod umbrelką.

Filip wsunął się rozglądając, utarł knoty narosłe świec w lichtarzu, rozglądnął się, przystąpił do krzesła, pochylił ku panu jak ku dziecięciu, z czułością macierzyńską.

Wojewoda spojrział ku niemu... i nic nie mówiąc, palcem wskazał w stronę, z kąd go dochodziła wrzawa.

Zabawa, której nie dzielił, na której była żona, zazdrością wyżywała mu serce.

Kiwnął głową i smutny sparł się na rękę; Filip ramionami ruszył, mówić sam, a zwłaszcza poczynać nie śmiał.

— Kto tam jest?—zapytał stary.

— Albo to zliczyć—odparł sługa—co moment kareta zajeżdża.

— Kobiety są?

— A jakże!—rzekł Filip.

— Kto?...

— Starościna Olbromska, generałowa Grabowska, Tomatysowa... a, kto zliczy...

Wojewoda trochę się rozchmurzył, bo wolał kobiety, niż mężczyzn.

— A z mężczyzn, z zamku jest kto?

— Jest dużo—rzekł Filip.

— Co robią?

— Pewnie już do kart siądą, bo i Tomatys jest, a on zaraz założy bank, byle się trochę ludzi zebrało.

I karty wojewoda tolerował, a wolał je niż inną zabawę.

— Wieczera będzie suta — dodał Filip—stół nakryty na pięćdziesiąt osób.

Stary, który jeść lubił, westchnął na wspomnienie wieczery i przysmaków, których mu na utrapionej dyecie kosztować nie było wolno.

— Co robić?—dodał, zwolna się rozgadując, zawsze pociachu, do ucha pochyłony Filip.—Mieli i my nasze czasy za nieboszczki pani!

Ręką dał znak wojewoda, że mu to wspomnienie przykrém było, Filip popatrzył i na moment zamilkł. Przysunął się potem jeszcze bardziej do ucha wojewody i ledwie dosłyszczanym głosem szepnął:

— Póki panicz był, inaczej u nas wyglądało, inaczej!

Stary głowę nagle odwrócił i pogroził mu palcem.

— Niby to jegomości tak jego nie żal jak mnie! niby ja jegomości nie znam!—mówił Filip—niby ja nie wiem, że panisko moje, choć odpędziło precz, a żałuje i tęskni.

Obruszył się wojewoda i mrużąc, zagroził znowu.

— Co? nawet mnie ma być mówić już nie wolno!—ciągnął nieustraszony Filip.—Niech się sobie jegomość i gniewa, ja ust nie zamknę. Jam go na ręku wynosił, ja go kocham. Mówią na niego, że łątrował, albo to się młodość nie musi wyszumieć? A my to lepsi byli? A pamięta pan tę Włoszkę w Dreznie....

Stary tupnął nogą mocno: zaboląła go, syknął.

— Ja, uchowaj Boże!—rzekł Filip, schylony nad nim—na panią wojewodzinę nie mówię nic. Znam respekt, pani moja jest, ale jej matka!... Ona to narobiła téj kaszy, ona do tego nas przywiodła, że panicz musiał iść precz. A pletli, a łgali. Nieprawda! taki zły nie był.

Staremu z jednego oka łza pociekła, otarł ją ręką nabrzęką, kułakiem, bo palców roztworzyć nie mógł.

— Cicho bądź! co mi serce krwawisz.... — odezwał się płaczliwie.

Filip posłuchał i zamilkł, miał już odéjść, gdy go za klapę od kontusza chwycił wojewoda i do ucha mu zamruczał:

— Ty wiesz, gdzie on jest? co z nim się stało? co? mów!

Zawahał się Filip.

— Gadaj!—nalegał stary.

— A cóż? włóczy się gdzieś biédactwo, niemając gdzie głowy przytulić. Może nędzę cierpi.

— Zaś!—bąknął wojewoda.

— No, a zkądże ma wziąć na życie? niema nic, a skórynkami suchemi nie nawykł się żywić, musi cudze kąty wycierać i na łasce się sustentować.

— A zkądże ja mu co wezmę, choćbym chciał—odparł wojewoda—kiedy od ostatniej choroby kasa u jejności.

Filip ręką zamachnął.

— A po co pan oddał klucze?

— Kiedym był w gorączce, wzięli mi z pod poduszki — jęknął wojewoda.

— Jakby to się o nie upomnieć nie można.

Stary rękami począł pokusę odpędzać i głowę sparł na dłoni.

Filip odszedł na palcach, przesunął się po pokoju tam i nazad, niby coś poprawiając, ustawiając, przygotowując dla pana, lecz widać było, że o czém inném myślał. Wreszcie jakby go niecierpliwość

wzięła i czasu się obawiał stracić, przybliżył się, pochylił znowu i szepnął:

— On tu jest!

Usłyszawszy to wojewoda, pomimo bezwładności, tak się strasznie zachnął i rzucił, że Filip przestraszony rękami obiema go wstrzymał...

— Gdzie? jak?—wyjąknął bełkocząc.

— Niechno się pan lemoniady napije a uspokoi—dodał Filip.— Po co zaraz tak się burzyć.... Wszak to zaszkodzi...

Chociaż stary odtrącał szklanekę, zmusił go Filip, trzymając mu ją przy ustach do napicia się.

Zaledwie łyknąwszy, wojewoda zwrócił ku niemu błagające oczy, ale myśl mu przyszła zapewne, że ktoś nadejść może, gdyż natychmiast wzrokiem ukazał na drzwi, przez które czasem jejmość lub jej matka, dla przekonania się, iż nikt nie wszedł bez pozwolenia, w czasie uczt i balów, wbiegały.

Filip się uśmiechnął, dając znak, że nateraz niema się co obawiać.

— Jest tu, w Warszawie; przypadkiem się dowiedziałem: za pieniędzmi biega, biedaczysko.

Stary załamał ręce nabrękkłe, których palce sine ledwie mogły się rozkurczyć, pod silnym wrażeniem, jakiego doznawał: zabołały go i jęknął.

Przez chwilę siedział milczący, ze łzami na oczach, potem począł coś żywo szeptać na ucho Filipowi, który mu głową potakiwał. Dali sobie nawzajem znak milczenia, wojewoda zakrył twarz rękami i pozostał tak nieruchomy. Ledwie Filip miał czas odejść od niego kroków parę, gdy z trzaskiem otwarły się owe drzwi, choć chodu ku nim słychać nie było, i na progu ukazała się pani starościna, kobieta średniego wzrostu, dosyć otyła, z oczyma czarnemi, głęboko już zapadłemi, wybielona straszliwie i wyróżzana, strojna, cała we wstęgach, falbanach, koronkach i fantazyach.

Twarcz jej, nosząca piękności ślady, tak była ostrego i niemiłego wyrazu jak córki; fałsz czytać się na niej zdawał cyniczny. Oczyma najprzód zmierzyła pokój i jego zakątki, podejrzliwie wpatrywała się w starego sługę, i zawołała:

— Jeszcze nie w łóżku? A po co wojewoda siedzi tak długo, nogi spuszczone brzękną. Po co? Z gości tu nikt nie przyjdzie.

— Dajżebo mi asindzka, choć wypocząć po leżeniu, bo mi dojadło—odezwał się wojewoda jękliwie.

— A cóż to ja ze złęgo serca radzę? Ot! to piękna wdzięczność, zato, że się koło jegomości ma staranie.

Zwróciła się do Filipa,

— Jeżeli wojewoda nie jadł, niech potrawkę i jaja przyniosą — rzekła — ale więcej nic! tak doktor dysponował. A potem pozamykac i do łóżka.

Dobranoc!

Wojewoda kiwnął głową, starościna wyszła.

Salony były tego dnia pełne i wrzawliwe. W gabinecie obok wielkiej sali bawialnej, Tomatys z krzyżykiem maltańskim u fraka, ciągnął bank u stolika, do którego trudno się było docisnąć. Duchowny jakiś w fioletach, z twarzą zgniętej cery, pożałdowaną, odrażającą, przed którym leżały dwa rozłamane rulony dukatów, poniterował namiętnie. Kilku mężczyzn w mundurach gwardyi, jeden w jakimś cudzoziemskim, stojąc stawili na karty. Kilka pań wystrojonych, do gorsu, z piórami na głowie, z których jedna młodziuchna i uderzającej piękności siedziały czy trzymając wlepione w Tomatysa.

Pan hrabia, bo tak go nazywano, ciągnął z flegmą i obojętnością rutynowanego szulera. Nieopodal od niego śliczna jego żona cała w brylantach, z uśmieżkiem na ustach, rozmawiała zpoza wachlarza, który trzymała przy ustach, z bardzo wyelegantowanym, młodym mężczyzną, jak gdyby tłum ich nie otaczał i nikt podsłuchać nie mógł. W istocie wszyscy tak zajęci byli kartami, że gdy Tomatysowa upuściła umyślnie chusteczkę, a kawaler podnosząc ją, wsunął bilecik, nikt, oprócz téj, dla której był przeznaczony, nie postrzegł manewru. Szepety potrwały jeszcze chwilę, młodzieniec przeprowadził piękną panią, spoglądającą pogardliwie, z góry na tłum, przelewający się przez pokoje, aż do progu sali i pożegnany nader znaczącym uśmiechem wrócił próbować szczęścia z mężem téj, której wdzięki nieco zwiędłe już, czarowały go.

Ponad stołem gry, to cisza panowała dziwna, jakby wszyscy oddech nawet zaparli, to wybuchały okrzyki. Spierano się i wywoływano głośno. Tomatys ciągnął na nic nie zważając, mankiety tylko odrzucał niekiedy, aby mu nie zawadzały, i ręką okrytą pierścieniami, brylantami świecącą, sięgał do kieliszka z burgundem, stojącego przed nim.

W sali formowały się grupy, zajęte rozprawami najrozmaitszemi. Sama pani strojna cudownie, jaśniejąca pięknością, którą tego wieczora walczyć mogła z najsłynniejszymi Elżbietami, a nawet z najpiękniejszą Zofią Wittową, będącą bożyszczem młodzieży, przechadzała się to z paniami, to z mężczyznami, to przysiadła do poważniejszych, które z sobą rozmawiały na kanapach. Niezbywało jój na adoratorach, z kolei przysuwających się na chwileczkę poufnéj rozmowy: młodzież snuła się za nią.

Obejście się jój z nimi było nadzwyczaj śmiałe, wyzywające i zalotne; przybrała maniery tych wielkich pań owego czasu, które śmiałością zastępowały wdzięk skromny, cynizmem niekiedy, młodość i ponęty, na jakich im zbywało. Śmiano się głośno, z więcej niż dwuznacznych słówek. Mężczyźni pozwalali sobie wiele, wiedząc że dla trochy dowcipu, wszystko im będzie przebaczone. Wojewodzina była właśnie pod oknem, na wesołych jakichś szeptach z ledwie dwudziestoletnim książęcim... powracającym z Paryża i woniejącym perfuma-

mi Palais-Royal, gdy we drzwiach sali ujrzała wchodzącego powoli, ostrożnie, z wielką jednak powagą, pana starostę Daliborskiego.

On ję szukał oczyma po sali. Szepnęła coś na ucho ksiązątka, które namiętnie rączkę ję pochwyliło i do ust przycisnęło i, prześlizgując się zręcznie pomiędzy gośćmi, pośpieszyła na spotkanie niespodzianego przybysza. Zdumienie i niespokój widać było na ję twarzy.

Daliborskiego po drodze witali nader żywo i uprzejmie, prawie wszyscy, jedni podając mu ręce, drudzy klepiąc po ramieniu. Z kątów sali wykrzykami niektórzy się doń odzywali. Przyjęcia lepszego, zaprawdę, nigdy się spodziewać nie mógł. Oznaczało ono dobitnie jak przedziwne miał stosunki w stolicy.

Generał Stępkowski podszedł ku niemu, uściskał go w obliczu wszystkich, ucałował jak brata. W wielu sprawach i nieraz byli sprzymierzeńcami, a przy sprzedaży województwa, Daliborski kooperował czynnie. Starosta, jak tylko zobaczył zbliżającą się ku sobie piękną panią, która z niejaką trwogą podchodziła ku niemu, rzucił nawet Stępkowskiego, aby dobieść co rychléj do ję rączki.

Nie dosłyszonym głosem spytała go przy powitaniu:

— Interes?

— Tak jest.

— Pilny?

— Bardzo!

Krótką ta słów zamiana wywołała przelotny rumieniec i wojewodzina poczęła rozmowę pustą, wesołą, nic nie znaczącą, głośno. Manewrowała jednak ciągnąc za sobą Daliborskiego tak zręcznie, że się znaleźli wkrótce w gabinecie w którym grano. Tu rozmówić się było niezawodnie najbezpieczniej. Wrzawa pokrywała głos, a uwaga zwróconą była na kupkę złota i nikt nie spojrział nawet na tę parę, która się naprzód wcisnęła ku stolikowi, potem wkrótce na stronę. Tu stało wielkie trumo, w którym zarazem piękna wojewodzina od stóp do głów przyrzeć się mogła swęj wdzięcznej postaci, a Daliborski miał ją podwójną przed sobą.

— Co za interes?—zapytała.

— On tu jest!

Wojewodzina zagryzła usta silnie, drgnęła; obejrzała się, czy kto na nią nie patrzył i nie czytał z ję twarzy, natychmiast stając się obojętną.

— Cóż to znaczy?—spytała.

— Niewiem! Pomimo żem go pilnować kazał, mimo że się kocha szalenie w młodziutkiém i niewinném dziewczęciu, które pono téż za nim szaleje, prysnął mi nagle, bez żadnej zrozumiałej przyczyny.

Wojewodzina stała zamyślona gryząc wachlarz, którego strzępki już spadały na ziemię. Oczy ję stały się płowe, straszne, iskrzyły jakimś blaskiem i barwą niezwykłą. Słychać było jak korkiem trzewika biła w posadzkę.

— Ślicznie go pilnujcie! pomagacie mi dobrze—poczęła półgłosem—*C'est parfait!* niema co mówić.

— Ale mógłbym—przerwał Daliborski.

— O! gdy kto chce, może zawsze—odezwała się wojewodzina—na to niema wymówki.

Głos jęj uwiązł w gardle ściśniętém... musiała odetchnąć silnie, aby mózł mówić dalej.

— On tu jest nie bez przyczyny. To groźba dla mnie. Znam go; zdolnym jest do wszystkiego: napaść na ulicy, awania, potwarz, wkradnięcia się do *mego* domu, dostanie do ojca: wszystko możliwe teraz...

Mówiła szybko, gorączkowo, z gniewem tłumionym, zamiast wdzięczności okazując staroście niechęć największą.

— Ja z tēm przybyłem umyślnie.

— Cóż mi z tego!—odparła wojewodzina.

Zamilkła, widząc że na nią zdala spoglądano, zawahała się, spróbowała śmiać, aby skłamać wesołość, ale pierś jęj podnosiła się zburzona; niemogła wstrzymać: buchała z nięj złość.

W tęg chwili starościna, której oczy zdala śledziły córkę, przybliżyła się, domyślając, że coś stać się musiało.

Córka szepnęła jęj coś do ucha, rzucono słowo jakieś Daliborskiemu, który, po oddaleniu się szybko dwóch kobiet, zwrócił ku stolikowi.

Podjął był kartę leżącą na ziemi, i nie patrząc na nią, wsunął na stół okrywając złotem, dobytém z kieszeni: ustąpiono mu się nieco. Daliborski i tu grając komedią, w czasie gdy Tomatys ciągnął, rozpoczął rozmowę, jakby go los stawki nie obchodził wiele. Musiał go ktoś łokciem potrącić, aby mu dać znać, że wygrał. Starosta ciągnął dalej... rozmowę, i zostawił podwojone pieniądze. Z wielką zazdrością pięknych pań przeszedł tak trzy razy, a że talia była skończona, złoto obojętnie schował do kieszeni.

Zabłąkał się potēm w salonie od grupy przechodząc do grupy, wsunął do pokoju bocznego, do sieni, w korytarz i znalazł się, widać oswojony dobrze z miejscowością, w garderobie wojewodziny.

Tu paliła się tylko mdkłem światłem jedna lampa alabastrowa u sufitu zwieszona. Wielkie zwierciadło w ramach porcelanowych obrzucone zasłoną koronkową, stało naprzeciw drzwi, parę sof po bokach, berżerka i krzesła. W pokoju nie było nikogo, lecz natychmiast prawie wbiegła wojewodzina. Zbliżyła się do stojącego starosty zdyszana, ledwie mogąc mówić ze wzruszenia.

— Jestem przekonana, że znowu się coś knuje przeciwko mnie. Musiałam natychmiast nakazać w domu nadzwyczajną pilność, aby nikogo nie dopuszczano do wojewody i oko miano na Filipa. Filip dziś był na mieście.

Chodzić zaczęła żywo po pokoju.

— Jego nienawiść dla mnie równa się mojęj—zawołała—wiem, że na wszystko gotów; ja tęg wszelkiemi sposobami bronić się muszę.

— Mnie się zdaje — odezwał się dosyć chłodno, nieco obrażony Daliborski—że tu poprostu idzie o pieniądze. Nie może wykraść panny, niemając ich.

— A scheda? a proces? Więc nieużyliście tego środka?—ze śmiechem złym zawołała wojewodzina.

— I owszem— odparł Daliborski—ale przeciwko ojcu, niema siły coby go popchnęła, nawet namiętność dla téj dziewczyny.

— A waćpan, człowiek rozumny i doświadczony, wierzysz w to, że on ojca kocha. On! on! co nigdy nie kochał nikogo!

— Prócz pani—wtrącił Daliborski.

— Mnie!—impetycznie i bez wstydu zawołała kobiéta.—Mnie chciał mieć, ale nie kochał. Za grosz w nim serca!..

Uśmiechnął się Daliborski; wojewodzina patrząc na wystygnięcie jego, burzyła się coraz więcej. Był to rodzaj pojedynku: starosta chłodem walczył, ona ogniem. Dał się jój wygniewać, wiedząc, że na ostatku pomocy jego potrzebować będzie.

Tak się stało, gniew się w żyzy rozplynął: załamała ręce.

— Cóż począć? co robić!? Ja niemogę żyć, póki on tu jest.

Starosta wytrzymałszy dosyć długo, zbliżył się z cichym szepcieniem, którego musiała słuchać cierpliwie. Uspokoilo ją to nieco, podała mu rękę, a że długo nie mogła z salonu być oddaloną, wróciła doń. Wyszli razem z garderoby: służba żeńska widziała to, lecz wojewodzina wcale nie dbała o ludzkie oczy i sądy.

X.

Tegoż wieczora było u hetmana towarzystwo męzkie na wieczery. Jedyna wśród niego siostra pani wojewodzicowa Mściławska, która w roku 1764 liczyła się do pierwszych piękności dworu króla i pierwszych jego przyjaciółek, dziś po dwudziestu kilku latach, z twarzą, której zbyt wielu rumieńców i czerwoności chorobliwej żaden blansz niemógł pokryć, jeszcze bardzo żywa, śmiała i despotyczna, kręciła się wśród nadzwyczaj hałaśliwego tłumu.

Hetman był już przez nią poróżniony z królem śmiertelnie. Towarzystwo męzkie otaczające panią wojewodzicową, chociaż się dla niej nie powstrzymywało od mów do zbytku swobodnych, wcale ją nie mieszało. Miała już teraz ona sama ruchy męzkie i mowę dobitną jak oni. Generał brygady wielkopolskiej i strażnik Mierzejewski bliższy jój dwór składali.

W drugiej grupie widać było piękną, zamaszystą postać hetmana i jego twarz pełną życia, ognia i zuchowatości niepohamowanej. Głową przechodził otaczających go, budową wydawał się olbrzymem, a życie szalone nie potrafiło mu odebrać ani siły, ani przedłużonej młodości blasku.

Głos jego zagłuszał mówiących.

Obok w polskim stroju, słuszny, chudy, z twarzą wyrazistą a dzwacznie się wykrzywiającą, w postawie usiłującej sobie nadać powagę ju-

nacką, z wstęgą Stanisława i gwiazdą, stał sławny Suchorzewski. Ile razy usta otworzył na krzykliwe jakie dowodzenie, śmiechy się mniej więcej tłumione słyszeć dawały dokoła. Ale zarazem wołano—Brawo Suchorzewski! brawo!

Orator brał to za dobrą monetę i rękami wywijając, w piersi się bijąc, podrzucając ramionami, perorował coraz głośniej.

— Zmiłuj się Suchorziesiu, duszo moja! broń Boże schrypniesz, kto za nas wszystkich mówić będzie na sejmie. Szanuj swój znakomity głos, jest nam potrzebny, a ty jesteś tubą, przez którą my mówić mamy: tyś usta naszymi.

Trudno było Suchorzewskiego powstrzymać gdy się rozpałił, hamowano go nadaremnie, podnosił głos aż do wrzasku.

— On jest jak koń tabunny, co gdy pot poczuje, niema na niego rady... nosi!—zawołał hetman.

— Suchorziesiu! zaklinam cię na wnętrności Republiki, która cię na świat wydała, hamuj zapał i oszczędzaj animuszu. Wyekspensujesz się, wyszepczesz, a my bez ciebie...

— Nie bój się, hetmanie!—zawołał Suchorzewski, szeroką dłoń tłukąc się w pierś chudą — stanie mi głosu i animuszu w obronie żrenicy wolności naszej. Stanę przeciw nowatorom jako mur, stanę i nie ustąpię... zobaczycie... Czego nikt nie będzie się ważył, ja wypowiem.

Hetman się pochylił do ucha Benedyktowi Hulewiczowi.

— A co?—spytał.

Dowcipny Hulewicz odparł pocichu.

— Dalipan, prawda! czego się nikt nie waży, on mówi: nawet głupstwa!

Suchorzewski tymczasem, wśród ogólnego śmiechu, ciągnął dalej o żrenicy, o despotach i o nikczemnych konspiratorach, którym się śniło szlachtę zrównać z chłopami.

— Paradny Suchorzewski! niema równego!—szeptał hetman.

— Przepraszam—rzekł Hulewicz—a kasztelan łukowski?

— Ba! jest różnica—odezwał się Branicki.—Kasztelan łukowski śmiało prawi, nawet brednie, ale zimno. Suchorzewski ma ukrop w gębie... To coś znaczy.

— Gdyby miał smak w niej!—dodał Hulewicz.

Tak rozprawiano, gdy odedrzwi wchodowych dał się słyszeć śpiew. Były to dwa głosy, jeden udający dyszkant fałszywy, drugi wtórujący mu basem.

Znana pieśń:

A kto nie wypije,
Tego we dwa kije:
Łupu, cupu,
Cupu, łupu:
Tego we dwa kije.

wszystkich oczy zwróciła ku wchodowi. W progu stał w sukni rozpiętej książę Kazio, trzymając pod rękę młodego pięknego mężczyznę, również podpiętego jak sam. Wracali z Woli po doskonałej przedłużonej biesiadzie.

Wojewodzicowa ujrzawszy syna, podsunęła się ku niemu.

— Kaziu!—zawołała trochę nadąsana—Kaziu!

— Mamciu kochana!—odparł, w rękę ją całując książę—wracamy z Woli. Było doskonale wszystko.

— Klin klinem!—krzyknął hetman—dawajcie wina i kielicha.... inaczej zachorują.

Śmiech ogólny towarzyszył, wojewodzicowa ruszyła ramionami. Książę Kazio tymczasem prezentował towarzysza.

Był to, jak się domyślić łatwo, nasz wojewodzie, którego historia dobrze była znaną całemu niemal temu światu. W sądach ludzkich między nim a ojcem i macochą różnili się wielce ci, co je ferowali. Byli niektórzy za synem, inni za macochą. Mężczyźni trzymali w ogóle stronę pięknej wojewodziny, która ich czarowała; kobiety litowały się nad wojewodzicem.

Matka księcia Kazia przypatrywała się okiem wielkiej znawczyni ślicznemu chłopakowi, który pomimo upojenia trzymał się lepiej niż jéj syn, i swą butą mógł się podobać.

Szeptano między sobą spoglądając nań, ruszano ramionami i coś opowiadano pocichu.

Wicuş wcale nie zmieszany był towarzystwem, w które został wprowadzony, rażno się skłonił hetmanowi, a gdy książę szukał miejsca, by spocząć, i padł na kanapę, okazując chętkę do drzemki, bo dwie nocy nie spał, a dwa dni ucztował; wojewodzie na nogach, w boki się wzięwszy, poczynął rozmowę wesolą, odpowiadając na zaczepki i pytania.

Widząc syna usypiającego, wojewodzicowa przysiadła się trochę do niego, poprawiła mu głowę, usiłowała dopytać go, czyby cytryny nie chciał lub wody; ale książę mruzczał już tylko i nic odpowiedzieć nie mógł.

Hetman z kilku poważniejszymi gośćmi stanąwszy nad siostrzeńcem, zaintonował z kielichem w rękę:

— Dobranoc!

Na wszystkie strony przyspiewywano ten wyraz, i Suchorzewski nawet schrypłym głosem dopomagał, ale książę się nie obudził.

Wprowadzony przez niego gość zrazu się trochę znalazł osieroconym, wprędce jednak towarzyszków sobie dobrał.

Wieczera jeszcze była nie gotowa.

Nie było Tomatysa, ale amator jakiś, otyły, po polsku ubrany, dobywał już z kieszeni pod żupanem kiesę ogromną i sypał na stół dukaty. W mgnieniu oka grupa się dokoła sformowała. Wojewodzie, który się najbliżej stolika znalazł, popychany, stał naprzeciw tego błyszczącego złota, wpół zainglonemi oczyma je mierząc.

Sięgnął do kieszeni.

Pustą była; ręką począł się po nią krzątać, i wydobył monetę, której się musiał przypatrzeć, obawiając się aby berlinką nie była.

Był to dukat ostatni, ale jaki! Historią burzliwego żywota nosił na sobie wypisaną: wytarty był, pogięty, obcięty, wyszczerbiony, cerę miał schorzałą i wybladłą. Lecz dukatem był, tego mu nikt zaprzeczyć nie mógł; właśnie jednym z tych wywołańców, którymi się nie płaci nikomu, nikogo nie obdarowuje, które tylko na zielonym stoliku kurs mają i w tłumie uchodzą za rzetelne stworzenia.

Wojewodzie obejrzał tę sierotę na wszystkie strony, obmacał go... i na kartę postawił.

Tłusty ów mężczyzna popatrzał na stawiającego, potem na dukata, a że mu grzeczność nie dozwalała protestować, ciągnął.

Inni stawili po sto... Hetman chciał zbić bank na jedną kartę: nie dopuszczono. Kulfon wygrał.

Otęły mężczyzna z kupy wybrał mu rodzzonego brata, drugiego takiego łotra, włóczęgę, który boki miał dobrze wytarte, i rzucił wojewodzie. Wygrywający zmienił tylko kartę i stawiał dwa na stracenie.

Lecz miał tego wieczora szczęście tych, co innego nie mają. Ze dwu zrobiło się cztery, a że kulfonów pod ręką nie miał otęły bankier, dorzucił pogardliwie dwa niczego. Wojewodzie, który był graczem namiętnym, zmienił znów kartę i wystawił cztery... Wygrywał...

Ktoś z tyłu chciał się już do następnej karty przystawić, ale wojewodzie odmówił. Szło dalej. Tłusty bankier szeptał zły, że kulfon był inkluzem.

Kupka niezgorsza złota zebrała się przed wojewodzie; tłusty spoglądał nań z ukosa gniewnymi oczyma, szepcząc: — A pókiż tego będzie? Ale im się bardziej gniewał i perzył, tém mu się gorzej widło.

W pasy go to wprawiło.

Wojewodzie z flegmą zbierał karty po podłodze, po stoliku, nie patrząc, i stawiał. Twarz miał obojętną wielkiego pana, który gra dla zabawki.

Wszyscy ciekawie się przyglądali, a co karta wyszła, śmiech się rozlegał.

Tłustemu jegomości ręce drżały, pot się lał z czoła. *Casus* był niepraktykowany. Powziął to najmocniejsze przekonanie, iż pierwszy dukat, ów obrzydliwy kulfon, był istotnie inkluzem i że on to robił nie kto inny, że wojewodzie wygrywał.

Prosił o pozwolenie wymienienia owego paskudnika na najprzedniejszego ze swoich: wojewodzie zezwolił. Wszyscy nań zahuczeli, że szczęście oddaje.

— Nigdy go nie miał! — odparł śmiejąc się wojewodzie.

Postawił już po raz kilkunasty wszystko co wygrał. Cała galeria otaczająca stół przestała poniterować, czekając wypadku. Tłusty

ciągnął pomaluteczku, nie odkrywał odrazu kart, pot mu ciekł z czoła. Widać było, że nie szuler z profesyi, wziął się do nieswojej rzeczy.

Ogromnym okrzykiem powitano damę kierową:—wygrała!

Bankier cisnął kartami.

Gra była z nim skończona.

Z obojętnością nawykłego do wszelkich zmian losu, wojewodzie zgarnął pomału swe złoto, napakował niem kieszenie i wiedząc, że na chwilę gra została przerwana, odszedł od stolika.

Hetman, który go dobrze znał, a był równie poufale i z nieznanymi, obie ręce położył mu na ramionach i szepnął do ucha:

— Nieprawda? udało ci się?

— Nieźle—rzekł obojętnie wojewodzie—tém bardziej, zem tego szelmstwa potrzebował.

Podano kielich, wychylił jeszcze i siadł. Dawano wieszczkę, poszedł obudzić Kazia, ale tego się doszturchać nikt nie mógł; zostawiono więc go chrapiącym na kanapie.

Hetman był w rzadkim humorze, towarzystwo dobrane, wojewodzicowa odjechała, pozostali więc mieli swobodę zupełną.

Wzięła się pijatyka straszliwa, a Wicek, który już dawno w tak dobranem nie bywał gronie, odzyskawszy przytomność jakimś sposobem cudownym, dokazywał tak, iż hetman nieustannie go całował, nie mogąc się nim nacieszyć.

Jak przy grze i tutaj rej wodził.

Szczęściem, że gospodarza nie tknął, bo ten sławny z nieustraszonego męstwa, drażliwym był i burzliwym; zato gości przy stole Wicek nie oszczędzał, a że się gniewali, hetmana to bawiło. Kilka razy zdawało się, że przyjdzie do szabel, lecz rozgrzanych zmitygowano.

Suchorzewski, który już był mocno napiły, a tém gadatliwszy, iż mu się język plątał, począł na młodzież wygadywać.

— Coto, mosanie! teraz za ludzie!—bełkotał—od naparstka się to spije, a potem... oto tak jak książę generał, nieprzymawiając, tylko by spało! U nas bywało przecie inaczej!.. u nas po bankiecie, na konie; w pole, w las aż się kurzy. Dziś po kieliszku jednym, drugim, nikt się już na siodle nie utrzyma.

Hetman, który słuchał, dopijając kielicha, wybuchnął.

— Kłamiesz Suchorzewski! i ja stary dowiodę ci to.

Napuszył się trochę Suchorzewski.

— Hetman do tych nie należysz, o których mowa!—zawołał.

Branicki się obejrzał po otaczających.

— Mości panowie! kto mi druh, ten ze mną! Dalipan, Suchorzewski ma doskonałe pomysły.

Skinął na hajduka.

— Siodłać konie! ile jest na stajni!..

Noc była pogodna, ale czarna jak atrament, a we wszystkich głowach szumiało; jednakże nikt się nie wymawiał.

— Na konie i na Wole! tam dolejemy! bośmy tu nie dokończyli jak należy; nikt się z nóg nie zwałił, a po naszymu, trup być musi!...

Jeden ze starszyny mruknął:

— Jak acaństwo w taką noc na szalone konie wsiądziecie i po szalonemu popędzicie, gotów być trup naprawdę.

Suchorzewski rad się był wycofać.

— Hetman żartuje!—rzekł pocichu.

— Ze mną niema żartów!—odparł zagadnięty. Obejrzał się po swoich. Jeden z pierwszych Wicek się stawił do boku.

— Jedziemy! słowo się rzekło, a będzie trup! no, to co?

— Konie! konie!—wołał hetman niecierpliwie.

Zawieruszyło się w sali i niektórzy ichmoście wysuwać się zaczęli, aby na skręcenie karku nie leciść, wiedzieli bowiem, że istotnie z Branickim żartów nie było. Jeździł doskonale, a podlegnięty nie uląkł się i dyabła. Dotrzymać mu po nocy, na koniu nieznanym, a gorącym i ostrym, jakie na stajni zwykle były, mogło i o śmierć przyprawić.

Zaczęli starzy odradzać, Suchorzewski, który się z tém nieszczęśliwem wyrwał słowem, całował hetmana po ramionach, ale to już nie mogło pomódz. Sposobiono się jechać na Wole.

Wkrótce pod oknami pokazało się światło, masztalcerze i posiadłane konie. Hetman pod siebie miał tureckiego ogiera, zowiącego się sułtanem, z którym się znał doskonale; inni nie mogli wybierać: co komu pod rękę podpadło chwycił. Wojewodzie téż, nie patrząc nawet, co mu podano, za cugle ujął i na karego ogiera skoczył, który natychmiast stanął dęba. Ale miał do czynienia z jeźdźcem śmiałym, wprawnym i silnym i otrzymawszy naukę, wnet się stał posłusznym, jak baranek.

— Panowie! za mną! kto mnie kocha!—zagrzmiał głos hetmana, który ruszał z kopyta w cwał.

Nie zebrało się więcej nad dwunastu śmiałków, zatętniał dziedziniec pod kopytami, wyrwali się w ulicę i... co konie wyskoczą ku Woli. Szalona to była jazda, w której na instykt koni, więcej niż na rozum własny, spuszczać się potrzeba było. Wprawdzie drogę znali panowie, a potrosze i konie, ale noc utrapienie czarną była, a świeżo deszcze zalały ją kałużami. Hetman pędził, nie zważając na nic, środkiem, konia swego nagłąc i ostrogami i nahajką: błoto tryskało z pod kopyt. Z dwunastu towarzyszków, nim się wydobyli z miasta, dwu leżało w błocie i konie ich biegły same, dopędzając towarzyszków; dalej nieco zabrakło trzech, z którymi się nie wiedzieć co stało.

Wojewodzie, mający kieszenie pełne wygranego złota, sypał mimo wiedzy i woli dukatami po drodze, ale trzymał się za hetmanem dzielnie i tak mu ta szalona jazda dobry humor sprawiła, że poświstywał i pośpiewywał.

U drzwi nowego budynku, postawionego przez Szulca, paliły się dwie latarnie i wesółą jakąś kompania, na obiad tu przybyła, jeszcze

go kończyła. Gdy hetman nagle sułtana strzymał u drzwi, koń się rozparł i tchnąć prawie nie mógł. Wojewodzie ze swego skoczył cały, wytrzęziony i wesół, jak już nie był dawno.

Na Woli zawołano o szampana, który już wówczas wielce wchodził w modę, choć go starzy lemoniadką nazywali. Poczęła się pijatyka i dzień był już jasny, gdy hetman wymknął się na koń, do domu. Kilku usnęło, a Wicek siadł na ławie spocząć trochę. Spać mu się nie chciało, ale głowa rozpalona szumiała.

Na zakończenie téj szalonej wyprawy potrzebował awantury jeszcze. Palce go świerzbiały. Na Woli jednak nie znalazł nikogo do wyszydzenia, podrażnienia i wybicia się. Przesiedziawszy chwilę jeszcze, musiał pomyśleć o dostaniu się napowrót do miasta. Szczęściem najemna karetka, której właściciel odpoczywał bezwładny, ofiarowała się go przewieźć pod „Orła” na Tłomackie. Wicek się w nią rozłożył wygodnie i przespał nim dojechał.

Rozbudził go służa z gospody i dopomógł dojść do mieszkania. Dzień już był jasny i wielki.

Wojewodzie więc, innego nie potrzebując na znużenie lekarstwa, oprócz zimnej wody, mieszkanie swe całe zatopił nią, oblewając się od stóp do głów.

Z rachunku kieszeni okazało się, że mimo rozsianych po drodze dukatów, jeszcze ich zostawało około tysiąca.

Popatrzywszy na nie, rozśmiał się Wicek do siebie.

— Nigdy się nie spodziewałem, ażeby Opatrzność względem mnie tak pocziwą być chciała!—rzekł cicho.—Znalazła się co się zowie ładnie. Wypadałoby do Pepity wracać zaraz, ale zobaczymy: dzień jeden nic nie znaczy.

W gospodzie zbliżała się obiadowa godzina. Na dole jadało gości dosyć, stół był zawsze obsadzony, a po jedzeniu nieraz i karty nań wychodziły. Wszystkim, oprócz wojewodzica, było wiadomo, że pod „Orłem” czatowali zawsze na podróży, rozmaitego rodzaju kawalerowie *de bona fortuna*, cudzoziemscy i domorośli, starając się zawiązywać znajomości, wyciągnąć na grę, czasem podejmując się przyjemnie ułatwić stosunki z pięcią piękną.

Niejeden już padł ofiarą tych ichmościów, co nie przeszkadzało innym łapać się na ten sam lep i przypłacać drogo dobrowolność swoje.

Wojewodzie wystroiwszy się, odświeżony, spuścił się na dół nuć i kręć wąża. Wygrane pieniądze czyniły go jakby innym człowiekiem. Miały one wpływ na niego ogromny, bez nich często tracił na duchu, żart miał gorzki, humor drażliwy; gdy mu na nich nie zbywało, wesołość odzyskiwał i dużo przebaczał, nie kłając tak zjadliwie, w śmiech obracając wszystko.

Zszedłszy na dół, gdyby był Wicek nie tak roztargnionym, mógłby dostrzedz, że czterej ichmoście jacyś, z których dwu było po francuzku ubranych, skoro go ujrzeli tręcili się łokciami. Zdawali się

oczekiwać na niego, chociaż nie musieli być znajomi mu, bo się nie przywitani. Przy wielkim stole, u którego wojewodzie zajął miejsce w jednym końcu, ichmoście ci zasiedli nieopodal tak, aby nie okazać, że go mieć chcieli blisko, a nie siąść téż zadaleko.

Jeden z nich począł rozmowę po francuzku, narzekając na srogi nieład i niewygody stolicy.

Odpowiedziano mu łamaną francuzczyzną, potakując potrosze. Wojewodzie słuchał nie odzywając się długo. Nie było w jego obyczaju milczeć i z ludźmi będąc od nich się odstrychać.

Gdy ów, jak się zdawało francuz, coraz grubiej i nieogłędniej na Warszawę wygadywać począł, w końcu wojewodzie się jakoś zrobiło dziwnie i wytrzymać nie mógł. Zabrał tedy głos po francuzku, ironicznym tonem.

— Przepraszam, że się nieznajomy do rozmowy mieszam — rzekł — pozwoli pan spytać, jak dawno z Paryża?

Francuzowi oczy zaświeciły; głowę nieco pochylił i odparł grzecznie:

— Niestety! już w tym kraju kurzu i błota bawię dość długo i miałem czas nakarmić się obojgiem.

Za tym wstępem wylał się cały potok wyrazów, których wojewodzie z drwiącym na ustach słuchał uśmiechem, towarzysze francuza pomagali po polsku. Przynięto talerze i szklanki, zrobiła się prędka znajomość. Francuz był odprawionym kapitanem z pułku imienia Massalskich, który biskup wileński sztyftował, a że się go pozbyto w sposób bardzo niegrzeczny i z pułku i z miasta, piorunował na niewdzięczną ziemię, której przybył ofiarować swe usługi. Drugi z ichmościów był dawnym porucznikiem kawaleryi, dwu pozostałych o kwalifikacjach swych nie mówiło. Wszyscy mieli miny gęste i jak się z rozmowy wywiązywało, życia i rozrywki byli spragnieni.

Kapitan francuz sypał imiona znacznych domów, w których był poufale i przyjacielsko przyjmowany, ale wszystkim złośliwie łaski przyczepiał.

Jak się to stało, że pod koniec obiadu, po kilku butelkach burgunda, gdy gęba się francuzowi nie zamykała, wpadł na dom wojewody, ojca tego, z którym mówił, było-li to przypadkowym, czy umyślnym? zgadnąć trudno. Stało się wszakże, iż gdy tych słów domawiał:

— Stary rogacz i ciemiegal!

Wojewodzie podniósł się nieco, rękę wyciągnął i z najzimniejszą krwią, dawszy mu w twarz, siadł jeść dalej.

Wszyscy czterej porwali się na niego z wrzawą okrutną. Na stoliku poza wojewodzie leżała szabla jego i musiał za nią pochwycić. Francuza, dobywającego szpady, przyjaciele pohamowali, inni goście nadbiegli w pomoc wojewodzie i sprawa skończyła się wyzaniem, tegoż dnia na Wolę.

Obiad spokojnie rozpoczęty skończył się burzliwie, kapitan ze swymi wyszedł zaraz, a wojewodzie, któremu nigdy oczekiwanie rąba-

niny apetytu nie psuło, obiad swój i wino dokończył z taką zimną krwią, jakby się nic nie stało.

Pojedynek umówionym był na poobiedzie. Nie miał czasu ani ochoty może wojewodzie szukać sobie sekundanta i postanowił stawić się sam na placu. Przytomni zwadzie, radzili mu się opatrzyć w towarzyszów, zaco wojewodzie podziękował z uśmiechem.

Posiedziawszy jeszcze z pół godziny za stołem, barszkując jak najweseliej, Wicek wstał w końcu i śpiewając poszedł na górę, kazawszy sobie fiakra sprowadzić, z którym nazad spodziewał się powrócić.

W gospodzie pod „Orłem,” widząc go wyjeżdżającego tak nieopatrznie samego, służba głowami potrząsała szepcząc: „pojechał.” Wicior był piękny bardzo, powietrze miłe.

W godzinę może po wyjeździe wojewodzica z pod „Orła” zjawił się tu Daliborski.

W sali na dole dwu starych polonusów grało w maryasza; starosta, który wszystkich znał, przypomniał się zaraz znajomości ich i od niechcienia spytał: czyby co niesłyszeli o awanturze dzisiejszej, o której mu w ulicy coś opowiadano.

— Znam tego młodego panicza, który francuzowi tak mocno rękę przyłożył do twarzy! Co się z nim i z tamtymi stało? Nie możecie mnie nauczyć?

— I owszem!—rzekł jeden z grających—ja tu byłem, gdy się ta historia rozegrała. Że francuz dostał po pysku, nie widzę w tém nic zdrożnego. Wyzwali się, chłopak chwata, rozumu go nauczy.

— Czy już pojechał?—zapytał Daliborski.

— Będzie z godzina!

— Z kim?

— Zdaje się, że sam.

Starosta, człowiek bardzo czynny i spieszący się zawsze, widać w Warszawie miał wiele czasu do stracenia, bo się przysiadł do maryasza i przypatrywał grze spokojnie.

Rozmawiano o różnych rzeczach do zmierzchu. W ostatku grający dokończyli puli, rozpłacili się i odeszli, a Daliborski, kazawszy sobie dać lampkę wina, pozostał.

Już i na wieczrę zaczęli się zbierać goście do dolnej sali, a Daliborski, niekiedy przez okna niespokojnie wyglądając, siedział i siedział.

Wtém fiakr, jadący noga za nogą, zatrzymał się przeddrzwiami gospody i w téjże chwili zewsząd ku niemu służba, z ulicy ludzie, gawieź wszelaka, zbiegać się zaczęli: hałas się zrobił.

Daliborski wina nie dopiwszy, za czapkę pochwycił i wybiegł. Przechodząc około fiakra, który już tłum otaczał, spojrzął i zobaczył we krwi broczącego, z głową zwieszoną wojewodzica, którego bosi i odarty chłopak, z ulicy pewnie wzięty, podtrzymywał. Twarz była śmiertelnie bladą, usta otwarte, a przez nie ciekła krew spiekła.

Starosta rzuciwszy okiem w głąb powozu i nie chcąc się widać mieszać do téj sprawy, natychmiast się cofnął i przez tłum przebiwszy zniknął.

Tymczasem litościwsi ludzie po doktora posłali, a gospodarz zajął się, lamentując, wydobywaniem z fiakra wojewodzica, który zaledwie znaki życia dawał. Nie był rannym jak zwykle w pojedynku raz tylko, pchnięć kilka w piersi krwią buchało, głowa była poraniona, stan nieszczęśliwego zdawał się zrozpaczonemu. Dyszał jednak jeszcze i niekiedy drgał, jakby się chciał porwać.

W tym stanie zniesiono go na górę do izdebki i złożono na łóżku. Opieki żadnej, oprócz téj, jaką gospodarz mógł dać, nie było. Niewiadomo nawet dokąd się zgłaszać po nią, wojewodzie imienia swego nie podał, a nikt z obecnych go nie znał.

Daliborski zaś nie musiał się wcale losem rannego zajmować, bo się i sam nie pokazał już więcej i nikt też inny nie przyszedł. Szczęśliwym wypadkiem, ksiązę Kazio przejeżdżał przez Tłomackie, gdy skrwawiony fiakr i około niego tłum ciekawych stał jeszcze, a że go każda awantura zajmowała, zatrzymał się rozpytać co to było.

Wiedział, że Wicus stał pod „Orłem,” tknęło go zaraz, iż ten ranny mógł i musiał nim być. Wpadł więc na górę i zastał zaledwie dyszącego przyjaciela, około którego nawet felczera jeszcze nie było. Niepoobwiązywane rany krwią płynęły.

Ksiązę miał serce złote, widok ten wprawił go niemal we wściekłość i w momencie rozesłał ludzi po doktorów. Interesowanie się, znanego w mieście i lubionego księcia tym rannym, wzbudziło wnet współzucie dla niego.

Przybyły zbawca, chociaż mu bardzo pilno było tam, dokąd jechał, pozostał przy chorym, aż do przybycia najprzód dwu felczyerów, a w pół godziny doktora Beckera.

Za owych czasów, gdy spotkania między szlachtą i pojedynki były daleko częstsze, niż dzisiaj, felczery nawet mieli wprawę wielką w staraniu około rannych. Pierwszy, który się zjawił, gdy suknie rozpinać zaczęto i obnażono ciało, krzyknął, że niema ratunku.

Potwierdził to drugi, który nawet nie chciał się zabierać do bandażowania, gdy wreszcie przybywający Becker, w milczeniu głową potrząsłszy, zabrał się sam rany oglądać i obwiązywać. Życia znaki objawiały się jeszcze.

— Mów mi prawdę!—zapytał ksiązę—jest jaka nadzieja?

— Bardzo mała—rzekł flegmatycznie Becker zakasując rękawy.—To nie był pojedynek, ale morderstwo. Rany nie są jedną szpadą zadane. Krwi uszło wiele, a czasu stracono jeszcze więcej.

I milcząc pochylił się nad napół martwém już ciałem wojewodzica.

KONIEC TOMU I-GO.

DROGI ŻELAZNE W KRÓLESTWIE POLSKIM*).

RÓWNOWAGA MIĘDZY INTERESEM TOWARZYSTW PRYWATNYCH
A INTERESEM OGÓŁU.

PRZEZ

Antoniego Wrotnowskiego.

II.

Droga żelazna nie traci charakteru użyteczności publicznej, dla tego, iż zbudowaną została przez Towarzystwo prywatne, a jój eksploatacja nie traci charakteru prywatnego dlatego, iż jest prowadzoną przez rząd. W pierwszym przypadku, przedsiębiorstwo budowy, niczem się nie różni od każdej innej roboty lub dostawy wykonywanj dla rządu;—w drugim zaś, prowadzenie przez rząd eksploatacji, niczem się nie różni od wykonania przezeń téj lub innej gałęzi przemysłu prywatnego, dla tych lub innych widoków. W obu zaś razach, droga żelazna jest dziełem użyteczności publicznej, i jednocześnie przedmiotem przemysłu prywatnego.

W tém téż rozróżnieniu szukać należy punktu wyjścia dla sprawiedliwego ocenienia, w jaki sposób urządzone być winny wzajemne stosunki między społeczeństwem z jednéj, a zarządem każdéj drogi żelaznej z drugiéj strony. Stosunki zaś te, tylko wtedy są sprawiedliwe, gdy utrzymują równowagę między dwoma interesami sprzecznymi z sobą: interesem publicznym czyli ogółu,—i interesem prywatnym czyli Towarzystwa drogi żelaznej, prowadzącego przemysł przewożenia po téjże drodze. Ta zaś równowaga jest do określenia najtrudniejszą, właśnie przy oznaczaniu wysokości opłat przewozowych.

Jakoż, wysokość rzeczonych opłat ustanawianą być winna z tą myślą, aby obudwu interesom ogólnemu i prywatnemu zapewniały odpowiedni udział w korzyściach, na które się składa publiczność jeżdżąca lub przewożąca towary i wyroby po drodze żelaznej. Że część tych korzyści słusznie i sprawiedliwie należy się przemysłowi prywatnemu prowadzącemu eksploatacją drogi, tego wykazywać niéma potrzeby. Druga część tych korzyści należy się wszakże samemu społeczeństwu, ogółowi posługującemu się drogami żelaznymi.

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za maj r. b.

Bez względu bowiem na mniejszą lub większą pomoc budżetową, udzieloną rzeczonemu przemysłowi przy budowie drogi, czyli bez względu na finansowy interes rządu, ma on niewątpliwy tytuł do udziału w korzyściach jakie droga przynosi, skoro jej eksploatacja wytwarza dla Towarzystwa prywatnego prawny przywilej, który tak samo jak każdy monopol, nie może mieć ani słusznej podstawy, ani prawowitości, ilekroć niema na celu dobra ogółu, czyli interesu całego społeczeństwa, którego naturalnym opiekunem jest właśnie rząd. Ten wszakże udział, będący wynagrodzeniem dla społeczeństwa, za zgodzenie się na rzeczony monopol, nie da się ani określić, ani wyrazić inaczej, jak w *taniości* opłat przewozowych, w sumie ułatwień, dla publiczności, czyli w obniżeniu kosztów przewozu.

Taniosc opłat przewozowych jest więc jednym z główniejszych celów rządu przy udzielaniu koncesyi na każdą drogę żelazną; taryfy przeto, powinny być wynikiem porównania kosztów, jakie pociąga za sobą budowa, urządzenie i eksploatacja drogi, z ilością przewożonych po niej towarów i z liczbą przejeżdżających. Rezultat tego porównania zowie się *ceną kosztu* (*prix de revient*), ta zaś cena jest podstawą każdego handlu i każdego przemysłu, skoro reguluje *cenę handlową* każdego wyrobu i każdego rodzaju usług.

Otóż, w rzeczy taryf, mających właśnie oznaczyć cenę usług żądanych od drogi żelaznej, wykrycie i udeterminowanie ceny kosztu zaraz przy udzielaniu koncesyi, nie jest możliwem. Z dwu bowiem czynników rachunkowych mających być przedmiotem porównania, czyli z dwu kolumn tegoż rachunku, pierwsza nie może być dokładna, do drugiej zaś żadnych jeszcze danych wówczas niema.

Jakoż, kolumna pierwsza tworzy się: *a*) z procentu od kapitału wydatkowanego na zbudowanie i urządzenie drogi; *b*) z funduszu na umorzenie tegoż kapitału, i *c*) z kosztów eksploatacji; dwie pierwsze pozycye są zawsze wiadomemi, ostatnia przecież, nie może być oznaczoną inaczej jak w przybliżeniu. Druga znowu kolumna powinna wyrażać ilość towarów przewożonych i liczbę osób przejeżdżających po drodze, czyli sumę żądanych i spełnianych przez nią usług, (*toutes les categories du trafic*), a właśnie pod tym względem nie można mieć danych nawet w przybliżeniu, i w chwili udzielenia koncesyi, ta druga kolumna musi pozostać niezapełnioną.

Chociaż więc wedle wskazówek nauki, taryfy powinny być rezultatem owęj *ceny kosztu*, w praktyce jednak musiano się obchodzić bez dokładnych wskazówek, i ustanawiać opłaty przewozowe, bądź po prostu na los, bądź kierując się cyframi, przyjętymi także na los gdzieindziej. I rzeczywiście, drogi żelazne są może jedynym przykładem przedsięwzięcia przemysłowego, opartego na cenie handlowej (*taryfach*), oznaczonej bez poprzedniego obliczenia ceny kosztu. I właśnie dlatego, równowaga między interesem ogólnym i interesem prywatnym, nie zawsze mogła być zachowaną przy ustanawianiu taryf.

Jakoż, przy udzielaniu koncesyi na budowę głównych linii dróg żelaznych we Francyi, nie mogąc obliczyć owęj ceny kosztu, wzięto za podstawę taryf cenę przewozu po drogach bitych, mianowicie zaś wyrachowano, ile jednostka (*unité du trafic*) płaci za daną odległość. Za kres, za maximum opłat przewozowych przyjęto więc cenę kosztu (*prix de revient*) ówczesnego przemysłu furmańskiego ¹⁾. Ilekroć zaś przewidywano, iż przy takiej wysokości opłat, Towarzystwa dróg żelaznych nie zdołają pokryć swych kosztów, rząd przychodził im z pomocami budżetowemi, pod nazwą subwencyi lub poręczenia procentu od kapitału wydatkowanego na zbudowanie i urządzenie drogi. Skutkiem zaś takiej metody działania, ogół nie zyskując z początku nic na tanioci przewozu, otrzymywał na swój udział te jedynie ułatwienia, jakie daje regularność i prędkość komunikacyi drogami żelaznemi.

Powyższa przeto metoda była widocznie wadliwą; zaprzeczyć jednak nie można, iż znalezienie lepszej, dokładniejszej, było rzeczą niemożliwą; że więc wzmiankowane oznaczenie wysokości opłat przewozowych wypadło przyjąć za punkt wyjścia, pozostawiając czasowi obniżanie tych opłat. A nawet i dziś, pomimo znanych już rezultatów na tyłu drogach żelaznych, udeterminowanie owęj ceny kosztu, jest jeszcze niemożliwem ²⁾; nie daje się bowiem obliczyć, o ile budowana droga żelazna wpłynie na rozwój przemysłu i handlu, ani jaki będzie

1) „Les agents de l'administration ont pris comme maximum, le prix de revient des entreprises de messagerie et de roulage. On a dit aux compagnies: vous viendrez jusque là, vous n'irez pas plus loin.“ P. J, Proudhon, *loco citato* str. 22.

2) Każdy przemysł usiłuje dojść do udeterminowania *ceny kosztu*, bez której nie daje się oznaczyć cena sprzedażna każdej z osobna operacyi handlowej, będącej ostatecznym jego zadaniem. Każda taka operacya zowie się *jednostką* (*unité de trafic*). W eksploatacyi dróg żelaznych taką jednostką jest przewiezienie danęj rzeczy z miejsca na miejsce, to bowiem przewiezienie jest ostatecznym zadaniem drogi żelaznej. Operacya ta zowie się *pracą użyteczną* (*travail utile*), zapłata bowiem za sumę takich operacyi dokonanych w danym okresie czasu, jest cyfrowym wyrazem finansowego rezultatu dla każdego przemysłu.

Zanim wszakże zacznie on wykonywać ową pracę użyteczną, a więc w przemyśle przewozowym, zanim droga żelazna zacznie przewozić osoby i towary, musi wytworzyć cały przyrząd eksploatacyjny i musi poczynić wydatki na wytworzenie i utrzymanie tegoż przyrządu. Zowie się to pracą *przygotowawczą*, rzeczzone zaś wydatki, *kosztami ogólnemi* (*frais généraux*). Chcąc zaś udeterminować cenę kosztu owęj jednostki, potrzeba nietylko obliczyć, ile ona sama *bezpośrednio* spowodowała wydatku, ale jeszcze odnieść do niej odpowiednią część kosztów ogólnych; trzeba więc wiedzieć, ile w danym okresie czasu będzie tych jednostek. Stosując zaś powyższą regułę do eksploatacyi, dla której ową jednostką, jest ostatecznie *waga i odległość* (np. centnar i mila), trzeba obliczyć, ile wynoszą koszta bezpośrednio spowodowane jednym frach-

wzrost ilości przewożonych po niej towarów. Z powyższej zaś metody wyniknęła znowu jednostajność taryf, bez względu na wysokość kosztów zbudowania drogi; jednostajność niesprawiedliwa w zasadzie, skoro wkłada obowiązek przewożenia za taką samą opłatą, po drogach na które wydano po 150,000 fran., jak po drogach, których kilometr kosztował dwa razy drożej.

W obec tych samych co Francya trudności znalazły się rządy innych krajów na kontynencie przy ustanawianiu opłat przewozowych dla dróg żelaznych. Nie mając podstawy ekonomicznej dla taryf przy udzielaniu koncesyi, musiano poprzestawać na doświadczeniu dróg już istniejących, przedstawiających cyfrowe pod tym względem dane. Taryfa przewozu drogi Petersbursko-Warszawskiej, której stawki, czyli ceny przewozowe, rząd przyjął za typ dla dróg żelaznych w Królestwie ¹⁾, także nie była wynikiem studyów dążących do udeterminowania ceny kosztu ²⁾, ale tak samo, jak gdzieindziej ustanowioną została na podobieństwo taryf zagranicznych i w cyfrach tychże taryf szukała dla siebie wzoru ³⁾. Publiczność przeto oczekiwać musi zni-

tem, i do nich dodać cząstkę kosztów ogólnych, wypadającą z rozłożenia sumy tych kosztów na wszystkie frachty z danego roku.

Otóż eksploatacya drogi żelaznej ma tę właściwość, że koszta spowodowane jednym frachtem, czyli wydatki odnoszące się specjalnie i bezpośrednio do tegoż frachtu, są nadzwyczaj małemi,—a przeciwnie, wytworzenie przyrzędu przewozowego i prawie wszystkie wydatki eksploatacyi, czyli koszta ogólne są bardzo wysokimi;—że nadto, te koszta ogólne, z owemi wydatkami przez jeden fracht spowodowanemi, w żadnym stosunku nie są, gdyż prawie wszystkie są także same przy transportach wielkich, jak przy transportach najdrobniejszych. Ma to zresztą miejsce w każdym przemyśle potrzebującym przyrzędu wydoskonalonego lub skomplikowanego i posługującym się pracą zbiorową. Im on bardziej skomplikowany, tém większą jest suma kosztów ogólnych, a zmniejsza się koszt bezpośredni, spowodowany ową jednostką.

Udeterminowanie ceny kosztu w przemyśle dróg żelaznych jest więc szczególnie trudne, a nawet niemożliwe, skoro im większa jest liczba frachtów, tém mniej na każdy z nich daje się odnieść kosztów ogólnych i *vice versa*. Gdy zaś ogólna liczba tych jednostek (*toutes les categories de trafic*) nigdy naprzód nie może być wiadoma, więc téż niewiadomo na ile tych jednostek przyjdzie rozłożyć owe koszta ogólne; cena przeto kosztu jednostki (np. centnara przewiezonego przez wiorstę), nawet w przybliżeniu ustanowić się nieda.

¹⁾ Art. XV koncesyi dla drogi Warsz.-Wiedeńskiej. Art. XIII umowy dodatkowej dla drogi Warsz.-Bydgoskiej. Art. 21 koncesyi dla drogi Łódzkiej i art. 21 koncesyi dla drogi Terespolskiej.

²⁾ *Les chemins de fer russes. Recettes et dépenses d'exploitation, prix de revient des transports et mouvement des marchandises*, par Jean Bloch, Président des chemins de fer Kiew-Brest, Libau et Lodzi, membre du conseil de la grande société des chemins de fer russes. 1875, str. 9, 65 i 66.

³⁾ Przyjęcie dla dróg żelaznych w Królestwie za podstawę cyfr taryfy

żenia opłat przewozowych od samego zarządu każdej drogi, który w dobrze zrozumianym interesie własnym, powinien ustanawiać ceny dostępnejsze i przez ułatwienia dla przemysłu i handlu, wywołać większy ruch na drodze. W tym kierunku poszły rzeczywiście zarządy dróg żelaznych w Królestwie, korzystając ze swobody, jaką im akta nadawcze zapewniały. Wedle tych aktów, podwyższenie ceny opłat oznaczonych przez rząd, jako *maximum*, nie może mieć miejsca bez zezwolenia tegoż rządu; zmniejszenie przecież tych opłat zależnym jest od uznania samych Towarzystw dróg żelaznych ¹⁾.

W rzeczonych aktach nadawczych jednocześnie zastrzeżono, iż rządowi służyć będzie prawo zaprowadzania zmian w taryfach co lat 10, jeżeli w ciągu lat trzech po sobie następujących, akcyonaryusze otrzymali czystego zysku więcej niż 10%. W przepisie tym wskazano więc, że powyższa stopa procentu jest granicą dla interesu prywatnego, że przeto wszelka wyższa korzyść z eksploatacji drogi, ma pójść na pożytek ogółu i w obniżaniu opłat przewozowych, czyli w kierunku taniości, bardzo właściwy znajdzie dla siebie wyraz. Niema potrzeby kłaść nacisku na doniosłość i ważność tego zastrzeżenia, którego cecha opiekuńcza jest dla każdego widoczną. Zaznaczyć tylko wypada, iż w ekonomicznym stanie naszego społeczeństwa, stopa 10% dla interesu przemysłowego, nie może być poczytywaną ani za nadmierną, ani za uciążliwą dla ogółu.

III.

Przepis aktów nadawczych, pozostawiający uznaniu samychże Towarzystw prywatnych, obniżanie opłat przewozowych, ustanowionych przez rząd, acz wywołany troską prawodawcy o dobro ogółu, jest powszechnie krytykowany, bez względu na to, iż właśnie w zastosowaniu tegoż przepisu, opłata przewozowa po drogach żelaznych dla wielu towarów, znacznemu uległa już obniżeniu ²⁾.

Uskarżania się publiczności są rzeczywiście usprawiedliwionemi z tego powodu, iż wedle rzeczonego przepisu, taryfy raz obniżone, mogą być znowu podwyższone aż do granicy owego *maximum*, za po-

drogi Petersbursko-Warszawskiej, naukowo usprawiedliwić się nie da, skoro zbudowanie téj ostatniej drogi kosztowało po 104,200 rubli kredytowych za wiorstę (patrz cytowaną wyżej pracę J. Blocha: *Ekonomiczeskoje sostojanie Rosii w proshlom i nastojaszczem*, str. 771), droga zaś Warszawsko-Bydgoska kosztowała tylko po 45,000 rubli kredytowych, droga Fabryczno-Łódzka po 49,000 rubli metalicznych, a droga Warsz.-Terespolska po 53,000 rubli metalicznych za wiorstę.

¹⁾ Też same artykuły czterech koncesyi.

²⁾ Wedle nowszych przepisów i obniżenie opłat przewozowych wymaga we Francyi zezwolenia rządu. (J. Bédarride: *Droit commercial des chemins de fer*. Tom I, str. 14. Paris, 1876).

przedniem na miesiąc ogłoszeniem o zaprowadzić się mającej ich zmianie. W rzeczy przeto opłat przewozowych, które w obec konieczności posługiwania się drogami żelaznemi, a więc w obec monopolu istniejącego po stronie Towarzystw prywatnych, mają dla publiczności toż samo znaczenie, co każda taksa i każdy podatek pośredni, interes ogólny całego społeczeństwa nie znajduje w istocie dostatecznej dla siebie rękojmi. Mianowicie zaś, wysokość kosztów przewozu po drogach żelaznych wprawdzie w granicach owego *maximum*, czyli jeden z ważnych czynników w handlu i w przemyśle krajowym, zależnym jest od umiarkowania towarzystw prywatnych, a więc od ich dowolności; społeczeństwa zaś, jak to trafnie wyrzekł jeden ze słynnych statystów, nie mogą swych interesów opierać na umiarkowaniu ze strony tych, którzy właśnie ustanawiają i pobierają taksy i opłaty publiczne ¹⁾).

To dążenie społeczeństw do zasad stałych, niezależnych od cudzej dowolności i mniejszego lub większego umiarkowania, jest naturalnym wynikiem dzisiejszej cywilizacji i cechą wieku XIX-go. Dowolność w rzeczy taks i opłat od publiczności pobieranych, znosi wolność cywilną, która znowu jest dźwignią dla politycznej wolności społeczeństw, urzeczywistnia ją bowiem i staje się najbliższym jej wyrazem. Ilekroć istnieje w tej dziedzinie dowolność lub władza, chociażby tylko dyskrecjonalna, publiczność pozbawioną jest jednej z tych rękojmi, które stanowią istotę rzeczy i bez której inne ustawy są tylko optycznym złudzeniem.

Niezależnie przecież od powyższego poglądu teoretycznego, dowolność zostawiona towarzystwom prywatnym podwyższania taryf, raz obniżonych, prowadzi w rzeczywistości do następstw dla społeczeństwa bardzo szkodliwych. Może bowiem zanieść ruinę tam, gdzie właśnie na podstawie taryf istniejących zakwitnęła zamożność; uniemożliwić liczne gałęzie przemysłu krajowego, których rozwój opierał się właśnie na tychże taryfach: bogacić wreszcie jedne miejscowości, kosztem miejscowości innych.

Te szkodliwe następstwa przychodzą w sposób dla każdego widoczny. Chcę np. założyć fabrykę mebli, muszę więc szukać nie tylko miejscowości na jej urządzenie, ale i miejsca zbytu na jej wyroby. Każdy pojmuje, że koszta przewozu mebli będą tu jedną z podstaw rachunku, od ścisłości zaś obliczenia będzie zawisł powódzenie przedsięwzięcia. Jeżeli więc fabrykę urządziłem w Częstochowie, rachując na to, że miejscem zbytu dla moich wyrobów będzie Warszawa, uczyniłem to na tej podstawie, iż po opłaceniu frachtu np. po 5 od każdego krzesła i po pokryciu wszystkich kosztów produkcji jeszcze na każdym krzesle sprzedawanem w Warszawie zarobię 2. Jeżeli zaś opłata za

¹⁾ „Nous aimons mieux une règle, quelque dure qu'elle puisse être, mais une règle qui soit stable, fixe et qui ne nous rende pas dépendants de la vertu et de la modération des personnes.” A. Thiers *De la propriété* (Bruxelles 1848), str. 275.

przewóz krzesła z Częstochowy do Warszawy, zostanie podwyższoną z 5 na 8; w takim razie nie tylko będę pozbawionym wynagrodzenia za całą pracę, ale nawet upadnie całe przedsięwzięcie, skoro zamiast korzyści obliczonej na 2, muszę na każdym krześle stracić 1. Każdy inny przykład wykazałby takiż sam rezultat. Dziwić się więc nie można, że dowolność w przywracaniu wyższych taryf towarzystwom prywatnym pozostawiana, jest potępiana bardzo surowo ¹⁾.

Tak więc przepis aktów nadawczych, zostawiający uznaniu towarzystw prywatnych, obniżanie taryf ustanowionych przez rząd, jest przepisem pożytecznym; wydanym był w interesie ogólnym i korzyść całego społeczeństwa miał niewątpliwie na celu. Jednoczesne przecież pozostawienie tymże towarzystwom dowolności w przywracaniu taryf raz znizonych, wywołuje następstwa przez rząd nieprzewidziane i dla tegoż interesu ogólnego szkodliwe. Dowolność ta, istniejąca zresztą wszędzie, nie jest nawet koniecznie potrzebna dla interesu rzeczonych towarzystw. Postępowałyby one z większą zapewne oględnością przy obniżaniu taryf i czyniłyby to rzadziej niż obecnie, gdyby im rzezone prawo nie przysługiwało; pożyteczniej jednak, gdy publiczność wcale nie korzysta z czasowego obniżania kosztów przewozu, niż gdy korzyść traci wtedy, gdy liczne stosunki ekonomiczne zawiązały się już w kraju, właśnie na podstawie owęj chwilowej taniości. Wprawdzie towarzystwa prywatne, także tracą znaczną część poprzedniego frachtu, ilekroć podwyższenie taryfy jest dla przemysłu szkodliwe; względ ten nie zawsze jednak i nie wszędzie zapobiega rzezonemu podwyższaniu.

Wobec powyższych wszakże uwag poczytujemy za obowiązek jednocześnie zaznaczyć:

1. że chociaż przywracanie wyższych opłat przewozowych jest dla ogółu niewątpliwie szkodliwem, niemożna przecież tego prawa samowolnie towarzystwom prywatnym odjąć, jest ono bowiem prawem w najuroczystszy sposób nabytém (*quaesitum*), a więc takim, które powinno być uszanowanem zawsze i wszędzie;

2. że w czasach normalnych, Towarzystwa dróg żelaznych w Królestwie nie korzystały ani razu z prawa przywracania wyższych opłat przewozowych;

3. że podwyższenie opłaty od przewozu węgla drogą Warszawsko-Wiedeńską, pozostające jednak jeszcze bardzo daleko od taryfy ustanowionej przez rząd, podwyższenie zaprowadzone podczas wojny i podrożenia monety metalicznej, nie usprawiedliwia bynajmniej zarzutów podniesionych przez niektóre organa prasy. Każde bowiem Towarzystwo musi się przedewszystkiem troszczyć o spełnienie zaciągniętych przez siebie zobowiązań, w szczególności zaś musi pod groźbą upadłości zapłacić w terminie procenta od obligacyi przez siebie wypusz-

¹⁾ „La faculté de réfaire la hausse après un certain delai, c'est un guet-apens,” mówi P. J. Proudhon w tylokrotnie cytowanem dziele, str. 388.

czonych. Mieliśmy sposobność wykazać ¹⁾, jak znaczną jest cyfra długi Towarzystwa drogi Warszawsko wiedeńskiej, gdy zaś jego obligacye wystawione są na monetę metaliczną, jest więc ono zmuszonem kupować złoto lub kurant zagraniczny, opłacając *ażio* w nieprzewidywaną wysokość. Różnica kursu pomiędzy rublami kredytowymi a złotem, podniosła w r. 1877 wydatek Towarzystwa drogi Wiedeńskiej, w jednej tylko kategorii procentów o kilkakroć sto tysięcy rubli. Niezależnie od tego wydatku, musiało ono zakupić część taboru w miejsce parowozów i wagonów wysłanych na widownię wojny i za tenże tabor, jak również za zwykłe zakupy materyałów na potrzeby eksploatacyi corocznie za granicą czynione, płacić także złotem. Było przeto w konieczności, szukać powiększenia dochodu tam, gdzie to powiększenie okazywało się do otrzymania najłatwiejszém.

Że podwyższenie kosztów przewozu węgla oddziaływało niekorzystnie na niektóre gałęzie przemysłu, podnosząc koszta produkcji, temu bynajmniej nie przeczymy. Wynikające ztąd zamieszanie w stosunkach ekonomicznych poczytywać jednakże należy za jedno z następstw podrożenia monety metalicznej; czynione więc zarzuty, jakie napotykalismy w druku, mogłyby być mieć podstawę w tym jedynie razie, gdyby taryfa drogi Wiedeńskiej ustanawiała opłaty w złocie, nie zaś w biletach kredytowych. Nie biorąc w rachubę ani potrzeby zakupienia tego metalu, ani jego drogości; nie zbadawszy ani cyfry zobowiązań Towarzystwa, ani jego zasobów, występujący w druku z rzeczonymi skargami, postąpili lekkomyślnie, zwłaszcza, że te skargi wypowiedali z namiętnością, od której rozbiór kwestyi ekonomicznych powinien zawsze być wolnym.

IV.

Dla nadania skutku przyjętej zasadzie, iż *maximum* opłat przewozowych, czyli tak zwane maksymalne *staroki* (*maximal sätze*), będą oznaczane przy udzielaniu koncesyi na budowę dróg żelaznych i tworzą regulatora pomiędzy interesem prywatnym z jednej, i interesem ogólnym z drugiej strony, wypadało brać pod rozbiór taryfy projektowane przez towarzystwa prywatne. Znowu zaś od ocenienia, czy drogi żelazne wyłącznie publiczny lub wyłącznie prywatny mają charakter, a w razie uznania, iż jednocześnie są dziełami użyteczności publicznej i gałęzią przemysłu prywatnego, od wyrzeczenia która z tych dwu cech ma być dominującą, musiał być zależnym wybór systemu, wedle którego opłaty przewozowe miały być ustanawianemi.

Mianowicie zaś, niezależnie od usiłowań rządu, udzielającego koncesyą, skierowanych ku zapewnieniu względną tanią kosztów przewozu,—usiłowań niewątpliwie towarzyszących przy układaniu ka-

¹⁾ W studyum: *Drogi żelazne Królestwa. Prawa akcyonaryuszów*, str. 32 (Warszawa 1877).

zdėj taryfy, — wypadło zdecydować, czy wartość najmu usług bez względu na wartość przewożonego towaru, czy przeciwnie, wartość tegoż towaru bez względu na wartość rzeczzonego najmu, ma być podstawą taryf.

Każda bowiem z tych podstaw wytwarza oddzielny systemat. Gdzie pozycye taryfy są jedynie cyfrowym wyrazem umowy o najem usług, ponawiającej się przy każdym przewiezieniu towaru, czyli gdzie są ocenieniem tychże usług, tam istnieje systemat *objętościowy*; gdzie zaś rzeczzone pozycye taryfy oznaczają opłaty przewozowe, ze względu na wartość przewożonego towaru i odpowiednio do tejże wartości, tam istnieje systemat *wartościowy*.

Pierwszy (objętościowy) opiera się więc na oznaczeniu, jaka ma być cena najmu przestrzeni wagonu zajmowanej przez towar, a raczej na przypuszczalnej lub rzeczywistej wadze tegoż towaru. Wynajmujący cały wagon, ładuje weń tyle ile pomieści, pod warunkiem, by nie ładował więcej, niż tenże wagon może znieść ciężaru, i płaci za wagę na wagonie oznaczoną; ilekroć zaś towar oddawanym jest do przewiezienia w sztukach, a nie w pełnym ładunku, wysyłający płaci od wagi rzeczywistej: od centnara, kilo lub puda.

Systemat znowu wartościowy polega na klasyfikacji towarów, opartej na ich przypuszczalnej wartości, i na każdą klasę oznacza odmienną opłatę, ustosunkowaną do tejże wartości, wskazując zarazem, iż każdy towar nie wymieniony w taryfie, poczytywanym będzie za należący do klasy najdroższej.

Łatwo więc dostrzedz, że interes prywatny towarzystw podejmujących się budowy i eksploatacyi dróg żelaznych, szukając dla siebie korzyści torem wskazanym w dziedzinie przemysłu i handlu, musiał się oświadczać za systematem wartościowym, pozwalającym za jednakową i taką samą usługę brać drożej tam, gdzie się więcej wziąć da, czyli nakładać taką opłatę, jaką przewożony towar znieść może; kiedy przeciwnie interes ogólny byłby zapewne dawał pierwszeństwo systematowi objętościowemu, jako zgodniejszemu z pojęciami o najmie usług, odpowiedniejszemu wywodom ekonomii społecznej, wygodniejszemu dla publiczności i pod każdym względem sprawiedliwszemu.

Ponieważ nastęrczy nam się jeszcze sposobność powrócić do tego przedmiotu i uwydatnić w jaki sposób każdy z tych dwu systematów znalazł w rzeczywistości zastosowanie, możemy przeto w tém miejscu na główniejszych ograniczyć się rysach. Systemat objętościowy poczytujemy za sprawiedliwszy przedewszystkiém dlatego, iż on nie narusza zasady równości wobec taryf, która znaczy to samo, co w innej dziedzinie zasada równości przed prawem, i która jest właśnie warunkiem sprawiedliwości każdej taksy publicznej, ustanawianej w interesie ogółu. Przyjmując ten systemat, społeczeństwa zapobiegałyby niesprawiedliwości, niedającej się uniknąć przy klasyfikacyi towarów. Jakoż, ażeby taryfy wartościowe były sprawiedliwemi, musiałyby tworzyć tyle klas, ile jest różnych wartości między towarami; nie możnaby

mianowicie zaliczać (jak to ma miejsce) do jednej i tejże samej klasy np. kufrów próżnych i materyi aksamitnych lub jedwabnych, albo pachnidel i korków; ani pomieszczać (jak to zdarzyłoby się mogło) w klasie 2-jej towary mniejszej stosunkowo wartości, niż te, które podchodzą pod klasę 3-cią. Gdy zaś towarzystwom prywatnym, jak to wyżej powiedziano, przysługuje prawo obniżania pojedynczo każdej pozycji taryfy lub przenoszenia towarów z klasy wyższej do niższej; mogłyby więc taniej przewozić towar, niż materyały surowe, z których tenże towar jest wyrabianym, np. żyto w ziarnie obciążać opłatą równą lub wyższą od pobieranej za przewóz mąki lub pieczywa. Nie da się też naukowo usprawiedliwić zasada, wedle której żądający przewiezienia towaru zamiast płacić zarządowi drogi wartość wynajętej przezeń usługi, pociągniętym jest do uiszczenia opłaty, noszącej na sobie wszelkie cechy premii lub komisowego, obciążającego operacją handlową lub przemysłową, bez względu na jej cyfrowy rezultat, operacją, podejmowaną zresztą na własne rezyko przesyłającego towar, i w której zarząd drogi żadnego nie przyjmuje udziału. W rzeczy opłat przewozowych, klasyfikacja towarów jest zastosowaniem idei progresyjności, ma tu więc to samo znaczenie, co wszelkie taksy progresyjne w dziedzinie podatkowości, uznawane powszechnie za szkodliwe dla interesu ogólnego. Słusznie przeto zauważono, że taryfy wartościowe nie opierają się na żadnym ekonomicznym prawie i mają swe źródło w monopolu, jaki przysługuje drogom żelaznym ¹⁾.

Gdy jednakże przy rozpoczęciu budowania dróg żelaznych w Anglii nie dostrzegano charakteru publicznego tychże dróg, ani nie uznawano, iżby one należały do dziedziny rządowej, publicznej, ale je poczytywano za nową gałąź przemysłu prywatnego; więc i przy ustanawianiu opłat przewozowych, starano się przedewszystkiēm uczynić zadosy interesowi prywatnemu przedsiębiorców budowy; zaczęło poszło, iż taryfy oparto na systemacie wartościowym ²⁾.

Jakoż, taryfy dróg żelaznych Wielkiej Brytanii mają klas siedm, mianowicie zaś pięć klas dla towarów (*merchandise*), szóstą specjalną (*special class*) i siódmą zwaną *mineral class*, nieobejmującą wszakże wszystkich rzeczy kopalnych, a wymieniającą natomiast obok niektórych kruszców, inne jeszcze przedmioty: cegłę, surowiec, rury do drenowania i t. p. ³⁾.

¹⁾ Dr. Karol Strasburger w rozprawie *O systemach taryfowych dla przewozu towarów na drogach żelaznych*, drukowanej w *Ekonomiście* z roku 1874, str. 361.

²⁾ „Die classification ist eine höchst ausgebildete Werthclassification in dem üblichen Sinne dieses Wortes, und geht in der Berücksichtigung des Werths sogar noch weiter als die deutschen Tarife.” Eduard Reitzenstein: *loco citato*, str. 96.

³⁾ Tamże, str. 97.

W każdej z pięciu klas towarowych istnieją znowu trzy podklasy dla przesyłek mniejszej wagi, nie dochodzących tony¹⁾, *smalls* zwanych. Mianowicie zaś, jedna dla przesyłek nieprzechodzących 28 funtów, druga dla przesyłek wagi od 28—56 funtów, trzecia dla ważących więcej nad 56 funtów, a mniej tony. Dopiero bowiem przesyłka ważąca tonę lub więcej, poczytywana jest za towar. Właściwie przeto taryfa towarowa obejmuje 20, nie zaś pięć klas. Klasa szósta ma zastosowanie tylko w tych razach, gdy przedmiot pod nią podchodzący wysyłanym jest w ładunku ważącym najmniej 4,000 kilogr.; klasa wreszcie siódma gdy ładunek waży przynajmniej 2,000 kilogr.²⁾

Powyżej streszczony systemat tak dalece odpowiada handlowemu usposobieniu narodu i jego zapatrywaniom na drogi żelazne, że zarówno zarządy tychże dróg, jak i publiczność angielska do taryf wartościowych zdawna nawykła, nie życzą sobie systematu innego. Systemat objętościowy, jak twierdzi autor, u którego zapożyczyliśmy wszystkie powyższe dane, w Anglii nie byłby nawet zrozumianym³⁾.

Na wzór taryf angielskich przyjęto we Francji także systemat wartościowy; wprowadzono doń wszakże ważną regułę na korzyść i dla interesu ogólnego. Mianowicie zaś, w udzielanych koncesjach na budowę dróg żelaznych (*cahiers des charges*), włożono na zarządy tychże dróg obowiązek przewożenia po cenie stałej i taniiej, przedmiotów obsługujących rolnictwo, lub służących do budowy i utrzymania dróg krajowych, albo wreszcie takich, których nabycie i obieg rozpowszechnić i ułatwić poczytywano za rzecz pożyteczną dla ekonomii kraju⁴⁾.

1) Tona=20 centnarów.

2) E. Reitzenstein: *loco citato*, str. 99.

Cyfrowe różnice tych klas objaśni przykład: opłat za przewiezienie tony za 100 mil angielskich (mila angielska=1,⁶¹ kilometrom, 4,⁷ mil angielskich =1 mili niemieckiej), idąc kolejną klas od najtańszej do najdroższej, wynosi jak następuje:

w klasie 7-jej zwanój <i>mineral class</i> . .	7 s. 6 d.
„ 6 „ <i>special class</i> . .	13 „ 4 „
„ 1 „ <i>merchandise</i> . .	24 „ 2 „
„ 2 „ „ . .	30 „ 5 „
„ 3 „ „ . .	35 „ —
„ 4 „ „ . .	43 „ 4 „
„ 5 „ „ . .	53 „ 4 „

w podklasach za każdej z tych 5-ciu klas, *smalls* zwanych:

do 28 funtów	1 „ 6 „
od 28 do 56 funtów	1 „ 9 „
od 56 funtów do tony	2 „ —

(E. Reitzenstein: *loco citato*, str. 209).

3) Tamże, str. 96.

4) Do takich przedmiotów są zaliczono wszystkiego rodzaju nawozy naturalne: błoto, popiół, mierzwa, guano, kości, wapno, ziemia, piasek, liście

Dla przedmiotów tego rodzaju ustanowiono więc klasę specjalną (*serie speciale*), oznaczając opłatę przewozową po 50 centymów od 1000 kilogramów za każdy kilometr. Pod względem zaś liczby klas i samej klasyfikacji towarów, uwzględniano przede wszystkim interes towarzystw prywatnych. Niema przeto jednostajności w taryfach, i każda droga właściwemi sobie rządzi się regułami. I tak np. taryfa drogi północnej (*chemin de fer du Nord*), dzieli się na 6 klas głównych (*series*), oprócz klasy specjalnej, o której dopiero była mowa; kiedy przeciwnie droga Orleańska ma taryfę podzieloną na trzy, droga zaś Flandryjska (*chemin de fer de Picardie et Flandres*) na cztery także klasy. W rzeczywistości przecież, istnieje na każdej drodze, bardzo znaczna liczba klas, skutkiem czego nietylko publiczność ale nawet ludzie fachowi dochodzą z niesłychaną trudnością do zaznajomienia się z wysokością opłat przewozowych i do zorientowania się wśród mnóstwa cyfr i kolumn. Trudność tę pojmie każdy, kto zechce wziąć w rękę zbiór taryf, od lat 19-u wydawany przez księgarnią A. Chaix w Paryżu, w edycjach co kilka miesięcy ponawianych z powodu zmian jakie są zaprowadzane co chwila. Mamy właśnie przed oczami 145-ą edycją tego zbioru, *Recueil Chaix* zwanego, wydaną w kwietniu 1877 roku. Jestto dzieło w dwu wielkich tomach *in 4-to majori*, drukowane czcionkami, bez pomocy szkieł powiększających niełatwo wyczytać się dającami;—pomimo to, tom I. (*pétite vitesse*) obejmuje 1,224 stronic, tom II. (*grande vitesse*) 746 stronic.

Nie mamy bynajmniej zamiaru wprowadzać czytelników w ten prawdziwy labirynt; zaznaczamy jedynie, iż sama już zewnętrzna postać taryf, wywoływać musi zarzut przeciwko systematowi, na którym się one opierają. Są one w istocie niezrozumiałemi dla ogółu, a przecież pierwszym warunkiem wszelkich taks, jest właśnie jasność zasad i łatwość ich zrozumienia przez publiczność. Dla wykazania braku tej jasności, weźmiemy za przykład drogę północną (*chemin de fer du Nord*). Oprócz 6-u głównych seryi taryfy i oprócz seryi specjalnej, czyniącej zadosyć zastrzeżeniom koncesyi, taryfa tej drogi ustanawia opłaty wedle oddzielnych zasad:—dla przesyłek, z których każda z osobna sztuka, waży mniej 40 kilogramów,—dla srebra, złota, haftów, korenek i przedmiotów sztuki (50% wyżej ceny w seryi 1-jej),—dla produktów służących za pokarm (*denrées*) i dla przedmiotów niewymienionych w taryfie, które przy objętości metra kubicznego nieważą 200 kilogramów (50% wyżej ceny oznaczonej w odpowiednich na te przedmioty klasach);—dla przedmiotów ważących od 3000 do 5000 kilogramów (50% wyżej) i ważących od 5000 do 10,000 kilogramów (100% wyżej cen oznaczonych w taryfie) i t. d. Oprócz tego, droga północna ma 43 taryf specjalnych (zajmujących w rzeczonym zbiorze 20 stronic druku), każda dla mniejszej lub większej liczby przedmiotów. A w po-

i t. p., pudreta i wiele gatunków nawozów sztucznych, kamień, szaber, zwir, płyty kamienne, węgiel, torf, żelazo i t. p.

wyższem zastosowaniu, pominęliśmy jeszcze taryfy szybkiego przewozu (*grande vitesse*), taryfy bezpośredniej i międzynarodowej komunikacji ¹⁾.

Takież same zarzuty wywołują taryfy dróg żelaznych w innych krajach Europy, oparte także na systemacie wartościowym. Unikając powtarzań, nie zatrzymujemy się na tych taryfach, musimy jednak zwrócić uwagę, na przepis art. 45 konstytucyi Cesarstwa Niemieckiego, — przepis wielkiej doniosłości, wymieniający przedmioty, które każda droga żelazna niemiecka jest obowiązana przewozić za opłatą jednego feniga od centnara i mili. Zharmonizowanie interesu ogólnego całego społeczeństwa, z interesem prywatnym Towarzystw dróg żelaznych, uznano więc w Niemczech za jedno z ważniejszych zadań państwowych, skoro zasadzie, mającej właśnie zapewnić tę obu interesów harmonią, dano miejsce w ustawie, rządzącej publicznie i polityczne stosunki państwowe i rządowe Cesarstwa. Nieprzepomniano przeto zapewnić przez tęż ustawę tanioci przewozu tego wszystkiego, co ułatwia rozwój rolnictwa i przemysłu krajowego i co dodatnio na ogólny oddziaływa dobrobyt ²⁾.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

1) Taryfy *grande vitesse* zajmują także 23 stronice w tym samym zbiorze, którego tytuł wypisujemy: *Recueil général des Tarifs des chemins de fer et de leurs correspondances pour les transports à grande et à petite vitesse*. Na taryfy bezpośredniej i międzynarodowej komunikacji zwrócimy uwagę w jednym z następných rozdziałów. W tém zaś miejscu, dla dania pojęcia o różnicy cen między klasami taryf francuzkich, dajemy przykład z taryfy drogi północnej; za odległość między Paryżem i Amiens (129 kilometrów). Od transportu wagi 1000 kilogramów, opłata wynosi:

w klasie 1-ój	—	20 franków	60 centimów
„ 2-ój	—	18	„ — „
„ 3-ój	—	15	„ 40 „
„ 4-ój	—	12	„ 90 „
„ 5-ój	—	10	„ 90 „
„ 6-ój	—	8	„ 20 „

2) Z tej tanioci korzystać ma prawo więcj przedmiotów w Niemczech niż we Francyi.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

(za rok 1877).

Dość powszechnie odzywały się ostatniemi w naszej prasie głosy przedwczesnego tryumfu, zwiastujące nową dobę odrodzenia swojskiej twórczości dramatycznej. Wielu krytyków, zaznaczając skwapliwie pewne ożywienie, jakie rzeczywiście okazało się na tém polu, podniosło zbyt może optymistycznie wartość kilku prób i utworów szczęśliwszych. Nie miały one jednak dość żywotnej siły, aby mimo chwilowego powodzenia przeżyć owe „dni motylka,” będące dobą trwania dzieł wielu współczesnych autorów, co dla doraźnego wpływu lub powodzenia zapominają o tém, że trzeba opierać wszelką poważną kompozycyą na czynnikach głębszej wartości psychicznej i artystycznej. Nie dzieląc wszakże zapału zbyt skwapliwych chwalców, przyznać wypada, że bądźco bądź w tej dziedzinie twórczości powstały siły świeże, talenta może niezbyt wysokiego nastroju, ale posiadające pewien dość znaczny stopień twórczej oryginalności. Pomimo zacieśnionej, z natury rzeczy, sfery działania widać w najnowszej komedii naszej, znamiona realno tendencyjnego kierunku, który odpowiada prądom utylitarnym, obudzonym w ostatnich głównie czasach wśród społeczeństwa naszego.

Dotychczasowe jednak objawy naszej twórczości dramatycznej, nie mogą stanowić danych do przyznania jój rozkwitowi takiej ważności, któraby stanowczo różnicowała obecną dobę rozwoju literackiego od epok poprzednich.

W każdym razie wykazują one większe niż dawniej ciężenie talentów pisarskich w tym kierunku, podsypane żywiej także zwróconą uwagą ogółu i możnością przemówienia do wyobraźni najdzielniejszą wymową plastyki scenicznej. Scena nasza ostatniemi czasy okazawszy większą niż kiedykolwiek gościnność dla swojskich utworów dramatycznych, położyła istotne zasługi, podniecając do działania rodzime talenta, z których powodzenia zbierała znaczne materyalne i moralne korzyści. W ubiegłych latach kronikarz teatralny rzucając okiem na całoroczną działalność naszej głównej instytucji artystycznej, mógł z zadowoleniem wskazać stopniowy wzrost ilości swojskiej produkcyi, która powolnie zajmować zaczęła najważniejsze stanowisko w repertuarze.

W roku zeszłym obok nowości literatury bieżącej dostarczyły wątku do scenicznego ruchu: sztuki, które będąc spuścizną przeszłości, dopiero jednak po raz pierwszy ukazały się przed oczyma krytyki i publiczności. Były to komedye pośmiertne Fredry, których pojawienia

się oczekiwano z taką niecierpliwością, z taką nadzieją i powątpiewaniem.

Oczywiście, cała doniosłość społeczno-literacka takich dzieł pośmiertnych, niezależnie od ich wartości, jako sympatycznych lub ciekawych wspomnień, polega na tém, czy posiadają one przymioty i żywioły artystyczne, psychiczne i moralne szerszego i ważniejszego znaczenia; czy istotnie podają społeczeństwu treść i piękność albo wiekiście młodą i świeżą, albo téż taką, która opierając się na podstawach życia epoki i jej estetycznego smaku, nie stała się jeszcze pomnikiem przeszłości?

Dzieje literatury naszej przedstawiają przykłady takiego spóźnionego pojawienia się utworów literackich, które w swoim czasie, mogłyby odegrać rolę pierwszorzędných zjawisk twórczości, a spóźniwszy się o lat kilkanaście, zostały przyjęte chłodno i obojętnie, jak wspomnienia tego, co umarło w życiu umysłowém bez nadziei zmartwychpowstania. Oczywiście nikt podobnego losu nie mógł przepowiadać dziełom pośmiertnym dramaturga, którego talent dzielny, oryginalny i pełen rodzimój żywotności, jeszcze dziś tak silnie przemawia w swych arcydziełach i przemawiać będzie do ducha społeczeństwa naszego póty, póki typy, jego piórem utrwalone w sztuce, żyć będą w naszych sercach i pamięci. Nie spodziewając się, by autor wykształcony na innych tradycjach i wzorach literackich, mógł się dostroić do kierunku twórczości lub wymagań estetycznych chwili bieżącej, zadawano sobie słusznie pytanie: ile w nieznaných dotąd utworach, Fredro okaże jeszcze téj niepożytej siły rodzimego talentu, jaki okaże stopień artyzmu, nadającego urok i trwałość jego utworom najznakomitszym? Treści-wa charakterystyka czterech jego utworów przedstawionych w roku zeszłym, będzie odpowiedzią na to pytanie.

Wysłuchawszy pierwszego aktu komedyi: *Wielki człowiek do małych interesów*, stanowiącego pod każdym względem wyborną introdukcją sceniczną, spodziewaliśmy się, że literaturze naszej przybywa nowa komedia obyczajowa, oparta na komizmie wyższego znaczenia, który nie przemija wraz z chwilą bieżącą, ale streszcza jedną z dość powszechných a ważnych ujemności charakteru narodowego. W głównym typie Jenialkiewicza ujrzeliśmy odrazu streszczenie rysów wspólných pewnemu rodzajowi społecznemu, grającemu śmieszną komedią wielkości w zacieśnionych stosunkach obyczajowych. Żywość sangwiczna tak pospolita w naszym temperamencie rasowym, w połączeniu z próżnością i przecenianiem własnej wartości, które są także wadami odziedziczonemi z dawniejszego układu stosunków społecznych: wszystko to razem wytwarza w naszym społeczeństwie jednostki, których wybitnym przedstawicielem jest Jenialkiewicz. Weźcie płytka, ale ruchliwą energią, podnieconą wysokimi pretensjami, która musi szukać dla siebie ujścia w warunkach zacieśniających pole społecznej działalności jednostek, a będziecie mieli powtórzony w nowszych stosunkach typ powiatowych wielkości, którym osobiste uroszczenia nędz-

néj ambicyi zaślaniały do tego stopnia sprawy dobra ogólnego, że nawet groźba czyhającej zagłady społecznej, nie mogła być dostateczną przestrogą. Niegdyś taki Jenialkiewicz byłby niewątpliwie głową jakiejś ubóstwiającej go koteryjki, gardłowałby na sejmikach za jakimś przywilejem powiatowym, uwalniającym od ciężarów państwowych, paradowałby huczno, a buńczuczno, narzucając, gdzie się da, swą polityczną robotę z wysokim przekonaniem o swéj zaściankowej wielkości. Jenialkiewicz, żyjący w takich warunkach, w jakich go ukazał Fredro, nie może zbyt rozwinąć swéj ruchliwości w dziedzinie spraw publicznych, ponieważ jest synem innéj epoki, żyje w czasach, gdy biurokracya centralistyczno-austriacka znajdowała się u szczytu swéj potęgi w Galicyi.

Nic dziwnego, że Jenialkiewicz w takiej epoce, ze swemi preferensjami do wielkości, zachorował na powagę pseudo-dyplomatyczną i bawi się w ministeryalną ostentacyą, nadając byle drobnostkom znaczenie niezmiernie doniosłe, jeżeli tylko wchodzą one w zakres jego działalności. Choruje on na znakomitość uniwersalną, jest potrochu statystą i ekonomistą, administratorem i rolnikiem. Zawsze zajęty mnóstwem najrozmaitszych interesów, zawsze zaambarasowany, bawi się w biurowość, w pisomanią, prowadzi na wszystkie strony korespondencyjne stosunki bez żadnego celu. Autor oparł komizm téj figury na kontraście zachodzącym między wysokim przecenianiem swéj wartości a błahością przedmiotów, jakimi się zajmuje, oraz lichotą działania w sprawach istotnie ważniejszych, uwydatniając przeważnie jednak pierwszą stronę w formie wesołego żartu i scenicznego konceptu. To pewna jednak, że znakomity dar obserwacyjny Fredry, pozwalający mu schwycić *de visu* charakterystyczne znamiona téj kategorii indywidualów społecznych, nie połączył się tu z dokładną świadomością tego, jaką typ podobny zawiera w sobie treść obyczajowo-społeczną, w jakich warunkach i pod działaniem jakich ogólniejszych wpływów urabiają się tego rodzaju indywidualności?

W postaci téj Fredro schwycił tylko stronę zewnętrzną, komiczną przez zabawność, a nie wydobył tego głębszego motywu zasadniczych ułomności ludzkich, czy społecznych, jakie spotykamy w prawdziwie wielkich typach komicznych. W pomysle tego typu tkwiła treść do wyższej komedyi obyczajowej, niekoniecznie w kierunku satyrycznym, ani zwłaszcza tendencyjnym, nie godzącym się z przedmiotowym nastrojem twórczości autora *Zemsty*, ale do owéj wielkiéj komedyi, która w pewnych kapitalnych kreacyach stawia przed oczy społeczeństwu i całej ludzkości wiekuiste zwierciadła zasadniczych błędów lub śmieszności, tkwiących w naturze naszego jestestwa.

Fredro dowiódł w swych dawniejszych komedjach, że w stosunku do naszego społeczeństwa unie stwarzać arcy-typy, które zapewne nie tracą nigdy w naszych oczach swego wielkiego znaczenia, jako przedstawiciele pewnych wybitnych rysów fizyognomii narodowej. W charakterze Jenialkiewicza Fredro był blizkim stworzenia, jeżeli nie ty-

pów takiej doniosłości jak Cześniak lub Rejent, to przynajmniej głębszej figury komicznej, uosabiającej, jak np. Geldhab, pewien rodzaj społeczny, rozwinięty głównie w danej epoce. Na nieszczęście jednak znakomity autor w dalszym ciągu tej sztuki, z dziedziny wyższej komedyi charakterów, schodził powoli w sferę komizmu sytuacyjnego, tak że w czwartym akcie przechylił się już stanowczo ku farsie. Pociąg do niższego komizmu, który tak zaszkodził Papkinowi w *Zemście* i stworzył *Nowego Don Kiszota*, zepchnął w dalszém tworzeniu *Wielkiego człowieka* płodną fantazyą komiczną autora z tych podnioślejszych torów, na których tworzyła dzieła nieprzemijającej wartości.

Fredro chciał widocznie tutaj zerwać z dawną tradycyą swęj formy, chciał tworzyć swobodnie według nowszej manieri, ale straciwszy z przed oczu główne założenie i akcyą sztuki, zbudował jęj następne cztery akta z ustępów epizodycznych, drugoplanowych, które w dobrej kompozycyi znalazłyby miejsce często za kulisami. Ten Jenialkiewicz, tak wybornie zapowiedziany w akcie pierwszym, przez akt drugi nudzi nas w słabęj i rozwlekłęj ekspozycyi biurowych czynności. Od trzeciego aktu schodzi na trzeci plan sztuki, w której następnie płacze się kilka współrzędnych, luźnie zczepionych z sobą motywów. Dzielný talent autora, jego pełna rodzimęj werwy pomysłowość komiczna, błyskają świetnie i w dalszym rozwoju sztuki, ale znika już niepowrotnie ten efekt całości, który w każdém dobrze poczętém i wykonaném dziele stanowi jego najwyższą i konieczną syntezę i harmonią estetyczną.

Prócz Jenialkiewicza znajdujemy w tej komedyi inne jeszcze postacie skreślone wybornie, lecz nie spojone dostatecznie z biegiem akcyi. Taki Dolski jest figurą zupełnie niepodobną do innych postaci Fredry, pomyślaną nietyle w duchu typów ogólniejszych dawnęj komedyi, ile raczej czysto indywidualnych postaci nowszej belletrystyki. Charakter jego kreślony w arcy subtelnych, a jednak pewnych zarysach, przedstawia bardzo ciekawą walkę natury szlachetnej z własnymi słabościami. Autor potrafił komizm tej postaci oprzeć na dziwnie szlachetnym gruncie, nadającym się do wyższej komedyi. Dolski z całą nieśmiałością swoją i hamowaniem porywów żywego temperamentu, jest postacią w wysokim stopniu zabawną, a jednak moralnie i estetycznie piękną. Pomimo niektórych swych słabostek, widoczném jest, że postać ta w ciągu tworzenia sztuki wyrastała stopniowo w fantazyi autora i pociągnęła ją silnie ku sobie, a w skutek tego usunęła na drugi plan tytułową figurę komedyi. Komicznej stronie tej postaci autor poświęcił cały akt IV, pełen żywego farsowego ruchu. Inne charaktery wprowadzone do komedyi, z małemi wyjątkami nie odpowiadają wartości tych dwu znakomitych figur, a dwie role kobiece są parafrazą Klary i Anieli ze *Slabów*, niedorównywającą pierwowzorem. W ogóle komedyja ta należy do gatunku płodów połowicznych posiadających pomieszane cechy różnych rodzajów. Sam pomysł sztuki dawał materyał do komedyi wyższej, obyczajowej, w rodzaju *Slu-*

bów panięskich, tylko z odcieniem nieco satyrycznym. Ale humor Fredry mający tyle skłonności do szarży i farsy, pociągnął w tym kierunku jego fantazyą, a zwichnąwszy myśl zasadniczą, sprawił, że sztuka nie ma jednolitego założenia i płynącego ztąd organicznie biegu akcji. Cały jęj urok polega na sile rysunku kilku figur, na żywym prowadzeniu wielu pojedynczych scen, a nadewszystko na humorze pełnym niezrównanej świeżości, życia i zamaszystości, jasnym i pogodnym jak uśmiech wiejskiej dziewczoi, jędrnym, cokolwiek rubasznym, ale zawsze pełnym swojskiej kordyalności, która ujmuje nas sympatycznym urokiem. Komedia ta zresztą zdradza już pewną zmianę stylu komicznego. Z pół-klasycznych molierowskich zarysów, jakie widzimy w celniejszych płodach Fredry, przechodzi on do form bardziej luźnych, do przeciętnego realizmu więcj zbliżonych, o rysunku i kolorycie powiewniejszym nieco, bardziej subtelnym i nikłym zarazem. Styl to podobny do bardziej zdrobniałego komizmu Jana Maksymiliana Fredry, i dziedzica pewnych tylko właściwości rodzicielskiego humoru.

Zupełnie odmienny stosunek pomysłu do wykonania, przedstawia druga późniejsza komedia autora *Zemsty* p. t. *Dwie bliźny*, gdyż widzimy w niej zawikłanie czysto farsowe, w guście włoskiego *imbroglio*, prowadzone w stylu artystycznie wytwornym, pełnym skończoności i finezyi, która z tęj jednoaktowej komedyjki robi jeden z piękniejszych obrazów obyczajowych. Widzimy tu patryarchalną surowość i duch rygoru rodowego w koniecznym starciu się z nowszą swobodą obyczajów, chociaż kontrast ten występuje tu bardzo łagodnie w formie zabawnego nieporozumienia, która nie zawiera w sobie czynników dramatycznej kolizyi. Pełna wdzięku i młodości wdówka, straciwszy starego męża, narzuconego jęj przez familijną rachubę, ma znowu oddać serce i rękę nowemu wybrańcowi rodzinnych protekcyi, czego pilnie strzeże poważna matrona, pani marszałkowa, będąca wcieleniem rodowego despotyzmu. Z początku czujemy w tęg życiu dwu niewiast atmosferę nieco klasztorną, jaka panowała w komnatach niewieścich wielu patryarchalnych rodzin, trzymających się wiernie starego obyczaju. Wkrótce jednak w tęg surowém ustroniu zapłonęła miłość jasnym blaskiem i rozświeciła klauzurową martwość. Że młoda wdówka nie została żoną sztywnego i wychuchanego dyplomaty, ale poślubiła młodego a dziarskiego oficera, który literalnie „spadł z deszczem“ stało się to tylko dzięki *dwom bliźnom*, któremi nacechowanemi są czoła obu konkurentów. Zawikłanie wynikające z tego szczególnego zbiegu okoliczności prowadziła ręka biegłego mistrza sceneryi, lubo komedia grzeszy cokolwiek rozwlekłością, ponieważ Fredro z prawdziwém zamiłowaniem wykończył każdy szczegół, każdą sytuacją. Ileż tu delikatnej finezyi, ile subtelnego humoru zarówno w przewybornym rysunku wszystkich figur, jak i w komicznie sytuacyjnym, tym razem zupełnie wolnym od farsowej szarży, która jednak leżała w istocie samego pomysłu. A jakże to świeże i oryginalne po-

stacie, podjęte po mistrzowsku z rzeczywistości obyczajowego życia; co za pyszny typ tej pani sędziny, zaściankowej despotki, która jest zarazem i bardzo zabawną i bardzo szanowną, pełną dystynkcy matroną; jak wybornym jest ten młody dyplomata, w którym dystynkcyą łączy się z biurokratyczną sztywnością i prawdziwie angielską flegmą dobrze wychowanego gentlemana; a jak sympatyczną ta młoda wdówka, znosząca jarzmo rodowe z łagodnym poddaniem się; jakże przyjemnym ten pan oficer, dzielny i wesoły chłopak, topniejący powoli pod jej wzrokiem; jakże zabawną ta małomówna i ujarzmiona panna Figarzewska, automat posłuszny skinieniu samowładnej matrony. Jestto jednym słowem obrazek pełen życia, ciepła i wdzięku, wabiący mile widza i słuchacza kolorytem niezmiernie prawdziwym, estetyczną harmonią i skończonością. Fredro jako artysta przypomniał nam tutaj najlepsze swoje chwile, zdradzając tylko w zbytnej rozwlekłością długi swój rozbrat ze sceną. Z dotychczas znajomej nam pośmiertnej spuścizny jego talentu, sztukę tę na pierwszym miejscu stawiamy bez wahania.

Nie można tego powiedzieć o jednoaktowym drobiazgu *Świczka zgasła*, który jest czemciś w rodzaju francuzkiej *causerie en deux*, przeniesionej na tło rodzime. Ten błyskawiczny romans dwojga robotników pocztowych w leśnej chałupie, zaczęty sprzeczką a skończony zareczynami, jest przedmiotem nadto już zużyty na scenie, aby mógł obudzić istotne żywsze zajęcie, témbardziej że autor nie poparł go zbyt świetnym opracowaniem, a ocalił tylko do pewnego stopnia swojskim kolorytem.

Jeżeli ten drobiazg może co najwięcej zasługiwać na wzmiankę w kronice scenicznej, jako pospolita zręcznostka, to jednoaktowe przysłowie *Z jakim się wdajesz, takim się stajesz* świadczy o zbyt skwapliwym ujawnianiu nawet najmniej uwagi godnych resztek spuścizny po wielkim pisarzu. Błahość pomysłu i naiwność obrobienia tej sztuki każą nam przypuszczać, że jest ona jedną chyba z prób młodzieńczych, zachowywanych pod sekretem w autorskiej tece, a ocalonych od zasłużonego losu w płomieniach, jedynie tylko dzięki słabości, którą tak często mają autorowie dla pierwocin swego talentu. Wydobycie tej komedy z pyłu zapomnienia, nie może być przysługą dla sławy i uroku, jaki Fredro dotąd wywiera na wszystkich polskich scenach.

Wogóle rzecz można, że dotychczas poznała część spuścizny po znakomitym komedyopisarzu, mało przyrzuciła promieni do aureoli jego sławy, chociaż dała nam poznać dwa utwory, jeżeli niedorównywające najprzedniejszym arcydziełom, przewyższające jednak mierniejsze komedye dotychczas znanego zbioru. Żadna z nich, bez wątpienia, w obec dzisiejszych dążeń, wymagań i postępu techniki dramatycznej, nie może się pochlubić żywotnością założenia albo świetnością efektów scenicznych, aby mogła sprawić wrażenie dzieła niezapóźnionego w obecnej chwili, nie może także wykazać takich przymiotów, któreby zapewniły jej wieczno-trwałą egzystencją sceniczną, niezależnie od do-

broci wykonania scenicznego albo falowania zmieniających się gustów. To jednak pewna, że celniejsze z tych sztuk, przypomniały nam żywo szczęśliwe chwile polskiego humoru, że podbiły słuchaczów nienaśladowaną, niepokonaną w swym uroku zamaszystością, swobodą i rodzinną dziarliwością, że dały nam dużo śmiechu zdrowego, niezaprawionego gorącym odczynnikiem pesymizmu, dały kilka arcy żywych i arcy sympatycznych obrazków obyczajowego życia niedawnej przeszłości. Chociaż więc nadzieje wielu miłośników Fredry, obiecujących sobie odnaleźć w jego spuście nowe arcydzieła, w znacznej części zawiedzionemi zostały, jednakże w dziejach sceny naszej *Wielki człowiek*, *Dwie blizny*, stanowią karty jeżeli niezbyt świetne, to jednak sympatyczne i godne uznania.

Nie oślepia także zbyt swém bogactwem współczesna dramatyczna produkcya, o ile jej owoce mieliśmy sposobność poznać w roku zeszłym z desek naszej sceny. Po wysiłkach konkursu z r. 1876, które wykazały wiele szerszego zakresu usiłowań, niezawsze uwieńczonych pomyslnym skutkiem, w roku zeszłym przeważnie na scenie naszej widzieliśmy utwory mierniejsze, o bardzo niewielkiej sile żywotnej, tak, że żadnego z nich nie możemy policzyć do trwalszych i bardziej doniosłych nabytków literatury naszej, ani też uznać jako zapowiedź lepszych nadziei.

Najpoważniejszy nastrojem i najbardziej pretendujący do tytułu wyższej komedyi utwór p. Zalewskiego *Złe ziarno*, wykazał wszystkie braki tego zręcznego pisarza, a nie mógł się zbyt poszczycić jego zaletami, przynajmniej w budowie i rozwoju całości. Mamy tu znowu założenie nader pospolite, sformułowane dość niejasno, a podnoszone pretensjonalnie w ciągu sztuki jako żywotna tendencya. *Złém ziarnem* jest tu i próżniacza młodzież, trwoniąca czas i siły na szulerstwie i próżniactwie, zaprzędająca godność własną dla miłego grosza lub łatwego użycia. Jestto, jak widzimy, temat obgadywany wielokrotnie przez autorów naszych z tą tylko różnicą, że zamiast oręża ciężej satyry, którym szermował Bogusławski, p. Zalewski uzbraja się w tym celu frazesowym gromem morału i traktuje oddawna chłostane ujemności, jako chorobę specjalnie współczesną. W każdym razie tendencyjność jego sztuki nie może sobie rościć prawa do oryginalności, gdyż polega na ujęciu w jedno powierzchowne określenie różnych wad i ułomności jednostkowych, nie rozwija ani palącego zagadnienia społecznego, jak Dumasowska komedya, ani chłostcze biczem satyry błędów pewnej grupy społecznej, jak stworzona przez Barrière'a komedya typów zbiorowych, która się dość szczęśliwie na naszym gruncie przyjęła (Lubowski, *Nietoperze*). Akcya tej sztuki opartą jest na sytuacji jaskrawej, wyjątkowej, która w naszym obyczajowym życiu może być uważaną za moralną anomalią, nie mającą typowego, ogólniejszego znaczenia, chociaż podobno autor poczerpnął ją z kryminalnej kroniki. Ojczym zakochany w swęj pasierbicy do szaleństwa, do zapamiętałości, poniewie-

rający żonę, którą zaślubił dla interesu, godzący na życie ukochanego przez czystą dziewicę młodziana, w naszych stosunkach obyczajowych wydaje się niezbyt prawdopodobnym, a w każdym razie wstrętnym wyjątkiem, témbardziej, że autor zajęty głównie zewnętrznym sytuacyjnym efektem, nie poparł założenia swój sztuki odpowiednią psychiczną charakterystyką, ani nie miał dość siły i głębokości, aby oddać z odpowiedniem napięciem możliwość takiej napiętności. Widzimy tu uciekanie się do efektownych pomysłów akcji, do sztucznych kombinacji bajki dramatycznej, do efektów sceneryi, które starają się maskować brak tej wyższej twórczości, co nawet najprostsze motywa umie podnieść wysoko, rzucając na nie światło oryginalnych myśli. Brak tej oryginalności w nastroju myślowym, brak samodzielnej obserwacji w kreśleniu charakterów, jest główną literacką wadą utworów scenicznych p. Zalewskiego, które w skutek tego nie dostarczają karmi duchowej umyślom, szukającym poważniejszych i rzeczywiście *nowych* wrażeń. Słuchając jego komedyi, prawie nigdy nie możemy zapewnić, że widzimy przed sobą sztuczną sceniczną robotę, że patrzymy nie na obraz estetyczny, wzięty z życia, ale na produkt sztucznych kombinacji, obliczonych na zewnętrzny i doraźny efekt. Należy ona do kategorii tak częstych na scenie utworów, o których powiada Lewes w swém dziełku *O aktorach i sztuce scenicznój*, że stanowią szereg „konwencyonalnych motywów scenicznych, ulubionych przez pisarzy z mniejszym talentem, co nagromadziwszy mnóstwo dramatycznych zawikłań i przystroiwszy osoby działające mnóstwem szychowych scenicznych efektów, sądzą, że tym sposobem wywołają silne wrażenie. Utwory takie mogą się wydawać mniej doświadczonym widzom lub słuchaczom, jako pełne „żywój gry fantazyi, chociaż zawierają w sobie wiele z tego, co już przedtém stworzyła fantazyja.” W komedyi p. Zalewskiego, kilka tylko figur drugorzędnych zdradza pewne rysy obserwacji, inne są odgrzewaniem typów konwencyonalnych i zszarganych oddawna na scenie; inne nakoniec, chociaż w zasadzie dobrze pomyślane, niemają krwi i kości, nie uderzają łudzącém życiem, wkraczając także w dziedzinę teatralnego komunału. Przymioty tego utworu, podobnie jak i komedyi *Przed ślubem*, są głównie natury czysto scenicznój i one to łącznie z wyborną grą zapewniają jego komedjom tak pomysłny los w sztuczniém świetle kinkietów, gdzie efektem i zręcznością tak często w obec przeciętnych gustów, można nadsztukować brak istotnej oryginalności. Jako pisarz sceniczny, p. Zalewski posiada niepospolitą zręczność trafienia do usposobień i wymagań przeciętnego smaku, umie utrzymać uwagę widza w żywém napięciu, umie dać artystom materyał do gry żywój i efektownój, użyć we właściwą porę konceptu lub tyradki, potrafić wrażliwsze struny usposobień ogółu: jedniem słowem, w swoim rodzaju posiada technikę i wprawę sceniczną, która go nie zawodzi. Sztuki jego, podobnie jak większa część utworów francuzkich, obliczone są głównie na powodzenie w obecnej

chwili, niemają żywiołów trwalszej wartości, ale są bardzo użyteczne na scenie, gdyż zajmują przeciętną publiczność, nie uciekając się do efektów zbyt podejrzanej natury, drażniących nerwy i zmysły. Pod tym względem p. Zalewski jest stanowczo wyższym od wielu zręcznych fabrykantów francuzkich, którzy znowu stanowczo zostawiają go w tyle pod względem istotnej prawdy, opierając swe pomysły i sztuczki na gruncie bardziej realnym, czerpiąc materiały z żywej obserwacji, będąc wrodzonym darem bystrego analitycznego francuzkiego rozumu. W *Złém ziarnie* jednak p. Zalewski pod względem umiejętności budowy i prowadzenia sztuki, nietylko był szczęśliwym, ile w poprzedniej swej komedyi, która dała początek jego scenicznej wziętości. Akcja związana zręcznie w akcie pierwszym sztuki, wlece się przez cały drugi akt krokiem prawdziwie ślimaczym, ale w trzecim ożywia się i rośnie do niezwykłego napięcia. Pomimo efektów scenicznych *à la Sardou*, znajdujemy tu kilka sytuacji, czyniących istotnie silne wrażenie, widzimy nawet pewne błyski wyższego polotu myśli i fantazyi. Pragnęlibyśmy, aby w następnych utworach p. Zalewski te iskry rozdmuchał w silniejszy płomień twórczości oryginalnej, w całym znaczeniu tego słowa, aby z pisarza pożytecznego dla sceny i kasy teatralnej, stał się artystą wzbogacającym skarbiec rodzimój literatury nabytkami wartości prawdziwie trwałej, nieprzemijającej z powodzeniem chwili.

Dążnością satyryczno-obyczajową odznacza się trzech-aktowa komedya Jordana: *Blaga*, zalecona do przedstawienia przez komisją ostatniego konkursu. Autor téj sztuki kryjący się pod osłoną pseudonimu, a znany w literaturze naszej, jako autor szkiców pełnych jędrnego humoru w stylu *grotesque*, starał się ośmieszyć wadę, krzewiącą się specjalnie na warszawskim bruku, tak zwykłą w obyczajach naszych skłonność do świecenia czczym blichtrzem i szumną fanfaronadą. Ohiarą blagi miejskiej jest tu poczciwy szlachcic mosterdzieju, trochę staréj daty, który stanąwszy na wiejskim bruku dla ukończenia procesu, opadnięty został przez gromadkę szlifbruków i furgantów, pragnących korzystać z jego łatwowierności. Komizm, oparty na zetknięciu tych dwu żywiołów społecznych, występuje tu w formie nieco karykaturalnej, ale ma dużo swojskiego humoru. Autor okazał się tu dobrym obserwatorem miejskiego życia, którego jednak umie chwycić tylko cechy najbardziej pocieszne i karykaturalne. Mniej szczęśliwym był w kreśleniu typów wiejskich, które są po większej części dość szablonowemi karykaturami. Sztuka ta w każdym razie zdradza talent dość średniej miary, ale posiadający pewną oryginalność i właściwy sobie pogląd na komiczne strony życia, przypominający cokolwiek dobroduszną wesołość Wilkońskiego. Znajdujemy w niej kilka scen bardzo szczęśliwych i wiernie schwyconych z życia, ale całość niema dość żywego interesu, ani téż zręcznej techniki; razi pewną pospolitością motywów, tak, że pomimo dobrego wykonania, nie mogła utrzymać się w repertuarze. W każdym razie utalentowany autor od czasu niezbyt fortunnych *Koneserów* ukazał tu postęp niema-

ły w artystycznym ukształtowaniu swych pomysłów. Pomimo wad dość ważnych, *Blaga* posiada przymioty życiowej prawdy, które upoważniają do rokowania sobie dalszego scenicznego postępu autora, uprawiającego z pewnym powodzeniem pole czysto rodzimój humorystyki.

Nowości oryginalnych mniejszych rozmiarów, mieliśmy w roku ubiegłym więcej może, niż kiedykolwiek. Jednym z bardziej sympatycznych był jedno-aktowy obrazek Kraszewskiego *Stomiana Wdowa*, w którym niezmordowany autor ukazał nam kojarzenie się dwu serc szlachetnych, rozerwanych na długo zawistną dłońią losu, a jednak trwających w raz powziętym ślubie uczucia. Obrazek ten, napisany ciepło, serdecznie, jest może cokolwiek za łzawym, nadto sentymentalnym, ale posiada dużo poetycznej i uczuciowej rzetelności. O scenicznej jego wartości nie można przesądzać, gdyż w bardzo słabym wykonaniu, nie wywarł prawie żadnego wrażenia.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika lwowska.

Reforma szkół.—Upadek Towarzystwa Kredytowego miejskiego.—Ś. p. Mieczysław Potocki.—Ostatni tom zupełnego wydania dzieł Wincentego Pola.—*Studia estetyczne* Wojciecha hr. Dzieduszyckiego.—Mapa statystyczna Galicyi.—Prasa prowincjonalna.—Dwa nowe czasopisma.—*Łowiec* pod redakcją Józefa Łozińskiego.—Projekt ułożenia *Słownika Łowieckiego*.—Konkurs dramatyczny imienia Fredra.—Kasyno literackie.—Odczyty archeologiczne.

Reforma szkół jest u nas na porządku dziennym, od lat dziesięciu, od uznania polskiego języka za wykładowy i ostatniej reorganizacji szkół gimnazyalnych i realnych. Od uchwalenia w r. 1873 w sejmie ustaw organizujących szkoły ludowe, wszystkie szkoły Galicyjskie są w ciągłym możnaby powiedzieć przeobrażaniu, w ciągłym postępie ku lepszemu, będąc wszakże dalekiemi jeszcze od właściwego celu. Z tego powodu zamianowała obecnie Rada szkolna komisją, mającą się zająć rozpoznaniem obecnego wychowania publicznego i reform niezbędnie potrzebnych. Ma ona wygotować stosowne w tym przedmiocie wnioski do przyszłego sejmu. Ustanowienie rzeczonych komisji uznane zostało powszechnie za rzecz wielce pożyteczną ze strony Rady szkolnej, i w ogóle przywiązują tu wiele nadziei do jej spodziewanych czynności ile że w skład jej wchodzi przewaźnie pedagogowie dobrze świadomi przedmiotu i posiadający doświadczenie na tém polu. Szkołom naszym, mianowicie tak zwanym *średnim*, to jest gimnazyom i re-

alnym, brakuje książek dobrze ułożonych, i podręczników wykładowych, a zarazem doświadczonych w zawodzie pedagogicznym nauczycieli, którzyby brak ten należycie zastosowanym wykładem zastąpili, a w obejściu z młodzieżą umieli w nią zaszczerpieć zamiłowanie nauki, wzorowe obyczaje i jasne pojęcie rzeczy. Nie mówię wcale o samymże systemie, któremu zarzucają zbyt wielką przewagę nauk filologicznych, mianowicie w gimnazyach, z uszczerbkiem wiadomości historycznych i innych, bo zmianą systemu całego szkolnego komisya zajmować się nie będzie. Zresztą pod tym względem zdania są bardzo podzielone, i reforma systemu nie mogłaby być inaczej przeprowadzona jak skutkiem zreformowania zasadniczej ustawy organizacyjnej, będącej podstawą urzędzenia szkół całej monarchii. Tutaj chodzi obecnie tylko o zaradzenie tym niedostatkom i wadliwościom, które nie pozwalają z systemu istniejącego należycie korzystać, i rozwinąć wszechstronnie metody w nim wskazanej.

Brak książek przedewszystkiem daje się uczuwać. Z tego powodu Rada szkolna widzi się zmuszoną zmieniać bezustannie książki przepisane; dawniejsze zastępować nowszemi i lepszemi, skoro się jaka pojawi: ztąd ciągłe zmiany szkodliwe dla nauki a uczniów narażające na wydatki, których zwłaszcza mniej zamożni ponosić nie są w stanie. Niektóre książki zmieniano dotąd prawie co roku—bywało nawet w ciągu tegoż samego roku. Toż samo się dzieje z podręcznikami wykładowemi. Każdy niemal profesor wykłada inaczej, według innej książki, wedle tego która mu się najlepszą i najstosowniejszą zdaje. Najczęściej nie trzymają się żadnej książki; lecz każą uczniom spisywać notaty z ustnego wykładu i z nich się następnie uczyć. Wiemy jak niedokładne z natury rzeczy muszą być takie przez samychże uczniów naprędce spiswane notaty, i jaki z tej niedokładności rodzi się chaos pojęć i pochwytaných dorywczo wiadomości. Nauka taka nie może być ani gruntowną ani dokładną. Uczeń powinien koniecznie mieć za podstawę nauki jakąś książkę, w której znalazłby zasadnicze pojęcie nauki systematycznie zestawione i treściwie określone. Na tém dopiero tle, na tym fundamencie może nauczyciel skutecznie i z pożytkiem rozwijać dalszą naukę; ale podstawą musi być, powinna być zawsze książka. Otóż Rada szkolna winnaby jak najrychlej postarać się czy to drogą konkursu, czy inną o zaopatrzenie szkół książkami należycie napisanemi, w każdym przedmiocie udzielanych nauk i stałe na dłuższy przeciąg czasu we wszystkich szkołach takowe zaprowadzić. Byłaby to rzecz wielce pożyteczna nie tylko z dydaktycznego, ale téż i z materialnych względów ułatwiająca naukę, a komisya obecnie wyznaczona zajęcie się tym przedmiotem za jedno z pierwszych zapewne zadań sobie założy.

Drugim wielkim niedostatkiem szkół naszych, który wszakże dopiero z biegiem czasu da się usunąć jest brak starszych, doświadczonych w zawodzie swoim nauczycieli. W klasach niższych wszystkich szkół uczą wyłącznie niemal zaledwie wykończeni akademicy, którzy

wprost z ławy uniwersyteckiej bez żadnego egzaminu lub praktyki przeszli na katedry nauczycielskie, jako tak zwani suplenci, zastępcy profesorów. Pomimo miana zastępcy, są oni z różnicą tylko mniejszej płacy tém samém co profesorowie, pełnią wszystkie ich obowiązki, cała nauka spoczywa w ich ręku i jest wiele szkół obchodzących się przeważnie samymi zastępcami. Ileż to wynika nieraz kolizyi i bardzo przykrych następstw z braku taktu w postępowaniu z uczniami i w zachowaniu się tych, pierwsze swe pole pedagogiczne bez należytego nadzoru odbywających nauczycieli, nie mówiąc już o tém jak niedostateczny bywa w takich razach sam wykład przedmiotu, ile cierpi nauka powierzona takim zastępcom, którzy sami jeszcze nie ukończyli własnego wykształcenia. Dawniej mógł taki zastępca pełnić do śmierci czynności profesorskie bez zdania egzaminu nauczycielskiego. Obecnie Rada szkolna skróciła ten przeciąg czasu, określając go ściśle na lat dwa, tak iż zastępca, który w ciągu lat dwu pełnienia czynności nauczycielskich nie zda przepisane egzaminu, dłużej na swój posadzie pozostać nie może. Jestto rozporządzenie bardzo pożyteczne a im większy pod tym względem zachowa się rygor, tém więcej na tém zyskają szkoły.

Z wielu stron odzywają się za tém głosy, aby do pomocy nauczycieli w szkołach ludowych przeznaczać nauczycielki, a nawet powierzyć im wyłącznie naukę w dwu pierwszych początkowych klasach szkół rzeczonych. Przy wielkiej liczbie sposobiących się nauczycielek w żeńskich seminariach pedagogicznych, myśl ta dałaby się z czasem w znacznej przynajmniej części wykonać, korzyści wychowawcze byłyby ztąd wielkie. Troskliwość macierzyńska, łagodność w obchodzeniu się z dziećmi, wyrozumiałość zyskująca ich sympatyą, a co za tem idzie, rozbudzająca w dziecięcych umysłach zamiłowanie nauki i łatwość pojęcia, są to przymioty, któremi nauczycielki już z wrodzonego usposobienia przewyższają wogóle nauczycieli i w początkowych klasach lepiej od nich są w stanie podołać zadaniu.

Oto jest czém się głównie będzie musiała zająć komisya Rady szkolnej, mająca wypracować wnioski do sejmu w sprawie reformy szkolnej. Pomijam niemniej ważne, ale niemające wprost związku z celami dydaktycznymi, kwestye, jak lepsze uposażenie nauczycieli, zwłaszcza młodszych czyli pomocniczych, obmyślenie środków przeprowadzenia nakazanego ustawą, ale w praktyce na tysiączne natrafiającego trudności tak zwanego przymusu szkolnego, nigdzie tu dotąd niewykonywanego z należytą ścisłością i t. p. Z tego co się powiedziało widzimy już, jak rozległe pole czynności ma przed sobą komisya Rady szkolnej i jakiej doniosłości będą jój prace.

Bankructwo Towarzystwa kredytowego miejskiego zrobiło tu ogromne wrażenie, zwłaszcza że Towarzystwo to związane przed kilku laty głównie dla ułatwienia kredytu mieszczaństwu prowincjonalnemu, liczyło kilkanaście tysięcy członków po miastach i miasteczkach z kla-

sy mniej zamożnej, a że związane było na zasadzie nieograniczonej poręki, przeto cały ten do grona jego należący zastęp małomieszczański będzie pociągnięty do pokrycia niedoborów upadłego Zakładu, iż nie tylko pociągnie za sobą majątkową ich klęskę, ale też ufność do podobnego rodzaju Towarzystw kredytowych ogromnie zachwiać może, mianowicie w przekonaniu publiczności nie dosyć z właściwościami obrotu kredytowego i naturą Towarzystw zaliczkowych obznajmioną, która sądząc doraźnie nie będzie przypisywać upadłości Towarzystwa wzmiankowanego, jego złemu zarządowi i wadliwemu od początku kierunkowi, lecz podejrzliwie usuwać się będzie i od innych podobnych, chociażby wzorowo uorganizowanych i dobrze prowadzonych Zakładów. Mamy w Galicyi już paręset Towarzystw i kas zaliczkowych: wszystkie oparte na zasadzie wzajemnej nieograniczonej poręki. Zespoliwszy się ze sobą tworzą one *Związek Stowarzyszeń zaliczkowych*, którego zarząd centralny jest we Lwowie. Upadłe Towarzystwo kredytowe miejskie jest pierwszym u nas Zakładem publicznym, który takiego doznał losu. Cios tém dotkliwszy, że pierwszy, i dla tych właśnie, w których uderza najmniej spodziewany. Wszelako przeczniejsi od razu przepowiadali niebezpieczeństwo i Towarzystwo rzeczono do *Związku* przyjęte nie zostało z tego powodu, iż w zakresie swych czynności objętych statutami, przyjęło także wszelkie spekulacje pieniężne giełdowe, na które stowarzyszenia o nieograniczonej poręce bezwarunkowo puszczać się nie powinny i nie mogą. Zakład tedy miał już w związku swoim zaród niebezpieczeństwa śmierci, a zły i nieogłębny zarząd dokonał reszty. Krótki jego żywot jest jakby przestrożą, wskazującą kierunek, którego się Towarzystwa zaliczkowe z nieograniczoną poręką ściśle trzymać powinny.

*

*

Znów przychodzi zapisać stratę w szeregu ludzi zajmujących się sprawą publiczną. Ostatnich dni stycznia zmarł nagle konserwator zabytków starożytnych w Galicyi wschodniej, Mieczysław Potocki, ten sam, który pierwszy zwrócił uwagę Towarzystwa Naukowego Krakowskiego na wydobyty przypadkowo ze Zbrucza, w okolicy, gdzie wówczas mieszkał, starożytny posąg Światowida; co mu utorowało późniejszą drogę do posady konserwatora, którą przez lat dwanaście aż do śmierci piastował, oddany gorliwie przyjętemu obowiązkowi, chociaż bezpłatny ten urząd, oprócz wielu mozołów i naukowego, że tak powiem, zadowolenia, żadnych nie przynosi osobistych korzyści. Ale na te nie oglądał się nigdy ś. p. Mieczysław Potocki, tém bardziej, iż będąc zamożnym, mógł bez troski o niezbędne potrzeby życia poświęcić czas swój i pracę poręczonym opiece jego pomnikom przeszłości.

Bacniejszą uwagę na restauracyą i zachowanie pomników historycznych zwrócono u nas od czasu ustanowienia w tym celu w Wiedniu osobnej Komisji centralnej archeologicznej i zamianowania we wszystkich krajach monarchii konserwatorów, podlegających rzeczonoj Komisji centralnej i w jej imieniu działających. Konserwatorowie mają

rozległe pole działania, wszystko bowiem zależy od ich inicjatywy i mniej więcej gorliwego zajęcia się przedmiotem; nie mają wszakże konserwatorowie galicyjscy, których jest trzech, osobno dla Galicyi wschodniej, zachodniej i Krakowa, nie mają niestety dostatecznych funduszków, aby rozwijać należycie swe czynności i przeprowadzić przynajmniej te wszystkie restauracye, które najbardziej byłyby potrzebne, tam, gdzie ząb czasu największe poczynił spustoszenia. Sejm przemasza co roku z funduszków krajowych 9,000 guldenów na ten cel, ale suma ta dzieli się pomiędzy trzech konserwatorów. Rozporządza tedy konserwator Galicyi wschodniej zaledwo 3,000 guldenów, do których Zakład Imienia Ossolińskich dodaje 500 guld. jeszcze ze swój strony. I oto jest cała szczupła kwota, za pomocą której ś. p. Potocki, przy swój wielkiej zapobiegliwości i staraniu, zdołał przecie w ciągu lat dwunastu swego urzędowania zachować od zniszczenia kilkadziesiąt rozmaitych pomników, a nawet odrestaurować z gruntu kilka kościołów, pochodzących z dalekiej starożytności, z XIV i XVI wieku, a uratowanych od ostatecznej ruiny dzięki jego tylko można powiedzieć staraniom. Rzecz naturalna, iż restauracye te nie mogłyby były nigdy być dokonane szczupłym, kilkotysięcznym funduszem krajowym, oddanym do rozporządzenia konserwatorowi. Większa część tych robót wykonaną została kosztem gmin, szczodrobliwością osób pojedynczych, z funduszków kapitulnych lub ze składek publicznych. Zasługą konserwatora jest, że umiał zachęcić do przedsięwzięcia tego wydatku gminy, korporacye lub osoby interesowane, że umiał wyszukiwać i wskazać przedmioty wymagające restauracyi i godne zachowania, że wreszcie pod jego okiem, wedle pomysłu i planów przezeń urzędownie zatwierdzonych, odpowiadających artystycznym zadaniom i wymogom archeologicznym, odnowy te zostały przeprowadzone.

Aby ocenić zasługi ś. p. Mieczysława Potockiego w tym względzie, potrzeba najprzód rozglądać się po samym Lwowie, gdzie pozostało wiele czynności jego śladów. Wymienimy tu tylko restauracyą najstarszego z kościołów lwowskich, kościółka Św. Jana pod wysokim zamkiem, którego popekany mur groził upadkiem, tak iż kościółek musiano zamknąć. Dzisiaj znajduje się on napowrót w dobrym stanie, zabezpieczony od ruiny na kilka wieków. Kosztem kapituły przeprowadził też ś. p. Potocki artystyczną odnowę tutejszej katedry i zaniedbaną oddawna kaplicy Zamoyskich. Katedra tutejsza była po raz ostatni odnowioną za czasów arcybiskupa Wacława Hieronima Sierakowskiego, z jego polecenia przez ludzi niemających najmniejszego smaku i poczucia artystycznego. Piękną tę gotycką budowę wnętrzem zeszpecono wówczas nieopisanie brzydkimi i niestosownymi przystawkami, posągami i w ogóle ornamentami, jak najgorzej wykonanymi i zastaniającymi pierwotną piękność budowy. Użył tedy Potocki wszelkiego starania, aby skłonić kapitułę do usunięcia owych niepotrzebnych przystawek i przywrócenia gotyckiej budowli jej pierwotnego o ile się dało charakteru. Jakoż dokonano odnowy tej pod jego

okiem, a świątynia zyskała niezmiernie wiele na powadze i piękności przez wyrzucenie źle dobranych ozdób skażonego smaku, a zastąpienie takowych ornamentyką do stylu całej budowy zastosowaną. Oprócz tego, odnowił on wiele pomniejszych pomników po innych kościołach lwowskich, jako to w katedrze ormiańskiej, w cerkwi wołoskiej, w kościele OO. Dominikanów, w którego podziemiach znajdowało się w największym zaniedbaniu sześć bardzo pięknych, z alabastru wykonanych sarkofagów, które odnowione artystycznie w całej swój pierwotnej okazałości, i przeniesione z podziemnej krypty do wnętrza kościoła, są dziś najpiękniejszą świątyni tej ozdobą. Z polecenia konserwatora, odnowiono starożytne herby na arsenale wojskowym, ustawiono na wałach hetmańskich przeniesiony ztamtąd starożytny posąg Michała Archanioła, odnowiono portrety Boimów na ścianie zewnątrz katedry, tudzież posąg hetmana Jabłonowskiego.

Z licznych restauracji kościołów i pomników na prowincyi, dokonanych za jego staraniem, zasługuje na szczególniejszą uwagę odnowienie starożytnych cerkwi w Chynowie, Felsztynie, Uniowie, Krasnopuszczy, gdzie się znajduje wspaniały monaster, przepysznie odnowiony, którego wartość obliczają znawcy na 100,000 guldenów, kościołów w Krośnie, Żółkwi, do czego także czynną przyłożył rękę, pomników historycznych w Żórawnie i Chodowie, wreszcie pomnika księcia Józefa Poniatowskiego w Lipsku; w którym to celu całe lato przesiedział w rzezoném mieście, nadzorując osobiście restauracją dokonaną za jego pobudką i według jego planu, z polecenia wydziału krajowego, funduszem kraju.

Ogłoszone przed dwoma laty sprawozdanie z dziesięcioletniej czynności konserwatorskiej, obejmuje nietylko wykaz prac dokonanych i pomników odnowionych, ale zarazem program przyszłych restauracji, do których przystąpić zamierzał. Z tego względu zawiera rzeczony sprawozdanie cenne wskazówki, z których przyszły konserwator skorzystać powinien.

Na zakończenie powyższych słów kilku, poświęconych pamięci zasług ś. p. Mieczysława Potockiego, przytoczymy jeszcze jeden szczegół, mogący zająć ludzi nauki. Tutejszy urząd fiskalny posiada archiwum złożone z dawnych akt fiskalnych, mających wielkie dla badaczy historii znaczenie; znajdują się tam dokumenta dotyczące fundacyi kościołów, klasztorów i innych zakładów publicznych, oraz akta dóbr niegdyś stołowych królewskich. Archiwum to pozostaje w wielkim zaniedbaniu, z powodu że rządowi akta te nie są obecnie użyteczne, jako odnoszące się do odległej przeszłości, do stosunków niemających żadnego już związku z chwilą obecną, posiadających niemniej przeto wielkie znaczenie historyczne. Otoż ś. p. Potocki pojmując ważność tego archiwum, i chcąc go zachować od zniszczenia, jakiemu w zaniedbaniu swém ulega, wniósł prośbę do rządu o odstąpienie mu całego tego archiwum. Ministerstwo przychyliło się do téj prośby pod warunkiem, ażeby akta te były zawsze utrzymywane w porządku,

i ażeby był zrobiony ich inwentarz; wreszcie, ażeby w razie każdej potrzeby otwarty był rządowi przystęp do archiwum, celem zrobienia użytku ze znajdujących się tamże dokumentów. Chętnie przystał na te warunki Potocki, ale że spisanie, przeniesienie, i utrzymanie w należytym porządku tak wielkiego mnóstwa dokumentów, wymagało wielkich zachodów i kosztów, przechodzących możność prywatną, chciał przeto odstąpić pod temiż samemi warunkami całe rzeczony archiwum Zakładowi Imienia Ossolińskich, co jednakże nie przyszło do skutku, a ze śmiercią jego i archiwum pozostało nadal w dawnym stanie, w rękę rządowem.

Pomyślniej poszły rzeczy z archiwum akt grodzkich i ziemskich, złożonych w zabudowaniu klasztorném OO. Bernardynów. Widząc tegoż zaniedbanie, podał on przed kilku laty wnioszek do sejmu o objęcie tego tak zwanego Bernardyńskiego Archiwum pod zarząd wydziału krajowego, i o wyznaczenie stosownych na jego utrzymanie funduszków. Skutkiem tego wniosku, na podstawie opracowanego przez wydział krajowy umiejętnie sprawozdania, przechodzi obecnie za uchwałą sejmu archiwum rzeczony pod zarząd kraju, i właśnie ogłoszony został konkurs na posadę naukowego dyrektora i innych przy nim urzędników z ramienia wydziału krajowego.

* * *

Wyszedł tom dziesiąty i ostatni dzieł Wincentego Pola, zamykający podjęte nakładem tutejszego księgarza Rychtera wydawnictwo. Tom ten zawiera geograficzno-etnograficzną rozprawę o historycznym obszarze Polski, zawartą w pięciu listach do prof. Duchyńskiego, tudzież korespondencją Pola z czasu jego podróży naukowych w kraju i zagranicą w latach 1840—1845, wreszcie pomniejsze szkice, powiastki i urywki beletrystyczne, pochodzące z czasów dawniejszych, młodzieńcześnie kreślone piórem, rzutkiem, natchnionem, pełnem bogactwa myśli i genialnego poglądu, umięjącem tak plastycznie a uroczo malować życie i naturę. Jeżeli poezye Pola mianowicie z pierwszej epoki jego twórczości, kiedy umysł poety znajdował się w pełni natchnienia, w zenicie siły, mają niezrównany powab i nigdy go nie utracą, to w pismach swych prozą, mianowicie literackich i opisowych, jest Pol prawdziwym poetą, zaś w rozprawach i działach naukowych zdumiewa nieraz bystrością poglądów, oryginalnością i nowością pomysłów, często szerokie odkrywających sfery badań i wskazujących rozległe nowe widoki naukowe. Kto tedy chce poznać i ocenić należycie autorską działalność Pola i zgłębić istotę jego twórczości, z jednej strony ocenić jego stanowisko w literaturze, a z drugiej przeniknąć niejako organizacją tego niezwykłym bogactwem zasobów twórczych obdarzonego umysłu, ten nie może się ograniczać na jego poezyach, lecz musi poznać go w całości, jako poetę, uczonego i beletrystę, bo wówczas dopiero otrzymamy zupełny wizerunek. Prozaiczne pisma Pola stanowią przeważną część jego autorskiej pracy, jego autorskiego zawodu, a czytająca publiczność dziś dopiero mając je w niniejszém wydaniu skompletowane i ze-

stawione obok poezyi, ma sposobność przekonać się, że Pol pismami swými prozajicznymi niemniej ważne zajął stanowisko w literaturze, chociaż głównie jako poetę przywykliśmy go oceniać.

Naukowe prace Pola, mianowicie geograficzne, mają tę zaletę, że są po większej części badaniami ściśle oryginalnemi, z pierwszej ręki z własnego poznania przedmiotu wyprowadzonemi, a nie zwykłą tylko kompilacją ślepo na wiarę z innych przepisowaną autorów. Ta oryginalność pracy, ta dokładna znajomość przedmiotu, to, że tak powiem osobiste przyswojenie go sobie własnym okiem i duszą, oto jest co nadaje geograficznym pracom Pola ich wartość i ten powab nowości, jakiego żadna nigdy nie posiada kompilacya, choćby najsztuczniej w pozornie nowe zestawiona systemata. Z pism naukowych Pola wieje pewna świeżość, znamionująca, że duch badacza rozpatruje umiejętnie obszary z którymi doskonale jest poznajomiony i umie opowiedzieć to, co dla innych było dotąd zagadką, niezrozumianą lub niespostrzeżoną. Dar obserwacyi naukowej, dar wnikania w naturę rzeczy, wykrywania przez nikogo niezauważanych przedtém przyczyn i skutków, wpływów i przymiotów, posiada w wysokim stopniu bystry umysł Pola. Wszystkie te cechy znamionują rozprawę, umieszczoną w niniejszym tomie, o której wspomniałem powyżej. Główną zasadniczą myślą we wszystkich pracach geograficznych Pola jest ten pewnik, że natura i położenie ziemi wywiera wpływ konieczny, konsekwentny na zamieszkałą na niej ludność, że przeto obyczaj i cały kierunek cywilizacyjny społeczeństw, zależy w pewnej mierze koniecznie od warunków geograficznych, czyli jak się sam nieraz wyraził, że: „Geografia tworzy historią.“ Otóż przeprowadzenie téj myśli jest treścią pomienionej rozprawy. Wykazuje w niej jak geograficzne warunki wytwarzają obszar historyczny i dzieje zamieszkałej na nim ludności i jak się objawiają w rozmaitych dyalektach, z których powstaje język piśmienny. Rozprawa ta będąca jedną z najznakomitszych prac naukowych Pola, napisana już w ostatnich latach, a znana tylko z częściowych ogłoszeń i odczytu na posiedzeniu Towarzystwa naukowego krakowskiego, znajduje się tu cała po raz pierwszy ogłoszona.

Zbiór listów, pisanych z rozmaitych podróży po kraju i za granicą, tworzy najbardziej zajmującą część niniejszego tomu. Zwłaszcza listy pisane do żony z pierwszej wycieczki naukowej Pola w Karpaty, w roku 1840 zawierają taki zasób wrażeń, spostrzeżeń i opisów, że się je czyta z prawdziwą rozkoszą, bo wszystko to wypowiedziane z całą swobodą myśli pod świeżych wrażeń wpływem, składa się w obraz wskrzeszający przed nami życie i ruch literacki owego czasu w Galicyi. Pol po kilkoletniej niebytności przyjeżdża do Lwowa, zkład ma się udać w Karpaty. Po drodze zatrzymuje się w Przemyślu, gdzie z uczonym profesorem Zawadzkiem odbywają z powodu zamierzonej wycieczki naukowej Pola długie rozmowy o przyrodniczych własnościach gór Karpackich, o ich florze i faunie; następnie zwiedza Medykę, jéj naukowe zbiory i ogrody. Przybywszy do Lwowa, odnawia znajomość z wszyst-

kimi tutejszymi literatami: z Bielowskim, z którym rozprawiają o historii a czytają poezję, z Aleksandrem Fredro i Janem Nep. Kamińskim, z Tadeuszem Wasilewskim, który mu odczytuje wyjątki ze swjej powieści obyczajowej *Pan Szymon*, pisanjej na wzór *Pana Podstolego*, w zastosowaniu do społecznych potrzeb i obyczaju. Z meteorologiem panem Roy znosi się Pol najczęściej i porozumiewają się względem czynienia społecznych spostrzeżeń barometrycznych; młodego naturalistę Łoborzewskiego namawia do spólnej wycieczki w Karpaty, celem zbadania tamtejszej flory, gdyż Łoborzewski głównie oddawał się botanice. Z młodszego pokolenia poznaje Pol we Lwowie matematyka Duczyńskiego, Szajnochę i Dobrzańskiego, których prace i rodzaj talentu wybornie charakteryzuje, przewidując, że się z korzyścią dla kraju wykształcą, chociaż dodaje, że nie można być pewnym, czy nie zmienią przedmiotu, bo umysł obudwu rozstrzela się jeszcze i rośnie w różnych kierunkach, co też się i sprawdziło z czasem, bo kiedy Pol to pisał, wówczas Szajnocha zajmował się głównie beletrystyką i zaledwo wstępował na tor badań historycznych, a Dobrzański nie myślał o dziennikarstwie, lecz o niemieckiej filozofii. Z tych tedy listów Pola poznajemy, jakby przesuwający się przed oczami naszymi Lwów ówczesny, oddychamy jego atmosferą, żyjemy na chwilę życiem przeszłości, wywołanej temi wspomnieniami, temi poufnymi zwierzeniami niezmiernie sympatycznymi w swojej prostocie, pełnymi ciepła i prawdy i prawdziwie genialnych nieraz spostrzeżeń lub uwag literackich. Ze Lwowa udaje się Pol z Łoborzewskim w Karpaty, a korespondencya jego ztamtąd przybiera cechę więcej opisową, przedstawia naturę zwiędzanych okolic, a nawet niektóre wyniki naukowych spostrzeżeń, łącznie z obyczajowymi rysami ludu górskiego, pochwytanymi niejako mimochodem po drodze pomiędzy jednym a drugim pomiarem barometrycznym i górskich mchów i liszajców zbieraniem. Kilka pomniejszych powiastek, tudzież obszerna rozprawa: *O potrzebie założenia muzeum przyrodniczego we Lwowie*, w której wskazane są zasoby przyrodnicze kraju, uzupełnia ten tom, ozdobiony fotografowanym wizerunkiem Pola, najlepszym niezawodnie, jaki się nam dotąd widzieć zdarzyło. Portretów, a zwłaszcza fotografii Pola z rozmaitych czasów było wiele. Dawniej malował go olejno Rejchman i Raczyński, później Tępa. Były też i fotografie bardzo udane, żadne wszakże z nich nie dorównują obecnej, wykonanej już w ostatnich czasach z natury przez p. Szuberta w Krakowie. W żadnej z dawniejszych nie pochwycono tak doskonale typu oblicza, tego wyrazu duchowego, przejawiającego się w całej fizygnomii, który niniejszej fotografii nadaje piętno zdumiewającego podobieństwa.

Dla zwolenników Pola pożądaną będzie wiadomość, że jakkolwiek niniejszy tom zamyka wydawnictwo obecne, podjęte nakładem p. Richtera, nie zdołało ono objąć w ramach określonych programem wszystkich prac Pola, i jak się z dołączonego dowiadujemy objaśnienia, postanowiła rodzina, aby całą spuściznę poety oddać na widok publi-

czny, wydać osobno jeszcze jeden tom, który zawrze to wszystko, co się w niniejszém dziesięciotomowém nie zmieściło wydaniu. Tom ten osobny zawierać będzie mianowicie zbiór pozostałych listów Pola, jego literacką korespondencją, niezmiernie ciekawą i ważną dla piśmiennictwa. Obejmuje ona bowiem szereg kilku dziesiątek lat, dotyka zatem najważniejszych chwil i objawów całego toku literatury naszój w owym przeciągu czasu i zawiera niezmiernie wiele szczegółów charakterystycznych, o życiu literackim i kierunkach naukowych. Oprócz tego wejdzie tu także cykl rozpraw o gospodarstwie krajowém, jako to: *Historyczny pogląd na koleje jakie przechodziło gospodarstwo galicyjskie od początku XIX wieku, o potrzebie ogrodowej uprawy jarzyn, o handlu płóciem, o chowie koni i wyścigach, o handlu owcami, proszę do pasieki, o technologii leśnej i t. d.* Zbiór powyższych rozpraw stanowi sam w sobie dzieło, objaśniające stan gospodarstwa wiejskiego w Galicyi i jako takie możnaby je właściwie wydać osobno.

*

*

Studia estetyczne Wojciecha hr. Dzieduszyckiego należą do rzędu prac będących bardzo pożądanym literatury naszój nabytkiem, oparte na samoistném badaniu, a nie na zapożyczonych na obcym gruncie teoriach; są one że tak powiem owocem czysto polskiej umiejętności. Autorowi nie chodziło o stworzenie nowego skłomplikowanego systemu oryginalnego, w którymby jak u wielu mianowicie niemieckich estetyków, a i u nas także, utonąła treść rzeczy w formach systemu. Przeglądając z głębokim poczuciem piękna postęp sztuki, całe dzieje rozwoju jój poczynawszy od starożytnj Helleńskiej, aż do najwspanialszych czasów odrodzenia w wieku XVI objaśnia jój własności, jój cechy charakterystyczne w każdym okresie, opisem najwybitniejszych arcydzieł, któremi się każdy z pomienionych kierunków przeobrażenia smaku estetycznego i środków wywołania wrażeń piękna odznaczył, mianowicie w architekturze, rzeźbie i malarstwie; albowiem te tylko trzy działy twórczości estetycznej, tylko sztukę plastyczną objął autor niniejszemi studjami. Jestto że tak powiem praktyczny wykład estetyki, oparty na rozpatrzeniu najwybitniejszych dzieł sztuki, któremi się znaczył jój postęp: wykład nacechowany wielkim znawstwem i zamiłowaniem przedmiotu, które udzielają się czytelnikowi, czyni książkę zajmującą i powabną. We wstępie podaje Dzieduszycki skreślony treściwie kilku rzutami stan obecny nauk estetycznych i spór tych trzech obozów, które podobnie jak w innych dziedzinach bycia i nauki, tak i na polu spokojnej niegdyś dziedziny piękna zaciętą toczą z sobą walkę, mianowicie pozytywizmu, najnowszych czasów, usiłującego obalić teorię idealizmu i czysto chrześcijańskich pojęć, na których to gruncie tak świetnie się rozwinęła sztuka mianowicie włoska. Studya niniejsze objawwszy sztukę grecką, starorzymską i romańską, oprowadziwszy czytelnika od Akropolisu i Partenonu do Koloseum po wszystkich zabytkach arcydzieł sztuki, z których ruiny jeszcze promienieje geniusz ludzkości w najwspanialszych blaskach ideału, skreśliwszy motywa

zasadnicze któremi każdy okres usiłował wyrazić swe uczucie piękna, ich typowe różnice i kierunki, doprowadziwszy rzecz do najwyższego rozkwitu sztuki Toskańskiej, do Leonarda i Michała Anioła, kończy opisem kaplicy Sykstyńskiej i tych arcydzieł, do których już tylko zdążył naśladownictwem, ale których przewyższyć nie zdołał już późniejszy Rzym ani Florencya. Radziłybyśmy aby autor w dalszych swych studiach objął późniejsze dzieje sztuki i zapoznał nas z niemi w podobny sposób aż do najnowszych czasów. Piękna praca p. Dzieduszyckiego jest pomyślaną oryginalnie a wykonaną umiejętnie i dlatego pożądaną byłoby rzeczą, aby objęła całość przedmiotu.

Nakładem tutejszego księgarza Rychtera wyszła przeznaczona na wystawę powszechną paryżką *Mapa statystyczna Galicyi*, wykonana przez pp. Bodyńskiego, sekretarza Izby handlowej i Michałowskiego, inżyniera kolei Lwowsko-Czerniowieckiej. Pod względem dokładności i sposobu wykonania jest to jedyne w swoim rodzaju dzieło, w którym poraz pierwszy znajdujemy w tak rozległym zakresie statystykę Galicyi, obejmującą wszystkie tutejsze stosunki, mianowicie administracyjne i sądowe, rolnicze, przemysłowe, handlowe i w ogóle ekonomiczne, komunikacyjne, wreszcie geologiczne i przyrodnicze. Słowem dokładnie tu przedstawiono stan kraju w czterdziestu kilku objawach statystycznie opracowanych i osobnemi na mapie przedstawionych znakami. Nad statystyką Galicyi pracowano w różnych kierunkach. Sprawozdania lwowskiej Izby handlowej tutejszej, tudzież kilka wydanych już *roczników* biura statystycznego krajowego a zwłaszcza miejskiego, zawierające owoc poszukiwań, przedstawiły dosyć dokładny, acz częściowy tylko obraz ruchu ludności w Galicyi, począwszy od roku 1857, tudzież obrotu handlowego w ostatniem dwudziestoleciu. Wszelako były tu objęte, jak widzimy, niektóre tylko gałęzie statystyki, będące użytecznym materiałem do ułożenia zupełnej statystyki kraju, ale same przez się spełniające zaledwie część tego zadania. Otóż mapa pp. Bodyńskiego i Michałowskiego, może się ze swjej strony wiele przyczynić do tak pożądanego dzieła, już z tego powodu, iż twórcy jej objęli znacznie więcej działów statystycznych, czerpiąc wszędzie ze źródeł najautentyczniejszych, jakie mieć mogli pod ręką i że wyniki badań swych poprzedników uzupełnili, gdzie tylko się dało, własnemi, ze znajomością rzeczy zebranymi. Dołączony jest do mapy rzeczony tekst w języku polskim, niemieckim i francuzkim, aby ją uczynić przystępną dla cudzoziemców, chcących bliżej zaznajomić się z naszymi stosunkami. Jakoż mapa ta zwróci niezawodnie na siebie uwagę znawców na wystawie paryżkiej, jest bowiem dziełem wypracowanym bardzo umiejętnie i o ile możności dokładnym.

Zaczyna się u nas budzić prasa prowincjonalna. Z Nowym Rokiem zaczął wychodzić w Tarnopolu *Podolanin*, pismo poświęcone sprawom miejscowym i powiatowym, a z początkiem kwietnia w Prze-

myślu *San*, toż samo zadanie w swojej okolicy pełnić mający. Jeżeli pisma te, będące pierwiastkami na niwie prowincjonalnej publicystyki u nas, utrzymają się i rozwiną, będzie to pociesającym dowodem, iż ruch umysłowy i wogóle stosunki społeczne ożywiają się pomyślnie, skoro potrzebują osobnego wyrazu i są w stanie dostarczyć treści miejscowej, dosyć obfitej i ważnej, aby zająć czytelników swjej okolicy i uzyskać sobie trwałą bytu podstawę. Rzecz naturalna, iż oba te pisma poświęcone są głównie sprawom ekonomicznym, stosunkom handlowym i t. p. przedmiotom, odnoszącym się do potrzeb okolicznych, do wymagań miejscowych. Jakoż trzymając się ściśle tego stanowiska mogą one być użyteczne, torując w powiatach swych drogę instytucjom pożądanym, wyświecając kwestye miejscowe i t. p. Jest to rzecz, której nam bardzo dotąd brakowało. Gazety stołeczne zajmują się głównie polityką, lub sprawami krajowemi; na sprawy natury miejscowej, niemniej nieraz ważne, bo z nich to składa się całość krajowego dobrobytu i postępu, na te sprawy (powiadam) miejscowe, powiatowe, pozornie drobnego znaczenia, a jednak nieraz bardzo ważne, nie było miejsca w politycznych gazetach stołecznych. Prasa tedy prowincjonalna próbuje głosu, staje do pracy i jeżeli w wyż wskazanym kierunku będzie się trzymała właściwego zakresu, może liczyć na powodzenie, bo stosunki ekonomiczne i przemysłowe w Galicyi rozwinęły się bardzo ostatniemi czasy; dzięki staraniom władz autonomicznych i stowarzyszeń prywatnych i wiele miejscowych zadań wymaga rozpatrzenia. Prasa prowincjonalna ma zatem u nas rozległe pole użytecznej pracy i warunki pomyślnego rozwoju.

* * *

Łowiec, pismo Towarzystwa łowieckiego, redagowane przez pana Józefa Łozińskiego, bibliotekarza księgozbioru hr. Włodzimierza Dzie duszyckiego, zjednało sobie odrazu sympatyą i poważne w tutejszjej prasie peryodycznej stanowisko. Znać w nim redakcją umiejętną, ręką pewną, jasną świadomością celu i powołania pisma. Towarzystwo łowieckie zawiązało się u nas przed dwoma laty celem przestrzegania należytego wykonania ustaw łowieckich, tudzież systematycznego uregulowania łowiectwa i chowu zwierzyny w kraju, aby przysporzyć tym sposobem Galicyi, zaniebanego wielce dotąd źródła korzyści. Nietylko myśliwi z zawodu, przepędzający część żywota z strzelbą na plecach wśród kniei, na błotach i stawach, ale wogóle wielu miłujących świat przyrodniczy, pogarnęło się do Towarzystwa, którego zadaniem jest raczej pielegnowanie, niżeli tępienie królestwa zwierzęcego. *Łowiec* w dobrze pojętym posłannictwie swoim dąży, jak widać z wydanych dotąd numerów, do tego, aby nietylko stać się ogniskiem centralnym działań Towarzystwa, ale zarazem wskazówką postępowego dla niego rozwoju. I to też jest największą zasługą redakcyi *Łowca*, iż stara się być pobudką do pracy, w rozmaitych kierunkach, mających styczność z łowiectwem i jego sprawami. Pomiedzy innemi znajdujemy w jednym z ostatnich numerów podniesioną sprawę ułożenia *Słownika łowieckie-*

go, do czego pierwszy krok uczyniła redakcja, umieszczając w kilku numerach swego pisma zbiór dosyć ciekawych wyrazów łowieckich, jako szczyptę materiału do projektowanego dzieła. Na wniosek redakcji *Łowca*, ma być z łona Towarzystwa wybrana komisja, mająca się zająć w porozumieniu z Akademią Umiejętności ułożeniem słownika łowieckiego, w którym to celu wezwie wszystkich myśliwych polskich, aby zbierali i nadsyłali jej wyrażenia łowieckie, przez lud i myśliwych używane, oraz wskazywali środki, jakie do pomnożenia słownika łowieckiego służyćby mogły. Zadaniem tej komisji będzie rozpatrzyć się dokładnie w źródłach, z których u nas terminologią łowiecką czerpać można i z nich w jaknajrozleglejszej skorzystawszy mierze, uzbierane materiały krytycznie zredagować. Dziełem tém, jeżeli będzie należycie opracowane, przysłuży się Towarzystwo znakomicie nie tylko łowiectwu, lecz także i literaturze.

*

*

W tej chwili rozstrzyga się tu konkurs dramatyczny imienia Fredry. W warunkach jego wprowadzoną została ta nowość, wyróżniająca konkurs niniejszy od dawniejszych, iż ostateczny sąd o sztukach przysłanych do nagrody, orzeka sąd znawców dopiero po przedstawieniu ich na scenie, opierając sąd na wrażeniu wywartém przez sztuki do grania zalecone. Zamiast jednego, istnieje więc dwa komitety konkursowe. Pierwszy rozpoznawczy, odczytuje sztuki przysłane i wybiera z nich te, które za godne przedstawienia i ubiegania się o nagrodę uzna. Wyrok zaś ostateczny wydaje drugi dopiero komitet sędziów, pospołu niejako z całą publicznością, która o powodzeniu sztuki na scenie rozstrzyga, przez co poniekąd także do uczestnictwa w ferowaniu wyroku konkursowego jest powołaną. Pomysł ten przez dyrekcją teatru podany, ma swoje dobre strony, gdyż w rzeczy samej dopiero na scenie wszystkie zalety i niedostatki utworu dramatycznego uwydatnić się mogą należycie. Z drugiej strony, postępowanie takie jest nader korzystne dla kasy teatralnej, albowiem zaciekawiona publiczność, powołana do współnictwa w sądzie, śpieszy gromadnie na sztuki konkursowe. Z przysłanych na konkurs obecny sztuk kilkunastu wybrał komitet rozpoznawczy i zalecił do grania trzy tylko. Zaiście, niwa dramatyczna nie okazała się bujną w plon tym razem! Wszelako wartość zastąpiła liczbę, i każda ze sztuk zaleconych *Artykuł 264*, *Uproszczone zaloty* i *Szczęście Walusia*, posiada przymioty zapewniające przyszłość na scenie. Pierwsza ze sztuk pomienionych jest komedią wyższego rzędu, zdradza wprawne już i z wrażeniami scenicznymi dobrze obznajomione pióro: odznacza się wytworném prowadzeniem osnowy i wybornym rysunkiem w grę wprowadzonych postaci, tych nawet, które nie wiążą się z osnową sztuki, lecz są jakby z chwilowego kaprysu dla ożywienia obrazu sfotografowaną z życia humoreską, jak żyd faktor i włościanin. Rygoryści zarzucają niezbyt zasadniczo moralną tendencją komedii, w której możnaby upatrzeć zamiar rehabilitowania niewierności małżeńskij, jakkolwiek malutki

i na waletę kawalerskiego życia popełnionej. Szkoda zaiste, że autor nie użył szlachetniejszych motywów za osnowę sztuki, któreby lepiej odpowiadały téj dystynkcyi, z jaką jest napisana, niżeli tak zużyty temat, będący specyfikiem komedyi francuzkich. Wszelako wynagradzają to inne artystyczne zalety, któremi komedya ta się odznacza.

Uproszczone zaloty jest to obrazek sceniczny wierszem, napisany jakby umyślnie tylko dla uwydatnienia jednéj postaci, starego kapitana, Napoleońskiej jeszcze armii. Typowa ta postać po mistrzowsku jest tu nakreślona, z wszystkimi właściwemi cechami i słabostkami żołnierskimi, z takim humorem, iż jedna ta postać stanie za wiele innych zalet scenicznych, których komedya ta nie posiada. Osnowa jęj i całe zresztą przeprowadzenie nie ma w sobie nic szczególnego. Wiersz tylko gładki i wyrobiony, tudzież rysunek głównego bohatera komedyi przypomina sztuki Fredrowskie z najlepszych czasów, która to uwaga niejednemu z widzów nasunęła się w ciągu przedstawienia.

Trzecia ze sztuk konkursowych *Szczęście Walusia*, napisana piórem mniej od poprzednich wprawném, odznacza się także charakterystyką kilku postaci, dobrze ujętą. Z wszystkich trzech najwięcej jednak powodzenia miała komedya pierwsza: *Artykuł 264*. Przedstawiona ośm razy, zapełniła za każdym razem teatr i zawsze z równém zadowoleniem była przyjętą przez publiczność. A chociaż nie chcemy uprzedzać sądu konkursowego, przewidujemy jednak, że bogdaj, czy nie ona odniesie nagrodę?

* * *

Krzążają się tu około założenia kasyna literackiego. Zamiar podobny podnoszono już nieraz, ale zawsze był głównie przeszkodą niedostatek funduszków. Pokazuje się, iż nie umiano się tém zająć jak należy, gdyż obecnie, przy gorliwości osób tém się zajmujących, rzecz jak się zdaje, przyjdzie do skutku w jesieni. A byłaby ona bardzo pożądaną. Lwów oprócz kilku pomniejszych kółek towarzyskich, posiada dwie resursy: mianowicie kasyno w gmachu teatralnym i mieszczkańskie. W obu dzienniki, bilard i karty, a w mieszczkańskim porą zimową wieczory muzykalne i tańcujące są wyłącznym przedmiotem zabawy towarzyskiej. W teatralném zbiera się sama śmietanka arystokratyczna, przestrzegająca starannie, aby czasem nie podplynęła mlékkiem od spodu; w mieszczkańskim zaś towarzystwo mieszane różnych stanów i sfer inteligencyi. Ale kącika osobnego, własnego, owianego atmosferą, że tak powiem, literacką, któryby był ogniskiem towarzysko-literackiego życia i ruchu umysłowego, nie posiadają dotychczas literaci i artyści lwowscy, a czemużby mieć nie mogli, skoro je posiada koło handlowe, młodzież akademicka, i rękodzielnicy? Z Kasyna literackiego będą wykluczone karty; a natomiast rzeczą będzie zarządu postarać się o doborową bibliotekę, uposażoną ile się da we wszystkie znakomitsze nowości literatury bieżącej. Fundusze na założenie kasyna już się zbierają. Ogłoszono na ten cel cztery odczyty literackie, które rozpoczął p. Jan Lam opowieścią najazdu Chmielnic-

kiego na Lwów w r. 1648; przyczem skreślił bardzo wdzięczny, przeplatany humorem, a na autentycznych oparty materyałach, obrazek ówczesnego Lwowa, jego urządzeń publicznych, oświaty i stosunków towarzyskich.

*

*

Na zakończenie, gdy mowa o odczytach, nie można pominąć odczytów urządzonych przez Towarzystwo archeologiczne w ciągu miesiąca kwietnia. Prezes Towarzystwa, p. Stanisław Krzyżanowski, skreślił w pięciu odczytach dzieje instytucji szlacheckiej u rozmaitych narodów, od najdawniejszych do najnowszych czasów, a p. Antoni Szejder mówił o mogiłach przedchrześcijańskich w Galicyi. P. Krzyżanowski zawarł w pierwszym odczytzie bibliografią odnoszącą się do przedmiotu swych wykładów. W następnych skreślił treściwie te rozmaite formy, któremi się w przebiegu wieków kastowość szlachecka przejawiała, jakich używała przywilejów i jakie w rozwoju dziejów miała znaczenie. Śledząc zarodków jej w zamierzeniu przed-historycznych czasów i społeczeństw, usiłował z rozpiętych promyków okazać, w jaki sposób u rozmaitych ludów krystalizowały się w tym kierunku pierwotne wyobrażenia, i jak wśród rozmaitych stosunków, w różny sposób wytwarzały się uprzywilejowane stany. Dłużej zatrzymał się nad opisem organizacji politycznej starożytniej Grecyi, mianowicie Sparty, skreślił dzieje patrycyatu rzymskiego, szwaleryi francuzkiej, i feodalizmu średniowiecznego, a przeszedłszy do plemion słowiańskich, skończył wykazaniem stanowiska szlachty polskiej w organizmie państwowym dawniej Rzeczypospolitej.

P. Szejder przedstawił słuchaczom wykonaną przez siebie dokładną mapę całego systemu mogił i cmentarzysk przedchrześcijańskich w Galicyi. Znajdują się one bardzo gęsto rozsiane po okolicach nadbrzeża dnestrzańskiego, na Pokuciu, około Obertyna, Chocimierza i t. d., w kierunku mianowicie, którądy prowadził dawny szlak tatarski. Ztąd powstało mniemanie upowszechnione pomiędzy ludem i przez historyków nawet powtarzane, iż mogiły te są grobami na pobojuwiskach tatarskich poległych tamże wojowników. P. Szejder badał wiele tych mogił, rozkopując takowe; owóż skutkiem pomienionych badań doszedł do przekonania, które uzasadniał w niniejszych swych odczytach, iż mogiły te nie są grobowiskami pobojuwemi z czasu napadów tatarskich, jak dotąd przeważnie mniemano, ale pochodzą z czasów o wiele dawniejszych, przed-chrześcijańskich, poniekąd przed-cywilizacyjnych; czego dowodzi ta okoliczność, iż znalezione w nich przedmioty pochodzą z epoki krzemienia i brązu, i noszą cechy nader jeszcze małego wykształcenia; podczas gdy żelaza w żadnej z tych mogił znaleźć mu się nie zdarzyło. Twierdzenie swe popiera p. Szejder i tym bardzo wymownym dowodem, iż mogiły rzeczzone znajdują się po większej części po wzgórzach i stokach, zupełnie nieprzystępnych dla konnicy, zatem w miejscach, gdzie bitwy z Tatarami odbywać się nie mogły. P. Szejder odróżnia trzy rodzaje mogił. Z tych jedne

wedle poszukiwań jego, okazały się grobami z czasów przed-chrześcijańskich, drugie były, zdaniem jego, strażnicami, sypaniami po miejscach wyniosłych, mającemi służyć do dawania sygnałów w razie najazdu nieprzyjacielskiego. Trzeci rodzaj wreszcie, sądząc z odrębnego, umyślnie ku temu zastosowanego kształtu, miał być przeznaczony na uroczystości religijne i wiece. Przytoczone przez p. Szejdera przemawiające za tém dowody, zdają się mieć słuszność po sobie.

Władysław Zawadzki.

PIĘĆ USTĘPÓW Z CYKLU
POWIEŚCI HISTORYCZNYCH *)

J. I. KRASZEWSKIEGO.

OCENIŁ

Ernest Swieżawski.

IV.

Uspodobienie psychologiczne autora *Powieści historycznych*.—Wpływ przypuszczalny takowego na tło polityczne i społeczne *Masława i Boleszczyków*.—Omyłki autora w charakterystyce stosunku etnograficznego oraz stanów, króla i Rzymu do siebie, w dwu tych (szczególniej) powieściach.—Ocena pięciu powieści cyklu ze względu na tło wieku t. j. na część akcesoryjną, archeologiczną.—Zakończenie.

Promienie światła dziejowego łamą się w duszy naszego prozaika-rapsoda przez łzawą i krwawą źrenicę, patrzącą w teraźniejszość. Nawykły, (względnie) studyować fakta społeczne lub wnikać w części straszne i bolesne jak pocieszające tajniki doby Sasów i Ponia-

*) Dokończenie—patrz zeszyt za maj r. b. Recenzja ta została ofiarowana Jubilatowi następnym listem: „Po dobie poezji lirycznej i epicznej, po historii niemal dyplomatycznego znaczenia, nastąpiła doba powieści uczącej, filozofującej... budującej tak, jak tamto, przyszłość narodu. Po Mickiewiczu i całej falandze romantyków, po Lelewelu i całym zastępie badaczy dziejowych, nastąpił Ty Panie. Naród oceniając Twe prace dla siebie, w różnej formie składa Ci hołd uznania w rocznicę pięćdziesięcioletniej działalności Twój literackiej. Pozwól i młodemu a nieznanemu, złożyć Tobie w skromnej

towskiego a nawet i wcześniejsze ¹⁾, nasz autor może przywykł dławic łąkę pod rumieniącą się ze wstydu powieką, lub zagryzać żółtą spiekłami ze wściekłości wargami. Atmosfera studyów powieściowych lub naukowych pewnej doby dziejowej mimowoli napawa oko pracownika właściwemi sobie wyziewami; dusza najczystsza, najczulsza, w najlepszym znaczeniu tego słowa, ogląda nawet inne zupełnie widoki w tej stałej typowej przestrzeni; przez skryształizowaną niejako w oku swém na zawsze grę światłocienia ponurego—zaciemnia nawet najjaśniejsze przedmioty

Rzekłbym nawet, że nasz autor zdolen odczuwać i odmalować różnorodne fazy życia natury, w nich szuka umyślnie wytchnienia po wizerunkach, które, ze świeżego materiału ryje w dawnych formach, nawykły już jednemi drogami, w jeden sposób chodzi rylec jego. Z lubością Kraszewski chwyta samorodny oddech przyrody po tych tworach fatalistycznie niemal przez dotychczasowe swe prace natchnionych jak drugi Hugo, który po potwornych scenach „armaty“ lub sceny więziennej w „Roku 93“ kreśli z nieporównaną, i niezwykle świeżością uczucia i ciepłem nie ojca ale matki: cudny obrazek „męczeństwa Ś-go Bartłomieja.“

Nie chcę przez to robić wyrzutu Kraszewskiemu z tego, iż nie jest w stanie przenieść się duchem w kreśloną przez się teraz epokę; nawykłszy śledzić inne zjawiska z innej sfery, niezawsze zdoła poznawać ludzi i czyny z innego okresu dziejowego. Owszem, stopień trudności widoczny w tych przesiedlinach duchowych pewnego twórcy, miarą jest doskonałego odczucia i wmyślenia się jego w dotychczasową sferę studyów. Mamy wprawdzie fakta tak zwanych polihistorów, lecz ten encyklopedyzm nie jest zbyt częstym zjawiskiem. Teraz zdaje się owszem nastawać era specjalności i specjalistów, pomimo tego, że rozmaite i najdalsze gałęzie wiedzy w coraz gęściej uwity bukiet zdobyczy inteligencji ludzkiej splatają się. Im wyżej owszem nowe Osa i Pelion nowych niebozdobyczych, nieboburczych Tytanów się wznoszą; tym praca wznoszących je w ogólnym obrazie jest jednolitszą, jednością celu spojniejszą, a w szczegółach różnostronniejszą, przez to właśnie więcej gruntowną. Mógłby kto myśleć, że uprzedzając podobną kaźń bożą za dawne takie usiłowanie, nowi ci budownicy wieży Babel używają różnych języków... świadomie. Chcą dopiąć celu, zaczynając pracę do niego przybraniem za narzędzie pozorów kary już raz doznanej. To rozspecjalizowanie

oferze recenzją pięciu pierwszych ustępów Twego cyklu *Powieści historycznych z dziejów Polski....*” Kraszewski odpowiedział przyjmując w następujący sposób: „Jak każdy dowód współczucia, uznania i pamięci, szczególnież od pracujących umysłowo i towarzyszków po piórze, tak i Wasz dar, jest mi najpożądalszym, najmilszym. Jakżebym go sercem wdzięcznym nie miał przyjąć i nie dziękować Wam?”

¹⁾ Dyabeł, Hr. Cosel, Brühl, Starosta Warszawski, Pod blachą, Zygmuntofskie czasy, Kordecki, Ostatnia z książąt Śluickich i t. d.

się najpotężniej wiedzę posuwające nadal; ten podział pracy, najskuteczniejszy w nabyciu bogactw wielorakich—z jednej strony jako ogólna zasada,—a z drugiej specjalniejszej, oddziaływanie smutnych wrażeń z badania ostatnich epok Rpltej odniesionych i zapatrywanie się pesymistyczne na spótczesność, tłómaczą zdaniem naszym ponurą barwę typów powieściowych Kraszewskiego.

Mniemamy, że ten wykład rzeczy bardziej zbliża się do prawdy, aniżeli dwa identyczne prawie zdania Chmielowskiego i Tyszyńskiego, mające określić rzekomo rodzaj talentu Kraszewskiego. Pierwszy mówiąc o *Starój Baśni* zauważa, że najlepší w niej wychodzą te ustępy „w których fantazyja najbliżej się trzyma nizin życia fizycznego i umysłowego,“ a w recenzji *Luboniów* dodaje, że „powszednie życie ma w Kraszewskim malarza-mistrza; losy zaś całego narodu *slabego* piewę,“ czego dowodem ma być *Anafielas* (*Niwa* Nr. 4, str. 455 i 460). Drugi krytyk, stawiając wyżej *Anafielasa* nad *Walenroda*, a z wykończenia porównując go z *Przedświtem*, oświadcza (*Ateneum* 1871 III str. 479); „Talent Kr. jest szkłem fotografa, które i chwytą i odbija najwierniej rysy swoich przedmiotów, ale nie troszczy się wcale o ich źródło, cele i związki.“ Mniemamy, że obaj recenzenci są w błędzie, widząc w *Powieściach historycznych* jedynie wierny refleks prawdy obiektywnej, a wogóle nie wciągając w rachunek stanu psychicznego ich autora. Przypuszczenie to zdaje się tém więcej zbliżać do prawdy, zwłaszcza gdy weźmiemy na uwagę w pięciu tu rozbieranych powieściach ujemną po większej części charakterystykę przedstawicieli rządowych kraju w trzech pierwszych powieściach cyklu a szczególniej pogląd na wewnętrzny rozwój naszego społeczeństwa, rozwinięty przez Kraszewskiego w *Masławie* i *Boleszyczkach*.

Spójrzmy przedewszystkiem na układ i bajkę tych ostatnich a potem zastanowimy się porównawczo nad wypowiedzianymi w nich (i w poprzednich powieściach) co do powyższej kwestyi teoryami. *Masław* rozpoczyna się epizodem niedobitków dawnego porządku rzeczy, przed powstaniem osoby tytułowej istniejącego. Gdyby nie to, że brak charakterystyki ówczesnego wystąpienia Czechów, że wyprawy Rusinów są również usunięte z akcji powieściowej, przez co widnokrąg polityczny zacieśnił się; ustęp ten należy do najbardziej udanych w całości. Postać zwłaszcza ojca Jana misjonarza dotrzymuje placu ojcu Matyi z pierwszego tomu *Luboni*. Drugi ustęp (I. str. 95—154) z pomocą odwiedzin podstępnych dwu bohaterów pierwszego ustępu (Wszeborą Doliwy i Sobką, stugi Spytka Leliwy z Ponieca) wprowadza nas na dwór płocki Masława i zaznajamia z charakterem ruchu, którego skutki dał nam oglądać epizod niedobitków. Ponocna ucieczka Wszeborą i Sobką, rozpowiedziana na uderzającej piękności obrazie natury i zjawisk atmosferycznych, stanowi przejście do trzeciego ustępu prologu, to jest do opisu stanowisk organizującego się pod wodzą Trepki oporu przeciw Masławowi, a opis tego hufca pełnego nadziei, oczekującego zza granicy zbawienia, uzupełnia rysem przynajmniej zachceń i przygotowań do czynu negatywne, bierne zupełnie tło wstępu powieści, któ-

rój rozdział bardzo rozwinięty, „Olszowe Horodyszczce“ Belinów, przytułek jedyny rozbitków ¹⁾ i wogóle drugie ognisko dawnego stanu rzeczy Polski przed wybuchem Mazowszan, stanowi powieści punkt centralny. Albowiem koło Horodyszczca tego rozstrzygają się losy tytułowej osoby, do niego przybywa dodatnia w owoczesnym ruchu postać powieści, królewicz Kazimierz. W tém Horodyszczcu autor charakteryzuje stosunek klas wyższych i niższych, zwłaszcza w obrazie przewodzców „chłopów“ „czerni strasznej“ (II str. 38) Wiechana i Rzepcy; tu też wikła i kończy intrygi miłosne bohaterów wstępu a nawet przedstawia sprawę politycznego małżeństwa Kazimierza, które najprzód rajcowie jego a potem Spytkowa, proponuje i dokonywa (II 129, 130, i 137).

Jednością tą miejsca starał się podobno autor ocalić niespółmierność, jaka istnieje między prologiem a właściwą treścią powieści *Masława*. Już sam bowiem tytuł jój zdaje się wskazywać, że starcie dziejowe między Kazimierzem, synem Ryksy, cesarskiej krewniaczki, a Masławem (wedle autora jakby drugim „krajczym“ z *Listu żelaznego Małeckiego*) będzie główną osnową powieści. Ten sam wniosek zdaje się wynikać z wprowadzenia szczegółów, jedynie w tym razie ważnych dla fabuły *Masława*, jeżeli będziemy je uważać za objaśnienia do żywota dziejowych jego a zarazem i powieściowych bohaterów. Do takich, naszym zdaniem, należy powieść o tym peryodzie z życia Kazimierza (II str. 109 i 119), który upłynął przed rozpoczęciem się traktowanego w powieści wypadku, to jest przed wystąpieniem tego potomka Pasztów do walki z uzurpatorem Masławem. Nie dla czego innego zapewne, jak dla zgody z dziejami, powieść cała kończy się dopiero po zgonie tradycyjnym Masława (dwakroć opowiedzianym II str. 164 nast. i 180), aczkolwiek już wcześniej (II str. 36), była sposobność po temu i tylko sam autor w zagadkowy sposób wstrzymał cios śmiertelny dla Masława z rąk Mszczuja Doliwy, przy oblężeniu Horodyszczca Olszowego ²⁾. Wspomniany powyżej obraz obozowiska Masława w Płocku, rozwinięcie szczegółowe stosunku jego do matki, która nie tyle do mamki z *listu żelaznego* ile do matki *Złotego Jasienka* jest podobną (I str. 110, 127, 146, II 164, 174) zdaje się także zmierzać do zogniskowania całej uwagi czytelnika na tej postaci, jako na symbolu ruchu antykazimierzowego.

W istocie jednak nie te figury dziejowe Kazimierza i Masława na pierwszy plan występują w opowiadaniu Kraszewskiego. Główny w niém nacisk pada na sercowe kłopoty dwu Doliwów, oraz rodziny Belinów, na usiłowania Spytkowej, aby jeszcze za życia męża starego upolować sobie młodego, choćby ze szkodą córki. Belinowie tylko w tój

¹⁾ Rys to prawdziwy; por. Gallus i Kadłubek (*Mon. Biolow.* I str. 416, II 285), dopiero przez Bogufalę (*ibid.* II 455) zmieniony na przyjęcie Kazimierza przez cały ród polski i „jakis słowiański.“

²⁾ „Wstrzymano go“ kto i poco, nie objaśnił nas autor.

erotycznej powodzi ustępują pierwszorzędne miejsca Kazimierzowi, a sami głównymi są kierownikami oporu społeczno-politycznego przeciw Masławowi. Książęcy też reprezentant katolicko-zachodniego porządku rzeczy w Polsce jest zerem i wobec O. Jana i schodzi na stanowisko zbiegliwego agenta biura małżeństw, jednak nawet nie po Napoleońsku *à la savonette imperiale* odbywanych, coby przynajmniej wyjaśniało racją bytu mnóstwa spraw sercowych w *Masławie*.

Możnaby w takim razie zgodzić się, że autor chciał wykazać, iż związki krwi inicjonowane przez Kazimierza łagodziły stosunki dawnego i nowego porządku rzeczy. W istocie jednak Amor i Hymen ma czcicieli tylko w obozie wstydliwego królewicza. Jeżeli miłość w Płocku występuje, to bez żadnego związku z polityką, nawet nie służy do uwydatnienia pogańskiego nastroju ruchu Masława. Owszem jak najstaranniej unikano tego rysu, zupełnie usuwając tak antytezę dwu wiar jak też zwyczajów, że już pominiemy usunięcie przeciwieństwa dwu zasad rządowych a raczej przekształcenie go w śmieszny antytezę chłopu spanoszonego i człowieka „urodzonego“.

Nie chciano nawet, gwoili chyba utrzymaniu niejasnej barwy, zeknąć w powieści dwu przeciwników dziejowych, odmalować ich w starciu. W całej powieści występuje raz jedyny Kazimierz jako pretendent do tronu, i ten raz przedstawił go autor w takiej niebiańskiej gloryi, tak zdaje się umyślnie podstawił teatralną apoteozę (II str. 78—86) na miejsce zatajonych przez się dobitnych faktów działania jego żywo-tnego (por. z Grzegorza II str. 97, 98, z powołaniem się na... Długosza! 159) że jeszcze zważywszy wyżej zaznaczoną przewagę osób fikcyjnych w powieści: należy chyba to obrobienie redukujące, zdrabniające, może aż do karykatury, w *Masławie* przedmiot wielkiej wagi dziejowej—złożyć koniecznie na karb obmyślanej naprzód teorii. Ta teoria zaś, stanowiąc podstawę idei historyzoficznych *Masława* i *Boleszyczów*, stoi prawdopodobnie w związku z nieradosnym owym usposobieniem duszy Kraszewskiego, jest refleksem studyów jego nad patologią (że tak powiem) naszej przeszłości i... terażniejszości.

Domysł ten staje się dotykającą niemal prawdą, gdy porównamy Masława dziejowego, z Masławem beletrystycznym, oraz przedstawienie jego akcji w historii z wystąpieniem jego w powieści. Odstępstwo od dziejów gwoili fabuły z żadnego względu nielepszej od nich, widoczne jest na każdym kroku.

Oto jak opowiada powstanie Masławowe, najdawniejszy nasz kronikarz Gallus, najdawniejsze też źródło do tego przedmiotu ¹⁾: „Był pewien Meczsław (Mesth) imieniem, podczaszy ojca (Kazimierzowego) Meszka i urzędnik ²⁾. Po jego śmierci został naczelnikiem (*princeps*)

¹⁾ Tom I, str. 19 *Mon. Biel. t. I, str. 417—418.*

²⁾ *Minister* por. r. 1230 (*Dyplom. Mogil. nr. 11*) 1299 r. (*Mon. M. Aevi t. III, str. 161*) z dodatkiem *comes*, który dodano w nagłówku rozdziału u Gallusa i Mestowi.

i chorążym ¹⁾ narodu mazowieckiego przez swą wymowę (*sua persuasione*). W końcu, ufając sile swych zbrojnych, tyle ambicyi okazał, że osiągnął się o to, czego mu nie dawało ni prawo żadne, ni natura (*quod sibi non cedebat per jus aliquod vel naturam*), a następnie lubo zależny ²⁾ od Mieszka i jego syna, gwałtownie (*violenter*) zagarnąwszy Mazowsze, zbrojnie i podstępnie opierał się Kazimierzowi." Zbierzmy w jeden obraz, tę wymowę, której owocem, jak za Krakusa było naczelnictwo Mazowsza, dalej uwagę, że ni z prawa (więc przez sukcesyą), ni z natury (więc nie z urodzenia) Masławowi ta władza służyła, wreszcie nacisk na dziedzictwo ojcowskie Kazimierza, a przekonamy się, że ta powieść Gallusa znaczy, iż Masław po wypędzeniu książąt dziedzicznych *zostaje obrany* naczelnikiem wolnemi głosami Mazowszan na elekcyi. Więc Kazimierz, jako pan dziedziczny, miał tu do czynienia z elektem, z wybrańcem narodu. Że mamy tu przy Masławie do czynienia z elekcyą starodawną, znajdujemy dowód wymowny w akcentowaniu przez Kadłubka i innych ³⁾, nieznanéj jeszcze Gallusowi wersyi, o niskim społecznie pochodzeniu Masława. Jak wspomnieliśmy wyżej, poniżenie rodowe przyszłego księcia, należy do ceremoniału elekcyjnego ⁴⁾ u Słowian. Ztąd wynika błahość podstaw hipotezy, czyniącej z Masława chłopa.

Nakoniec dla właściwego oznaczenia roli historycznej Masława, należy dodać, że 1046 roku na Ś-ty Jan w Merseburgu zjechali się Brzetysław czeski (znany łupieżca Polski czasu nieobecności w niej rodu Mieszka II), dalej nasz Kazimierz (*Dux Boloniorum*) i (*Semsił Pomeraniorum* Ziemomysł) Zemzil, książę Pomorzan, o których posiłkach w wojsku Masława donosi Gallus ⁵⁾. Zaczém jak Kazimierza monarchowie zagraniczni (t. j. Henryk cesarz niemiecki i Jarosław ruski), tak Masława obcy książę wspiera ⁶⁾. To wskazuje powszechniejsze

¹⁾ *Signifer*, zwykle nim jest panujący, tylko w jego nieobecności palatyn bierze ten tytuł u Gallusa (księg. III, rozdz. 1, tom I, str. 464, por. 448).

²⁾ *Servus* tyle co wazal, podwładny, por. *Mon. Biel.*, I str. 455, 439, 479, 438.

³⁾ *Monum. Biel.* t. II, str. 285, 485.

⁴⁾ Kadłubek czyni Masława obranym księciem Getów czyli Jadzwingów (t. II, str. 286), którzy za spółplemieńców Prusaków (t. I, str. 455) uchodzą; ci Prusacy zaś są ludem geograficznie niedostępnym, ztąd niepodległym. Być może, że z tytułu téj niepodległości Jaćwierzy do czasów Kazimierza II, za których Kadłubek pisał swą kronikę, to księstwo Jadzwińskie zostało przyznane *niepodległemu* Masławowi.

⁵⁾ *Annal. Altahens majores s. h. a.* (Pertz *Monum. Germ.* t. XX, str. 802, *Mon. Biel.* t. I, str. 418).

⁶⁾ Nawet zabicie „Mojysława” Rusinom kroniki ich przypisują tak, że powieszenie go przez Jadzwingów (Getao), których także Jarosław, zabójca Masława, wojował, zdaje się być tylko późniejszym wymysłem Kadłubka dla uwydatnienia hańbą zuchwalstwa „chłopa dorobkiewicza.”

rozmiary działań Masława. Nie przeczy temu domysłowi powieść Kadłubka, który za Gallusem przyznaje, że tylko jeden zamek wierności Kazimierzowi dochował ¹⁾, oraz fakt, że Bielski dopiero donosi, iż lud *wszystek*: „Witajże witaj hospodynie,” przybywającego witał Kazimierz I, w czém źródłem, zdaje się, była mu Bogufały kronika z XIII i XIV wieku ²⁾. Ten też tylko fakt wierności jednego zamku dla Kazimierza nadaje *Masławowi* Kraszewskiego znaczenie powieści dziejowej, reszta w niejasnych mroczy się barwach i podobna jest do niewyzwolonej jeszcze zupełnie zpod zaklęcia królowny zaczarowanej, która obok krasnego liczka (prawdy dziejowej) pokazuje szpetną powłokę okrywającego ją potworu (przekształceń tekstowych i błędnych niekrytycznych wykładów).

Autor powieści zatrzymał się w studiach krytycznych na stanowisku Naruszewicza ³⁾. Z jednej strony odrzucenie mnichostwa Kazimierzowego, z drugiej wiara w antytezę „uciemięzonego chłopstwa i dziedziców,” w „chłopską na panów rebelią,” charakteryzuje tę przebrzmiałą w historyografii fazę pojmowania wspomnianej doby. Dlatego też u Kraszewskiego w *Masławie* „przez powłokę pańską, kmiecia krew przegląda” (t. I, str. 100), jestto parobek tęgi, butny dorobkiewicz, chlubiący się *à la Geldhab* (t. I, str. 108) przed Doliwą ze swych marzeń i zamiarów, dążący do głupiego naśladownictwa możnych i bogatych. Dwór jego przedstawia się jako „czerń poprzebierana, postrojona cudacznie,” jako parobcy, choć „poczesani i umyć” (t. I, str. 108—113). Słowem już zewnątrznie są ci *Masławczycy* ze swym wodzem przedstawieni, jak przeniesieni dzisiaj z XVIII w XI wiek, hajdamacy.

Estetycznie też albo *Masław* albo *Wiechan* i *Rzepca* (t. II, str. 18—19, 26—27, 29—30) są zbyteczni, bo tamtego stosunek do Kazimierza, a tych do *Beliny* jest ten sam, aczkolwiek znając metodę autora używania dwu trup dziejowej i prywatnej do jednego celu, zaznaczymy jedynie tę reduplikacją ⁴⁾.

Z dążeń dziejowych znów nie więcej nie znajdujemy w *Masławie* autora, nad chęć dorobkiewicza-parobka zrównania się z rodami i potęgą króli i książąt, zawsze poziomą i nikczemną, choć dochodzącą do wyparcia się matki wieśniaczki, do udawania się za potomka książęcego (t. I str. 108, 121—126, 127 i nast.). Nie chcemy bynajmniej twierdzić, by w duszy *Masława* historycznego nie tkwiły te dążenia, te chę-

¹⁾ *Mon. Biel.* t. I, str. 416, t. II, str. 285.

²⁾ *Mon. Biel.* t. II, str. 471. Mówi on o uznaniu Kazimierza przez cały naród polski i przez Karyntyan (śród których Szczodry, wedle legendy, pokutował).

³⁾ *Naruszew. Hist. Nar. Pols.* ed lip. t. IV, str. 211, por. 237—239, *Kraszewski Masław*, t. I, str. 213, t. II, str. 38.

⁴⁾ Taką też reduplikacją są awaty *Spytkowej* i *rajeów* w interesie Kazimierza podjęte (t. II, str. 130—137) i oddanie pierwszej osobie głównej roli.

ci. Wszakże formą w dziejach stoi tak wysoko nad objawami Masława powieściowego, żebyśmy niemal powiedzieli, że ten ostatni jest umyślną karykaturą pierwszego. Przynajmniej umyślne pozbawienie akcji, między Kazimierzem a Masławem zawiązującej się, wszystkich państwowych, filozoficznych, że tak powiem, zasad¹⁾, widoczne jest prócz powyższego i w ułamkowym, jakby tendencyjnie skróconém podaniu treści historycznej rozmowy królewicza z Ryksą jego matką. U Kraszewskiego czytamy tylko odradzanie matki (t. I, str. 117), a niema owęj „przysłowiowej odpowiedzi Kazimierza, człowieka wykształconego” danęj czyto matce, czy cesarzowi, że „dziedzictwo wujów lub matki niema tych warunków prawości i uczciwości, na jakich mocy posiada się ojcowską”²⁾. Tak pojmując antytezę ról Kazimierza i Masława dziejowych, jako antytezę dziedziczności i elekcji byłby Kraszewski wierny najdawniejszej powieści źródłowej o całym zajściu, związałby organicznie teorie państwowe *Masława* i *Starój Baśni*, w której o elekcyjności kneziów li wojennych ciągle jest mowa³⁾.

Tymczasem nietylko zatarł wyraźne, jak okazano, ślady antytezy zasad rządowych, ale nadto wystąpił z formułą polityczno-państwową, której ścisłe zastosowanie nietylko obala wymotywowaną przez obce wpływy zmianę charakteru króla w *Boleszyczkach*, ale nawet racją oporu przez szlachtę i rycerstwo stawianego Masławowi powieściowemu i w jak najjaskrawszej sprzeczności znajduje się z teoriami trzech pierwszych powieści cyklu.

Wyrażenia stronników Kazimierza „bośmy bezpańscy, służyć już komubądź, niech choć rudy pies panuje, byleśmy bezpańskimi nie byli“ (t. I, str. 23—25) czynią przyjęcie Masława za pana koniecznością logiczną, choć z drugiej strony są niemożliwe wobec słów Gallusa o *traditores* i *malitiosi* za Ryksy, o *emuli* za Szczodrego i Krzywoustego zdolnych to wypędzić, to obawą swe książęta przejąć. Obok tego to niewolnicze pragnienie choćby psa rudego „za pana” ma sobie dane za tło obawę, „żeby się na chłopskie ręce nie dostali” (t. I, str. 213), wykazuje

¹⁾ Niech to, co następuje, będzie odpowiedzią na recenzją pana W. B. (*Gazeta Polska* nr. 183 z 21 sierpnia 1877 r.) i Kaszewskiego w *Kłosach*.

²⁾ Gallus ks. I, roz. 19. *Mon.* I, str. 416. Wypada tu dodać, że jakby umyślnie sz. autor zupełnie pominął w *Masławie* reprezentacją obcą, teutońską cywilizacyi zachodniej. Być może zgodne to z chęcią podniesienia w dwu ostatnich powieściach antytezy do Rusi, z usunięciem w *Masławie* wszech pomocy zagranicznych; ale równie to nieprawdziwe, historycznie, jak usymbolizowanie formy wpływu niemieckiego, li za Bolesława I (w *Brac. Zmart.*) w szwabie Gwidonie. Czasy restauracyi Kazimierza odpowiedniejsze być się zdają dla bytu takich rozydentów, którzy byli zarazem rozsądnikami i opiekunami powracającego w Polsce do znaczenia katolicyzmu i oświaty rzymsko-germańskiej. Takich przedstawicieli niemieckiej restauracyi brak w *Masławie*, jak brak i obrazu prac w tym duchu podjętych przez Kazimierza. Owszem, widać ich umyślnie jakby przekreślenie (Grzegórz).

³⁾ Tom I, str. 193, t. III, str. 9—10, 24, 39.

był jakiegóś zgniętej arystokracji żadnej opieki od czerni, a niezdolnej do samorządu. Jeżeli porównamy twógi i niepewności Mieszka I w *Luboniach*, liczny zastęp zmedyatyzowanych spółrządzców, którzy wicherzą choćby słowami, oraz wyraźnie przeciwstawiające się panującemu rody w *Braciach Zmartwychwstańcach*, wówczas powyżej zobrażowana atmosfera społeczna i polityczna *Maslawa* będzie dla nas zupełną zagadką, do której klucz jedynie może nam dać hipoteza o zapatrzeniu się autora *Powieści historycznych* w ciemne tło XVII i XVIII wieku. Tylko ta okoliczność może nam wyjaśnić bezwiedny ten upór Kraszewskiego w przekształceniu jasnych podań i źródeł w tym celu, aby uwydatnić to, czego nie było chyba aż w XVII wieku, to jest, aby uwydatnić przepaść społeczną, istniejącą między stanem szlacheckim, a włościańskim już w wieku XII. Prawdą jest, że dr. Wojciechowski, zdaje się że i dr. Piekosiński ¹⁾ nadaje dziejom tego ostatniego stanu u nas pochód z gorszego na lepsze, nie odwrotnie jak to czyniono dotąd. Wszakże bez wdawania się na polu beletrystyki w rozstrzygnięcie wątpliwości naukowych, godziło się Kraszewskiemu pójść do źródeł pierwotnych i z artyzmem sobie właściwym, stworzyć prześliczny obrazek z pracy reorganizacyjnej Kazimierza. Zamiast tego umyślnie chyba, w duchu swego usposobienia psychicznego, które wszystko zabarwia kolorytem doby rozstroju i ruin moralnych i materyalnych, z rysu umyślnie dowodzącego, jak z *plebsu* tworzyło się rycerstwo, nasz mistrz tworzy... obraz wierności służalczej zwykłego pachotka „Grzegorza” (*Maslaw* t. II, str. 97—98, 159).

Contra nobiles liberati, in dominos servi—mówi Gallus, określając charakter powstania za *Maslawa*; co o ile rzecz dotąd z Gallusa wyrozumieliśmy, znaczy: „przeciwko rodowym” wystąpili rycerze, pasowani na sposób zachodni „ludzie nowi“, zresztą w ogóle ludzie oburzający się na przywłaszczenia tych oznak zasługi przez ludzi, oprócz krwi swęj (*nobiles*) nic innego nie mających na poparcie tęg usurpacyi. Powstali i rządzeni (*servi*) na rządzących (*in dominos* por. *proprio jure subditorum* względem Kazimierza). Otóż ów powieściowy mniemany piastun Kazimierza, ów fałszywy nawet w nazwisku Grzegorz, ratujący panu swemu życie jako dobry sługa, jestto znany z Gallusa *miles gregarius* rycerz opolowy, nie „z rodu szlachetnego“ (*non de genere nobilium*), który Kazimierzowi, władcy swemu, ocala życie, a za to gród dostał w rządy, będąc pasowany na rycerza ²⁾. Nie byłżeby to

¹⁾ *Chrobacya*, 1873, t. I, str. 228, nr. 27.

²⁾ Por. Gallusa u Bielowskiego *Monum*, I, 418; objaśnienie u Kadłubka III, 362—363 *equestrium praetexta nobilitat*, por. 357, *frustra preces accumulata toga praetexta*, warianty dają: *praetexta purpura seu stragula v. toga praetexta ciclas* por. I, 413, *vos qui torques portabatis in signum militiae, et qui vestes mutabatis regales cottidie*. Objąśniono to w czasopiśmie *Zdrowie*, N. 5, str. 61, w artykule: *Niektóre warunki higieniczne w dawnęj Polsce* (por. *Przyczynki do dziejów medycyny w Polsce*, str. 49). Co jest *vestis regalis* por. *Monum.*, Bielowskiego, II, str. 6, dar Salomei, żony Krzywoustego, płaszczyk *inferius*

wymowny rys polityki godzącej obrażonych, rys postępowości w polityce Kazimierza w porównaniu z germanizacyjną, wyłączającą, praktyką matki? Jak powiedzieliśmy, jednak autor pomija tę sposobność wykazania Kazimierzowej reorganizacji *in actu*.

Jestto fakt tém bardziej znaczący, że idzie z nim w parze obniżenie (niezgodne z dziejami) ważności i zacności ruchu Masławowego, jak to starano się okazać powyżej. Mógłby kto sądzić, że w duszy autora *Jaryny*, *Ostapa Bondarczuka*, *Ładowej pieczary* i innych, nastąpiła zmiana równie niekorzystna i stronna, jaką kuszono się odkryć w dziełach Wincentego Pola. Wszakże, jeśli data *Przygód p. Benedykta Winnickiego* o dramaty *Powódź* (tamten przed, ten po 1846 roku pisany), świadczą o wpływie spełnienia na niczém przesadzonych z gruntu literackiego na polityczny, i z tego tytułu fałszywych rojeń odbudowy... na kierunek Pola; to świadczą o wpływie innego rodzaju, jak to charakteryzowano ¹⁾. Wstręt do objawów ludowości w autorze *Powieści historycznych*, najdobitniej rysujący się w *Masławie* i *Boleszczykach* (mógłby kto myśleć), płynie z podobnego źródła jak Pola, jest objawem podobnego jak Pola i całej tegoż współczesności, rozczarowania się z własnej jednostronności logicznej (1860—1863). Na pewno jednak, choć widzimy fakt niewątpliwy, objaśnić go sobie nie umiemy; która hipoteza jest prawdziwszą, lub czy nawet obie nie są mylne, chyba sam Kraszewski mógłby odpowiedzieć.

Obok tego jednego faktu istnieje drugi, równie smutny, w dwu ostatnich powieściach cyklu tu rozbieganych. Jest nim pojęcie moralnego charakteru Marty Spytkowej, i zlanie go niejako z faktem etnograficznym, z jej pochodzeniem. Oburza nas (wyraz ten zatrzymujemy mimo kilkakrotnego odczytania), oburza nas w Marcie, że autor czyni ją Rusinką, i chyba tylko na powadze stosunkowo późnych źródeł o Kapuńskich leżach Szczodrego w Kijowie, wystawia Spytkową jako typ moralności prowincjonalnej, raczej jako typ ubliżający cncie

limbum rubeum habens, secundum morem gentis illius, auro instellatum. Jestto objaśnienie owej Kadłubka *equestrium praetexta*, albo *stragula*, albo *ciclas*. W kronice Kadłubka fakt z czasów Kazimierza przeniesiono w epokę Bolesława III, na zasadzie źle zrozumianej powieści Gallusa (II, 33, str. 450), co powtórzył Bogufał (*Mon.*, II, str. 517), a dwukrotnie za Gallusem i Kadłubkiem opowiedział o jednej rzeczy jakby o dwu wypadkach równoczesnych Długosz (*ed. lip.*, III, 226 i IV, 446). Leleweł spostrzegł, że Długosz i rękopisy zrobiły z *gregorius* imię własne (jak Kraszewski), i odkrył źródła powieści dwoistej Długosza, ale oba fakta (!) przyjął (*Polska, dzieje i rzeczy jej*, t. IV, str. 326 i noty).

¹⁾ W *paraleli Moniuszki z Polem* porównałem milczenie ostatniego późniejsze o ludzie z milczeniem pierwszych trapperów i squatterów Ameryki, grzebiących swe bóle w lasach dziewiczych, w walkach z bizonami i Indyanami. „Walki z ludźmi, klęski serca były tam tak wielkie, że nic innego nie pozostawało, jak rany zasłonić, żuzle przysuść popiołem, i aby nie uleść, jak Jakób Ezawowi, wziąć się za bary jak drugi Izrael z aniołem Jehowy.”

naddnieprzańskich polanek, tak chwalonych przez Nestora w XII wieku (z cnoty w formach ślubu).

Jestto chyba zapowiedź twierdzenia postawionego w *Boleszezykach* najfałszywiej, jako wyłożenie katastrofy. „Bolko się zrusił i tamtejszym obyczajem chce nas prowadzić“ (I, str. 66), zapowiedź okazująca, że można być zwolennikiem teorii etnograficznych Duchńskiego, pod ich wpływem może napisać powyższe słowa ¹⁾, a pomimo to, jak najokropniej się mylić w ocenie wpływów wyprawy kijowskiej na Szczodrego. Można tak dalece się mylić, że pominięcie udziału szwagrów ruskich w intronizacji Kazimierza, zgoła równoznacznem przestaje być z przemilczeniem współczesnych posiłków niemieckich lub najazdu czeskiego. Tu już wyraźnie nie chodzi o samą gloryfikacją osobistości Kazimierza, o scharakteryzowanie go jako wyłącznego anioła-odkupiciela, anioła-zbawcę, choć *przez bierność*. Autorowi tu chodzi o malowidło antytez etnograficznych tam, gdzie są antytezy, a raczej fazy chronologiczne; o zohydzenie stron ukraińskich w XII wieku, na zasadzie tranzlokacji typów skandynawskich i fińskich, fałszywej co do czasu i miejsca, na zasadzie chyba wspomnień XVIII wieku.

Podobną nieostrożność historyzoficzną, czy niejasność frazeologii, spostrzegamy w tym ustępie recenzji Tyszyńskiego *Powieści historycznych*, który tak dotyczy wpływów cywilizacyjnych międzyprovincialnych, Litwy i Polski, jak charakterystyka Spytkówój i stosunków Polski ówczesnej z Rusią w *Maslawie*. Tyszyński oświadcza między innymi, że „nieszczęściem to było starój litewskiej narodowości (jako narodowości sic!), że miała dziejowo się złączyć z narodowością jednego z plemion słowiańskich, które miało się stawać źródłem, bez wiedzy prawie i chęci, szczególniej asymilacji narodów“ ²⁾. Autor tu najprzód zupełnie nie pamięta, że wśród wielu czynników warunkujących byt narodowości, szczególniej religia, język i inne dane psychiczne, rzeźba ziemi posiadanej *in toto* i inne warunki fizyczne, niepomierną rolę zawsze grają. Otóż pogaństwo litewskie (jak słowiańskie) nie dawało życia, bo ono było tylko w Chrystusie. Wątpimy zaś, żeby autor był tak dalece litwinofilem, by chciał zostać w literaturze obrońcą lub twórcą Julianów-apostatów litewskich, jakkolwiek już apoteozą *Anafielasa*, a poniżeniem *Konrada Mickiewiczowskiego* (z tytułu dosadności pogańskiej), zdaje się na tę drogę wchodzić. Następnie, dość spojrzęć na literaturę litewskiego państwa, by się przekonać, że języki polski i raski zamykają w sobie kwintesencją bytu dziejowego Litwy, gdy w pieśni i prozie litewskiej dochowały się jedynie wspomnienia pogań-

¹⁾ *Rozpr. z posied. wyd. hist. fil.*, tom IV, str. 2, zamieszczają słowa Kraszewskiego (*Ruch literacki*, N. 9) „Aryjczycy i Turanie... Duchński naznaczył fakt, to jego zasługa“—jednak z ograniczeniem... „mamyż w XIX w. powrócić do wojen rasowych?“

²⁾ *Ateneum*, 1877, III, 468, w rozprawie: *Józef Kraszewski i jego powieści historyczne*.

skie i wraz z językiem są własnością ludu prostego lub uczonych z profesyi. Nareszcie Tyszyński nie spostrzega, że zasada geograficzna, znana w naszej literaturze przynajmniej od czasów Pola, jeśli nie Szajnochy (1847), zasada łączności rozwoju narodów i państw z ich sadybą terytoryalną, stwierdza się zupełnie nie tylko na Litwie, ale i na Rusi Czerwonój. Jak ta po stokach Karpat i za korytem rzek biejąc, musiała utonąć w granicach państwa od Gopła i góry Baraniój idącego, tak tamta ograniczona do porzeczki Niemna, musiała być łupem albo tych, co ujściem wodnej jej kości pacierzowej owładną, albo tych, którzy z wyżyny weleckiej, (z wyżyny ochrzczonej mianem Baltyku i Lutyków, czyli Weletów), z gniazda czasowego Lęchów Dunajowi i rzecce swojej zapanują ¹⁾, albo tych, co u Drohiczyzna daremnie chcieli tron wznosić, obalony u Halicza, albo tych wreszcie co od Wawela i Lennej góry, szli w górę Narwi, Bugu, i chcąc spełnić swe postannictwo dziejowe, palcem Stwórcy napisane na powierzchni ziemi, powinni byli zająć i przyswoić ziemie leżące w systemacie tych rzek i górskich pojezierzy ²⁾.

Z tych trzech racyi skazana była na zagładę Litwa pogańska,— Litwa, jako lud rozsypany na rody i rodziny, nie zrosły w narodowość przez religią, literaturę, ideę teluryczną. Biadanie więc, że narodowość litewska jako narodowość zginęła przez wpływ polsko-słowiański, jest nonsensem potrójnym, a w dodatku zagadką tegoż samego rodzaju co Kijowofobia Kraszewskiego dziwnie dwulicą, w innym stosunku mieszającą czasy i miejsca, jak teoria *Maslawa* i *Boleszczyków*. Jestże to objaw oplakany antagonizmów prowincjonalnych, których wybuchu za czasów Mickiewicza lękał się Morawski w listach do Koźmiana ³⁾, czyli też niejasności frazeologii?

Zestawienie dwu tych objawów umysłowych w działalności Tyszyńskiego i Kraszewskiego potęguje wspólną im tendencją ⁴⁾, usprawiedliwia pono naszą uwagę o pewnej atmosferze pesymistycznej, napojonej jakąś umyślną czy mimowolną pomroką, w której zdają się tworzyć oba ci pisarze.

Wszystkie teorie w zarodku jeszcze pozostające w *Maslawie* cieszą się najzupełniejszym rozkwitem w *Boleszczykach*. Niejednakowe tam traktowanie reprezentantów dwu zasad rządu, wyrażające się w pogardliwej redukcji przedstawiciela autonomii społecznej stanu niższego do roli warchoła dorobkiewicza, tu przechodzi w jasno przedstawioną tezę autokratyzmu Szczodrego, za tło którego dano obraz drużyny przybocznej króla prawdziwego „pastuchy ludu.” Całość god-

¹⁾ Duna=Dunaj, Dniepr=Dunaj, Athil=Welet (=Wołga).

²⁾ Baltyckiego, czarnomorskiego.

³⁾ Życiorys Morawskiego w *Portretach literackich* Luoyana Siemieńskiego.

⁴⁾ Uwydatnienie cech literackich w mytologii polubińskiej jest właściwością *Starój Baśni* i w uwielbieniu Litwy zbliża Kraszewskiego do Tyszyńskiego.

na Azyi. Porównyując jednakże wywody autora w tej mierze, czynione w *Boleszczycach*, z teoryami powieści poprzednich, spostrzegamy, że oparta na tym autokratyzmie katastrofa świętokradzka (zabicie biskupa) dobywa na jaw to samo zjawisko, które z racji Marty Spytkowej zauważyliśmy w *Maslawie*. Mianowicie Ruś kijowska znów występuje tu, jako źródło złych oddziaływań na Polskę, już nie tylko roman-sowych, ale i politycznych, przez co do *absurdum* sprowadzają się wzajemnie motywa kijowskie postępowania Szczodrego i odwieczność polskiej despotyi (jestto epizod *Szczodry-Stanko*).

Tak smutne dwie nauki polityczno-etnograficzne łączą się w *Boleszczycach* z nauką, wypowiedzianą w epizodzie *Mściśław-Krysta* natury nie tak wzniosłej, a brzmiącą, że w Polsce, z czasów przedstawionych w dotąd rozebranych ustępach z cyklu Kraszewskiego, kobiety swojskie, czy obce, były.... lekkomyślne wielce, że nie powiemy więcej, a ich mężowie... niedołęgi.

Tyle co do treści naukowo-wychowawczej. Estetycznie takż sam w *Boleszczycach* jak w poprzednich powieściach jest natłok kolejno zmieniających się a nieogniskujących się centrów ruchu fabuły (*Szczodry-Stanko*: despotya i kościół; *Odolaj*: pogaństwo i chrystyanizm; *Mściśław*: prawa ziemian i mężów) oraz zastój w rozwinięciu dawniejszych lub nowych motywów akcji. Co prawda i tu, za uverture, jak w *Starą Baśnią* i *Maslawie* możemy szczerze pochwały oddać autorowi *Boleszczyców*. Koloryt natury, osoby, pojedyncze nici bajki powieściowej; wszystko w tej ekspozycji jest schwytnie w miniaturze i oddane ze sztuką, jakiej może *Boleszczyce* są jedynym przykładem. Przechodzi to nawet w błąd. Już na samym bowiem wstępie autor zaznajamia nas tak dalece z tajemnicami powieści dalszej, tak wszystkie osoby i motywa ich działania wyraźnie są skreślone, że w umyśle czytelnika dorazu rodzi się pytanie, czy precedenye takie, jak zmarnienie katastrofy „lelowego uroczyska“ (*Lubonie*), tumu gnieźnieńskiego (*Bracia Zmartwychwstańcy*), *Maslawa* i t. d. nie będą miały zbyt ułatwionego pola objawienia się w skutkach i w *Boleszczycach*, a to z racji, że już nie niemal nie przybywa do materiału przedstawionego w obrazie spoczynku drużyny Bolesławowej na skraju puszczy Niepołomickiej.

Prócz tej wady, jest i druga. Ta ekspozycja jest podwójna, raz przez rozmowę, drugi raz przez akcją członków samego dyalogu lub osób w dyalogu wspomnianych. W rozmowie członków tej drużyny, przedstawiają się: charakter króla despotyczny i zmienny, jak kameleona skóra, humor jego; uległość drużyny; przygoda kijowska i porwanie Krysty, żony Mściśława z Bużenina; uroszczenia kościoła polskiego do wyższości nad władzą świecką i solidarność jego członków z Rzymem. W akcji zaś mamy niemal też same fakta powtórzone, bo najprzód spotkanie drużyny z ludem, w strach i ucieczkę go wprawiające przed grabieżczymi wojownikami Bolesława. Z kolei idą dwa spotkania szydercze z Mściśławem i z biskupem „Stankiem,” już cudotwórcą w sprawie o Piotrowin (t. I, str. 30, t. II, str. 169), a siłą ducha imponującym drużynie. To rozstąpienie się Boleszczyców na drodze przed sa-

mym biskupem (str. 25 i nast.), gdy orszak jego zejść z drogi zmuszają; ten tryumf siły moralnej nad fizyczną jest prześlicznym pomysłem. Przegrywkę zdaje się tu mieć czytelnik do walki między biskupem a królem, równymi sobie przez namaszczenie (t. I, str. 64). Pod wrażeniem tej sceny, czytelnik niemal przebacza autorowi, iż epizod Piotrowina usunął zupełnie z liczby motywów starcia między biskupem a królem. Ustęp cały zamyka wstrętne orgia, w dworcu Krysty, dopełniająca obrazu króla, niewolniczego stosunku do jego otoczenia, oraz obrazu samej bohaterki Krysty. Orgia ta przypomina zupełnie „kolacyjki,” odbywane w *petite maison* którego z „kołem tłuczonych (*roués*) rejeneyi francuzkiej. Z pamięcią na różnicę czasów i miejsca, niemal że nie znajdziemy przesady w tém porównaniu. Jakiegoś wrażenia nieswojskości doznajemy, patrząc się na te „gzy” dworzan Bolesławowych z orszakiem metresy pańskiej, na te „towarzyszki czarnobrewej (które), przy niej wydawały się tak gminne, pospolite, jakby z innego pochodziły świata, (których) srom nawet był od jój zalotności bezwstydniejszy“ (t. I, str. 37), które „nie zdały się brać dworzanom zaczepiek ostrożnych za złe,” (bo) choć srożyły się wprawdzie, ale w tak dziwny sposób, *jakby wyzywać chciały.*” To chyba nie Polska XI wieku mówimy, czytając jak tych kurtyzanek (panien honorowych! i....) „*rege co innego, oczy co innego mówiły, co innego usta,*” jak „król choć słyszał chychotanie i szepty, wcale się nie odwrócił, bo znać *tak zawsze bywało*” (t. I, str. 41). Wprawdzie autor tylko to zapisał, że „król i czarnobrewa gdzieś znikli, a dwór gdzie kto mógł i chciał do snu się rozłożył” (t. I, str. 43); lecz dość wyżej powiedziano o antytezach rąk i oczu, więc czynów i chęci, by domyślić się, co autor chciał tu rzeczywiście przedstawić. Co prawda autor szedł tu wiernie za duchem tradycyi, przedstawiającej Bolesława za lubieżnika; wszakże sposób scharakteryzowania tego grzechu, może mógłby być inny, a wierniejszy polskości. Bula nawet papieżka 1253 r. wyrzucając lubieżność świętokradzcy, nie umiała więcej o niej szczegółów powiedzieć, jak tylko, że własne ciało znieważał *nieładzką* ohydą (sodomia) i że do piersi kobiecych, zamiast własnych ich dzieci, kazał szczenięta przystawiać. Dodajmy, że probowano pierwszy fakt ze stanowiska polityki religijno-pogańskiej, drugi formą kary pogańskiej wyjaśnić ¹⁾.

Możnaby wogóle zapytać się z pewnym żalem naszych sztukmistrzów, czemu uwzięli się na tę postać królewską i tylko z tych stron ją przedstawiają, które w miłości narodu poniżać ją mogą. Rozpustnik i zbrodniarz lub pokutujący zbrodniarz, więc człowiek, któremu grozi upadek albo grzesznik (choć zbliżający się do odkupienia); to jedyne

¹⁾ *M. M. Aevi* t. I, str. 49: *cum.... Boleslum (Stanislaus) in tantum horrendis voluptatibus subici, carnis nephandis illecebris cerneret enervari, ut 1) in passiones ignominie traditus et inhumanis contumeliis afficiens corpus suum, 2) mulierum mamillis, avulsis propriis ezinde liberis, catulos apponeret miserabiliter educandos....* Co do *corpus suum* daję objaśnienie Bogufala z powołaniem się na źródła *quibus standum est verius* (*Mon. Biel.* t. II, str. 488).

barwy wiadome dla dramaturgów, beletrystów lub malarzy naszych. Roztwieram dramat Wężyka, p. t.: *Bolesław Śmiały*, drukowany w roku 1822 w Krakowie w księgarni Ambrożego Grabowskiego i jako motto znajduję *Discite iustitiam moniti et non temnere Divos*, a w treści, lubo Krystynę wierną mężowi, ale przyczynę zbrodni świętokradztwa. Z całej galeryi postaci tej sztuki, jeden Bolesław wychodzi na czarno i... kwestya rozwodów. *Mnich* Korzeniowskiego wprowadza nas tylko do Osyaku, bo autor w pokucie króla ujrzał węzeł dramatyczny, dość silny na zapełnienie trzech aktów.

Idę na wystawę obrazów i spostrzegam malowidło znakomitego twórcy *Skargi*, *Stefana Batorego*, *Rejlana* i tylu innych arcydzieł z wykonania i z myśli przewodniej. Z wspomnieniem *Albumu* i odтворzeń dawnych naszych pieczęci, które tak żywo budzą uczucie dumy słusznej nie tylko estetyka, ale i obywatela, patrzymy się na *Bolesława* Matejki i czoło nasze chyli się tylko przed potęgą techniki, przed sztuką malarza, który igra z trudnościami kolorytu, perspektywy, modelacją.... Ale wojak ten olbrzymi, czarny aż z ogorzeliżny, podobny ztąd do Otella, nawet przy „pani duszce” ze zbroi nierozdzian, w pozie godnej lupanaru; ta kobieta ubrana jak dzisiejsze handlarki miłości i twarz kryjąca, na to by patrzeć przez palce lub stać się pojęniejszą: jedno i drugie, nic nam nie przypomina człowieka, do którego nazwiska dotąd mniej więcej wyraźnie lud tatrzański przyczepia podania tej samej filozoficznej doniosłości dla Polski, jakie do znaczenia wróżebnego symbolu podniosły historycznego cesarza Fryderyka I, uczyniły sen jego w Kyffhausen przepowiednią świetnej doby dla rozerwanych Niemiec. Odczytajmy, zapisane przez Szczęsnego Morawskiego, W. A. Maciejowskiego, ks. Guśkiewicza, legendy ludowe o Szczędnym, do którego pokuty nie tylko własna dola, ale i całego kraju jest przywiązana, zwiążmy je przez wersyą Bielskiego o leżeniu w górach Karpackich z podaniem Gallusa o miłości ludu do króla i o opuszczeniu go dopiero naostatku, o opuszczeniu, warunkującym ekspatryacją, z podaniem kroniki Bogufały, które Karyntyą, (ziemię pokuty Szczędnego, ale i ziemię, z kąd Krakus, założyciel państwa, przyszedł), czyni ziemią uznającą Kazimierza *odnowiciela*, ziemią więc, przynoszącą nową erę Polsce, a wówczas dopiero przekonamy się z jednej strony o politycznym znaczeniu rutynowej legendy u Długosza i późniejszych odwiedaczy mniemanego grobu pokutnika w Osyaku, a z drugiej o błędzie tych, którzy idą za wersyą nieprzyjaciół Szczędnego, bez uwzględnienia tradycyi przyjaciół. Rozejrzawszy się dalej po źródłach i spostrzegłszy w nich, że nic w *XI wieku* nie nadaje powszechno-dziejowego rozgłosu i politycznych następstw nie przypisuje świętokradztwu Szczędnego ¹⁾; oddawszy z Gallusem każdą stronę, co jej się należy z słuszności

¹⁾ Por. zdanie pr. Małeckiego *Przewod. nauk. i liter.* lwowski 1875, III, str. 1001—1002, co do „sztucznego spotęgowania gwałtu” królewskiego, przez „krzykaczy” hierarchii i możnowładztwa.

i winy; mamy prawo zapytać się naszych sztukmistrzów, nowoczesnych zwłaszcza, coście ze Szczodrym zrobili?

Wolno nam zawołać z boleścią i gniewem, przecz takie rutyniczne postacie, jak Mieszko II Gnuśny, Elżbieta Łokietkówna, Bartosz z Wyszemburga, Radziejowska, Pilecka, Jadwiga d'Anjou, Barbara Radziwiłłówna i t. d. zyskały sobie łaskę apelacji od wyroku przeszłości, czemu choć przy opozycji mogły być inaczej ze źródeł przedstawiane, a Szczodry, ów Barbarosa Polski, coraz głębiej tonie w kałuży ohydy etycznej, zgięty pod urojoną kłatwą Grzegorza VII, pod ciężarem mniemanego konfliktu z kuryą rzymską?

Ten sam wyrzut jeszcze słuszniej zwracamy do Kraszewskiego, gdy widzimy w jego *Boleszczykach* rysy Szczodrego spotęgowane w nieznanym w literaturze naszej dotąd sposób.

Najprzód u Kraszewskiego Bolesław przedstawia się „żelazny i mężny“ (I, str. 14), wedle pojęć swój drużyny „musi w dłoni wszystko dzierżyć, a krzepko, bo gdyby cugli popuścić ludziom, roznieśliby go na cztery wiatry.“ To też od „Bolka Wielkiego, pana u nas takiego nie bywało: drży przed nim co żyje, i co żywe słuchać go musi“ (I, str. 12, 13). Wizerunek jego (I, str. 35—36) z lubością chyba kreślił Kraszewski, tak go szeroko roztoczył. Zakończenie da miarę, jak niewyczerpany nasz beletrysta splata umiejętnie psychologiczne charakterystyki wciąż z atmosferyczną fizyognomią natury, zgodnie z powyżej przez nas zrobioną uwagą, co do tej właściwości obecnych *Powieści historycznych*. „A twarz to była (mówi nasz autor), jak kwietniowych dni niebo, zmienna błękitem naprzemiany, obłokami czarnymi, chmurami białymi, oponami szaremi, słońcem wesołym i złocistym malowane, której poranek nie rzączył za wieczór, a burza nie trwała dłużej pogody... Piorun mógł z niej uderzyć niespodziany, a w chwilę potem mogły się otworzyć spokojne błękity...“ „Od dziecka niemal pan, żołnierz, wódz, zwycięzca, co nadawał trony, był nieuleknionym, nie rozumiał może, iżby dlań co niepodobnym być mogło.“ To też (I, str. 38) „wszyscy stojący koło pana, czekali, patrzali rozkazu i skinienia, zdając się chcieć odgadnąć z oczów króla, jakiej może zapragnąć usługi. Nawet mieniając wejrzenia z niewiastami, *co ich oczyma i rękoma wyzywały na psoty*, młodzież ta ciągle ku panu jednym okiem spoglądała.“ Nawet od biskupów „Bolko ani znać nic innego nie chciał nad posłuszeństwo i poddanie się rozkazom“ (str. 46).

Niezabawem jednak mienią się barwy, nie tylko dlatego, że stronictwo nieprzyjazne królowi maluje go: „Ten kat, a nie król (I, str. 56) o zdjęcie głowy z karku ziemianinowi nikogo nie pyta.“ Twierdzi Kraszewski, wbrew źródłom nawet uprzedzonych do Szczodrego ¹⁾, „nikogo

¹⁾ *Vita S. Stanislai ad calcem Galli et Bandtke*, str. 348: *convocato totius regni sui consilio, praecipuos et majores capitibus abscissione dampnavit et quos aperte perimere vel capere veretur insidiis agreditur*. Kraszewski opuścił na czele tego ustępu stojące zwołanie sejmiku i na nim zapadło wyroki kazi, którą tylko na groźniejszych podstępnie ale legalnie wykonać trzeba było.

się nie zwykł radzić, a gdy ukarać postanowił, sądów nie zbierał, posyłał swych *siępaczy* i ścinać kazał, tak dobrze prostego człeka, jak najmożniejszego władcykę“ (I, str. 58). Nawet jako wygnaniec odzywa się do wiernych swoich: „Wszyscy karki pokręćcie, nie będę po was płakał, tak mi z wami jak bez was“ (*Boleszuzyce*, II, str. 173), i uderzeniem pięści zabija psiarczyka. Gdy zaś obleżony na Wawelu, nie chce obcej pomocy (II, 79, 131—134, 107), ale sam się nie rusza do czynu, i oblegający go chcą go jeno głodem przymusić do ustąpienia, obraz ten, jakiejś wschodniej pefen antytezy, nabiera barw tém jaskrawszych, przez następny dodatek Kraszewskiego: „(Bolesław) z tych resztek ludzi co przy nim pozostali wybierał (król) ofiary gniewu swojego, ścinał, wieszał, i nazajutrz postradanych żałował“ (II, str. 137—138), lub téż „niektórych sromotnie poprzybierał w skoki zajęcze, z kądziałami u pasa ¹⁾, na pośmiewisko z zamku wypychał“ (II, str. 137).

Byłoby jednak błędem wierzyć zdaniu autora, że takie postępowanie Szczodrego było wynikiem jego zruszczenia się. Czytamy, że to już (I, 44—45) od czasów Mieszka panowali knieze a królowie, oni sami tylko zwoływać wiece mieli prawo ²⁾, a szli na wiece ci, których wezwano i przypuszczano kogo pan zażądał.“ Dalej mówi o „żelaznych“ rządach Chrobrego, które zmusiły ziemian i rycerstwo wyrzec się i zapomnieć praw swoich do tego stopnia „że nikt odwołać się do nich nie śmiał...“ Za Kazimierza wrócił dawny porządek królewski i posłuszeństwo, a gdy rządy po nim objął rycerskiego ducha Bolko Szczodry, nikomu téż z sobą władzy dzielić nie dawał.“

Nieinaczej już w poprzednich ustępach Kraszewski wyrażał się o początku władzy zwierzchniczej. Oto co czytamy (*Lubonie*, I, str. 198—200), w formie już nie hipotezy Szajnochy o obcem pochodzeniu Krakusa, ale jój nowego a ciekawego wariantu. Po dwunastu wojewodach:

Posłali za morze z pokłonem,
Oj, posłali szukając wojaka,
Coby jeden nad wszystkimi panował,
„Kraku, panie a kneziu, wołali,
Chodź do ziemi naszój, a rządź nami.“

Z legend wiemy tylko, że Krakus przybył z Karwacyi. Nawet Szajnocha nie wspomina o zapraszaniu go z morza. Dodatek to już Kraszewskiego, uczyniony na wzór zaprosin przez Brytonów do Anglosasów, a przez Słowian do... Ruryka zwróconych. Już rusyfikacya tu sięga dalej jak Kapui kijowskiój, i przekształca zupełnie wolne od ta-

¹⁾ Znów pożyczka z dziejów Bolesława III (*Monumenta Bielowskiego*, II, str. 362).

²⁾ Po obrazie przeciwnego stanu rzeczy w *Starój Baśni* (I, 160, każdy ma prawo wiec zwołać), już za rządów Pepelka, taka zmiana w rozdziale władzy za Piastuna jest zagadką przez autora niewyjaśnioną.

kich szczegółów (zaprosin) podania dawniejsze. Dodajmy, że już W. A. Maciejowski zaprosiny Ruryka podawał w wątpliwość i szukał dla nich źródeł w powieści *poetycznej* teutońskiej. Fakt znany z Gallusa, że Sasi za Karola Wielkiego uciekli do Prus (więc może do ujść Niemna zwanych Ruś, z kąd Ruś miała przyjść lub kędy Ruś ślad swego pierwotnego wyładowania w nazwie rzeki zostawiła), tłumaczy nam jak li wieść o zaprosinach, i li wieść o Ruryku, korsarzu słynnym na brzegach Fryzyi ¹⁾, mogła w słowiańskie strony nad Ilmeniem zawędrować z obczyzny i tam z czasem przekształcić się w fakt dziejowy.

Kraszewski téj zmiany dopełnił nie przypadkowo, bo i w *Starój Baśni* ród Pepełka uważa za *obcy* (I, str. 161), i w ogóle instytucją kneziów za późniejszą od pierwotnej gminnej demokracji (I, str. 144, 147, 160, 189, II, 138).

Podobnie, już w *Starój Baśni* uwydatnia się różnica między drużyną (Smerdami) a wiecującymi kmieciami, z których pierwsi są „ludźmi od krwi i żelaza,” a drudzy „od pluga i gęśli” (I, 193, III, 116). Jak tedy już Piastun, choć „pokorny, ubogi, mały” (III, str. 39), swojak, zagarnia władzę gromad (*Stara Baśń*, III, 142), i jedynie pozorną zmianę zaprowadza co do sadyby (III, str. 158), a władza autokratyczna ciągle trwa od niego do Szczodrego, tak samo i drużyna opryczników w *Boleszczycach* ma praojców w Smerdach *Starój Baśni*. Kijów nic tu nie zmienił za Szczodrego w systemie rządów. Niemógł téż i zmienić, skoro o wiecach radzących z książętami lub wypędzających, ciągle czytamy u Nestora.

Już, wedle opisu powieściopisarza, strachem napełniali Boleszczyce lud niewolny (I, str. 25), a w uściech przeciwnego stronnictwa mają reputacją pomocników Trystana l'Hermite lub mnichów ze słobody Aleksandrowskiej. Są to „niewolnicy“ z pochodzenia lub czynu, bo „przystępu do króla innego nie ma, tylko na kolanach, głową bijąc pokłony“ (I, 161), lub tacy „co jak Boleszczyce, i za katów mu służą, i za druhów do wszelkiego plugawstwa“ (I, str. 58). W istocie bardzo to byli ludzie przydatni dla króla, który „więzienia nie lubił, wołał ścinać i wieszać ²⁾).

Oni téż towarzyszą królowi przy porwaniu Krysty (I, s. 27—28), oni chwytają jój męża na rozkaz króla (str. 112—113, 129 i nast.), oni to lubo z pewnym oporem (II, 81), nie bez pewnej zdrady ze strony najmłodszego (str. 82—86), dopełniają mordy na biskupie (II, str. 98).

Drużyna ta wierna, której nawet rozkaz pradziada rodu (I, 161—169, 180—186; II, 61—71), mającego niezaprzeczone prawo odebrać życie swym wnukom, a coż dopiero odwołać z służby królewskiej, nie odwoździ od boku Szczodrego. Bolesno im być nazwanymi „psami królew-

¹⁾ W. A. Maciejowski: *Dzieje pierw.*, str. 34; Gallus *Mon. Biel.*, I, str. 445; Szajnocha: *Lech. pocz. Pol.*, 169.

²⁾ Tom I, str. 129, sprzeczność z t. I, str. 177, gdzie mężów i ojców do ciemnicy sadzi.

skimi“ (II, str. 77), ale rzeczywiście czem więcej nie są. Po wyklęciu, Borzywój Boleszczyc na własną rękę szuka „rady“ u stryja we Wrocławiu biskupującego; wzdyga się na obraz pokuty naznaczonej królowi, „ogarniają go przestרח i zgryzota;“ wszakże oświadcza, że „jeszcze jest sługą i do pana wrócić musi“ (II, str. 126—129). Z nim „rodziny, domy, ziemię swą, wszystko rzucali, dochowując ślubowanej wiary, wiedząc, że albo głowy za nią dać będą musieli, lub długie lata cierpieć na wygnaniu, wśród obcych i w poniewierce. Na twarzach z bólem widać było żelazne łańcuchy. Drgnął czasem który, słysząc za sobą płacz niewiast i kwilenie dzieci, i wnet się krzepił, aby sercu nie dać zmięknąć“ (II, str. 143). Związki krwi tedy, obawa religijna, nawet wygnanie, nie rozrywają tego węzła Boleszczyców i ich imionodawcy. Są wierni jak psy, choć ich samych katuje (por. wyżej), są wierni królowi jak gezwowie (*gueux*) belgijscy; *jusque à la besace*.

Nie przeczę, że obraz etyczny tej drużyny w pewnym względzie jest oddany wiernie; z drugiej strony nie możemy zapomnieć, że będąc nawet uzupełnieniem objawów chorobliwej dzikości Szczodrego, dzikości która pozornie tylko inna jest po zabiciu, a inną przed zabiciem biskupa, taka drużyna nie jest swojska, jak i taki król nie jest rodzimym. Chmielowski nazwał go Bajronistowskim Czajld Haraldem, ¹⁾ Kaszewski furyatem z manią rozlewu krwi. My dodamy, że chyba wschód może tylko podobny okaz króla i stosunku do narodu urzeczywistnić; nawet bowiem Jakób II, choć miał do pomocy swęj teoryi o władzy *Dei gratia* okrutnego objazdowego wieszczca Jefferisa, pokonał legitymizm swych stronników. Tymczasem wedle słów, które Kaszewski włożył w usta pradziada Boleszczyców Odolaja, to psia wierność, liżąca rękę bijącą, wdzięczna nawet za rany lub śmierć od pańskiej dubinki. Kaszewski, w recenzji tej powieści—powiada, że „Bolesław nasz (raczej Kaszewskiego) pod względem obyczajów, z uwagi zwłaszcza na różnicę wieku i edukacji, w *niezém tak dalece nie był gorszym* (sic) od Ludwika XIV, który wszelako wyklętym nie został, ani mu nikt nie proponował usunąć ze dworu wszystkie Krysty, pod zagrożeniem ustąpienia z tronu, a cóż dopiero iść ze stryczkiem na szyi i o kiju żebraczym do Rzymu, dla tego, że kilkaset osób cichaczem i bez wielkiego rozgłosu zamordował w Bastylii.“ Tak patrzył się Kaszewski na stosunek Szczodrego do władzy duchownej i to zapatrywanie wyraził w ciekawej paraleli Szczodrego z Ludwikiem XIV. Któż jednak ów Ludwik XIV? to autokrata zowiący się słońcem, w którego blasku, jakby Faetontowego całe państwo spłonęło; to despota, który zniszczył naród, a stworzył dworzan; to pan którego łaska zastępowała wstyd niewieści i honor mężki, była ich równoważnikiem dla poddanych.

Tak domówiwszy resztę porównania, a raczej uwydatniwszy jeden jej rys, ową „Bastylią“ z recenzji Kaszewskiego—mieć będziemy istotny punkt teoryi rządu, na której stoi Szczodry Kaszewskiego. Mniej

¹⁾ *Niwa* 1877 N. 63 str. 213.

właściwie Chmielowski porównywa stosunek powieściowego i dziejowego Bolesława do stosunku „Bałagudy“ i bohatera (XII str. 213), a jego zarząd z biskupem stawia na równi z jakąś trywialną sprawką między rozpuszczonym kolatorem z jego upartym i nerwowym proboszczem (XII str. 215). W gruncie rzeczy jestto wyrzut obniżenia dyapazonu historycznego, pewnej transpozycji z tonacyi, (że tak powiem) władzców, reprezentantów pewnych idei historycznych—w kakafonią zgiełku ulicznego, jeżeli nie rozbeztwienia. Wszakże lepiej był natchniony, gdy oburzając się na opis orgii odbywanych na dworze obłąconego już Bolesława (*Boleszczycze* I str. 129) pyta się Chmielowski „czy to rzeczywiście obyczaje polskie w drugiej połowie XI wieku, czy też obyczaje *Hunnów* autor opisuje i czy to było na dworze króla Bolesława Szczodrego, czy też w obozie Atyli.” Właśnie nawet huński „maż urodzony na chłostę narodów (*in concussione gentium*) na postrach ziem wszystkich,“ jak mówi Jordane (*de Getarum seu Gothor. orig. et reb. ges.* § 35) mogłby być tylko wtedy prototypem króla w Boleszczycach, gdy *notabene* odtrącimy przypisywane i Atyli biegłość w radzie, dostępność proszącym, dotrzymanie raz zaprzysiężonej wiary.

Wraz z naszymi tymi poprzednikami szukamy odpowiedzi na pytanie, czemu nasz znakomity beletrysta czy to *Boleszczyców* czy *Maslawa* owionął taką atmosferą polityczną, której możliwości nawet najbardziej despotycznie pojmwana epoka tak zwanych Bolesławów nie dopuszczają. Z jednej strony pan... z drugiej trzoda groźna tylko milczeniem i cyfrą; nawet w największem oburzeniu, pokorna w obec króla bo delegacya oblegających, lub ich najgrawiania nieprzekraczają sfery biernego nacisku na nietykalny majestat: oto rys konstytucjonalizmu Bolesława II, choć nawet nieprzychylne mu źródło z XIII wieku (t. z. *Vita S. Stan.*) przyznaje mu wyrokowanie za dezercją *na sejmach* (*in colloquiis*) a nawet częstość sejmów, z racyi podwód, za winę mu poczytuje.

Obraz króla, który przyprawia o śmierć chciwego kłeryka (jak w końcu widać chciwego *dla rodziny*), i tylko „śmieje się z tego,“ co wyznajemy, dowolnym jest wymysłem autora, by rys szczodroblwości przeistoczyć na rys srogości (Bol. I str. 146—7 por. Chmiel. str. 211—212); król który, jak mówi Kraszewski, asystuje poborowi danin i *podatków* od wszech stanów, gdy właściwie był to tylko pobór haraczy (*tributa*) od Rusinów i innych hołdowników (*vectigalium*) ¹⁾; więc król okrutnik i król wydzierający złoto swym poddanym: to obraz zupełnie nieznan w naszych dziejach ²⁾. Tu zdaje się tkwić słowo zagadki, czemu zgodnie z teorią *Starój Baśni*, ale sprzecznie z teorią despotyzmu odwiecznego monarchów polskich, wypowiedzianą w *Boleszczy-*

¹⁾ Gallus (ks. I roz. 26 *Mon*), Biel. I str. 421.

²⁾ Dodajmy jeszcze szczegół, że *prawo polskie* do czasów *prawa niemieckiego* nie zna opłat pieniężnych, ani danin kruszcowych; skarb zasilał się tylko *naturaliami*, a zresztą znano posługi osobiste i majątkowe (*personalia, praedialia*).

each, nawet w późniejszych powieściach, tylko prywatni zwołują wiece.— Najoczywieściej te objawy udziału narodu w rządzie sobą, schodzą do stanowiska objawów buntu, skrytych konspiracji, skoro jedyne zebrania narodu przez króla niby zwołane w *Boleszczycach*, zmienił autor (jak widzieliśmy) w obraz poboru haraczu przez despotę od niewolników swoich. Gdy widzimy, że autor bardzo pilnie dla swych powieści wertujący kroniki, znający i opracowania, jak to np. widać z nazwy „Szczodry“ Lelewelewski; dopełnia tego rodzaju przemianowania, i to w kierunku tak charakterystycznym, wypada w tém uznać ów smutny refleks pewnych społecznych zjawisk na pogląd Kraszewskiego; musimy przyznać byt pesymizmu wywołanego przez pewne dane realne, społeczne, a wpływającego na malowidło obrazów z tak odległej przeszłości.

Obok tego wizerunku tyrana, rozsypał Kraszewski materiał na inny króla Bolesława. Wprawdzie jakiś rebelizant, stary Topor (*Bol.*, I, str. 59 — 60) uważa, że dawniejsi „królowie surowi bywali ale sprawiedliwi, bez rady téż swój nie czynili nic. Ziemianie do nich szli jak dzieci do ojców, we wszelkiej potrzebie, ten (zaś Bolesław II) znać nie chce tylko swoją wolę, swój miecz.“ Jednakże jakże dwuznacznie kończy on swe żale! „My u niego z czernią za jedno stoimy. Władyka, żupan czy wojak, a rab i parobek u niego równo waży“ (ibid). *Nam i czerni złoto rzuca*“ (I, str. 61). „Lepiej nam z księżmi i klerykami niż pod różgą jego na równi z chłopcy i niewolnikami“ (II str. 70). Z tych słów możnaby tylko wywnioskować, że możniejsi, tak zwani przez autora władyki, żupanie, ziemianie, rycerze oburzają się jedynie na króla za równouprawnienie z ludem, a w skutek tego, zamiast nagany, pochwała winnaby spaść w udziale Szczodremu. Wszakże z opisu wstrętnej uczyty (I str. 73, 75, 94, 96) którą ludowi przebranemu za panów wyprawia Szczodry po zabiciu biskupa, widać że Kraszewski takie bydło robi z czerni ulubionej królowi, że istotnie i ta zaleta równouprawnienia upada, przechodzi w winę. Orgia ta ludu za Szczodrego jest odbłaskiem orgii płockiej o *Masławie* i obum jak widzimy, jest wspólny rys poniżający klasę „nieszlachetną.“ Fakt ten już raz przez nas podniesiony, ze względu że się powtarza w *Boleszczycach*, zasługuje na bliższą uwagę, jako objaw stałej teorii. „Królowi ziemianie i rycerstwo solą w oku, nasby się wszystkich rad zbyć, a z motłochu sobie dobrać drużynę,“ czytamy w jednym ustępie dopiero co wspomnianej powieści (I str. 60). „Jednemu z nas (mówi ziemianin) życie wziąć, majątność odebrać, czci zbawić toć igraszka...“ I oto naraz wysuwa się ciekawy szczegół zgodny z historią: ratujcie nas chrześcian przeciw *poganom, których król miłuje*“¹⁾. Rys to jednak przelotny. Kraszewski chętniej trąca w hajdamacką jakąś nutę. Deputaci od ziemian wyrzucają królowi, że „na popólstworachował (II str. 140) choć daremnie“ bo „czerni strwożona, panów swych widząc pod bronią, lękała się ich zemsty nad rodzinami i ruszyć się nie śmiała“ (II str. 137) „(król) biskupowi grozi, rycerstwo

¹⁾ *Boleszcz.* I str. 61 por. II str. 119 „lud to współpogański.“

swe katuje, *czerni* mu tylko miła“ (I str. 172). Gdyby nie ta nuta fałszywa, dźwięcząca tonami zerwanej struny w harmonice Jankła, w tych ulotnych odezvaniach się figur Kraszewskiego w *Boleszczycach*, możnaby się dopatrzeć jego wiadomości i świadomości, że król trzymał z ludem, i gwoli temu jak Mieszko II pod koniec życia spogańszczył się. W pewnej mierze i poprzedni obraz mierzenia obu stanom praw równą szalą — (ile że zaprawiony żółcią, w wiciach jednostronnego ziemianina) — byłby słuszny.

Atoli w takim razie należało podnieść rys pogaństwa tkwiący w głósnej klaczy Szczodrego. Wszakże autor nie idzie w ślad Hoffmana Karola, ks. Wł. Siarkowskiego, którzy na równi ze mną widzieli w tej klaczy ślad pogańskiego Swantewitowego rumaka ¹⁾. Nierozwinał tkwiącej w tym fackie myśli, że Szczodry jak Sertoryusz z *polityki schlebiał zabobonowi*, stosowniejszj tu jak w *Mastawie*.

Natomiast autor *Boleszczyców* tworzy sobie nową wersją podań o klaczy tej. Niewiadomo czy w duchu Bogufałowego *quibus standum est verius* (Mon. Bielow. II str. 488) nazywa tę klacz czarną „królewską faworytą“ (*Boleszcz.* I str. 33) a potem wbrew tradycji, która każe Szczodremu „wedle słuszniejszych podań“ na pogardę cudzołożnic mienić klacz swą faworytą, Kraszewski kładzie królowi Szczodremu w usta błędny zgoła frazes (I str. 57); twierdzi bowiem iż król kazał oprowadzać klacz tę z okrzykiem, że „ona więcej była warta niż te żony co się przeniewierzyły.“

Znikł więc rys pogański — znikła téż przez to właściwa barwa i doniosłość ciekawej wiadomości z Gallusa, że zaszła taka faza w życiu Szczodrego, faza rozpaczy, czy oporu daremnego a niszczącego tylko adherentów jego (*cumque nullus rusticorum fugitivo obediret*), że „nikt z wieśniaków nie słuchoł wygnańca“ (Gal. II str. 28). Zgodzilibyśmy się na pewną rozpacz króla w zapasach z *emulami* którzy go wygnali z kraju, a potem bojąc się za to kary od syna wygnańca, otruli i tę nadzieję i miłość ludu prostego (Gallus II str. 229). Niechby nawet ta rozpacz osiągnęła taką miarę, jaką jęj zakreślił dziejopis najdawniejszy tego zajścia. „Nie powinien był chrześcianin na chrześcianach ²⁾ jakkolwiek był grzech, karać go cielesnie; tym mniej, grzech do grzechu dodając, za zdradę (*pro tradicione*) biskupa poddać obcięciu członków“ ³⁾. Tak jednak oskarżając króla, wypadło z Kadłubka niezapominać znanych rysów, że rycerstwo na wieść o rozruchach domowych, opuściło w obcym grodzie Szczodrego, że król tym sposobem czuł się słusznie wydanym na jatki, bo nieprzyjaciel skorzystał z dezercyi, i zwyciężąc

¹⁾ *Groby królów pol.*, artykuł o świętach Wielkanocnych w *Biesiadzie* 1876. Sam Kraszewski o wróżebnej roli konia mówi w *Starej Baśni* III str. 9—20.

²⁾ *In christianos* (Bielow.) dawne wydania błędne *in christianum*.

³⁾ *Truncationi membrorum*, takićj kaźni lękał się za zdradę Zbigniew, po wojnie z ojcem (Mon. Biel. I, str. 433, ks. II, roz. 5), Getko biskup i inni za spisek przeciw Mieszkowi III (Monum. II, str. 384, por. téż str. 391).

zmusił do sromotnej ucieczki ¹⁾. Gdy Szczodry wraca do kraju, dezercerzy z pod sztandarów wojennych, lud wyrzynają. „A cóż król będzie bez ludu“ zapytuje Szczodry i słusznie, bo *emuli* „spółzawodnicy“ są potęgą, silną już wygnaniem Ryksy i Kazimierza. Zdałoby się że i tu umyślnie Kraszewski lud zamienił na czerń, i usunął motywa ogólne, by poniżyć króla, demokrację choćby z musu, i odjąć ruchowi, któremu przewodniczył, znaczenie podnioslejsze (porównaj *Maslawa*).

Pozwolimy sobie następne rzucić pytanie, czy owa wojna niewieścia, z której jeden typ w Długoszu przedstawia Krystyna, a drugi Małgorzata z Zębocina, ledwo (rzecz szczególna) wzmiankowany (*Bol.*, I, str. 142), nie jest właściwie tylko shistorycznioném echem zwykłego obrzędu ślubnego, który przedstawia się jako wojna, jako zdobycie zamku ²⁾, który już w biegu czasu dał powód do wykładu dziejowego znaczenia orszaku oblubieńca, porywców obrzędowych oblubienicy ³⁾. Przypominamy dla uwydatnienia naszej myśli, że w pieśniach, wśród zdobywanych z dziewczyną zamków Miru, Lwowa, Krakowa, Kamieńca Podolskiego, znalazł się też i Kijów jako symbol... komory oblubienicy ⁴⁾. Zaczem usunawszy bajkę siedmioletnia kapuańskiego, mamy z jednej strony fakt istotny dezercyi z Kijowa, słusznie mogący być karany przez wodza; a z drugiej śluby, które dokonywano w sposób pogański przez gwałtowne unoszenie panny z domu rodziców, nie koniecznie może w czasie onęj dezercyi, ale w każdym razie połączone z pewnym nadużyciem ze strony konkurentów. Wbrew woli nieobecnych ojców, z uszczerbkiem praw wojujących mężów, wchodzili ludzie opolowi w stosunki małżeńskie przez gwałt obrzędowy z córkami i żonami zagranicą bawiących. Przeciw temu słusznie mógł biskup wystąpić, mógł najprawniej potępiać bigamią, gdy król rad skarcieć dezercerów, trzymał się dawnego kodeksu pogańskiego na cudzołożnicę, jakiemi były obecnie do dawnych swych mężów wracające nowo innym ślubujące małżonki. Nawet też, jak widzieliśmy, buła papieżka z 1253 r. kanonizacyjna, nie umiała przytoczyć innęj dzikości króla, nad przystawianie szczeniąt do piersi tych kobiet, które zgrzeszywszy, wracały pod dach przez swą niewiarę splugawiony. W tém starciu kwestyi wojennej karności, i pogańskiego sądownictwa z chrześcijańskim poglądem na formę ślubów, przy jednych i tych samych osobnikach: jest

¹⁾ Por. *Wyprawa kijowska* Jana Karłowicza.

²⁾ Por. *Obchody weselne* Glogera (Pruskiego), t. I, str. 158, siedząca panna na posahu jest w gorodzie, por. 159, 172.

³⁾ Tamże: na Pińszczyźnie ma to być Litwa (t. I, str. 293, 287, 44), Waragi i Krzyżacy na Litwie (str. 288, 291 n. 5, 287 por. Kraszewski: *Litwa*, I, str. 465), ba, nawet „dwory warowne staręj Polski“ (str. 290), por. też str. 289—290, por. Kolberga *Lud*, III (Kujawy), 271—272; Gloger, t. I, str. 186.

⁴⁾ Por. *Kolendy podolskie* Eustachego Dulskiego, 1858, *Bibl. Warsz.*, t. III, str. 304, por. 317—318, błędnie że fakt historyczny. U Glogera jest cytowana pieśń w ułamku o zdobywaniu krakowianki w Kijowie. Cytaty nie mam pod ręką.

pono istotne jądro sporu. Kraszewski winy dezertarów nie uwydatnił jak należało, sprzecznie o niej wspomniawszy (I, str. 73, 57, 58, inaczej I, str. 185). Nie skorzystał też jak wypadało ¹⁾ ze świadectw źródła niechętnego Szczodremu, które bądź co bądź przyznaje, że „utrwaliwszy się we władzy Bolesław, trzy rzeczy sobie w duchu założył dokonać: zniewagę swoim przodkom wyrządzoną na szlachcie polskiej, która ich wyгнаła z kraju, pomścić, dalej granice stracone przez przodków odzyskać, nareszcie, wsze ziemie co ojcom podległe były i oderwały się, napowrót podbić“ ²⁾. Zaczém pomsta króla ma głębsze nawet powody, a ucieczka rycerzy z Kijowa tylko dodaje nową urazę do pierwszej, bo niweczy zamiary rekuperacy i zdobyczy, oddawna pieszczone w myśli i sercu króla.

Warto też zaznaczyć dla wykazania z samej Kraszewskiego powieści, wszystkich powodów sporu z biskupem „Stankiem“, oraz pewnej niechęci w autorze do postaci króla, że Szczodry w *Boleszczykach* pierwszy na biskupstwach osadzał krajowców i do tych „jako téj ziemi ojczyców“ (zdaniem Kraszewskiego) miał prawo, a nie do Włochów i Francuzów, których Rzym przysyłał (I, str. 23—45), i którym rad nie był, bo ulegli mu nie byli. Twierdzenie to, poczerpnięte w części z Długosza, może opiera się dopiero na fakcie reakcy polskiej przeciw cudzoziemcom w łonie samego kościoła (synody Fulka i Świnki), dokonywającej się w ciągu XIII wieku. Mogłoby ono, aczkolwiek późnem źródłem poparte, posłużyć do nadania Szczodremu barw zapaśnika narodowości polskiej, reprezentanta oporu przeciw obcym duchownym. Nie wspomina jednak o tém nasz powieściopisarz. Raczej akcentuje niewłaściwie ton autokratyzmu i całą sprawę wywodzi (z Kaszewskim) błędnie na pole scysyi powszechno-dziejowej kościoła z cesarstwem.

Źródła wiarogodne co innego świadczą o owoczesnej Polsce. Zamiast ją i Szczodrego przedstawiać w sporze z Rzymem, owszem oboje czynią mu wiernymi. Że reorganizacya przez króla pospołu z Rzymem w kościele polskim 1075 r. dokonała się, jest na to list Grzegorza VII. Że przybył za Bolesława II do Polski nieznaną z kądinąd arcybiskup Henryk, pierwotnie opat z Wiltzburga, czy Wireburga, stronnik tegoż papieża, wiemy z Ebbona, żywociarza św. Ottona. Że Bolesław II popierał Sasów do współki z Rusinami, przeciw cesarzowi nad Unstrutą, wiemy ze źródeł niezależnych od siebie a współczesnych. Wiemy i to, że nie ma żadnych dowodów zerwania przyjaznych stosunków między Szczodrym a Rzymem, bo za ich zerwanie nie może uchodzić nakaz czynienia dobrych uczynków w obawie śmierci. Nie dowodzi też niczego nagana za zabór złota Dymitrowi (Izasławowi), skoro później zgodnie z wolą papieża, Polacy osadzili tegoż Izasława w Kijowie. Dla potępienia więc legalności monarszej i kościelnej dążeń Bolesława II, u Kraszewskiego, dowodu żadnego w dziejach nie widzimy. A jeśli spytamy, co stanowi tło duszy Szczodrego, tak na ciemno w *Boleszczykach* odmaltowane, że chyba tylko książęca postać w *Kudejarsze* lub *Księciu Srebrnym*

¹⁾ Bo tylko wypisawszy z niego pierwszą myśl (*Bolesz.*, I, str. 120).

²⁾ *Vita S. Stanisl. ad calcem, ed Galli*, Bandtke, str. 345.

może ją zrównoważyć, odpowiada Gallus w ośmiu rozdziałach (I, 22—29): zbytek ambicyi i próżność, odwaga nierachująca się z życiem swym lub cudzém, pycha o śmierć go przyprawiająca z ręki Węgrów, i szczodroblliwość bez granic. To mówi Gallus istotnie prawdomówny i bezstronny, czy gdy mówi o grzechu króla Bolesława II i III, czy występku biskupa, czy o Skarbimira zdradzie i zasługach, czy Zbigniewie. A u Kraszewskiego gdzie poznasz choćby króla pysznego w człeku, co spuszcza oczy przed mężem kochanki swój, przed biskupem, przed deputacją od rycerstwa, wodzi niemi po pułapie (I, str. 89, 117; II, 141). Czyż można przypuszczać, by taki wciąż sromający się swych czynów nie zbrodniarz, ale chyba młokos rozpustujący w nieobecności opiekuna, był zarazem takim wściekłym tyranem: zdobył się na tyle samoistości, by nie posłać o pomoc, gdy istotnie było jęj potrzeba; zdobył się na tyle zuchwałości, by zabił swego mentora?

O cóż zaś temu mentorowi chodzi? Wbrew powyższej teorii równie dzikich i azyatyckich króla i jego otoczenia, teorii o uległości biskupów względem władzy najwyższej krajowej, biskup „Stanko“ (tak przezywa Kraszewski biskupa Stanisława ze Szczepanowa) głosi wobec króla ideę supremacji kościoła nad władzą świecką. Choć krajowiec i z tego tytułu zależny od króla (wedle teorii Kraszewskiego), oświadcza jakby „Włoch lub Francuz“, że „my biskupi mamy jednego Króla a Pana w niebiesiech, a drugiego jego zastępcę w Rzymie, więcej nikogo nad sobą“ (I, str. 120). Zaisie dobrze Odolaj o nim mówi: „Biskup to taki, co gdyby czarnej sukni nie nosił, do pancierzaby się nadał. Niezlęknie się króla i nieustąpi kroku“ (I, str. 169). Już ta rola Hildebrandtowa sprzeczną jest z stosunkiem biskupa rodaka. Autor niepoprzestając na tém, zdaje się umyślnie ¹⁾ mnożyć rysy, nawet mogące usprawiedliwić postępek świętokradzki tyrana. Już przez usta drużyny oświadcza (I, str. 23), że krzyk o Krystę jest ze strony biskupa narzędziem jakichś zawichrzeń. „Biskup z tego straszne rzeczy robi, *bo mu tak trzeba*, przez Mściława wszystkich władyków i ziemian burzy, że już córek i żon swych nie są bezpieczni.“ To samo zdanie powtarza już nie stronnictwo króla, ale adherent biskupa Odolaj (I, str. 165).

Na wiecu wprawdzie, któren zwołał Mściław, biskup zaleca cierpliwość, uspokaja; wszakże na buntowniczą uwagę o przyzwaniu Wratysława, szwagra królewskiego, z Czech, rzuca niezbyt wierno-poddańcze zdanie: „*Nie czas jeszcze wołać obcego*“ (I, str. 66). Po rozmowie z królem, którego i bez charakterystyki Kraszewskiego mógł taki krajowiec biskup, odwołujący się nielegalnie do Rzymu wyłącznego nad sobą prawa, rozgniewać, czytamy, jak mimo przerażenia duchownego poufnika, biskup czyni zapowiedź klątwy na króla i powołuje Wratysława na tron osierocony (I str. 143—149, zwłaszcza 147). Nic dziwnego w takim razie, że Szczodry odzywa się do brata: „Biskup zdrajcą jest. Przeciw panu swemu ukoronowanemu zmwawia się z Czechami i wykląwszy go, na tron ich chce prowadzić. Już zato śmierci godzien“ (str. 205).

¹⁾ *umyślnie*, bo pamiętamy brzydkich księży Petrka i Arona przy spowiedzi!

Powiedzmy otwarcie, że Kraszewski zły tu użytek zrobił z wiedzy swęj o hipotezach Czackiego i Bielowskiego, opartych jedna na złym wykładzie słów Gallusa, druga na takimże wykładzie listów papieża i Wratysława, oraz podania kroniki Dubrowskiego z XVI i XVII wieku. *Traditor* dostatecznie się wyjaśnia, pamiętając fakt bronienia dezertarów przez biskupa ze stanowiska ich niewinności w kwestyi małżeńskiej. Broniąc winnych wobec dowódcy, popierając ich w ich nieuległości dla króla, stawał się ich współwinowajcą. Nie mógł czynić inaczej, bo bigamii nie mógł dopuścić, a już wiemy z życia św. Wojciecha, że kojącym się cudzołożnicom przebaczone w kościele katolickim, wbrew prawom pogańskim. Biskup Wojciech w tym przypadku musiał uciekać z kraju. Biskup Stanisław zginął.

Zdrada z Czechami urojona fałszywie, choćby przez powagi, ale nawet zbita już w 1840 roku przez Roeppla, a obecnie przez Lewickiego, jest plamą, którą jak najnieśluszniej nanowo kala Kraszewski pamięć biskupa „Stanko.“ Takim studjom i zdobyczom niby naukowym i etycznym mógłby dać pokój historyk i powieściopisarz ¹⁾. Rehabilitacja nawet Szczodrego, niepotrzebuje uciekać się aż do takich oczernień drugiej strony. Choćby nowe gromy miały spaść na mnie, oświadczam dziś jak i w roku 1871, że dla prawdy dziejowej wystarcza obu aktorom katastrofy 1079 roku (nie jak pisze Kraszewski 1081 roku) przypisać część racy i część błędu. Usunimy przedewszystkiem (choćby mnie znów posądzono o sofistykę, choć w innym razie nazwanoby to ścisłą logiczną różnicą faz pojęć i czasów) blask nieskalaności, jakim kanonizacja obrzuciła św. Stanisława męczennika z r. 1253, od osoby biskupa Stanisława z 1079 roku. Pamiętać więc chciejmy różnicę wieków XI i XIII i zaszła w ciągu zmianę pojęć do tego stopnia, że gdy ksiądz Gallus w XII wieku pisał o traditorze biskupie, już w wieku XIII potomek Szczodrego ręka w rękę idzie z duchowieństwem w staraniach o kanonizację; w staraniach, które znajdują silny opór w Rzymie i są tryumfem idei zwierzchnictwa kościoła nad państwem (jak słusznie uważa Szajnocha). Pamiętajmy, że pod wpływem kanonizacji urobił się pogląd nasz na kwestyą zatargu z 1077 roku i weźmy w rachunek różnicę cywilizacji XI i XIX wieku (choć nie w wojnach) i sprawę Konrada z księdzem Czaplą, albo np. zabicia księży w wieku XIII i XV ²⁾; a pojmiemy wszystko, co jest mętnego w sprawie poruszonej niepotrzebnie, i źle przedstawionej w *Boleszczycach*.

Jeszcze jedna uwaga. Autor, podobnie jak Kraszewski jego recenzent, naprowadzili zatarg miejscowy na stanowisko ogólnodziejowe. Nadto dość jest dowodów źródłowych na to, że pewna odrębność

¹⁾ Uwaga ta stosuje się zarówno do Kraszewskiego jak do autora *Skarbniczki dziejów i rzeczy polskich*, który także fałszywie „potoczny sposóbem opowiada“ (1866, cz. II, t. I, str. 153).

²⁾ Por. za karę dziesięcina chłopską 1268 (*Mon. Biel.* II, str. 593). Helcel, II, nr. 2754, 60 grzywn w r. 1438 i t. p., choć i wykłety, nr. 1800 w r. 1421.

przechodnia form, podobnie jak w innych krajach, miała miejsce w naszym kościele dosyć długo, i że kurya rzymska patrzyła czasem na to przez szpary, a czasem gromiła za odstępstwo od ogólnych reguł. To więc, co toczyło się w reszcie kościoła katolickiego, niekoniecznie mogło i musiało wicherzyć w naszym kościele. Scysya między kościołem a cesarstwem mogła wstrząsać całemi Niemcami, a do Polski mogły zaledwo dochodzić ostatnie odpryski fal, gdzieś za granicą kraju szalejących. Mamy tego dowód niewątpliwy. Naruszewicz, a za nim Lelewel ¹⁾ cytuje bulę Paschalisa II (1099—1116) do Marcina arcybiskupa za Władysława Hermana (1081—1102) żyjącego pisaną, z której wynika, że papież Paschalis z oburzeniem pyta: „czyż twój poprzednik, bez wiedzy rzymskiego biskupa nie wyklął biskupa? Jakież kanony, jakie synody tego dopuszczają?“ Podobno to dowód dostateczny pewnej niezgodności z ogólnemi formami naszego Kościoła za czasów Szczodrego i Hermana. Dodajmy do ostatniego szczegółu zagadkowe zjawisko, że późniejsi biskupi krakowscy uzyskali bulę od papieża Urbana III w 1186 roku, mocą której „gdy jaki ich metropolita (arcybiskup gnieźnieński) żądał coś innego prócz należnego posłuszeństwa i czci, oraz posług (*obsequia*) zwyczajnych, a zwierzchnicy ziemi coś przeciw swobodzie dotychczasowej Kościoła domagali się, wolno biskupom krakowskim z mocy apostolskiej (z mocy kuryi rzymskiej) odmówić czego żądają“ ²⁾. Byłaby to buła 1186 r. tarczą przeciw nadużyciom, o jakich wspomina buła Paschalisa II. W takim razie ³⁾ spór zaszły w Polsce Szczodrego miałyby charakter, zachowany poczęści jeszcze przez Długosza. Ten kronikarz pisze o zupełnej obojętności arcybiskupa i biskupa wrocławskiego na namowę biskupa krakowskiego, aby wystąpili z naganą króla za jego rządy ⁴⁾, i inicjatywę, oraz wystąpienie w tój mierze z uwagami i klątwą skupia w osobie biskupa „Stanka.“ Miałyby w takim razie racją Kraszewski, będąc tu wiernym tradycyi, gdy najoczywistsiej błądzi jego recenzent Chmielowski (*Niwa*, str. 214), skoro wyrzuca autorowi *Boleszczyców*, że wprowadza biskupa rzucającego klątwę, wzywającego obcych na tron bez porady, jeśli nie pozwolenia arcybiskupa. „Powieściopisarz (zupełnie nie-) zapomniał o tak ważnym szczególe, i zebrania biskupów przed wyklęciem (dlatego) nigdzie nam nie wystawia.“ Jest zgodną tu powieść i tradycya, gdy czynią samego biskupa krakowskiego odpowiedzialnym za wszystko w rzeczy nagan i klątwy. Autor duchowi tradycyi i tam jest wierny, gdy przedstawia biskupa działającego wbrew ostrzeżeniom Boleszczy-

¹⁾ Ed. lip. *Historja narodu polskiego* IX, str. 57 n. 2, str. 145. Lelewel *Polska wieków średnich*, III, str. 13, n** *Kodeks Wielkopolski*, wyd. Bibl. Kórnickiej, I, str. 7, nr. 5.

²⁾ Gładyszewicz: *Żywot bł. Prandoty*, str. 246.

³⁾ *Encyklopedia mniejsza* Orgelbranda, 1872, II, str. 256—7.

⁴⁾ Długosz: *Historja*, ed. lip., I, 284, *Sommerberga Script. Rer. Sil.*, II, 181.

ców, wbrew prośbom wysłańca do Wratysława, pomimo wstawień brata królewskiego (II, str. 14—18) i namów do zwłoki ojca Ottona, nauczyciela Bolesławowica (II, 82—91). Zgodnie podobnie z tradycją, ku swój zgubie dąży Szczodry, nie wstrzymany ani prośbami żony, matki, ani też brata (I, 191—205). Tak—jak to zauważył już Komarnicki, katastrofa zbliża się niezależnie od jej wykonawców; zacięcie się w uporze jest jakby fatalistyczne, w tych dwu: czy jednej siły charakteru, czy raczej jednej pychy ludzi. Odolaj ich dusze dobrze pojmował. Obawa Kościoła z jednej strony, obawa władzy świeckiej z drugiej, panują w otoczeniu obu koryfuszów sporu, a oni obaj, jakby na przekór swym doradzcom, wyzywają się, kuszą.

Chcąc odgadnąć każdą intencją autora w tém chyba słusznym przekonaniu, że przy najgorszych warunkach wykonania jego pracy, zasiadał jednak do niej i plan kreślił z świadomością zupełną, musimy i w obrazie tej zaciętości biskupa i króla, w wykazywaniu jej starannym doszukać się głębszej myśli. Może się mylimy, wszakże sądzimy, że niezbyt grubo twierdząc, że Kraszewski niedecydując o słuszności lub niesłuszności postępowania obu koryfuszów, jasno przecie postawił sobie zadanie skreślenia antytezy dwu typów.

Bolesław to siła zwierzęca, jedynie powodująca się instynktami i popędami; to człowiek pierwotny, który trwa w uporze namiętności; a raczej rozpala się w jakiej myśli jakby w chuci cielesnej, na skutek przeszkód, stawianych jej zaspokojeniu.

Biskup już w prologu charakteryzuje się jako siła duchowa, korszająca przemoc, zuchwalstwo fizyczne. Lecz i tu toż samo zacięcie ma miejsce, co w uporze króla. Czystość ciała wiadomo, jak może dojść do zabicia jego wrażliwości, jego bytu nawet; zwrot umysłu w pewną stronę również prowadzi do olbrzymiego wyrobienia go w tej, ale też w tej tylko stronie, z unicestwieniem go gdzieindziej. Wiara, przejąwszy jednostkę lub masy do gruntu, koniecznie a naturalnie roznieca w nich, raczej przechodzi w fanatyzm religijny, w wyższy stopień natężenia taki, że pod wpływem takiej potęgi czynników, człek staje się maszyną, nieodpowiedzialną za swe czyny. Ta myśl przewodniczyć się zdaje już żywociarzom Ś-go Stanisława, którzy biskupa i króla w dwa typy przeciwnie urobili.

Kraszewski podniósł tę antytezę, owszem, zaostrzył ją chcąc prawdopodobnie dać naukę swym czytelnikom, że absolutne oddanie się zarówno idei jak ciału, wiedzie jednakowo na bezdroże.

Czy dla tego jednak morału, zbyt ginącego w niepotrzebnych dodatkach, godziło się tyle szpetoty gromadzić na postać Szczodrego, usuwać go z właściwej roli pomocnika Grzegorza VII, głuścić jego wyprawę na Anglię do wspólni z Duńczykami (Orderyk Vitalis) i intronizacyjne wyprawy do Kijowa ¹⁾ i Węgier? Czy wypadało zamiast świet-

¹⁾ O tém tylko nawiasowa anegdota *Boleszczyce* t. I, str. 168—169 z Gallusa.

nój koronacyi 1075 r., w której piętnastu biskupów towarzyszyło naśladowcy (a raczej, mierząc wielkość czynów kresami zapasów) prze-wyszycielowi Chrobrego i zamiast cudnej legendy wieśniaczej o tożsamości losów i jego ziemi, stawiać li szaleńca i świętokradzcę? Nie wiemy, a raczej nie chcemy wypowiedzieć negatywnego zdania nietylko chyba naszego, ale i myślącego ogółu krajowego.

Ze newszystkie nasze źródła przez łachę krwi męczennika i świętego późniejszego patrzyły się na Bolesława, że odblask krwi tej na postaci króla nie zacierał w ich pamięci tego, czego był godzien, niech świadczy wiersz Sępa Szarzyńskiego łaciński p. t.: *Nagrobek Bolesławowi Śmiałemu królowi Polskiemu* ¹⁾ (*Epitaphium Boleslao Audaci Regi Poloniae*).

Komuż czytając w oryginale łacińskim zakończenie tych wierszy na cześć Szczodrego pisanych, nie przypomną się owe, które poświęcił Kochanowski Warneńczykowi:

¹⁾ *Poezye Mikołaja Sępa Szarzyńskiego*, ed. Turowski, str. 34—35.

Toż więc losy chciały, największy bohaterze,
Niegdy królu i chwało narodu Sarmatów wzniosła,
Byś zdala od ojczyzny leżał w poniewierce?
Toż ci było sądzono, królu Bolesławie,
Byś pod prochem podłym w podły habit obleczon,
Legł w górach, próżnych wszelkiej ozdoby i cześci?
Ach! kogóż los stale zmienny łaską swą darzy?
I oto grób taki ma ten, którego męztwa
Bitne, a broni zwyciężkie bały się Niemce;
Do kogo w lud mnożne ściągały Prusy dłonie,
Komu siedmioletnim Kijów nękania bojem
Uległ, choć zbroił go pan, złoto, koń, młódz walna.
Ten nawet królów wygnanych, wam słynne Węgry
Narzuca zwycięzko. Coś mógł w śmiałych przewagach,
To o królu Czechy spustoszone zazały.
Dank ci dają wzniosłe duchy, o bohaterze,
Lecz daliby większy, gdybyś uległ bez zwłoki
Ojczyźnie, słusznosci i bogów zaciekłości
I nie tknął broni w łez i przekleństw godnej sprawie.
Gdybyś tym duchem, co wygnanie i ubóstwo,
Zdołał był znieść szczęście (ach jedynego sprawcę,
Żeś śmiał lekceważyć mocą ustaw ojczystych
I oręż przeklęty krwiąś zmasał nietykalną!)
Gdyby nie to, ludom-by nie jawiły
Bezczestne Willaku bagna twych kości w grobku,
Lecz twa Sarmacya z czcią-by podnosiła oczy
Na twe zbrojne zwłoki pod kunsztownym marmurem,
Wzniosłszy synu takiemu kopiec, Karpat wyższy.

„Grób jego, słup i śnieżne Balkany!
Napis wieczna pamiątka między chrześciany¹⁾,”

Kogoż nie uderzy w Szarzyńskim podobne jak w podaniach ludu załagadzanie winy na korzyść zalet, zamiana kłątwy na skargę, gniewu na ubolewanie nad zmarnowanymi przymiotami? Któż się też nie zgodzi, że miliej się Szarzyński czyta, niż *Boleszycze*?

Wypada jeszcze zaznaczyć jedną szczególność, której błędna strona wydatnie dopiero przy zsumowaniu w jeden obraz wszystkich różnych objawów dzikości w poprzednich *Powieściach historycznych*. Zaznaczyliśmy jak autor nieszczędzi obrazów wielkiej dzikości od *Starej Baśni* do *Maslawa*; dodajemy teraz, że to ma miejsce w kwestyach podrzędnych. Tymczasem zawsze autor okazuje na pozór jakiś zakrój klasyczno-francuzki w tych ustępach, gdzie chodzi o wystawienie jakiegś katastrofy krwawej; a nawet i nie krwawej, byleby stanowczej. Nie wiadomo zrazu, czy tchu mu braknie dla wypowiedzenia tych okropności, czy o jakiegoś *decorum* sceniczne mu chodzi, ale i główne dwie sceny *Boleszyców*: zabójstwa biskupa i nawrócenie króla, odbywają się za kulisami, choć są kulminacyjne. Scenę zaś cudu z Pietrowinem zastąpiono błahemi pono pomysłami. Król do końca jest szaleńcem u Kraszewskiego, jak jest pysznym u Gallusa; do końca siłą fizyczną imponuje, *à la Valjean* zdradzając się w braciszka hamującym konia rozhukanego. Do końca „klechy” nienawidzi, czy lęka się, a tylko pokonanie ciała przez głód i pragnienie, jakby dzikie zwierzę, obłaskawia ducha. Wszakże najważniejsze chwile ostatniego epizodu *Boleszyców*, zetknięcie się króla-zwierza z O. Ottonem, poskromicielem, więc kwintesencją moralizującą powieści, mogącą dać ciekawe studyjne-psychologiczne, usunięto nam z przed oczu. Uznawszy Szczodrego za bydlę, konsekwentnych środków dla jego obłaskawienia Kraszewski użył. Lecz zestawiając to pominięcie z podobnie zakulisową sceną mordu biskupa, choć jęj opowiadanie w rzeczywistości szczegółów akcji samej nie ustępuje, nie pojmujemy drugiej tój wstrzemięźliwości, a raczej może tylko na powadze Wężyka domyślamy się, że Kraszewski przewidywał iż nawet zaślepiiony, jednostronnie zwierzęcy, Bolesław nieulekłszy się żywego, grożącego sobie biskupa, mógł opomnieć się przy jego trupie. Wszakże fakt wstrząśnienia, jakiego doznaje król sam na widok uciekających przed sobą, na widok drzwi kościoła wywalonych z jego rozkazu i znów zapartych, jako przed wyklętym (t. II, str. 27—32), fakt paraleli, jaką czyni wówczas nad sobą i Chrobrym, więc fakt jakiegoś ocknienia się ducha, rozmysłu, inteligencji, świadomości, dowodzi może, że reakcja ducha w *ciele* Bolesława nie potrzebowałaby środków dobrych dla.... nieczłowieka. Nieruchomość

¹⁾ To podobieństwo w umieszczeniu nagrobków Szczodrego i Warneńczyka, może sprowadziło przemianę ich osób w podaniu, zapisaném w *Słowie o praajcach* przez ks. Guśkiewicza.

tego, który imponował mu za życia, wystarczyłaby pono. Widać tu byłoby jakiś wpływ moralny, wywołujący obezwładnianie tego zwierzę-człowieka i logicznie prowadziłyby on do związania z tém zabiciem nie tautologicznego i pleonastycznego obrazu bezczynności króla na Wawelu a ziemian w około, ale wprost reakcyi ducha, która wypędza zabójcę z ojcowizny przed widmem zamordowanego.

Ten żyd wieczny tułacz, ten Orestes raczój, usprawiedliwiony jako król zbrodniarz, jako chrześcjanin i obojga świadomy, nie może zła-mać się tak w epilogu, jak go przedstawia Kraszewski. Jedno drugie wyłącza, naszém zdaniem.

Zdawaćby się tedy mogło, że Kraszewski tu jak we wszystkich poprzednich ustępach chciał skończyć swą powieść inaczej, a rutyna podszeptała mu myśl dalszego ciągu. I tu zjawia się szereg scen z władykami (t. II, str. 36—38 i 140—141), w których albo dziecinnie król się ich pyta, com wam uczynił, albo znosi ich zuchwałość i postawienie się na równi z sobą, do czego nie nawykł, a co żadnego odwetu z jego strony nie sprowadza.

Pozostaje nam już tylko wspomnieć o kilku podrzędnych figurach *Boleszczyców*, które przedstawić miały pewne idee, a przez autora jak-by umyślnie w cieniu postawione zostały, lub odwrotnie zbytecznie wysunięto na pierwsze plany.

O rusinkach, Dobrogniewie matce króla i Wisławie żonie jego, chyba tylko to można powiedzieć, że w nich uosobić może chciano antytezę dwu wiar i płynącej ztąd różnicy postępowania ich wyznawców (Wisława i Szczodry uciekają, Dobrogniewa z ikonami zostaje na Wawelu). Może to za żywe przypomnienie końca *Lilli Wenedy*. Brat królewski, Władysław, „sam jeden po śmierci braci rządzący” (wedle Gallusa), rumieni się przy wspomnieniu kochanki (t. I, str. 201), mdleje przy klątwie (II str. 22, 24); wychodzi tedy na karykaturę człowieka wiernego kościołowi i nowój cywilizacyi. Sądziłibyśmy, że taka antyteza między reprezentantem idei zachodu a Szczodrym, jaką uwydatnił Kraszewski, lubo przypomina przeciwieństwo Masława i Kazimierza, zdaje się nieodpowiadać prawdopodobnemu celowi autora. Tak obrazując synów i kościoła i cywilizacyi, że są prawie niedołączkami, może właściwie ich tylko poniżyć. Jestto rys podobny, jak spostrzegliśmy w praktyce spowiedniczój ks. Petrka i Arona w *Luboniach*, a jaki nas niemile uderza w utrwaleniu powieściowém błędnej teoryi spisków biskupa Stanisława z Czechami w *Boleszczycach*.

Godziło się także zacieniować już tutaj anty-Grzegorzowe usposobienie zarówno Władysława Hermana, jako też członków kapituły, jak np. Lamberta, późniejszego następcy biskupa „Stanka” i korespondenta wrogów Grzegorza VII. Obraz ruchu ówczesnego nabrałby tym sposobem istotnej powszechności dziejowój, ale nie w duchu autora. Mieli-byśmy: 1. stronnictwo króla i duchowieństwa zgodne z kuryą choć autonomiczne; 2. stronnictwo jak powyższe świeckie i kościelne, ale poci-

chu już nieprzyjazne Rzymowi Hildebrandtowemu (Władysław Herman Lambert); 3. dalej biskup „Stanko. Hildebrandt polski sam jeden.

Epizod Odolaja z Jakuszowic (t. I, str. 150—186, t. II, str. 55—57, 185—199) pradziada rodu Boleszczyców, do którego obecnie przechodzimy, został szeroko, ale bez skutku podmalowany. W jego sadybie, życie rodu mającej przedstawiać, sympatye dla biskupa odbijają się, choć on sam jest skrytym poganinem; chce Boleszczyców oderwać od króla, do niego Mściśław obrażony zajeżdża, do niego gromadzą się jak do biskupa Stanka oponenti królewscy. Lecz prócz tych zapowiedzi, przygotowań, nie widzimy nic z dialogu. Wszystko kończy się na gadaniu, chodzeniu za bary, tłuczeniu kijem w ziemię... ale właściwego ogniska zmowy celem wygnania go, i wybuchu przeciw królowi, czegoby wypadało oczekiwać, niema. Wyraźnie autor w tym epizodzie chciał poruszyć kwestyą pogańskiej opozycji, ale mało dla niej uczynił w innych punktach, rozerwał tylko uwagę czytelnika na nowe ognisko walki w duchu Dumasa, rozciekawiał go charakterystyką zacętą nieznanymi dotąd stosunków rodowych i urwał w środku. W skutek tego Odolaj ślepy z Okiem chłopcem go oprowadzającym, córką Tyną, starą panną i Hyżem psem, należy do tej samej kategorii zbytecznych starych zrzedów jak Miłosz z niedźwiedziem w *Starój Baśni*, stary Luboń w *Luboniach*, a Spytko z *Maslawa* z młodą żoną. Tu też należą typy Odylena, Tomka Jaksica, Domosula z *Braci Zmartwychwstańców*.

Podobnie zepsuty został przez autora epizod rebelii żonkosiów, epizod niemałej wagi, który zamienił się w znane malowidło zazdrości starych mężów za młodą żoną zalotnicą. A pięknie i wymownie zaczynał się ten epizod, nawet w najmniejszym szczególe. Kraszewski w *Luboniach* miejsce zgromadzenia ludu nazwawszy „*telowém* uroczyskiem,” aby scharakteryzować już w nomenklaturze topograficznej tendencją pogańską wiecu, tu w *Boleszczycach* przez aluzyą do przemocy króla, której ofiarą pada dziewiczo poślubiona małżonka innego, nazwał łan wiecowy „*łanem dziewiczym*.” Przyczynę to do rejestru faktów, okazujących rozmyśł autora w wielu na pozór bez intencji rzuconych uwag lub bez zamiaru zmienionych faktów. Na wiecu występują różni ziemianie, noszący w sercu i inyśli różne „powody niechęci do króla i postanowić mają, jak sobie dalej poczynać miano.” „Był to początek zmowy przeciw królowi, który wielu już dorobił się nieprzyjaciół w domu” (t. I, str. 47), „a duszą tego zboru przeciw królowi” był Mściśław z Bużenina (str. 48). Gdy wiec pod wpływem uwag biskupa, od elekcyi innego księcia wstrzymał się, rozszedł się bez niczego; Mściśław, z garstką równie jak sam zrozapczonych, chce porwać Krystę (str. 73) i takim sposobem w postaci jedenasto-wiecznego Orbeki (jak może słusznie obecną Mściśława rolę nazwał Chmielowski) ginie rys buntownika, zaciera się typ dziejowy, bez pożytku dla powieści, gdyż nowego pomysłu swego autor nie używa, ze szkodą nawet dla charakterystyki czasu. Następnie jak Teodora Sieciechówna, jak Hoża tak Mściśław, wedle pierwotnego zamiaru, podejmował w duchu metody Dumasa, rolę inicjatora i wykonawcy w akcji

dziejowej *Boleszczyców*. Jak tamtych tak i tego wnet autor usuwa, nie trafunkiem, ale w skutek rozmysłu widocznego w trzykrotném powtórzeniu téj samej manipulacyi. Usuwa przez zmianę charakteru widoczną dotąd już nieraz; np. w *Luboniach* na O. Matyi (który z księdza misyonarza na dyplomatę czy szpiega) oraz na Domanie ze *Staréj Baśni* (który z wodza gromad w kochanka szpitalnego zmienia się). Ta zmiana roli jest dla nas dowodem że tam, gdzie się dokonywa, zapobiegła usunięciu postaci dziejowych na drugie plany, na korzyść osób niehistorycznych, które zrazu były symbolami szczegółów a urosły w ciągu pisania na bohaterów fabuły.

A potem energicznie zakreślony Mścislaw, zanadto jest rozkochany nowocześnie a niewłaściwie na swoje epokę. Autor chciał może przez złamanie go miłością do Krysty wykazać na jedném indywiduum rodzaj urazy wszech takich żonkosiołów (*viros uxoriosos* zwanych u Kadłubka) do króla, karcącego im przemieszczenie żony, wbrew ich woli. Wszakże akcentowanie przez kogoś z pokrewnych Krysty, „ażali białogłowa lekka nie sama ku temu wyzwała „(króla)” i obrona dana przez męża, że „niewiasta dzieckiem jest,” więc jest nieodpowiedzialna za swe czyny (t. I, str. 56); dają dwa wykłady dla roli Krysty, a oba nieprzychylnie dla kreacji Mścislawa-Orbeki i Krysty-Miry.

Jeżeli zgodnie z powieścią Kadłubka twierdzimy, że wracający z Kijowa przyjmowali niewierne żony, to sądzimy, że snać ich cnota dla zelzonych nie miała wagi takiej, jaką jęj przypisywano za pogaństwa; jaką za Szczodrego przypisywał jęj lud jeszcze. Byłaby to w takiej hipotezie więc antyteza dwu moralności, jednéj w duchu przebaczenia dla Magdalen pokutujących (biskupa Stanisława), drugiéj srogiej (króla). Kobięta-dziecko w pierwszej teorii zbliża się do stanowiska przedmiotu, któremu skazy nie szkodzą i który zmieniać można tak, jak przygody Heleny Menelausowej to wskazują. To pojęcie rzeczy w *Boleszczycach* wynikać może z inaczej (realistycznie tłómaczonego) malowidła miłostek Sambora i Domana w *Staréj Baśni*, losów Antonii greczynki, porwanéj przez Gwidona szwaba, a mimo to poślubionéj; igraszek Ody w *Braciach Zmartwychwstańcach*. W takim jednak razie, w *Boleszczycach* rycerstwo nie miało prawa drwić z Krysty, jadacéj z mężem (t. II, str. 117); lżyć żonę, powracającą do obowiązku, ile że sami pragnęli tego powrotu w stosunku do swoich. Ale téż i szał miłosny nie może w tym razie łamać Mścislawa, dławić mu głosu i t. d. zmuszać go do romansowych wyczekiwań u drzwi sypialni (!) powrotu do zdrowia Krysty. Mścislaw i Krysta autora inaczejby załatwili sprawę, gdyby istotnie ostatnia zbiegła z Wawelu. Jeden ustęp z III pieśni *Iliady*, kędy mowa jest o haniebuńj ucieczce Parysa z pola bitwy i o przyjęciu go przez Helenę, myśl naszą wypowie (str. 446—448).

Wykład przeciwny temu wiąże się z uwagą krewniaka Krysty, że to lekka niewiasta, sama króla wabiła. Uwaga to co prawda zbytuczna, bo już wiemy z opisu jęj porwania, że „płakała niby i opierała się

rzekomo, a śmiała się drugim oczkiem i szła bez przymusu,“ (I str. 22 por. 21). Gdy król swe uczucia objawił „Krysta nie była od tego; co król to król, lepiej być królewską kochanką niż ziemianina żoną.“ Rys to jeszcze jaskrawszy, jak u Spytkowej z *Maslawa*, bo przynajmniej tam wdowa po starym szuka młodego męża. Tu żona żyjącego idzie za młodym gachem. Już niemal zbyt mocno autor od siebie maluje Krystę barwami, które ją jeszcze niżej stawiają na skali moralnej. Bo czyż zalotnicze rumieńce i zwracane wielokrotne jęj spojrzenie na Boleszczyców przy pierwszym jęj pojawieniu się (I str. 40) już dostatecznie nie powiedziały nam, co ona za acz? Autor co prawda ją tłómaczy, uniewinnia „wszystkim hołdom rada była, oczyma wabiła, ustami łajała, nie odstręczając żadnego. Była tak zalotna, że się i gotąbkom na strzesze wdzięczyć była gotową“ (I str. 104). Zdaniem Kraszewskiego było to winą jęj natury „tak ją nieszczęśliwą stworzył Bóg na własne (czego nie widać), ludzi utrapienie.“ Nie darował czytelnikom więc sceny bardzo dobitnej kokieterji z Borzywojem—jednym z Boleszczyców (I str. 107—108), która kończy się wręcz powyższym szczegółom przeciwną, a trzecią z rzędu pomimo innego wstępu, charakterystyką Krysty.

Ta wietrznica „wie co mężczyznom trzeba“ wie że, „łzami ich nie utrzyma... im trzeba ust co się śmieją, *choćby dusza plakała*.“ Ten krótki frazes i strach jęj o Mściskawa, (I str. 133) który się do jęj komnat w wykonaniu swęj myśli tajemnie przed królem był zakradł, zdradzają jakiś ślad sumienia, jakiś zaród walki wewnętrznej, jakąś świadomość moralną w Kryście. Coś podobnego odnajdujemy w opisie przywiezienia obłąkanęj ze strachu rzekomo (po zabiciu biskupa przez króla) Krysty do majątku jęj matki (II str. 120—1). „A jak to był sen okropny... nie prawdą, to Góra? Tu nie ma *nikogo złego*, tylko ty matuś, siostra i Krysta, a *tam to wszystko co było to sen i zhora*.“ „Krew“ ją niby straszy jako współwinowajczynię, ale w istocie z całego przebiegu życia tęj Krysty, i jęj pogrzebu po roku małżeństwa (II str. 147), z określeń stałych dawanych stosunkowi Krysty i króla przez autora, z obrazu prześladowań do męża powracającęj; z faktu (II str. 122) że mgłała ze strachu przed mężem—wynika raczej wniosek, że Krysta... to typ Trawiaty nowoczesnej, którą mąż nowoczesny (jak Spytko w *Maslawie*) słaby może nie tylko przez rozpacz, ale przez wiek „bo zawczasu siwizną przypruszony“ (I str. 52) przyjmuje choć grzeszną, choć późno... byle ją mieć. Najmniej dobitnie w tym kierunku zarysowyya się Antonia greczynka z *Braci Zmartwychwstańców*, choć w gruncie jęj sytuacji, jako gospodni kavalera, coś brzmi współczesnego, Trawiatowego. Za to Oda margrabianka niemiecka, Marta Spytkowa rusinka, i Krysta sieradzanka, to postaci do złudzenia podobne, może nie schodzące na ostatni szczebel upadku kobiecego—ale w istocie już tam będące.

Wystawienie podobnego typu w *Luboniach* było, jak widzieliśmy, nie dziejowe i niestosowne etycznie. W *Boleszczycach* na podobny okaz kobiecy nie możemy się także zgodzić i to dla więkšzęj jeszcze liczby powodów. Fakt Krysty jako żony Mściskawa z Bużenina więc ja-

ko kobiety z rodu Kurozweżkich, którzy byli nieprzyjawni Długoszowi— już z racyi dziejopisarskich jest wątpliwy, wypłynął może z literackiego odwetu naszego kronikarza.

Następnie ośmielimy się wyznać, że szanowny autor nie miał prawa z Krysty robić... zalotnicy z temperamentu, gdy inne okazał w niej zarody; co większa pomijając już, cośmy wyżej mówili o barwie Kadłubkowej wieści w tej materji, pamiętajmy, że dziejowo na przykładach Mieszka, Bolesława I przez usta Boleszczyców uprawiedliwił Szczodrego z stosunku z Krystą (I str. 22); dalej zaznaczył że proboszczom teraz żenić się zakazano (*Bol.*, I str. 15), nakoniec podał inne choć ubocznie rysy pogaństwa, choć biernego w Boleszczycach. Uwzględniając tę okoliczność, Kraszewski miał wszelkie prawo traktować Krystynę, jako rys pogaństwa odnowionego przez króla a akceptowany przez królową, jako rękawicę polityczną rzuconą w twarz nowemu w religii i moralności porządkowi rzeczy, dla zjednania sobie ludu pogańskiego. Spstrzegamy nawet w literaturze naszej objaw ciekawy, krytykowania w myśl naszą powieści Długosza o Kryście, przez własną jego powieść ¹⁾, objaw może znany Kraszewskiemu, jako nakładzcy i drukarzowi. Oczywiście w tych ostatnich względach nie leżała większa jak w poprzednich konieczność nadania Kryście barw innych. Wszakże i to wchodzi w rachunek obok trudności sobie przez autora stworzonych dobrowolnie i zbytecznie w powieści, a których, trzymając się Kadłubka i uwag Komarnickiego o Długoszu, mógł być snadnie uniknąć.

Chętnie przyznajemy, że bardzo szeroko rozbieraliśmy charakter Krysty, i że może strona erotyczna powieści historycznych równie obficie wypełniała miejsce w recenzji, jak powieści. Mniemamy jednak, że krytyk miał prawo szczegółowo wykazać, iż autor zanadto swój lirze pozwalał dzwignąć już nie figlarnemi tonami Amora, ale gorszego bożka...

Wyczerpawszy w *Starój Baśni* wszystkie typy kobiece a raczej szkicując wszystkie fazy ich życia, nie pomyślał autor, że w innych czasach kobieta także była córką i panną, żoną, matką, wdową, nie tylko samą kochanką, a nawet czemciś gorzej. Dziewice z *Maslawa* lub *Braci Zmartwychwstańców* nic nowego nie przynoszą, różnicy czasów nie symbolizują. Tyna *dojrzała* córka Odolaja prawdopodobniejsza byłaby w *Starój Baśni*, jako *pendant* do Jaruchy; a tak chyba służy do wydawnictwa... dzisiejszej prawie zrzedności starca. Zaledwie jedna Belinówna objawia w Olszowie Horodyszczu coś z ducha owych mazurek XII wieku, które zakradającego się pod rodzinne sioło wroga spętać umiały, i przyprowadzić do zagrody brańca... zamiast dzbana jagód, po które się wybrały. Prześliczna jest czasem kreacya Dziwy—ale też zdaje się że nad tę nic więcej barw palety Kraszewskiego nie chciała dać na

¹⁾ Por. Komarnicki *Ś. Stanisław i Bolesław Śmiały* 1870. Drezno str. 114—115.

odmalowanie dziewicy polańskiej. Teodora, Antonia, dziewczęta z *Masława* to... albo samice... albo sentymentalne hysteryczki. Mężatki lub matki to albo cienie (Jaga) lub wstrętne postacie wymyślone na zohydzenie prowincyi (Spytkowa) albo stanu (matka Masława). Ani razu nie przedstawił nam autor stadła małżeńskiego takiego, coby ziszczało ideał swego czasu. Choć naprzykład w *Boleszyczkach* wzmianka o Małgorzacie z Zębocina budziła nadzieję, że obok Krysty ujrzymy obraz cichego pożycia kobiety w miłości i czci choćby względnej do owych czasów z mężem raz obranym i już nieporzuconym, jednak nadzieja się nie ziściła. Rodzina Lubonia w *Luboniach* również spopielałe ognisko życia małżeńskiego za czasów Mieszka I nam daje, a choć u samego Mieszka to siedmiu to jednym potem płomieniem ono się żarzy, nie więcéj nie spostrzegamy tam między młodszą parą małżonków jak między starszą Chrobrego i Emnildy lub w rozterce jak Szczodrego i Wisławy. Wszędzie barwa jedna się jawi w tych stosunkach... jeśli chodzi o dobre strony, szara monotonna, a do zbytku jaskrawa, gdy zła.

Zresztą Kraszewski niepomny jak przedstawił Dąbrówkę w *Luboniach*, z kobiet w *Masławie* porobił nieprawdopodobnie na owe czasy lękliwe lub tak gospodarne istoty, że naprzykład Belinowa może rozpaczać nad stłuczeniem dzbana w czasie oblężenia Horodysza. Na téj skardze zresztą i obraz gospodarności kobiety ówczesnej się kończy, bo nie ma w żadnej powieści ustępu ¹⁾, któryby tak wyłącznie uwydatnił tę stronę ich życia, jak przedstawiono inne.

Kładziemy zaś na tę stronę powieści Kraszewskiego dlatego silniejszy może nacisk, że tu się mieści największa doniosłość ich społeczno wychowawcza. Jaką jest dziewica, taką będzie żona i matka, takimi będą jej synowie i córki. Jaką jest w społeczeństwie kobieta, takim będzie mężczyzna. Kraszewski faktycznie tego dowiódł w swych powieściach *Morituri* i *Resurrecturi*. W imię więc zasad jego własnych pragnęlibyśmy nie tak jednostronnego obrazu naszych polanek z X i XI wieku choćby ze względów wychowawczych i estetycznych, bo już usuwamy wymagania naukowej wierności prawdziwie historycznej. Stwarzając zresztą scenę Gerdy i Dziwy, autor zobowiązał się niejako więcéj takich pieścidełek nam zaofiarować.

Pozostaje nam jeszcze kilka słów o dekoracyjnej, że się tak wyrażę stronie *powieści historycznych* Kraszewskiego. A przez tę dekoracyą rozumiem cały zasób imion i nazwisk ludzi, tytułów, urzędzeń potraw, zajęć, sprzętów i t. d., w ogóle terminologią i charakterystykę odpowiednią do znanego mniej więcéj, o ile pozwalają źródła, ducha czasu, ludzi i rzeczy; więc całą tę stronę pracy, której Bobrzyński nadał nazwę wychowawczą, w znaczeniu historyozoficzném, oderwaném więcéj.

Co do tego, to w pewnych punktach niemoglibyśmy się zgodzić na wybór uczyniony przez zasłużonego naszego powieścio-pisarza.

¹⁾ Za taki trudno uważać zajęcie kądziałą staréj babki Własta w *Luboniach*.

Najprzód biorąc pod uwagę charakterystykę kultu pogańskiego, musimy zaznaczyć, że autor w niej dopuścił się dwu pomyłek. Raz, zwłaszcza w *Starój Baśni* gdzie ten przedmiot najszerszej rozwinął, widzimy wspomniane bóstwa z całej Słowiańszczyzny tak, że Lednica wygląda na jakiś Panteon, co z powieścią Długosza z jednej strony, z podaniami innych kronikarzy wcześniejszych z drugiej strony, nie zdaje się zgadzać. Z Prokopa i Adama Bremenskiego da się wysnuć prawdopodobna teoria religijna Słowian, dopuszczająca współistnienie różnych bogów plemiennych, co do natury swęj teorycznie spólrzędnych, a w praktyce (względnie do potęgi plemienia i skuteczności wrózb jego) to obejmujących to tracących hegemonią nad innymi. Może nawet pewien federalizm z „bogiem bogów,“ elekcyjnym niejako, na czele, istniał w mitologii słowiańskiej, ua zasadzie pełności przymiotów w każdym bożku prowincjonalnym, na zasadzie więc pewnej autonomii religijnej plemion i niejako dobrowolnego uszanowania jednego ogniska religijnego (różnego w różnych czasach). Teorią tę Kastorskiego ¹⁾ zdaje się popierać fakt pojawienia się tych samych bóstw w różnych częściach słowiańszczyzny, jakby na dowód tożsamości ich natury i atrybutów. Tak naprzykład bóstwo Swarog, bóstwo ognia znane na Rusi (z kroniki hipaciejewskiej) spotykamy w Krakowie choć już tylko w formie konika *Zwierzenieckiego*, nad Elbą u Lutyków jako Swarozycza, to jest syna Swaroga (*Scar* blask po sanskrycku). Może być że tu należy i Długosza Jesse,—dla którego Lelewel źródłosłów znajduje w tymże samym sanskryckim *Scar*, a którego wykrył Kętrzyński w powieści Tacyta o bóstwie Isis czczoném przez Ligiów (to jest Lachów). Swantewita znała Arkona rugijska i Kruszwica polańska ²⁾. O Czernobogu mówi Helmolde jako czczonym nad Elbą i pieśń z mińskiej gubernii zapisana przez Steckiego ³⁾. Radegasta czcili Redarowie a W. A. Maciejowski pono słusznie porównywa go z nazwą obrzędu szląskiego Rochwista, ⁴⁾ do czego można dodać nazwę obrzędu Rodziusia podlaskiego. Już z tych przykładów można wnosić, że grunt pojęć religijnych wszech Słowian pogańskich był jeden, skoro w tak dalekich stronach napotykamy jedne bóstw nazwy.

Wszakże nie idzie zatém, aby (jak to uczynił Kraszewski) wszystkie one na jedném miejscu się znajdowały i aby zasięganie rady u bóstwa, co do przyszłości narodu, mogło być w ten sposób dokonywane, jak w *Starój Baśni* to czyni Wizun. Jeżeli Lednica była ogniskiem kultu Polan, a więc jeżeli lednickie bóstwo było „bogiem bogów“ najwyższym, od którego inne iść miały (wedle objaśnień Prokopa i Helmolde), to kapłan tamtejszy mógł być obrzucany zapytaniami przez ka-

1) *Naczerwanie słowiańskiej mitologii.*

2) *Mon. Biel.* II 340, por. Komarnickiego uwagi w *Bibl. Warsz.* 1857 III 564.

3) *Wodyń* I.

4) *Bibl. Warsz.* 1841, II 88.

planów i ludy czczące swoje bóstwa pokoleniowe, szeregujące się jednak wedle siły swój wróżbiarskiej i potęgi ludu swego w stopnie pokrewieństwa do owego boga bogów lednickiego i poddającego się jego przewodnictwu. Nigdy jednak, taki kapłan jak lednicki w *Starój Baśni* innych bogów, bez zaprzeczenia siły i pierwszeństwa własnemu, nie mógł się o losy kraju swego zapytywać. Wyraźne słowa kronikarzy, wspomnianych takiemu przedstawieniu stosunku hierarchicznego, jaki znajdujemy u Kraszewskiego, stanowczo przeczą.

Drugim błędem szanownego autora jest wprowadzenie do przybytku Słowiańskiego, bóstw i wspomnień kultu i zwyczajów litewskich. Do takich należy powieść o „Nijole” i „Zniczu” na Lednicy (*Stara Baśń*, t. II, str. 55). Długosz, który wspomina o zabytkach pogańskich w Gnieźnie, podaje wprawdzie nazwę bóstwa tam czczonego w formie „Niia” (bogini śmierci), z której jednak dowolnie już Kraszewski urobił swoją Nijołę litewską ¹⁾. Co do Znicza, to autor wpadł w błąd ten sam co wielu uczonych przed nim, powtarzając tradycyjnie złe zrozumienie jasnego tekstu Długosza, który raczej kapłana na Litwie ogień stróżującego wieczny, ale nie ten ogień zowie zniczem ²⁾. Porywanie kapłanki (Dziwy) z Lednicy, już porównaliśmy z przygodą Biruty, przez co wskazaliśmy rodzaj pożyczki oraz jej niestosowność.

Do hierarchii pogańskiej należą postacie Jaruchy, Dziwy, Wizuna, Sławana, to z istoty rzeczy to znowu z ich nazw, niezawsze nieszczęśliwie obrane. Już wspomniano, że wprowadzona w *Starój Baśni*, jakaś różnica z jednej strony między kapłanami (*Wizun*) a guślarzami i śpiewakami (*Sławan*) a z drugiej między kapłankami (*Dziwa*) i guślarkami-czarownicami (*Jarucha*) da się jedynie wytłumaczyć przez antycypację dziejową. To jest, że trzeba będzie przypuścić, iż jedni są chrześcijańskimi a drudzy pogańskimi hierofantami. Bo w łonie żywej wiary rozdwojenia w taki sposób jak przedstawiono w *Starój Baśni* nie bywa. Istnieją wprawdzie podania ludowe o czarownicach i czarownikach, ale to okazuje się być redukcją mytów, t. j. powieści o działaniu uosobnionych sił natury, W żywociarzach Ś-go Ottona są niby wzmianki o kobietach wrózkach (*pythonissam non adeant*) w Masudym geografie arabskim z X wieku jest mowa nawet o posągu dziewicy, składającej cześć bóstwu, są w Tacycie dane o kapłanach u Nahanarwalów, przybranych po kobiecie. Wszystkie te wiadomości odnoszą zwykle do Słowian lub do Lachów wprost. Wszakże nawet przypuszczając byt kapłanek na tej zasadzie, wypadało zgodniej ze źródłami utrzymać je w wyższej sferze, stawić na równi z kapłanami, nie sprowa-

¹⁾ Por. Encykl. mniej. Orgelbranda owe Neury 1874 str. 154. Naçus (demon śmierci u Indów) *νεχυσ* por. nawie u Nestora (Bielow I 763—4 s. a. 1091) nawskij welyk deń, Neury Herodota, Tacyta Nahanarwali, Ptolemeusza Nawary, polskie niebo—szycky; wreszcie bóstwo u Długosza, które nie Niia lecz Nua trzeba czytać.

²⁾ Por. *Niwa* 1875 VII str. 303, *Bibl. Warsz.* 1859 IV 778.

dzać na wertepy i gościńce ukraińskie w postaci Jaruch, brać do nich rysy z odpustowych naszych żebraczek lub wioskowych znachorek, oraz dawać im nie w porę za towarzyszy niedawnych dziadów ślepców z lirami (słowian i inni). Są to typy zanadto zagadkowe a raczej wieloźródłowe w swój genezie, by godziło się dobywać z nich bezpośrednio obrazy pogańskiej cywilizacji religijnej, bez obawy błędu. Wprowadzili wprawdzie te typy nasi pseudo-archeologowie i poeci do literatury, ale kwestya, czy wejdą do nauki.

Prócz samej teorii religijnej hierarchii, jeszcze wypada wspomnieć o charakterystyce, jaką Kraszewski uważał za stosowne nadać obrzędom pogańskim. I tu wypada najprzód żałować, że szanowny autor z litewska przekształciwszy przybytek na Lednicy, zagroził sobie drogę do poczerpnięcia ze skarbnicy pieśni i obrzędów ludowych wątku istic polańskiego, z którego byłby stworzył mocą swój wyobraźni artystycznej polański wizerunek bóstwa, razem śmierci-zimy i wiosny-życia. Nasz *Gaik* ludowy, będący wyniesieniem i utopieniem Marzany, a wzniesieniem nowego lata, nastęrcza materyał gotowy; coś w rodzaju obchodu fenickiego Adonisa, który zaczyna się od pogrzebu a kończy radością. Liczne wzmianki w rozmowach *Starój Basni* o sposobie różnym elekcyi byłyby niezmiernie zyskały na przeprowadzeniu ich w akcyę. Wzmiankujemy je tutaj, bo stały pod opieką bóstwa tak, jak i sądy.

Z temi życzeniami łączą się inne, czemu autor zagadką uczynił stosunek kolady (i kupały) do wesela. Wszystko zdaje się wskazywać na to, żeowa rzekoma kolada ¹⁾, a właściwiej sobótka zbiegała się niegdyś z obrzędem uroczystym zaślubin, a co najważniejsza ze czcią bogów samych. Tymczasem Kraszewski, uznając w zasadzie łączność kolady i ślubu, dał obydwom barwy niby podobne, a jednak różne i nadto uczynił z kolady obrządek ludowy, dokonywany przez sam lud, gdzieś w leśnych zakątkach, a cześć bogów powierzył hierarchii jakiegóś nawpół niedowierczój, wielce podobnej do augurów Cyceronowych, co bez śmiechu patrzeć na się nie mogli.

Zastrzegając możność omyłki i poprawy w podobnych wywodach, ośmielamy się twierdzić, że już sama nazwa „sobótki,” wskazuje związek z czcią bogów narodową.

Sam Kraszewski w roku 1860 ²⁾ pisał, że „w Krakowskiem i Sandomiejszczyźnie pozostało w ustach ludu nazwanie (kościółków i cerkwi) *sobotami*. Zdaje mi się (mówi szanowny autor), że i to nazwisko, od żadnego obrzędu chrześcijańskiego pójść nie mogło, ale jest *dawniejsze pogańskie i w związku być może z obrzędami sobótki*, z jakimi uroczystościami, które obchodzono dokoła obudowanych świątyń.

¹⁾ Na Boże Narodzenie? choć por. kliczalna niedziela (od kliczat') z nad Dniepru, więc pomieszka etnograficzna i podobnie kupała (kąpiel, podlaska kopel).

²⁾ *Sztuka u Słowian*, str. 121.

Tę uwagę popiera fakta, że Konstanty Porfirogenita w X wieku słyszał o „zamku” Kijowa zwanym Sambatas ¹⁾, że Krak czeski sądzi i rządzi w zamku *in pago Stibene* (skażone). Taki ścisły związek nazw ognisk administracji religii i obrzędu ludowego, zdaje się przemawiać dostatecznie za ich jednością i tożsamością.

Pomijam już uwagi badaczy tych, którzy sobótce przypisują znaczenie czci ognia ziemskiego, jako godła ognia niebieskiego, co znakomicie podwyższa doniosłość obrzędu tego. Co do dowodów związku z sobótkami, jeśli nie samego ślubu (obecnie), to wyboru przyszłych małżonków, poprzestajemy na cytatach następujących:

1. Przymioty chłopców charakteryzują pieśni sobótkowe naturą wierzchowców ich, a dziewczyn cnotę gatunkiem wianka ²⁾. Jestto rodzaj cenzury moralnej, właściwej dyngusowi kujawskiemu.

2. Na sobótce spiewają dyalog, w którym następuje łączenie dziewczyn z chłopcami w pary ślubne ³⁾.

3. Istnieje mnóstwo pieśni ślubnych, których znaczenia niepodobna zrozumieć, nie wciągnąwszy do pomocy i obrzędu sobótek. Że pewna łączność między zgromadzeniem się ludu, a ślubami mogła istnieć, t. j. że tłumne zebrania w innym celu robione, mogły ułatwiać zawieranie małżeństw, dowodzi opis ślubów starowierców w gubernii b. augustowskiej przez Tykiela (*Bibl. Warsz.* 1857). Sobótką (obchód religijny) dawał taką okazją do *wyboru*.

Znając choć w części te szczegóły, oraz zdolności twórcze powieścio-pisarza, śmiało moglibyśmy przypuszczać, coby był mógł z nich za arcydzieło stworzyć Kraszewski, gdyby był zechciał one zużytkować. Jedynie tylko system powtarzań, rozdwojeń, oraz niewydziałanie typów etnograficznych z tła ogólnie lito-słowiańskiego wyjaśnia nam to pominięcie materiału tak obfitego a polańskiego w obrazie kultu w *Starój Baśni*.

Podobne pomieszanie terminologii różno-szczepowych i różno-czasowych znajdujemy w charakterystyce stanów, urzędzeń społecznych lub politycznych. Autor stale używa formy „kneź” na oznaczenie zwierzchnika polańskiego, choć to jest forma czeska i serbska a nie polska. Użycie to tembardziej zastanawia, że Kraszewski sam cytuje ustęp źródła ⁴⁾, z któregooby wynikało, że „ksiądz” (jeszcze użyty przez Zygmunta Augusta) jest właściwym tytułem takiego dostojnika. Ze zu-

¹⁾ *Mon. Biel.* t. I, str. 16; Dobrowski a za nim inni błędnie tłumaczą to przez *sam baot*, stanowisko członka.

²⁾ Por. Kolberg *Lud* (Sandomierskie, str. 110, nr. 139) Wójcicki *Pieśni Ludu Białochr.* t. I, str. 201, Gołębiowski *Gry* str. 300. Waclaw z Oleska *Pieśni l. galicyjsk.* str. 53, nr. 5.

³⁾ Por. Kozłowski *Lud*, str. 201, *Kłosa* 1870 sorya X, nr. 260, str. 387.

⁴⁾ *Bracia Zmartwychostańcy*, t. I, str. 108 (*Mon. Biel.* t. I, str. 405; por. t. II, str. 468).

pełną zagadką jest stanowisko „wojewody,” który zrazu w *Starój Baśni* zdaje się być synonim knezia, a potem od niego byt bierze, już wspomniano. Tu dodajemy, że wedle Gallusa o palatynie słycać dopiero za Władysława Hermana, a powieść o dwunastu wojewodach, przez Długosza w XV wieku osnutą została na mętnej tradycyi kroniki, t. I, z. *Bogufaly* z XIV wieku i ta to ostatnia powieść zdaje się być powodem niejasności w kreacyi knezia u Kraszewskiego ¹⁾.

Nazwa „stołb” na oznaczenie sadyby „knezowskiej,” również chybiona jak sam ten tytuł nam się wydaje. Bo choć znamy nazwę miasta pomorskiego Stolpe i widzimy w nim dowód, że w formie „stúp” znikło pierwotne ł (por. stół, stolnica), to nie widzimy racyi nadawania takiej nazwy mieszkaniu a raczej warowni książęcia. „Mysza wieża” tradycyjna była tu stósowniejszą, jeśli już autor nie chciał użyć powszechnie znaniej z dyplomatów nazwy *castrum* gród.

W żądaniach pedagogicznych Bobrzyńskiego znajdujemy wymieniony ten punkt, aby uwydatnionym został ruch wewnętrzny, rozwój genetyczny naszego społeczeństwa w sposób jasny i wyrazisty. Otóż *Powieści historyczne*, dotąd nam znane tego pragnienia zgoła nie zadowalniają. Czytamy tam wzmiankę o „mirach” ²⁾, a obok tego znajdujemy zwrot „w mirze lub na opolu” i zgoła nie znajdujemy wyjaśnienia coby było jedno a co drugie.

Pomijamy już, że „mir” właściwy jest Słowianom wschodnim, a „opole” zachodnim, zkąd może za nieogłędnie włożono „mir” w usta Polanina, zaledwo raz wspomniawszy o formie podziału kraju jemu właściwej (opole). Zdawałoby się jednak z jednego miejsca ³⁾, że „mir” t. j. stan spokoju, charakterystyka społeczeństwa żyjącego w zupełnym bezpieczeństwie. W takim razie może jeszcze większą zagadką jest stosunek miru do opola.

Zarząd tego miru reprezentowany jest przez starostów, tysięczników i innych urzędników obieralnych przez „gromadę”. Starosta, którego tytuł znajdujemy bardzo wczesnie u Nestora (*Mon.* Biel. t. I, str. 691, 1018 r.) i ogarniać się zdaje gdzieindziej odrębnie wymienionych grydów (dworzan) setników, dziesiętników (str. 672) zdaje się jedynie być synonimem starszyzny.

W pomnikach naszych z wieku XIII starosta jest „najzacniejszym we wsi” ⁴⁾, co, najmniej, przeczy możności obioru na urząd jakiś, bo ten

¹⁾ Por. *Mon.* Biel. t. II, str. 473.

²⁾ *Stara Baśń*, t. I, str. 144, 147, 160, t. II, str. 138.

³⁾ *Stara Baśń*, t. I, str. 189 „kneziowie na wojnach dowodzą, ale po *mirach* gromada wybiera starszyznę.

⁴⁾ Por. *Hecel Star. Pom. Pr. Pol.* t. II, str. 16, nr. 4 *ein Staroste, das ist der edilsle in dem Dorffe, oder der vloder das ist der scheffer*. Prof. Pawiński w recenzji pracy Władymirskiego Budanowa *O niemieckim prawie w Polsce i Litwie* 1871, str. 29 skraca to *der idilste in dem dorfe d. h. der starosta oder vlodir*.

wyraz starosta chyba oznacza nie urząd, ale powagę z rodu, postępowania i t. p. W dokumentach: chełmińskim z 1255, i szlązkim z 1223 roku, nazwa starosty daną została sołtysowi (*scultetus*). Tém sobie tłómaczymy, zkąd poszło, że w *Starój Baśni* gromada stoi niewłaściwie obok wieców. Pierwsza tchnie obecną wiejskością, w drugich przebijają się rysy dziejowe. Dodajmy, że niepotrzebnie autor *Starój Baśni* opuścił piękny materiał do obrazu zwoływania wieców w opisach Pola (*Obrazy z życia i natury*) o obsełaniu gromad tatrzańskich buławą, do czego za dalsze uzupełnienie należą znane szczegóły u Dytmara o lutyckim „Henilu” (hejnał?) i naszych „wiciach” (!). Mówiono już, iż objazd Wisza i Domana, zastępujący te wiece, jest błędem estetycznym.

Również co do dalszych szczegółów ustroju a zwłaszcza opola, *Stara Baśń* zostawiła je w cieniu.

Tajemniczy jest dla nas stosunek rodów do opola. Niewiemy, czy to jest równanie Roeppla (ród=opole), czy Piekosińskiego (opole= podział sztuczny w celach państwowych). Zdawałoby się nieraz, że autor wyznaje drugą teorią. Nie mamy bowiem żadnych wskazówek istnienia rodów w *Starój Baśni*. Dom Wisza, Miłosza są przykładem rodzin nie rodów. W *Luboniach* rodu też nie widzimy; w *Braciach Zmartwychwstańcach* tymczasem, już rody działają, już na ich oporze przeciw woli królewskiej zyskuje powieść tło pedagogiczne w duchu Bobrzyńskiego. Niemamy jednak wyjaśnienia genezy ani rozwojowego procesu tego faktu społecznego. W *Masławie*, Olszowe Horodyszczce ma znów barwę rodziny, podobnie jak formę indywidualną Doliwowie, Leliwici i t. d. Więc stan społeczny *Starój Baśni* i *Luboni* powtarza się w tej czwartej z rzędu powieści. Naraz bez żadnego przejścia znowu w *Boleszczykach* spotykamy się nie tylko z rodami naturalnymi, ale nawet i z rodem sztucznym, bo z drużyną królewską, biorącą od imienia króla nazwę, a od wiary w niego racją bytu. Hypoteza to ciekawa, ale przy zagadkowym dotąd początku herbów w ogóle może za śmiała, bo już i tak niejasne pojęcia jeszcze bardziej gmatwa. Zdaje się być faktem, że godła (znaki) i zawołania (nazwy ich) nie były stałe, że w różny sposób opisując ten sam znak, tworzone nowe jego nazwy. Mamy to np. zaświadczone przez Paprockiego o Boleszczykach. Wszakże jest tam dodatek, że nazwy te różne miały początek prowincjonalny (*Herby* ed. Turow. str. 140). Byli więc na Szlązku zwłaszcza na Mazowszu Łazęki. „Drudzy tak, jako jastrzębia zowią, w której stronie” (por. w *Herbarzu* Kapicy: Bujny, Milan), Kudbrzowie i t. d. Forma „Bolesty” jest wyraźnie nazwą protoplasty, wcześniejszą (i etymologicznie) od „Boleszczyce” (wieś Pilawity) mającą znaczenie topograficzne²⁾; formę

1) *Mon. Med. Aevi* t. I, str. 171 roku 1325 *per ferale vulgariter dictum vicy*.

2) *Helcel St. P. P. P.* t. II, nr. 495, 267, t. I, nr. 208, 330, 332, 353.

Jastrzemby znamy r. 1401 ¹⁾). Co gorsza, walka między dawną władzą patryarchy rodu (Odolajem), a jego potomkami Boleszczycami, wchodzącymi w skład nowéj téj organizacyi, oraz nawet możność przebaczenia odszczepieńcom, wskazuje na rozstrój pierwiastku, którego genezy nie widzieliśmy, a dalsze fazy mgławo się przedstawiają.

Praca koło ziemi, która ma być wedle słów autora zadaniem kmieci, zgola się w *Staréj Baśni* nie uwidomia. Liczne inne opolowe zajęcia: krudunek lasów i zakładanie osad na nowym korzeniu, żeremie bobrowe (z kąd nazwa wsi Bobrowniki), hodowla koni (Koniary lub Konary), dzianie barci pszczolnych (z kąd Świepietniki, Bartodzieje), i inne zgola pominięto w wstępnej powieści, mającej jednak malować najdawniejszy, etnograficzny, gminny stan Polski. Wspomniano wprawdzie osady bodnarów i rybitwów w *Staréj Baśni*; stosunek ich jednak do sadyby Wisza tak jest szkicowo naznaczony, że zgola ciężko powiedzieć, są li te osady wskazówką stosunku askryptycyów i serwów do wolnych, czyli téż stosunku mieszkańców opola wolnych do swego naczelnika.

W każdym razie, jeżeli „bodnary“ występują w opolu, to wypadałoby silnie uwydatnić kierunek przemysłowy i handlowy zajęć opolowych. Wyrabiacze bowiem beczek (właściwie „łagiewniki“) nasuwają myśl produkcji jakichś napitków: piwa, miodu, które w tych beczkach zachowywano. Wówczas przychodzą na myśl dowody dokumentowe, zebrane przez znakomitego badacza starożytnych epoki słowiańskich i germańskich archiwisty w Kasselu Landau'a († 1865 r.), dowody z których właściwością nie-Germanów, więc zarówno Celtów jak Słowian okazują się być od wieków *miasta*, zwykłe ogniska handlu, stosunków z obcemi i t. d. Takiego ogniska w *Staréj Baśni* nie widać. Jurydykcyja sądowa opola jeszcze później widoczna w solidarności wszech opolników za mord popełniony na ich terytorjum, w rozmaitych świadkowaniach opolników; formy sądowe inne od obecnych (np. pozew przez laskę; forum pozywającego dla pozwanego obowiązujące i t. d.), w żadnym ustępie nie zostały uwydatnione.

Nim skończymy z opolami, musimy zapytać się sz. autora, czemu „smerdów“ przekształcił na nazwę wojennych towarzyszy Pepetka. Jest to nazwa, wedle Nestora służąca rolnikom i będąca w najjawniejszej sprzeczności z pojęciem drużyny ²⁾).

Sposób tworzenia téj drużyny przez gwałtowną branke, wyraźnie sielankowość Słowian i Polau ma na celu malować; a jest błędny. Ślady późniejsze nakazywałyby owszem służbę wojenną uważać za przywiązany do niektórych osad w epoce (może już od najdawniejszych czasów), jako obowiązek opolowej obrony ³⁾. Niema zdaje się przynaj-

¹⁾ Helcel, t. II, nr. 731.

²⁾ *Mon.* Bielow., I, 778, 810, 823.

³⁾ Por. *milites* w buli 1136, w aktach Leszka Białego 1224 r., por. *decimi* i *centuriones*.

mniej innego faktu wyjaśniającego owe dane statystyczne wojska Chrobrego, które Kraszewski niestety tylko *in crudo* podaje z Gallusa, oraz znanych z dyplomatów z początku XIII wieku *militēs* i *armigeri*¹⁾, którzy z czasem przekształcają się (jak w Czechach szlachta i druh) w *militēs famosi* (w liczbie pojedynczej „szlachta“), i w *medii militēs et mediū nobiles, władyki (squirio, scartabelli)*.

Częste wskazówki bytu opoli w wieku XIII winny być też znaleźć uwzględnienie w rysach epoki, nawet późniejszej (w *Luboniach, Boleszyczach*), czy to jako ich faza postępową, czy też rozstrojową. Prócz kilku gołych wzmianek wyrazu „opole“, nic więcej a przynajmniej mało, dowiadujemy się o tej ważnej instytucji.

Przechodząc teraz do nazw stanu, spotykamy w *Starój Baśni* kmieci, smerdów, knezia. W *Luboniach* zjawiają się władyki i żupani (II, 99), w *Masławie* często i gęsto słychać o chłopach i rycerstwie, w *Boleszyczach* są władcy, żupani i wojacy (I, 60), ziemianie, upanowie z grodów, władyki, kmieci i rycerstwo (I, 87), władcy, żupanowie, ziemianie, osadnicy (I, 80), rycerstwo z ziemiany (II, 76—80), chłopcy czerń (II, 173, 175). Zupełnie niewiadomo czytelnikowi, co znaczy pojedynczo wzięta każda ta nazwa i jaki ich jest stosunek do siebie. Władyka zdaje się być naczelnik rodu, żupan urzędnikowi znowu odpowiada; ale to wszystko są nasze domysły, i zresztą do tych nazw zgoła niestosownie dodano późniejsze miano ziemianin, sięgając w czasy, gdy było synonimem szlachcica. Kmieć *Boleszyczów* zagadką w obec kmiecia *Starój Baśni*, chłopów i t. p. Zresztą nowoczesna nauka odrzuca kmiecia w znaczeniu społecznym niższym.

Słowem, różnic stanowych, ich genezy, przekształceń w ciągu wieków nie wskazano. Jak widzieliśmy nawet na przykładzie Grzegorza, jakby umyślnie zatarto odnośne szczegóły.

Już wspomnieliśmy, że powtarzanie się potwornych błaznów (Znossek, Zyg, Psiajucha), będzie błędem estetycznym, nie zdaje się mieć potwierdzenia w dziejach (boć tu nugigerulus Stoigniew dowodu nie daje). Kartów wojewódzkich spotykamy w r. 1415 (Helcel, II, nr. 1372).

Co do strojów, żałować przychodzi, że Dytmar, Gallus, Kadłubek, pisarze zwifaltenscy, obyczaj kostiumowy, jeszcze żyjący u chłopów kujawskich i krakowskich²⁾, nie dostarczył barw Kraszewskiemu do przedstawienia Mieszków, Bolków i rycerstwa jego w szatach charakterystycznych. Kronikarskich słów cytata nie wystarcza. Autor tu jest mało mówny w sposób dla nas niezrozumiały, ile że znany jego *Sztukę u Słowian* i biegłość archeologii słowiańskiej, do której słownika podał nawet programat. Wyrażnie tu pętał dobrowolnie lot swój wyobraźni artystycznej, charakterystyką fizyczności ludzkiej i natury, zastępując mowę, równie a czasem jeszcze jaśniejszą, akcesoryi materyalnych.

¹⁾ *M. M. Aevi*, III, nr. 9, *Kod. Wielk.*, I, nr. 228.

²⁾ Por. też Helcel, II, nr. 2796. Raczyński, *Kod. Wielkop.* 20, ed. Korn. I, str. 199, n. 237.

Co do mieszkań, *kurne chaty*, *blony* szklane nie zostały uwzględnione. W zastawie stołu na ucztę w *Masławie* autor dopuszcza się ważnego błędu (I, 117). Dla uczczenia pomorczyka, każe jemu i Masławowi z osobnych mis spożywać, gdy to jeszcze w wieku XV uważano za ubliżenie największe ¹⁾, w XIV *lex sumptuaria* Kazimierza Wielkiego *ograniczała* liczbę jedzących z jednej misy do trzech osób. Wielkim też błędem jest wspominać w *Masławie* o arystokratycznym skrobaniu we drzwi (I, 141).

Niektóre nazwy, jak już wspomiano, jakby zastępowały w balecie libretto, tak np. „łan dziewiczy“ w *Boleszczycach*, „lelowe uroczysko“ w *Luboniach*. Wyraz ten jednak „uroczysko“, jak „Olszowe Horodyszczce“ w *Masławie*, rażą może jako właściwe wschodniejszym stronom dawniej Rzplitej, ale nie zachodnim, kędy akcyja Masława odgrywa się. Prócz tego błędu niejako etnograficznego, dopuszcza się jeszcze Kraszewski w topografii błędu chronologicznego w *Boleszczycach*. Raz po raz mianowicie oświadcza (I, str. 72, 85): „Na Kleparzu, na Wąwole, na Stradomiu staniemy pod noc, gdzie ja mam gospodę pewną“ i znów: „co żyło w Krakowie, Kleparzu, Bawole, i we wsiach nawet okolicznych...“ Pomijam szczególną zmianę zrobioną przez Kraszewskiego w ostatniem miejscu, że Szczodry wyjeżdża za miasto, gdy w Gallusie scena ma miejsce „w mieście krakowskiem przed sienią“, gdy „na dworze przebywał“ ²⁾. Co ważniejsza, na byt wielu wspomnianych miejscowości w danej epoce zgodzić się nie możemy.

„Kleparz czyli Florencia“ ³⁾ została tak nazwana od relikwii św. Floryana, sprowadzonych w 1184 r. i pomieszczonych w kościele zbudowanym po za obrębem miasta ⁴⁾. Niewcześniej też podobno Kleparz powstał; za Szczodrego tedy istnieć nie mógł. Autor niepotrzebnie raz mówi o Bawole, drugi raz o Wąwole, wprowadzając w niepewność czytelnika, jest-li to dwie miejscowości lub jedna. Do roku 1278 był własnością prywatną, potem należał do kościoła ⁵⁾ jako wieś.

Stradom jeszcze w 1444 roku i później zapisywano: „za murami Krakowa, na moście królewskim, czyli na Sztradomyu“ ⁶⁾. Nazwa Stradom zdaje się przypominać trudy, jakie ponoszono przy budowie mostu onego ⁷⁾, który ze królewskim zwany, chyba może po 1320 r. zjawił się dopiero. Zaczém i samo przedmieście w XI w. istnieć nie mogło.

1) Helcel, II, nr. 2655, str. 419 z 1426 r.

2) *Mon. Biel.*, I, 421.

3) Helcel, II, nr. 3188, 3451.

4) *Mon. Biel.*, II, str. 834—5, por. 875—6 i 799.

5) *M. M. Aevi*, I, nr. 79, 118; *Kod. Wielkop.*, ed. Bibl. Kórnickiej, I, str. 43, wymienia Bawół w „sandomierskiej prowincyi.“

6) Helcel, II, nr. 3196.

7) Stradat, strad ba (czas żniw, czas pracy?) stradom-y, imiesłów bierny cz. terazń.? jak wiadomy, znikomy, rzekomy, kryjomy, radomy (Helcel, II, nr. 3507).

Na zakończenie ustępu dotyczącego nazw, stawiamy zapytanie: czemu autor bez żadnej zrozumiałej dla nas racji, zmienia nazwy tradycyjne: Pepełko, Piastun, Ziemowid, Sydbor, Górką... a wprowadza symboliczne (Jaga, Dziwa, Jarucha, Wizuna=Wiedź-ma? Sławan=Sławiący?) obok zwykłych.

Pomijając usterki językowe ówczesne i prowincjonalne archaizmy, w zastosowaniu bardzo słabo wyglądające obok Magnuszewskiego *Malgorzaty z Zębocina*, zauważymy, że autor używa stale wyrazu *swierzopa* na oznaczenie wierzchowca, gdy Statut Wiślicki i zapiski Helcla mogłyby przekonać, że to jest *jumentum indomitum*¹⁾. Słusznie też (*Bibl. Warsz.*, 1867, II, str. 26, nr. 1) swierzopa połączono z swierpem, żrubek (żrebak).

Tak przejrawszy z różnych stron pięć *powieści historycznych*, wypadałoby ułożyć ostateczny budżet z naszych spostrzeżeń i pod nim wypisać *saldo* na korzyść lub niekorzyść powieści historycznych.

Wypadałoby tedy oddać słuszną rozległemu czytaniu się autora w źródłach, nawet i w niektórych opracowaniach, ale i zarzucić brak krytyczności w ich użyciu, a nawet umyślną tendencyjność na szkodę prawdy historycznej i artyzmu. Dalej musielibyśmy powiedzieć, że autor nie opuścił wiele choć zmienił dość rzeczy ważnych w pierwszych swych powieściach, fakt zaś w nich obrany lub charakter osób działających nie mają zawsze barwy ponętnej. W dwu drugich ujął rzecz jednostronnie; jakby z umysłu obniżając poziom idei przewodnich, i pomijając dodatnie szczegóły w bohaterach dziejowych a nawet fikcyjnych, o ile były symbolami historycznych zjawisk.

O wszystkich można powiedzieć, że porządku genetycznego zjawisk, ordynku wskazanego im przez ich treść wewnętrzną, w stosunku do innych i do swjej przeszłości i przyszłości nie zachowują. Więcej dają tła, symboli aniżeli typów dostatecznie wybitnych i rozwiązań zagadek. Zalecają się malowidłem, grzeszą akcją. Porywają zamiarami, nużą wykonaniem; zachwycają obrazami natury, rażą wizerunkiem ludzi. Męczą prócz *Starój Baśni* w dalszych powieściach oschłością pewną myśli przewodnich, lub nie zawsze godnym pochwały ich kierunkiem oraz natłokiem szczegółów, a nie można powiedzieć, aby w języku czytelnik uważny mógł zawsze znaleźć równoważnik dla różnorodnych usterków i by ukołysany słów czarem, mógł przepłynąć bez zastanowienia nad treścią jak w *Srebrnym śnie Salomei*.

Starsze pokolenie wypiastowane we *Spiewach historycznych* Niemcewicza, zaznajomione w dziełach Szajnochy, w tych poezjach w formie historyi, z nowszemi wynikami nauki o naszej przeszłości, spotka się w *powieściach historycznych* nie z jedną myślą i uwagą, której

¹⁾ Por. Helcel, II, nr. 2895, *una indomita alias swierzopa, alia laboriosa*; inne cytaty podaje Maciejowski w rozprawie o Helclu, więc NN. *equos silvestres alias swerzope*, 1432, 2700, 3191, 3255.

przyjąć nie zawsze będzie się czuło w możności; nie tyle w końcu z pobudek umięjętnych, ile praktycznych, życiowych.

Młodsze zaś pokolenie w danym sobie z zaufaniem przez starszych cyklu powieści o nieznanj sobie przeszłości; może nie zawsze znajdzie powody do jej ukochania; częściej może coś spotkać takiego, czego autor z pewnością powiedzieć niechciał i może chciałby po rozpatrzeniu sam wymazać, a co skutek swój niepożądany wywarło lub wyrze.

Oto są niektóre z pozycyi, którebyśmy w obrachunku z naszych spostrzeżeń o *powieściach historycznych* Kraszewskiego pomieścić się ośmielili, gdyby wypadało obrachunek ten do ostatecznego salda zamknąć. Jednak nawet z tych pięciu ustępów znanych, wydawać sąd ogólny, jest również rzeczą zawczesną, jak nie w porę byłoby go formułować po jednej powieści z całego cyklu. Sąd bowiem taki wypaść tylko może, po wypowiedzeniu wszystkich myśli autora o danym przedmiocie. Zauważyliśmy bowiem, że Kraszewski często dopełnia w następnych powieściach swj myśli o poprzednich ustępach. Zaczem praca jest jeszcze w biegu, sprostowań i zmian w tekście oraz formie ¹⁾ można się spodziewać, choć w wielu razach już one naprawić wytkniętego błędu nie zdołają.

Jak nateraz możemy tylko autorowi i ogółowi życzyć, by pierwszy miał jak najwięcej przyczyn do chluby a jak najmniej pobudek do sprostowań, gdyż tym sposobem nadzieje i potrzeby drugiego najlepsze zaspokojenia otrzymają.

¹⁾ Następne słowa listu odebranego przez nas od jubilata w odpowiedzi na dedykacyą—potwierdzają nasz domysł co do zmiany formy. „Zwracam szanownego Pana uwagę na to, że w rozpoczętym cyklu historycznych powieści, co do *formy ich artystycznej*, która może uleść zmianom, w miarę jak czaasy objęte powieściami zbliżać się ku nam będą—nie jest jeszcze to co jest—stanowczem. Zastósowanie formy do treści stanie się nieuchronnem, będzie ono stopniowem...”

Z WYSTAWY PARYŻKIÉJ.

I.

Ogólny rzut oka.—Inauguracja wystawy w dniu 1 maja.—Huk dział połączoney z hukiem piorunu.—Tryumfalny pochód z Trokadero na pole Marsowe.—Wielki udział Anglików: pierwszy wystawca Anglik, owacya: *Vive l'Angleterre! vive la France!*—Illuminacja narodowa.—Obecny stan wystawy.—Kilka liczb statystycznych.—Fronton gmachu.—Szereg kamiennych posągów, przedstawiających różne ludy.—*La rue des nations*.—Wystawa typów architektonicznych.—Pawilon księcia Walii.—Charakterystyczne frontony.—Galerya pracy robotnicy przy warsztatach.

„Nie będzie nic z wystawy!“ „Ani myśleć o niej w tym roku!“ „Bądź co bądź musi być w swoim czasie!“ Takie sprzeczne zdania od pięciu miesięcy odbijały nam się bezustannie o ucho. Ilekroć spadł barometr polityczny, a nowa chmura wybiegła na widnokrąg, pesymiści podnosili głowę, rzucając wbrew optymistom owe wstrętne słowa: „a co? czyśmy tak nie mówili?“

„A co?“ powtarzają dziś tryumfalnie optymiści, w obec dokonanego faktu.

Otwarcie wystawy w dniu 1 maja, faktem jest dokonany. Wieść o tém rozniosły po świecie telegramy, o ile jednak wystawa dokończona, wiemy to najlepiej my biedni sprawozdawcy, zmuszeni brnąć po kostki w błocie lub piasku, wpośród cegieł i płyt kamiennych, spoglądać co chwila na drzwi zabite deskami, w okna zamalowane wapnem, krążyć wpośród wozów i taczek, zawadzać wciąż o gwoździe i drabiny, wreszcie nadrabiać wyobraźnią, aby z tego co jest odgadnąć to, co będzie.

Trudno jednak zaprzeczyć, aby to co jest nie było bardzo pięknym. Stańmy oto na moście Jena, wcielonym w obręb wystawy, rozszerzonym niemal o połowę. Po jednej stronie rzeki widzimy wielki pałac maurytański, panujący nad Paryżem z wyżyn Trokadero, z pyszną kaskadą i dwunastu wodotryskami, otoczony kobiercem murawy, barwną tysiadcem kwiatów; po drugiej stronie na polu Marsowem, wzrok nasz spotyka rozległy gmach czworoboczny, ów *mikrokosmos* mieszczący w sobie płody geniuszu wszystkich na ziemi ludów, z wyłączeniem tych, które nie dorzuciły jeszcze plonu swego, do skarbnicy ogólnej cywilizacji. Wprawdzie brak tu i sąsiadów zarcęskich; ci jednak, jeśli nie posypali garści zboża, przynieśli za to piękny bukiet na gody. Niemcy jak wiadomo reprezentowani wyłącznie w sztukach pięknych. Nie zobaczymy więc tych straszliwych Krupów, z rozwartą paszczą, z których Francuzi szydzili bezmyślnie przed jedenastu laty, nim bomby z nich miotane, nie odebrały im chęci do śmiechu. Nie zobaczymy na-

wet owych Krupów, oddanych pędzlem, cesarz bowiem przez godną podziwienia delikatność, rozkazał wyłączyć z przesyłki wszystkie obrazy, któreby świadczyły o niemieckich tryumfach, z ubliżeniem miłości własnej zwalczonego narodu.

Dwa główne gmachy wystawy, wszystkim już dobrze znane z ilustrowanych publikacji; nie będziemy ich też opisywać. Gdy patrzemy na ogromny pałac, piętrzący się ze wzgórza Trokadero, zaspakaja nas przynajmniej myśl, że to dzieło olbrzymie, nie pójdzie w niwecz, ale pozostanie nadal, ozdobą wielkiego grodu, jeśli, czego strzeż Boże, nie przyjdzie na myśl przyszłym Herostratom, zmienić go w kupę gruzów, jak kilka lat temu uczyniono z pałacem tuilleryjskim. Gmach tynczasem właściwej wystawy, z samej natury swojej skazany na zniszczenie. Zaczem listopad strąci z kasztanów i grabin bulwarowych te liście, które maj ślicznie dziś zazielenił, młoty robotników rozwałą owe łuki i kołuły tak ułudne dla oka. I cóż z nich pozostanie? chyba to, co poeta wyraził w cudnym wierszu.

To, co zostaje nam po wieszczem słowie,
Po łzach, po rosie, po pieśni w dąbrowie!

Zarzuci nam kto może, iż nie szukać poezji tam, gdzie pobudka sama tak poziomą, gdzie prozaiczne wyrazy *przemysł* i *handel* powstrzymują wyższe poloty ducha. Odpowiemy pytaniem: ażaliż nie ma poezji w owem braterstwie ludów, szukających się i poznających wzajemnie, mimo przestrzeni oceanów, mimo spiętrzonych opok Alp, Andów i Himalai, które zwalczył geniusz twórczą potęgą swoją? ażaliż nie ma poezji w owych uowożytnych turniejach na polu pracy, do których powołana dziś ludzkość? ażaliż nie ma jój w tym gorącym patryotyzmie, z jakim naród francuzki pragnął pokazać światu, że lubo zwyciężony orężem, nie zawiesił lutni swojej na gałęziach wierzb babyłońskich, lecz pracował wytrwale, w pocie czoła, i dzieło kilkoletnich wysień stawia przed oczy ludom, dając im z siebie wielki przykład.

Myśli te przebiegały nam po głowie, gdy stojąc w bliskości mostu od strony pola Marsowego, poglądaliśmy zdala na wspaniały obrzęd inauguracji, odbywającej się na Trokadero. Przepyszny to był widok. Prezydent Rzeczypospolitej otoczony gronem książąt, przeszłych królów i przyszłych padyszahów, ambasadorów wszystkich państw, członków senatu i Izby prawodawczej, deputacyi wielkich ciał naukowych i administracyjnych, rzekł uroczycie z ganku: „Wystawa otwartą!“ I owóz na to hasło zabrzmiały trąby, uderzyły bębny, buchnęły fale kaskad i wodotrysków; tysiące różnobarwnych flag, ukrytych dotąd, zaszumiło na wietrze, huk armat rozległ się z czterech pobliskich fortów, a i z piątego nawet, najgroźniejszego ze wszystkich, acz nie objętego programatem. Tym fortem—czarna chmura rozpostarta po nad poleni wystawy, niby olbrzymi potwór. Piorun poprzedzon błyskawicą, rozległ się po przestrzeni z grzmotem dział sześćdziesięciu i z okrzykiem stotysięcznego tłumu: „Niech żyje Rzeczpospolita!“ Ów

piorun, jak mówią, uderzył w gmach Wystawy; szczęściem pręt żelazny pochłonął pocisk i usunął groźne następstwa.

W chwili kiedy marszałek Mac-Mahon schodził z ganku obok księcia Walii, lunął deszcz, istna powódź. Prezydent przez wzgląd na dostojnego towarzysza, zatrzymuje się chwilę, pyta co czynić. „Idźmy naprzód!” odpowiada spokojnie następca tronu angielskiego, i cały orszak posuwa się zwolna w stronę mostu. A oto ulewa ustaje niby cudem, z radością obecnych, zwłaszcza też strojnych Paryżanek, które lubo nie należały do orszaku, zajmowały honorowe miejsca na balkonach pałacu Trokadero, podczas gdy inne, mniej uprzywilejowane, krążyły po polu Marsowém.

Nic wspanialszego nad ten pochód! Na czele szedł prezydent; obok księżę Walii w mundurze purpurowym, dalej dwaj b. królowie hiszpańscy: Franciszek z Assyżu i Amadeusz, księżęta i liczni dostojnicy. Wśród pysznego orszaku, urozmaiconego azyatyckim strojem anamitów, błyszczących księżycami, i mandarynów chińskich w błękitnych deliach, z długim warkoczem, szczególną sprzecznosc tworzyli Japończycy we frakach. Patrząc na te żółte twarze, bez zarostu, na te ukośne oczy czerniące się z pod okrągłego kapelusza, przyszło nam mimowoli na myśl, jak dziwnie wyglądali w oczach współczesnych dziadów nasi, kiedy podgolone głowy przystroili utrefioną peruką, a długi żupan i poważny kontusz z wylotami, przemienili na frak papuzi. A przecież różnica ich od Francuzów była niczem w porównaniu tej przepaści, jaka dzieli żółtego syna Niponu od białego Europejczyka. Ale i kontusz dał się widzieć w orszaku. Nosił go bardzo wspaniale hrabia Włodzimierz Dzieduszycki, równie jak karabelę i czapkę sobolową, przybraną czaplém piórem. Hrabia, jak wiadomo, komisarzem jest działu galicyjskiego na wystawie austriackiej. Inny komisarz, węgierski hr. Zichy, oślnił obecnych malowniczym strojem madjarskim. Dyamenty magnata oceniono na milion przynajmniej franków.

Uroczysty pochód pod galeryami gmachu trwał około dwu godzin. Chmury zupełnie się rozpięchły, słońce zabłyśło w wiosennym majestacie. Na pobliskich placach i ulicach, mimo błota zebrało się do 500,000 ludzi. W obawie wypadków, jakie mogła spowodować taka ciżba, przyprowadzono ambulansy; szczęściem nie były potrzebne.

Ale uroczystość nie ograniczała się tylko w okolicach wystawy; cały Paryż wziął w nią najczynniejszy udział. Ze wszystkich ganków i okien powiewały trójkolorowe chorągwie, mieszane tu i owdzie ze wszystkimi flagami świata. Najwięcej spostrzeżliśny barw żółtych z purpurowym; i nic w tém dziwnego: chmury Anglików spadły z za morza; Paryż rad był uczyć przybyszów. Słusznie im to należało, dział angielski bowiem wspaniale reprezentowany na wystawie, zajmuje trzecią część miejsca, jakie przypadło na wszystkie ludy razem. Dodajmy i to, że urządzenie tego działu dalej posunięte niż u samych nawet Francuzów. Parę tygodni temu nastąpiła ztąd manifestacja, nacechowana francuzką ogładnością. Wystawca fajausów Anglik, uło-

żył najpierwszy ze wszystkich talerze i garnuszki w swój witrynie. Pośpiech ten nie zadraźnił bynajmniej miłości własnej robotników francuzkich; przeciwnie, wywołał między nimi najmiłsze wrażenie. Cóż z tém czynią? Oto każą uwić przepyszny wieniec, na nim z drobnych kwiatków ułożyć napis: *Honneur, bonheur, au premier exposant. Vive l'Angleterre! vive la France!* i kładą ten wieniec za oknem skrzytęgo przodownika. Piękny w tém dowód, jak zbliżenie się i wzajemne poznanie, usuwa myśl wrogięj rywalizacyi, a wzmacnia węzły bratnie, gdy wspólna myśl przewodniczy dwom ludom.

Czują Francuzi z wdzięcznością, że Anglia przyczyniła się najdzielniej do urzeczywistnienia tegorocznej wystawy. W chwili, kiedy wielu wystawców francuzkich wahało się w obec chmur wzbierających na widnokręgu, książe Walii dodał im bodźca nadzwyczajną czynnością i energią. Raz wraz przepływał cieśninę, sam kierował budową i urządzeniem działu angielskiego; zimną jeszcze sprowadził tu bezcenny swój skarbiec, złożony z darów, jakimi zasypali go dwa lata temu indyjscy maharajasy i nababowie. Niczem niezrażony, powtarzał ciągle swoje *for head*, jak w dniu pierwszego maja w obec grożącej nawałnicy; słowem, każdy krok przyszłego padyszacha był żywem świadectwem uczuć, które wyraził przy uczcie inauguracyjnej w odezwie do ministra francuzkiego: „Od ćwierć wieku dwa nasze ludy zatarły pamięć dawnych zwad i wiecznym połączyły się węzłem. Serce moje całe jest z Francją!”

Wieczorem Paryż rozgorzał milionem świateł. Nie była to owa urzędowa iluminacya, w której wszystko odbywa się po formie. Każdy zapalał co mógł. Tu, różnobarwne chińskie latarnie, tworzą festony, piramidy i tryumfalne bramy; tam publiczne gmachy promienieją gazem, niektóre światłem elektrycznym. Od kościołów nawet bije ognista łuna. Gdzieniegdzie z okien domu wywieszony wielki żyrandol. Gawieź snuje się tłumnie; na kapeluszach połyskują stoczki i latarki. Co chwila ciągną ulicą wozy przystrojone w chorągwie, oświecone setkami lampionów. Omnibusy, tramweje i pojazdy, stoją po placach, czekają rychło przepłynie ta fala, a fala wzbiera i rośnie, podsycona coraz nowym napływem. Niekiedy przy huku petard i pogwiździe rakiet, zadzwoni chórem *Marsylianka*. Jakiżto zapał tryska z lic, z jaką dumą brzmią uroczyste słowa: *Le jour de gloire est arrivé!*

A oto milknie pieśń z pierwszą zwrotką. „Godziż się, mówią jedni do drugich, piorunującym hasłem: *Aux armes citoyens!* przypominać zamorskim gościom naszym, żeśiny niezawsze byli braćmi?”

Co tu gwaru, ile wrzawy, ile serdecznego wesela! Znać święto prawdziwie narodowe. Jakaż radość z odniesionego tryumfu. Pierwszy to tryumf od chwili strasznych klęsk, upokorzeń i bezprzykładnych w dziejach szarów; pierwszy dowód odrodzenia, pierwszy okrzyk zwycięzki, wydarty z piersi uczuciem chwały narodowej. Francya zda się mówić: „Patrzcie ludy! jam żywa!”

Od tryumfów po Magenta i Solferyno, Paryż nie pamięta podobnej manifestacji. Kto widział tę noc, nigdy jej nie zapomni.

Przystąpmy wreszcie do tej wystawy, której otwarciu taką radością i dumą napełniło serca Paryżanów. Nazajutrz chcieliśmy się z nią zapoznać bliżej. Od czegoż tu rozpocząć? Gdzie rzucić okiem, bezład prawdziwie chaotyczny. Ale kilkadziesiąt tysięcy robotników, w błękitnych bluzach, krząta się z całą zawziętością. Jedni sadzą kwiaty i drzewa, drudzy wysypują drogi i ścieżki żwirem, inni ze stosu nagromadzonych cegieł i desek, improwizują charakterystyczne budowle, jakby żywcem przeniesione znad rzeki Błękitnej lub Nilu, z lodowisk Północy lub stref podzwrotnikowych. A nad głowami tych znojnych robotników, pracuje inny robotnik niczym niez mordowany, z czołem jasno rozpromienionem. Tym robotnikiem Boże słońko. Niemały padł mu wydział, jego zadaniem stroić w koronę liści tylko co posadzone drzewa, rozwijać z pączka wonne kielichy kwiatów, wydobywać z ziemi żdźbła trawki, tworzyć z nich aksamitne kobierce!

Przy takim współdziałaniu wszystkich sił, robota rośnie i tylko patrzeć, jak z tego chaosu wypłytnie całość prawdziwie czarodziejska.

Im śpieszniej praca postępuje, tym większy kłopot dla sprawodawcy. Jak tu mówić z fantazyi o tém, co dotąd w całości nie istnieje? co jeszcze nie oblekło się w ciało? Godziż nam się wypisywać rzecz z katalogu, a i ten nawet nie wykończony? Z ośmiu wielkich tomów, które składać go mają, dwa ledwie ogłoszone drukiem, a jakby naprzekór w tych dwu zapisane przedmioty, których dotąd nie wystawiono. Co zaś najbardziej utrudnia zadanie kronikarzy miesięcznych, to owa smutna okoliczność, że kiedy pojawiają się w druku sprawozdania nasze, świat nowy powstanie już z odmętu, poczwarka przemieni się w motyla, a bezład, na jaki dziś patrzymy należeć już będzie do przeszłości. Ale nie przebieć muru głową; malujemy to, co nam się obecnie przedstawia, prosząc czytelników o cierpliwość i wyrozumienie. Na wszystko przyjdzie kolój.

Nim przystąpimy do szczegółów, musimy wprzód rzucić kilka cyfr statystycznych; te bowiem wymownie okażą cały ogrom, szczęśliwie dokonanego dzieła. Obszar wzięty pod wystawę z obu stron rzeki, zajmuje 270,000 metrów kwadratowych; w roku 1867 zajmował tylko 152,000. Gdy wszystko ukończonem będzie, koszta wyniosą do 50 milionów franków, przejdą więc o połowę koszta przeszłej wystawy. Wchodzi w to budowa pałacu Trokadero, na którą miasto zaliczyło 3,000,000 fr. Sąd przysięgłych, rozdzielony na dziewięćdziesiąt klas, oceniać ma zasługi wystawców; tych liczba z samej Francyi dochodzi 20,600. Do końca kwietnia nadesłano na wystawę 4,800 wagonów, miało ich przybyć jeszcze 550. W r. 1867 liczone wszystkich 2,200. Urządzeniem olbrzymiego dzieła zajmował się senator Krantz, naczelny komisarz wystawy, z godnym podziwienia wytrwaniem. W ciągu dwu lat śmiały pomysł stał się rzeczywistością.

Same te cyfry usprawiedliwiają ciekawość cudzoziemców, których liczba przechodzi już 200,000; tłumaczą też radość i dumę Francuzów, z dzieła dokonanego w tak nieprzyjaznych warunkach.

Zbliźmy się wreszcie do gmachu wystawy. Jestto podłużny czworobok, długi na 706 a szeroki na 340 metrów, podzielony w szachownicę, bądź otwartemi ulicami, bądź też rzędem oszklonych galerii. Przez całą szerokość frontowej ściany, ciągnie się szereg posągów, wyobrażających wszystkie państwa, które wzięły udział w wystawie. Posągi te wykute z kamienia dżłtem pierwszych mistrzów francuzkich, przedstawiają się w postaci kolosalnych niewiast. Fantazyja artystów znalazła tu obszernie pole do wyrażenia twórczej myśli; sądzimy jednak, że była niekiedy krępowaną wymaganiami przedstawionych potęg, z prawdziwą krzywdą dla sztuki. Rozmaitość tych figur pod względem pomysłu i wykonania, ciekawa sama przez się: w jednych przeważa klasyczny konwencyjonalizm, w drugich oddane cechy etnograficzne z całą prawdą żywotną; tam scharakteryzowana długowiekowa przeszłość, tu pierwszy brzask przedświtu, ukazuje na przyszłość nowe drogi; tam niesmaczny pretensjonalizm, tu prostota miła dla oka i dla myśli. Weźmy np. Szwecyą. Jak jęj pięknie w koronie z leśnych szyszek, w ciepłej szubie obłożonej futrem. Dokoła nięj wiosła, sieci i młoty, słowem to wszystko, częm się dobiła pomyślności, częm zasłynęła w świecie. Na zwoju pergaminowym, co wybiega z jęj ręki, czytamy imiona Linneusza, Berzeliusza, Alströmera, Swedenborga i innych wielkich mężów. Ich długi szereg pokazuje, że na polu inteligencji zrodzić się mogą bujne kłosa i bez żaru południowego słońca.

Niemnięj urocza siostra jęj Norwegia, krzepka niewiasta w chustce na głowie i kaftaniku wojskim. Tak wyglądac musiały towarzyszyki przedsiębiorczych Wikingów, co puszczali łodzie na wszystkie morza i rzeki i na ich wybrzeżach zakładali wiecznotrwałe państwa. W rękę jęj wiosło, u nóg pęki lin i gałęzie jodłowe, tchnące żywotną wonią.

Inaczej przedstawia się Hiszpania. Ta wyobraża wielką przeszłość w postaci Izabeli kastylskiej. Stoi wsparta na globie, przy nięj łodzie i wiosła. Wryty na kuli ziemskiej rok 1492, przypomina światu odkrycia Kolumba dokonane pod sławną jęj flagą.

Otóż i obie Ameryki: Północna w wieńcu dębowym, wsparta na wiązce pretów; gwiazda wolności przyświeca na jęj czole. W prawęm rękę trzyma pergamin z napisem: *Konstytucya*, w lewęj podniesioną chorągiew. Z boku orzeł kołyszze się na gałęzi wawrzynu. Południowa Ameryka wygląda na skrzętną ogrodniczkę, w wielkim kapeluszu Panama, z koszem ananasów, otoczona całęm bogactwem podzwrotnikowej roślinności.

Tu Italia występuje niby spadkobierczyni Romy, cała udrapowana w togę Cezarów. W prawicy trzyma domowe swe Penaty. Cóż one przedstawiają?... Oto rozżartą wilczyęc i dwoje niemowląt, ssących mlęko z jęj łona. Nie wątpimy, że to pyszne godło wywoła najostrzejszą krytykę!

Piękna Grecya w wieńcu bluszczowym, z gałązką oliwną trzyma także jakiś posążek; może to Jowisz. Dlaczegoż bez pioruna? może Homer, dlaczegoż bez liry? Najpewniej to Solon, głoszący prawa, z ręką do góry podniesioną. Jakkolwiek bądź takie symbole w rękę dwu spadkobierczyń klasycznej starożytności, wyglądają śmiesznie i pretensjonalnie.

Charakterystyczniejsza od nich postać żywej mumii, która przedstawia stary Egipt. Ubiór jęz skrzydeł Ibis, na głowie wschodni dyadem, u stóp sfinksy i piramidy. Na tablicach wypisane nazwy: *Serapium*, *Abydos*, *Karnak*, *Bulacq*, głoszą odkrycia Mariette Beja, który pod dzisiejszym Egiptem, wygrzebał z ziemi starożytny Egipt Faraonów. Przy tych pomnikach czterdziesto-wiekowej chwały, widzimy w rękach posągu, żywe świadectwo olbrzymiego dzieła, dokonanego w naszych czasach. To plan kanału Suezkiego, wryty na tablicy, w górze napis Ismael Kedyw, u spodu Ferdinand Lesseps.

Dalęj Persya w wysokim kołpaku, bogato udrapowana, trzyma róg wspaniałej makaty. Przy niej niewiasta chińska w narodowym stroju, ukośnemi oczyma zerka na siostrę Japonią, wymanierowaną na krój europejski. Rosya stoi poważnie w płaszczu gronostajowym i koturnach, ma na głowie koronę z krzyżem, w rękę miecz z rękojeścią w kształcie krzyża, szarfę zwieszoną przez ramię z mnóstwem krzyżów i godek; przy niej dwugłowy orzeł, trzyma w szponach berło i jabłko z krzyżem. Nieco dalęj Szwajcarya w wieńcu z gałązek jodłowych, ręką ukazuje róg Tella, drugą wsparła na wiązce wyobrażającej kantony złączone w ścisłą jedność. Belgia trzyma koronkę brabancką, wyrzeźbioną udatném dłutem. Holandya, istna matrona z portretu Rembrandta stoi na czatach z olbrzymiém wiosłem w rękę. Portugalia oparta na kotwicy, ukazuje z dumą imiona Vasco de Gamy i Kamoensa. Postać Austrii pozbawiona wszelkiej myśli, snąc z tego nawału składających ją ludów, tak różnych między sobą, artysta sam nie wiedział co wybrać! Zamiast malowniczej góralki styryjskiej lub tyrolskiej, utworzył postać klasyczną w koturnach, bez wyrazu i barwy miejscowej. Nieco lepiej przedstawia się Hungarya w koronie Ś. Stefana, z nogą wspartą na rogatym łbie wołu, otoczona snopami kukurydzy i bujnym winogradem.

Długi ten szereg kończy Anglia, istna macierz między dwoma córami. Na głowie jęz błyszczący rycerski szyszak, w rękę dźwiga ogromny trójząb. *Honny soit qui mal y pense*: to odwieczne godło wryte na jęz tarczy. Śmiałą nogą depte głowę potworu. Po prawicy jęz, Indya cała obwieszona sznurami pereł i dyamentów, ma na głowie pyszny dyadem, na rękę i nogach bransolety, w uszach i nozdrzach wielkie kolce, prawą ręką podnosi berło, lewą puszkę z cennym balsamem. U nóg jęz pełza jadowity grzechotnik. Po drugiej stronie Australia w postaci szpetnej murzynki, ukazuje wielką bryłę złota.

Zbiór tych kolosalnych figur tworzy dziwnie majestatyczną całość.

Przez bramę środkową wnijdźmy teraz do wnętrza gmachu. Wzdłuż ciągnie się osobna galerya poświęcona wyłącznie sztukom pięknym. Na prawo od téj galeryi cała połowa zajęta na wystawę francuzką, druga połowa po lewej ręce obejmuje płody pracy i przemysłu różnych ludów ze wszystkich części świata. Szeroka droga zwana *la rue des nations* (ulicą narodów), odłącza ten dział od galeryi sztuk pięknych. Ta przepyszna ulica na szczególną zasługuje uwagę: słusznie ją téż liczą do głównych ciekawości wystawy. Przed każdym oddziałem zagranicznym, widzimy osobny fronton, cechujący naród do którego należy, z jego przeszłością, cywilizacją i charakterem geniuszu. Jestto międzynarodowa wystawa architektury. Długi ten szereg, zajmujący wzdłuż siedmset z górą metrów, rozpoczyna Anglia. Ponieważ dział jój bardzo wielki, zamiast jednego frontonu, widzimy tu szereg ślicznych pałacyków, ulanych z żelaza, rozbieranych, jakie zamożni lordowie rozwożą z sobą na różne światła strony. Wewnętrzne ich urządzenie, wzorem jest angielskiego komfortu złączonego z prostotą. Najpiękniejsza z nich willa księcia Walii, wykonana wytwornie. Przyległy pawilon indyjski, o purpurowych ścianach, zda się przeniesiony tu z Lahory lub Madrasu; wszystko w nim oryginalne, mury wysadzone drogiemi kamieniami. Wnętrze dotąd niewidzialne: wrócimy jeszcze do tego pięścidełka.

Od tych pałacyków ciągnie się wzdłuż działu angielskiego, pyszna krata, w surowym stylu, prawdziwe arcydzieło sztuki ślusarskiej. Na niej czytamy werset z psalmu dawidowego: *Quid retribuam Domino!* sparafrazowany niegdyś tak pięknie przez naszego Jana z Czarnolasu: „Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?”

Obok próbek architektury angielskiej, niekorzystnie przedstawia się fasada Stanów Zjednoczonych, chłodna jak giełda, jak hotel lub dworzec kolei żelaznej. Cokolwiek ją tylko ożywiają godła wszystkich Stanów, zamieszczone w odstępach i flaga błękitna w złote gwiazdy, powiewająca w górze.

Fronton szwedzki zbudowany z belek jodłowych w kolorze naturalnym, odznacza się oryginalnym stylem, pełnym wdzięku przy całej swój prostocie. Kraj prawdziwie demokratyczny pokazał światu co posiada najdroższego, na czém opiera przyszłość: chatę szczęśliwych i wysoko ukształconych wieśniaków.

Inaczej całkiem przedstawia się fasada włoska, w stylu florenckim z epoki odrodzenia. Rzymskie arkady wsparte na kolumnach porfirowych, tworzą galeryą ozdobioną w górze posągami. Niżej mozaikowe medaliony pokazują szereg uczonych poetów i artystów.

Daléj idzie Japonia. Po jednéj stronie bramy w guście wschodnim widzimy na murze wielką mapę, oznaczającą zielone wyspy japońskie, na błękitném tle oceanu; po drugiéj stronie namalowany plan wielkiego miasta Jeddo. W górze nad bramą napis *Japon* skreślony po francuzku. Zdaje się jakby Japonia na każdym kroku wzięta sobie za cel pokazywać w obec ludów, postęp w cywilizacji europejskiej.

Chiny przeciwnie, usiłują we wszystkiemi uwydatnić oryginalny swój charakter. Fronton ich wykonany w Pekinie, technie pełną smaku prostotą. Jestto wysoka ściana w ślicznym popielatym kolorze. Całą jęj ozdobą szerokie wrota purpurowe, najeżone takiemiż kołkami. Nad bramą z zgrabnym i malowniczym daszkiem, widzimy złoty napis *Chiny*, ułożony z ich własnych liter.

Hiszpania występuje w całym przepychu stylu maurytańskiego. Fronton jęj łączy w sobie cuda Alhambry i Giraldy Sewilskiej. To prawdziwa perła w dziale architektury.

Przy Hiszpanii Austria wygląda nadzwyczaj ponuro, lubo jęj fasada ma także właściwe sobie zalety. Na dziewięciu arkadach, pomalowanych szaro (*en grisaille*), ciągnie się górą szereg posągów marmurowych. Drugi rzęć ich umieszczony niżej pomiędzy filarami. Wśród tych uważaliśmy piękne posągi Beethovena, Dürera i Michała Anioła.

Dalęj ukazuje się Rossya. Jęj fronton zbudowany z drzewa, podobnie jak i szwedzki; różnicę stanowią ciężkie bizantyjskie kopuły.

Szwajcarya przyjęła rodzaj eklektyczny bez właściwego charakteru. Wszystko tu znaleźć można: i malownicze daszki szaletów góralskich, i średniowieczny styl dzwonnicy z Bernu i Bazylei, i różnobarwne godła kantonów. Nad tęp panuje kopuła zakończona w górze strze-listą wieżyczką; zdobi ją wielki zegar, wykonany w Genewie, ojczyźnie zegarmistrzów.

Ogromny fronton belgijski przedstawia dom bogatego mieszczanina flamandzkiego. Kolumny i posągi z ciemnego marmuru nadają mu starożytną postać. Piękny ten marmur pochodzi z gór ardeńskich.

Po surowęj Belgii, tęp jaskrawięj uderza w oczy Grecya, strojna świetnie, lecz nowożytnym krojem. Dwie kolumny jońskiego porządku, wspierające ganek, jedynęm tu odbiciem przeszłości. Sztukaterye błękitne z purpurowęm nadają budowie raczęj maurytańską, niżeli grecką postać. Gdyby nie napis *Athene*, wryty pod posągiem bogini, gdyby nie kształt jęj hełmu i nie tradycyjna sowa, pomalowana w polu czerwonęm na podstawie, nieprzyszłoby nam nigdy na myśl, że ten jaskrawy fronton wykonali potomkowie Praksyteleasa.

Za Grecyą idzie Dania; ta przynajmniej nie grzeszy przesadą. Architektura jęj przedstawia się w prostym frontonie wielkiego domu zmurowanego z cęgly. Oddrzwia kamienne stanowią tu całą ozdobę.

Fasada Ameryki Południowej z jasnego kamienia, przybrana krytym gankiem wyrzeźbionym z mahoniu, ma kształt oryginalny, przypominający architektoniczne typy Asteków i Inkasów. Kapitele na pilastrach wyobrażają kwiaty i owoce tych stref podzwrotnikowych, co im nadaje samoistny charakter.

Za Ameryką spostrzegamy drobne próbki architektury afrykańskiej. Tu strzela w górę zgrabna wieżyczka tunczyjska, tam częstka marokańskiego pałacu. Egipt figuruje w odrębnym budynku, nad którym skrzętnie pracują robotnicy. Przy Tunisie Monako ma osobny

frontonek, tak maleńki, że ledwie dopatrzeć go można. Nie wspominalibyśmy nawet o nim, gdyby nie to, że tarcza herbowa księstwa, w kostkę białą z czerwonym, w szczególny sposób przypomina dziesiątkę karową. Zbyt mało znamy heraldykę, aby wiedzieć co oznacza owo dwuznaczne godło; powiedzmy jednak, że ta dziesiątka bardzo charakterystyczna w księstwie, gdzie karty i ruleta główny stanowią dochód.

Po tych drobiazgach, tworzących niejako mozaikę, uderza nas wspaniałością i smakiem, przedsiónek średniowiecznej katedry; piękna to próba architektury portugalskiej. Za wzór do tego arcydzieła posłużyła sławna katedra w Koimbrze. Po obu stronach drzwi, w półśrodku wytwornych rzeźb widzimy posągi Kamoensa, Vasco de Gamy, Alwareza, Ribejry, Mirandy i innych mężów zasłużonych ojczyźnie. W górze nad nimi świeci cudna postać Madonny.

Zakończa wreszcie ulicę bogaty fronton holenderskiego pałacu. Wiele takich dotychczas widzieć można w Leydzie, Harlem i Rotterdamie. Gmach to szary, ciężki, zimny, jak charakter Holendra, ale przez to właśnie nacechowany samoistnym piętnem.

Dochodząc tu, słyszymy w poblizkiej galeryi łoskot licznych, w ruch wprowadzonych machin. Rozległa ta galerya otacza ze strony zewnętrznej cały czworoboczny gmach Wystawy. Gdzie rzucić okiem, sterczą tu potwory spiżowe, najdziwniejszych kształtów i nieznanego nam jeszcze przeznaczenia. Te sturamiennie Bryareje czekają w milczeniu rychło godzina uderzy i powoła ich w szranki. Wtedy i my zajrzemy im w paszczę; dziś pozostawmy ich na boku, a przebiegnijmy za to część galeryi zwaną *wystawą pracy*. Tu zobaczymy nietylko płody myśli i ręki ludzkiej, ale zarazem grupę skrętnych robotników, zajętych żywo przy warsztatach.

Zatrzymajmy się chwilę: oto na wielkim stole przygotowane całe arkusze złożonej lub oksydowanej blachy. Machina wycina z nich okrągłe sztuczki wielkości franka. Jeden robotnik przesuwa je drugiemu, drugi trzeciemu, i po dwóch minutach owa blaszka zmieniła się w piękny guzik, z wyciśniętą cyfrą lub godłem. Przy innym warsztacie wyrabiają się w oczach naszych cygarniczki, portmonetki, broszki, sprzączki i różne świecidełka, znane pod ogólną nazwą *articles de Paris*; pośpiech, z jakim idzie robota, tłómaczy nam niską cenę owych wytwornych fraszek, które Paryż rozsyła na świat cały. Dalej zręczny perukarz stroi woskową głowę w piętrzące pukle i sploty. Za nim hoże kwaciarki obsiadły stół dokoła; z rąk ich jak z rogu obfitości sypią się całe kaskady róż, fiołków, pierwiosnków i konwalii. Tam na warsztacie tkackim nasnuty miękki jedwab, cewka przebiega błyskawicą, i w oczach rośnie barwna wstęga przetykana w udatne wzory. Tu znow koła warczą z łoskotem; pod ręką wprawnych szlifierzy, dyament zrzuca z siebie szarą i chropawą powłokę, a nabiera coraz więcej ogłady i świetnego połysku.

Idźmy dalej: tu siedzi na ziemi ogorzały Indyanin w turbanie malowniczym, wyszywa igłą palmę na delikatnej tkance z wełny kóz

tybetańskich. Maszyna nie ulży mu w pracy. Ztąd też owa ogromna wartość szalów indyjskich, że okupione częstokroć wzrokiem i życiem skulonego wiecznie robotnika. Nie mniejszy mózół tej dziewczyny, co cieniuchną z nitek ledwie dojrzanych okiem, wyrabia bezcenną koronkę. Inne dziewczęta haftują, wiążą siatki; inne znowu kleją i składają wachlarze z widokiem Trokadero, których tysiące rozbiega się za franka w pośród gości. Niezliczyłyby tych gałęzi przemysłu! Tłumy oblegają warsztaty robotników i stoliki robotnic, których liczba powiększa się z dniem każdym. Obraz tylu rąk pracujących pospołu, rozbudza w widzach energią, wprawia w ruch leniwe umysły, roztacza wkoło jakąś ożywczą atmosferę, słowem, działa w sposób dodatni i bardzo pożyteczny.

Na tém kończymy to pierwsze sprawozdanie. Łatwoby znaleźć jeszcze tysiące przedmiotów godnych uwagi, ale co chwila spotkalibyśmy jakąś przerwę, jakiś brak, nie pozwalający nam rozwinąć systematycznego obrazu. W tych dniach właśnie urządza się w galerii Trokadero wystawa historyczna; znajdziemy tam bogaty dział, poświęcony pamiątkom naszym. Niemniej ważny dział antropologiczno-etnograficzny da poznać malownicze ubiory ludu naszego i liczne okazy dotyczące tych obu nauk. Czekajmy więc aż wszystko przyjdzie do porządku, co nastąpić musi za dwa lub trzy tygodnie.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Podkomorzy koronny Zygmunta III. Napisał Ludwik Zarewicz (Lwów 1876).

Pod tym tytułem znajduje się drugi objaśniający: „Andrzej z Piasków Bobola, jakim był, a jakim go kronika biskupa Pawła Piaseckiego przedstawia. Przyczynek do dziejów panowania Zygmunta III, a mianowicie do ocenienia wartości kroniki Piaseckiego.” W pracy tej, zawierającej 101 stronnic druku, z których dwie wstępu, 85 tekstu a 9 dodatku, zawierającego 10 listów Boboli do Szymona Rudnickiego, biskupa warmińskiego, podjęte są tym sposobem dwie kwestye, dość ściśle z sobą związane. Jedną jest wystawienie Boboli w prawdziwej jego postaci, co się w końcu przedsiębierza w rehabilitacyą tego dość osławionego członka tak zwanój *kamarylli* przybocznój Zygmunta III i daje asumpt autorowi przy sposobności nadania rządowi tego monarchy barwy wdzięczniejszej, aniżeli to w tak zwanym obozie postępowym

dziać się zwykło. To zadanie śmiało można nazwać próbą historyzoficzną, próbą, starającą się zupełnie inne, z nowych, nieznanych oczywiście źródeł, lub z pomocą nowój kombinacji dawnych, wykryć znaczenie inaczéj dotąd tłómaczonych faktów. Zamiar ten rozsadza nieco literacką budowę pracy p. Zarewicza szczegółami, właściwszemi rysowi czasów Zygmunta III, jak rozprawie o Boboli. Do takich epizodów, grzesznych nawet w oczach autora, należy ustęp o Zebrzydowskim (str. 17—26 „przepraszamy... za to dłuższe nieco od właściwego przedmiotu zboczenie”).

Drugą kwestyą natury historyograficznój, jest ocena krytyczna źródła, które dwuznaczne, co najmniej, światło rzuca na postać Boboli. Porządek, jakiego w tym względzie trzymał się autor, jest przeciwny zwykle zachowywanemu. Bo obraz nowy bohatera idzie naprzód (str. 5—51) zajmując większą połowę rozprawy, a drugie dopiero miejsce zajmuje przyczynek do oceny kroniki (str. 52—91), oceny, która ze zbyt ciasnego punktu widzenia wyszedłszy, bo tylko z poglądu Piaseckiego na Bobolę, mało téż materiału wzięła w dalszym swym rozwoju za podstawę swych twierdzeń. Bądźco bądź jednak, nawet jako *przyczynek* do oceny, bez pretensyi do wyczerpania kwestyi, krytyka źródła zawsze wynik ich zbadania powinna wyprzedzać.

Rozpatrzmy nowe źródła autora do życiorysu jego bohatera, a zwłaszcza jego charakteru (por. rozprawy str. 48—52). Są one w liczbie 4, a mianowicie: 1) dedykacja kazania *O siedmi Sakramentach* uczyniona przez Skargę Boboli w 1600 r. (str. 14—16); 2) mowa pogrzebowa, nad zwłokami podkomorzego, miana przez ks. Bembusa p. t. *Wizerunek prawdziwego szlachcica* (str. 31—33, por. str. 38—42, 45); 3) takąż mowa marszałka Izby poselskiej Jakóba Szczawińskiego (str. 45—46); 4) wreszcie zdanie biskupa wileńskiego Eustachego Wołłowicza (str. 50). Zaczynając od ostatniego, to najprzód jest ono zaznaczeniem powtórném tylko tego, co zapowiada sama mowa Bembusa. Nie jest więc czémś nowém. Zresztą należy uważać na drugi fakt, że ks. Wołłowicz pochwała kazanie Bembusa i dlatego stara się o jego powtórną edycyą. Trudno żądać od wydawcy, by ganik rzecz przez się drukowaną. Z czterech tedy świadectw zostaje właściwie trzy. A te, jako dedykacja lub mowy pogrzebowe nigdy nagany przecie zawiierać nie mogą. Zauważmy daléj, że sam autor wyznaje, że Skarga szkicuje, a Bembus wykończa już wizerunek Boboli, a to wykończenie zdawałoby się, że tworzy z człowieka ideał, nie zaś oddaje w szczegółach ogólny kontur cnót i wad nieboszczyka. Co do Szczawińskiego, to znając z Szajnochy „Dwu lat,” znaczne chęci Władysława IV i opór im stawiony przez Szczawińskiego, trudno się zgodzić na sąd autora, iż z ust tego mówcy, wychodząca pochwała nieboszczykowi stronną być nie mogła (autor używa ostrzejszych wyrazów, str. 50). Jeśli, autora naśladowując, mamy brać przekonania polityczne mówcy za sprawdzian zdań jego o Boboli, to ten opór zgoła nie jest godzien pochwały, a tém samém i ocena Boboli przez Szczawińskiego źródłem wiarogodném być przestaje. Wie-

my, że na sejmie 1645 żądał usunięcia pokątnych doradców (Tiepolego). Mowa pogrzebowa marszałka mogłaby więc jedynie dowodzić, że Bobola nie był takim pokątnym doradcą, boby go Szczawiński nie chwalił. Dość jednak przejść wszystkie źródła nowe autora, by przekonać się, że owszem podkomorzy w nich jest przedstawiony, jako figura wpływowa, jako *persona grata* Zygmunta III ¹⁾. Z nich widać, że „siła interesów za jego dyrekcją się odprawowała,” a senatorowie na niego się oglądali, a sława łaski, jakiej używał u króla „i po samąj Moskwie zabrzmiała.”

Nie wchodzimy tu w rozstrzygnięcie kwestyi, byli Bobola kreaturą Jezuitów, lub też nie; aczkolwiek to jest pierwszorzędnym zarzutem Piaseckiego, przeciw Boboli, który zbić się stara nasz autor. Łączy się to bowiem z inną sporną kwestyą, byli sam Zygmunt III narzędziem Jezuitów. Wśród sprzecznych zaś głosów, nawet społecznych Zygmunтови, ciężko na razie się zorientować, jeżeli się z teorią *à priori* osnutą do ich sądenia nie przystępuje. Zauważymy jedynie, że niekoniecznie regularny wpływ choćby samego Boboli na Zygmunta, bynajmniej nie musi być (jak chce autor) wynikiem uznania przez króla wysokich zalet w poufniku, ostrożności w wyborze ich i w ogóle znawstwa ludzi w Zygmuncie (str. 10, 30, 33). Relacya nuncjusza Viscontego, cytowana przez pana Zarewicza dla wykazania ułomności Piaseckiego (str. 71—72) wyraźnie oświadcza, że król mianował go biskupem ku niezadowoleniu całego dworu, przez co okazał, że „kto ma w rękę wiele rzeczy, trudno aby z nich jakiej nie upuścił.” A następnie dziwi się tenże Visconti, jak król mógł uczynić swym sekretarzem człowieka, który od niego różnił się tak dalece, w zdaniu i sposobie myślenia.

Z tych słów nuncjusza wynikać się zdaje... co najmniej pewna niedbałość ze strony wybierającego. Na niej przeto wiele gruntować nie można, chcąc napewno ocenić Bobolę. Mógł więc być Bobola *rudis*, choć król cenil wykształconych, a mając lat 80 mógł być *morosus*, zrędney. Zostanie zarzut zależności od Jezuitów.

Dodajmy, że autor bestronnie, lubo starając się nikłość wniosków ztąd dobytých dowieść, wykazuje stosunek życzliwy dobrodzieja z obdarowanymi między Bobolą a Jezuitami (str. 133, 143) i nie tai zgola głosów innych, jak samego Piaseckiego, zowiących Bobolę „własnym i potężnym instrumentem Jezuitów w pokoju króla JMści” (str. 21). Byłby to dowód, że Piasecki był echem pewnego stronnictwa, lecz nie wyłącznym twórcą tego zarzutu, co bardzo zmienia postać rzeczy. I teraz różne są opinie, choć ludzie je wydający, z charakteru są godni pochwały. Powtarzamy jednak jeszcze raz, że niémamy teraz możno-

¹⁾ Skarga (str. 15) „będąc w takiej łasce pańskiej i taki przystęp króla JMści i ufanie u niego mając,” toż u Bembusa str. 31—32, Szczawiński str. 46 (Milo było królowi w honorze mieć człowieka), „z którego by on duszą i zdrową radą i my drudzy wysokich cnót wizerunek mieć mogli.”

ści rozstrzygnięcia tój kwestyi. Wiemy tylko to: 1) że interes idealny Kościoła i służącego mu zakonu nie zawsze może iść w zgodzie z interesem państwa ziemskiego i że gruby popełnia błąd ten, kto tego faktu pierwszorzędnego w krytyce stosunków, czyto Rzymu, czy Jezuitów z Polską nie uwzględnia. Ten jednak jedyny fakt nam powinien objaśnić, wiele rzekomych niesprawiedliwości w owych stosunkach; 2) sądzę, że trzeba pamiętać, iż na dnie tych zarzutów przeciw Jezuitom miotanym przez obóz rokoszan Zebrzydowskiego lub t. p. tkwi.... pochwała polityki Batorego. Jezuiti, ów zakon w regule swój mający przepis posłuszeństwa bezwarunkowego (*perinde ac cadaver*) byli postrachem dla rozswywołonego motłochu szlachty i buty oligarchów, byli synonimem energicznego rządu, jaki chciał z ich pomocą ufundować Batory. Wypadało tylko, by Batory miał następców zdolnych używać do *swych* celów nowoprowadzone narzędzie.

Na zakończenie charakterystyki pracy pana Zarewicza, podniemiemy jeszcze ocenę źródeł do poznania charakteru Piaseckiego, tego Bobolożercy i Jezuitofoba, jak go zowie p. Zarewicz, służących. Tu spostrzegamy, że o nich świadczyć mają jedynie Radziwiłł Stan. Albert (str. 59—60) i Visconti (str. 71—72) dlatego, że świadczą negatywnie. Tymczasem pochwała Władysława IV dana Piaseckiemu przy nominacji na biskupstwo przemyskie (str. 62—63), mowa pogrzebowa ku czci Piaseckiego przez Zymowskiego miana (str. 64 nast.), pochwała katedry przemyskiej (str. 69), są uznane za panegiryki, lub za głosy stronne, nie samą prawdą kierujące się. Na to ośmielamy się zauważyć, że 1) dedykacja Skargi, kazanie i mowy Bembusa i innych są też jednostronne, bo tylko chwala Bobolę. Nie podając tedy w wątpliwość zamiętania prawdy w owych świadkach, musimy też samą wartość nadawać dokumentom przychylnym dobrej sławie Piaseckiego, ile że mają też samą formę literacką co tamte, t. j. też samą ułomność. 2) Jeśli głosy nieprzychylnie Boboli pochodzą ze stronnictwa anty-Jezuickiego, z koła nierządu, czy nie godziłoby się zapytać, czy nagana Piaseckiego nie pochodzi z ust znanego przeciwnika króla i jego zamiarów w r. 1646—1648, z ust oligarchy, który musi zupełnie nie ze świeckiego, ziemskiego, często nieczystego punktu widzenia sądzić ludzi, sprawy ich i cele?

Uwagi te zgola nie ujmują wartości pracy p. Zarewicza, który ze swego stanowiska rzecz przedstawiając, nawet z niego sądząc swe źródła, dał możność recenzentowi przez cytację dowodów na tę i ową stronę sformułowania swych zarzutów. Moglibyśmy jedynie uskarżać się na pewne zboczenia językowe, przeciw którym niestety, tém goręcej występować potrzeba, im częściej się pojawiają ¹⁾. *J.—d.*

¹⁾ Co do rodowodu Bobolów, dodajemy następne szczegóły: cytat z *liber beneficiorum* t. II, str. 6, nie jest zupełnie wierny. W ogóle do tego przedmiotu pewne szczegóły przynosi falsyfikat ogłoszony drukiem przez prof.

Kronika Kollegium Lubieszowskiego XX. Pijarów, przez ks. Antoniego Moszyńskiego. Kraków 1876 r. (w 8-e str. 174).

Każde prawie Kollegium pijarskie miało swego historyka. Miało go i Lubieszowskie, położone na Polesiu, w dawnym województwie Brzeskiem, powiecie Pińskim, w dyecezyi Łuckiej, blisko granic Wołynia. Historyk ten bezimienny przestawił w rękopiśmie po łacinie „Historya“ tego Kollegium od początków jego fundacyi. Zawiera ona mnóstwo szczegółów, które w swoim czasie były na dobie, jak wizyty prowincyonałów, przemiany osób zgromadzenie miejscowe składających i t. p. Ks. A. Moszyński, obecnie trafnie osądziwszy że takowe szczegóły żadnego interesu niemają, z pomienionego rękopismu zrobił wyciąg skrócony, zachowując wszystko, co tylko ściśle z okresem założenia Kollegium i jego następnie dziejami ma związek.

Łaciński historyk, wspomniawszy na czele o początku fundacyi następnie od 1684 rok po roku, zapisuje ważniejsze zdarzenia, już mające ściślejszy stosunek z tym zakładem naukowym, już dotyczące wypadków obchodzących kraj cały. Tak dowiadujemy się, ile zniszczenia napad Szwedów pod Karolem XII przyniósł Polsce. Gdzie tylko napotkali bowiem wsie i dwory stronników Augusta II *mocnego*: wszystko puszczali z dymem, znacząc ślad swego pochodzenia zgliszczami i ruiną.

Zasilane przez zapisy prywatnych osób to Kollegium, z latami pomimo doznawanych klęsk i zniszczenia przychodziło z wolna do możliwości, wychowując niemałą liczbę młodzieży na zacnych obywateli.

Ks. Moszyński korzystał tylko do połowy swęj pracy z kronikarza łacińskiego (str. 1—122). Opis następnie kościoła, kosztem Pijarów wzniesionego z muru, na miejsce drewnianego, i szkoły Lubieszowskiej, która utworzoną została w r. 1693, z innych źródeł zebrał i uzupełnił. Rozwój jęj wstrzymany był przez najście Szwedów, którzy budowę jęj ledwie rozpoczętą spalili. Do czasu ustanowienia Komisji Edukacyjnej, szkoła tutejsza, podobnie jak inne przez duchownych utrzymywane, do żadnej naukowej nienależąc magistratury, do r. 1782 nieznała wizytatorów obcych i rządziła się rozporządzeniami provin-

Liskego (*Bibl. Warsz.* 1877, str. 418). Widzimy z niego, że Jakób Bobola dopiero koło 1521 r. zyskał w podaniu tytuł rycerza jerozolimskiego. Co do Zagajewa i Piaska *Liber beneficiorum* t. II, str. 9, 420—421, AGZ. t. VI, str. 5 (1391). Akt z XIII wieku o Boboli jakimś, cytowany przez autora (str. 2) z drugorzędnego źródła, zdaje się mylnie wziął „Bobino“ za „Bobola“ (*Kod. dypl. wielkop.* ed. bibl. Kórnick, t. I, Nr. 407 z 1263 r.).

Godne uwagi, że 1357 r. występuje lektor w Korczyniu, braciszek Jakób, zwany Bobola-ctanc (AGZ. t. IV, str. 2). W r. 1467 przy fundacyi altaryi przez członka rodu Mielczyńskich w kościele WWSwiętych w Jarosławiu świadkuje Jan Bobola z Tywna (AGZ. t. IV, str. 185).

cyatów, a następnie ustawami dla szkół pijarskich Litewskich, wydane przez prowincyała Trzeszczkowskiego, jak na swój czas postępowały. Wyszły one staraniem znakomitego pedagoga Jerzego Ciapińskiego Pijara, p. n. *Methodus docendi pro Scholis piis provinciae Litvaniae. Vilnae Typis S. R. M. et Rei-publicae Sch. Piar. Anno 1762* (w 8-e str. 86). To nam daje ważną wskazówkę, że już w końcu panowania Augusta III reforma wykładu nauk u Pijarów nastąpiła, zanim Komisya Edukacyjna wzięła ją pod swoje światłą opiekę.

Od początku istnienia szkoły Lubieszowskiej liczba uczniów w rok po wstąpieniu na tron Stanisława Augusta, do stu ledwie dochodziła. Otwarcie jej corocznie odbywało się dnia 29 Września w dzień Ś-go Michała, podczas którego śpiewano hymn *Veni Creator* i jeden z nauczycieli mową w języku łacińskim zachęcał młodzież do nauki i pracy. Egzamina były najprzód miesięczne, potem kwartałowe, i oprócz tego jeden ogólny przy końcu roku szkolnego. W czasie tego ogólnego popisu były tak zwane *akademickie peroracye*, to jest wygłaszano mowy, wiersze polskie i łacińskie i publiczne dysputy uczniów mianowicie z gramatyki, po czém odbywała się próba sejmików i elekcyi posłów na sejm główny. Dnia 25 lipca w dzień Ś-go Jakóba odśpiewany hymn *Te Deum* kończył rok szkolny i młodzież na ferye czyli wakacje rozjeżdżała się do domów. Nauczycieli było czterech, z których jeden był prefektem, a oddziały uczniów czyli klasy następujące: *retorowie, poeci, syntaksyści, gramatycy, infimiści i podinfimiści*.

Roku 1777 szkoła Lubieszowska miała nadany tytuł *podwydziałowej*, dawny podział uczniów na retorów, poetów i t. d. zniesiony, zaprowadzono trzy klasy i nauki podług ustaw *Komisji Edukacyjnej*, z dzieł przez nią przepisanych wykładać zaczęto. W r. 1804 przybyła czwarta klasa. Liczba uczniów znacznie się powiększyła. W r. 1805 doszła do niesłychanej dawniej cyfry, liczyła bowiem 295 uczniów. Następnie pozyskało collegium klas sześć, i tytuł *wydziałowej*, w r. 1820 szkoła liczyła 300 uczniów z górą.

Msza studencka czytana była codziennie o godzinie 7 rano, w niedziele i święta uczniowie powinni byli także bywać na mszy wielkiej czyli *summie*, i słuchać kazania; ci zaś co byli wpisani do bractwa *Sodalistów*, a rzadko który nie był wpisany, i na nabożeństwie sodalisowskiem przed samą summą znajdować się byli obowiązani. Co miesiąc odbywali spowiedź. *Rekolekcyje* w przedostatni tydzień wielkiego postu odprawiali w kościele z prefektem szkoły i nauczycielami. Na święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy rozjeżdżali się do domów: powinni jednak koniecznie się jawić w szkole na Nowy Rok i na *przewodnią* niedzielę.

Przy szkole Lubieszowskiej były trzy *bursy* czyli *konwikty* dla ubogiej młodzieży, mianowicie: *konwikt* książąt Wiśniowieckich, ks. Czetwertyńskich i Kurzenickich. Fundusz wystarczał na 18 uczniów, ale sam klasztor utrzymywał ich daleko więcej, bo od 30 do 36 i pomimo zamknięcia collegium, pomocy tej Pijarzy udzielali ubogiej młodzieży

do roku 1842, to jest do czasu zabrania majątków nieruchomości i kapitałów duchowieństwa, na rzecz Państwa.

Szkoła Lubieszowska otworzona roku 1693, zamknięta została 10 grudnia 1834 r. Przez ciąg lat 140 swego istnienia, wykształciła kilkanaście tysięcy młodzieży, dając im nie tylko naukę i wiedzę, ale i wsparcie dziatwie z najwięcej podupadłych rodzin.

Monografia o której mówimy uzupełnia w części to, co o kolegium tym podaje Józef Łukaszewicz w znakomitym swym dziele *Historya szkół w Koronie i w Wielkiem księstwie Litewskiém*, gdzie w tomie IV (od str. 206 do 209) dokładną, aczkolwiek krótką, przynosi wiadomość. Ks. Ant. Moszyński, z pomienionego dzieła nic nie korzystał, ani o niem wspomniał nawet, luboby mu wielce się przydał dokument księcia Ignacego Swiatopełka księcia Czetwertyńskiego, zapisujący 20,000 złp. ówczesnych na utrzymanie jednego młodzieńca, najbliżej z jego familią połączonego, jako też objaśniony szczegółowo zapis Ludwika Kurzenieckiego pod czasowego powiatu Pińskiego złp. 30000 na utrzymanie i edukacją pięciu ubogich młodzieńców i złp. 1000 na utrzymanie jałmużną siedmiu żebraków.

Praca ta, jeżeli pewną zasługę daje autorowi, z drugiej przekonywa nas, jak sumiennym i cennym jest dzieło zmarłego J. Łukaszewicza, który w nim żadnego zakładu naukowego nieprzepomniął, i o każdym podał dokładną sprawę, opartą na dobrych źródłach.

R.

Dzwony w gubernii Kieleckiej (Rzecz archeologiczno-historyczna). Przez Ks. Władysława Siarkowskiego. Warszawa 1872 r. (w 8-ce, str. 50).

Wraz z wprowadzeniem chrześcijaństwa i budową kościołów, pojawiają się też i dzwony, na których ryto ozdoby, rok odlewu, a przytém zdania i wiersze odpowiednie po łacinie w pierwotnych wiekach, a następnie i w języku polskim.

O dzwonach wiele natrafiamy wzmianek w utworach dawniejszych poetów i pisarzy naszych, ale te raczej dotyczą strony uczuciowej nie zaś historyczno-archeologicznej. Dopiero w tym kierunku mamy wiadomość o kilkunastu starożytnych dzwonach w czasopiśmie: *Przyjaciel ludu*. Odnosiła się ona wszakże do tego rodzaju zabytków w kraju rozproszonych; nie była więc pracą systematycznie ułożoną, wyczerpującą przedmiot, ale miała tę zasługę, że zwróciła uwagę badaczy przeszłości naszej na przedmiot ten archeologiczny, wielce ciekawy. Obszerniejszą wiadomość o dzwonach dała *Biblioteka Warszawska* z r. 1850 (t. III) w artykule: *Ułamek z podróży archeologicznej po Galicyi*, odbytej w r. 1849 przez Józefa Łepkowskiego i Józefa Jerzmanowskiego

z obwodu Sądeckiego. Ostatnim z pracowników, który się tym przedmiotem zajmował, jest J. I. Kraszewski, który ułożywszy chronologiczny spis najdawniejszych tego rodzaju w Polsce p. n. *Dzwony* (wyjątek z Ikonotheki polskiej) ogłosił drukiem (Kalendarz J. Ungra 1855 r.). Ks. Siarkowski, znany chlubnie etnograf i badacz historyczny, korzystając z prac swych poprzedników, ograniczył pracę swoją na gubernii Kieleckiej, czyli dawniej ziemi Krakowskiej, ażeby przedmiot ten zbadać gruntownie i systematycznie. W tym celu przedsięwziął wycieczki, sam oglądał zabytki tego rodzaju dochowane i oprócz poszukiwań w aktach miejscowych, zbierał podania i legendy ludowe, przywiązane do dzwonów. Ztąd jego praca zawiera wiele wiadomości nieznanych, które ją zalecają, a dla przyszłych badaczy w tym kierunku nie mają być pomocą.

Autor rozpoczynając swą monografią, na czele podaje piękny ustęp o dzwonach z Chateaubriand'a (*Genie du Christianisme*), w którym ten pisarz znaczenie dzwonów poetycznie opisuje. Łączy z nim polską pieśń ludową i wiersz T. Lenartowicza: *Dzwon*, który napisał, gdy A. Wilkoński zaczął wydawać swój *Dzwon literacki*.

Historycznych wspomnień, przywiązanych do dzwonów nie pomija. Po wielu kościołach diecezji Kieleckiej przechowuje się zwyczaj, po przedzwonieniu pod wieczór na *Anioł-Pański*, uderzania dziesięć razy w jedną stronę dzwonu. Tradycja dawna przypisuje to w jednych okolicach, że dzwonienie to jest na pamiątkę poległych pod Grundwaldem 1410 r., w innych, że przypomina wiernym modlitwę za duszę *Władysława Warneńczyka*, w kwiecie wieku poległego w bitwie z Turkami 10 listopada 1444 r. Lud nasz wiele legend i powieści zajmujących, przywiązał do dzwonów. W poetycznej wyobraźni wie gdzie się znajdują zaklęte dzwony, jedne zatopione, drugie pogrążone w przepaściach ziemi. W nie to, w większe uroczystości jak: Boże-Narodzenie, Wielkanoc, Zielone Świątki, Boże-Ciało i Dzień Zaduszny, kiedy w świątyniach odprawiają nabożeństwa, dusze zmarłych dzwonią.

Wielce zajmującą legendę autor przytacza, wspominając o starożytnych dzwonach, zgorzałych w Wiślicy 1858 r., do których przywiązana jest legenda o kapłanie, który odbył podróż powietrzną do Rzymu, niesiony przez szatanów i powrócił przy ich pomocy do Wiślicy, na połowie drzwi wyrwanych z kościoła rzymskiego. Zabytek ten dotąd się przechowuje za wielkim ołtarzem w tej miejscowości. Legenda opiera prawdę swoją na tych drzwiach olbrzymich, przy których arcydziełem jest zamek ze czterech rygli. „Klucza dorobić (pisze ks. Siarkowski) do tego zamku nikt nie potrafił ze ślusarzy w miastach zamieszkałych, dopióro go zrobił zdatny kowal i ślusarz Terlecki z Chrobrza, dóbr Zygmunta margrabi Wielopolskiego.

W średnich wiekach rozróżniano sześć rodzajów dzwonów, które nosiły właściwe sobie nazwy. Dźwięk każdego tak dobrze zakonnicy

znali, że wiedzieli gdzie iść mieli, czy na chór, czy na nabożeństwo, czy do refektarza i t. p.

Nadawanie imion dzwonom sięga początków X wieku. Zwyczaj ten trwał u nas dotąd, przypomina ów dzwon Zygmunta w Krakowie, którego pamięć odnowił mistrz Jan Matejko w pięknym obrazie swoim. I tu miejscowa legenda zaraz do niego przyrosła. Mówiono, że gdy ten dzwon z rozkazu króla Zygmunta I odlewano, nadworny jego, lutnista zerwał metalowe struny i rzucił do roztopionego w kotle metalu, ażeby miał głos śpiewny, który téż dzwon ten zachował. Dotąd on nosi imię dobrego króla.

Autor chronologicznym porządkiem daje opis dzwonów w dawniej ziemi Krakowskiej i rozpoczyna od epoki *Piastowskiej*.

Pierwszy znajdujemy przy kościele Ponorbertańskim w Hebdowie, z datą w cyfrach rzymskich 1108 roku. W Czaplach Wielkich z wyraźnym rokiem 1111; ostatni, zamykający okres *Piastowski*, przy kościele parafialnym w Pobiedniku Małym z r. 1327.

Dzwony z epoki Jagiellońskiej rozpoczynają się z r. 1438 a kończą 1667 r. Znajdujemy na nich, oprócz rzeźb i napisy łacińskie.

Dzwony z XVIII stulecia mają téż napisy polskie. Najciekawszymi są w Szkalbmierzu, między którymi odznacza się Ś. Jana Chrzciciela, ważący 26 centnarów, artystycznie wykonany przez polskiego odlewacza, jak poświadcza napis: *Non Germanus sed Polonus*, a pod nim dwuwiersz polski:

„Już ten ma Boga zamało,
Kogo łakomstwo zawojowało.”

Legenda miejscowa mówi, że dzwon ten, ulany z armat przez Jana Sobieskiego na Turkach zdobytych, a napis łaciński dlatego taki położony, żeby dźwiękiem swoim przypominał okolicznym mieszkańcom, że nie Niemiec, ale Polak odniósł nad poganinem świetne zwycięstwo i ocalił Wiedeń w r. 1683. Drugi dzwon u wierzchu ustrojono czterema tureckimi zawojami, zdaje się potwierdzać stare podanie, lubo w aktach kapituły szkalbmierskiej autor nie znajduje żadnej wzmianki.

W chwili, gdy Akademia Umiejętności w Krakowie, przedsięwzięrze wydawnictwo *Encyklopedyi starożytności polskich* i projekt do niej ułożony przez niestrudzonego J. I. Kraszewskiego w swoich *Sprawozdaniach* ogłasza, praca ks. Siarkowskiego drogocennym jest przyczynkiem, bo zawiera mnóstwo szczegółów, mniej dotąd wiadomych lub wcale nieznanych.

W.

KORRESPONDENCYA.

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Gniezno, dnia 26 lipca 1877 r.

Szanowna Redakcyo! Ufając znanéj uprzejmości i bezstronności, proszę uniżenie o podanie, *choćby z uwagami* swojemi lub krytyka, następującej mojej odpowiedzi:

Rozbiór krytyczny *Rocznika Tow. Przyj. Nauk Poznańskiego*, (*Bibl. Warsz.* t. II, str. 505—508), a w szczególności ogłoszonego przezemnie „nieznanego synodu dycieczalnego *Jana Odrowęza Sprowskiego*, w Gnieźnie 1456 r.” pióra pana Ernesta Swieżawskiego, daje mi sposobność do wystosowania w obronie własnej następującego przełożenia:

P. Swieżawski broni dokumentu Jacobsona i sądzi, że *pomnaża wiadomości* synodalne z epoki Sprowskiego (czemu przeczyłem), każe mi tylko, przy pomocy małej poprawki, ów dokument z r. 1450 odnieść do r. 1456, a wtedy usunie się ów anachronizm Jacobsona, podług którego Jan Sprowski r. 1540, nie będąc jeszcze arcybiskupem, miał synod do Gniezna zwoływać. Wynika to zdanie ze słów szanownego krytyka następujących:

„Aczkolwiek błędną jest data dokumentu owego o zwołaniu synodu mówiącego (*Datum Gnezne die XXIII februarii a. d. MCCCCL-mo*), to już znak zapytania położony przy *L-mo* przez wydawcę (Jacobsona) okazuje, że był na drodze powątpiewania, które mogło go być zawieść do hipotezy, czy to *mo* nie jest właściwie VI źle odczytanem. Może tę poprawkę tak łatwo wypadało dokonać obecnemu wydawcy uchwał tego synodu.”

Pomimo uwagi powyższej p. Swieżawski obstaje przy odmawianiu temu dokumentowi jakiegokolwiek znaczenia i wprawdzie z poważnych przyczyn. Zachwieje się cała konjektura p. Swieżawskiego oparta na *znaku zapytania*, mającym rzekomo dowodzić, że Jacobson był na drodze „powątpiewania,” gdy powiem, że w dziele Jacobsona *niema* żadnego znaku zapytania przy *L-mo* (?), a co zatem idzie, że nie był na drodze powątpiewania co do roku 1450. Ów znak znalazł się w cytacyi, w dopisku mojej poprawki, ale oczywista, jako ostrzeżenie dla czytelnika. Jasną więc rzeczą, że dla *mojego* znaku zapytania r. 1866, nie mógł być Jacobson r. 1837 na drodze powątpiewania, tém mniej, że po dwakroć (*Geschichte der Quellen* str. 50 i str. 49) mówi zawsze o r. 1450 nie o 1456, jako to:

So wissen wir, das der Erzbischof Johannes im Jahre 1450 eine Provinzialsynode zu halten, beschloss er zuvor eine Dioecesansy-

node zu Gnesen ausschrieb i znów: *Dann folgte eine Synode des Erzbischofes Johannes de Sprowa im Juni 1450.*

Jacobson tedy podaje za pewnik r. 1450 i wcale się nie wahał. Nie mogę jednakowoż ograniczyć się na krytyce samego roku, ale winieniem zacheścić zewnętrzną i wewnętrzną wartość tego Jacobsonowego dokumentu, a rezultatem będzie, że „nie pomnaża ów dokument w obec krytycznego badania wiadomości naszych z epoki Sprowskiego.“

Zaczynam od zewnętrznej postaci w mowie będącego dokumentu. Jacobson znalazł go w Królewieckim archiwum i wydrukował pod nr. X w cytowanym wyżej dziele. Zaczyna się od *Johannes dei gratia*, kończy się: *Datum Gnesne die XXII ffebruarij a. MCCCCL-mo nostro sub sigillo.*

Bystry rozjemca między mną a p. Swieżawskim w *Kuryerze Poznańskim* nr. 163 r. 1877 z 19 lipca zwraca słusznie uwagę, że zbyt wielką w ogóle przypisują wagę mniemanemu Jacobsona dokumentowi, ponieważ nie spostrzegli się uczeni na wyznaniu jego w drobnym dopisku uczynionym (*Geschichte der Quellen* p. 51 dop. 18). Tam Jacobson zeznaje, że tylko starą miał w rękę *kopię*¹⁾ onego okólnika; nie posiada z jakiego wieku, nie ocenia, o ile jest autentyczną, a w opracowaniu w dziwniej niekonsekwencji, jak z istotnym dokumentem się obchodzi. Sam p. Swieżawski przyznaje, że r. 1450 jest słusznie krytykowany, dokument zaś pod względem znamion zewnętrznych tylko wiadomości tyle podaje, że jakiś *Jan arcyb. zwołał synod na rok niewiadomy* i że to *nostro sub sigillo* téż nic nie znaczy, boć to stara kopia jakiegoś niewiadomego okólnika synodalnego.

Za odrzuceniem powieści Jacobsona przemawiają racje, wysnute z treści samego okólnika, porównane z moim historycznie niezaczeptionym synodem dycieczalnym z r. 1456.

A najpierw p. Swieżawski łącno się z tekstu u Jacobsona przekona, że *różnica dni* nie pozwala po uczynionej nawet poprawce (na rok 1456) odnieść zapowiedź Jacobsonową synodu, do istotnie odbytego synodu r. 1456. Czytamy tam bowiem, że pragnąc ów Jan zwołać w czerwcu prow. synod, wpierw rozpisuje *dycieczalny* na dzień: „*die 10 proxima post conductum pasche, que erit dies 8 mensis aprilis.* A synod przezemnie ogłoszony odbył się rzeczywiście: *Item feria 2 in crastino Misericordia dominica, quo erat XII mensis aprilis.*

Różność dalej *celu*, zapowiedzianego podług Jacobsona synodu, a istotnie odbytego, nie pozwala odnosić tego dokumentu do r. 1456. Dowodzę tekstem rzekomego dokumentu i aktami kapitulnemi.

Dokument Jacobsona takim końcem każe zwołać Janowi synod: „*deliberavimus in proxima estate de mense iunii synodum provincia-*

¹⁾ Jacobson mówi: *Das Ausschreiben befindet sich in alter Copie im geh. Archiv zu Königsberg Schiebl. 30 nr. 8 und ist im Anhang als nr. X gedruckt.*

lem.... pro *rebus ecclesiae promovendis*.... proque *haeresum et errorum eradicatione*.... convocandum.

Przytoczony zaś wyjątek z akt kapitulnych (t. II, str. 95), a stanowiący zarazem protokół z odbytego synodu mówi: „*Ad rescindendam voluntatem sui cleri (zwołał Sprowski synod dyece.) super responsione danda domino regi*....”

Roku 1456 było palącą kwestyą *subsidiū charitatīvum*, którego żądał Kazimierz Jagiellończyk na wojnę w Prusach i na ten cel zwołany był synod. Czy godzi się przypuścić, że Sprowski zapowiadając taki ważny synod w okólniku, celu tego nie wyrazi i tylko mówić będzie o *wykorzeniu herezy?* W rozporządzeniach synodu z r. 1456 nie ma ani jednego, któryby odnosił się do *heretyków*, snadź w tym czasie heretycy polscy (husyci i bracia czescy) nie byli w archidiecezyi gniezn. tak groźni. Ta wzmianka o herezyach, kto wie, czy nie każe cały ów dokument, odnieść do innego Jana w XVI wieku, np. Jana Łaskiego. Skoro jesteśmy na drodze złego odczytania roku przez Jacobsona, wolno nam w miejsce domysłów postawić także domysły.

W końcu przemawia przeciw dokumentowi Jacobsona ta okoliczność, że, jak tekst wyżej przytoczony pokazuje, zapowiada po odbytych synodzie dyecezyalnym, synod *provincjonalny* w czerwcu (*de mense iuni*), a *Akta kapitulne*, jedyne, a najpewniejsze źródło o synodach, nic niewiedzą o synodzie *provincjonalnym* r. 1456 w czerwcu, ani też żaden historyk o nim nie wzmiankuje.

Te wyłuszczywszy powody, sądzę, że mam uzasadnione prawo uważać dokument Jacobsona za mąjący raczej nasze wiadomości synodalne, a nie pomnażający jak chce p. Swieżawski.

Na inne zarzuty odpowiadam z kolei, jak są w krytyce umieszczone.

P. Swieżawski zarzuca, że nie podał pewnych szczegółów „ujmując przez to nieco dokładności swym uwagom o *ilości* synodów za rządów Sprowskiego” (str. 506). Na dowód przytacza krytyk ustęp ze sprawozdania d-ra Smolki, podług którego dnia 21 listopada r. 1458 kapituła w sprawie kontrybucyi zdaje się na sąd zwołać się mającego synodu *provincjonalnego*.

Zarzut opuszczenia pewnych szczegółów nie jest dotkliwy, gdyby jednak zaszło opuszczenie, dające nam fałszywy obraz o *ilości* wywodów praw, byłaby to ciężka w pracy rana. Aliści ta cytacja znów niczego nie dowodzi, chyba pochoptności wynoszenia *wzmianek* do godności *faktów*. Nie godzi się zaraz przypuszczać, że r. 1458 synod prow. się odbył, gdy kompletnie akta kapitulne o tém milczą i żaden historyk o tém niwie, ale raczej godzi się odnieść do synodu łęczyckiego z następnego r. 1459, o którym przecież nie przepomniałem. *Ilość* zaś tym synodów pozostaje ta sama, jak w swój pracy nadmienilem.

Mówi p. Swieżawski dalej: „Wszakże młodemu temu uczonemu (p. dr. Smolce) zawdzięczamy wiadomość już o rok wcześniejszą o synodzie z 12 kwietnia 1456 r.” Gdybyśmy się bawili w znaczenie wy-

razów: „wiadomość,” tedy istotnie p. Smolka podał wiadomość i wprawdzie zapisując dzień i rok i cel synodu w sześciu wierszach (str. 265, t. IV). Jest inna wiadomość podająca nam całokształt dawniej nieznanego przedmiotu, a w naszym przypadku synodu, jego treści i uchwał. W tém nikt mnie nie uprzedził. P. dr. Smolka nie znalazł w archiwum owego synodu, pomimo długiej i mozolnej pracy. Mnie szczęście więcej niż przemyśl do rąk wsunęło księgę z synodem, a ogłaszając go podług sił, jaknajlepiej jestem do téj chwili przekonany, że przed mojem ogłoszeniem wcale nie był znany, a owe wcześniejsze wiadomości mają się do mojej wiadomości, jak wiadomość, że było kazanie, do słyszanego przez nas lub ogłoszonego drukiem kazania. Jeżeli zasługuję w obec tak zrozumiałej wymówki na wiarę, tedy oświadczam że już r. 1874 synod ów odkryłem, szukając zupełnie czegoś innego.

P. Swieżawski słusznie lekturę *Wylem* wyrzuca jako złą: przyznaje się do błędu w odczytaniu. Na uniewinnienie, chyba omylność, nieudolność ludzką przytoczę, to wystarczy; bo powoływania się na złe odczytanie Jacobsona, na kodeksa dyplomatyczne niektóre, na myłki wzroku przy odczytywaniu starych rękopisów nawet u p. dr. Smolki ¹⁾ zachodzące, są precedensami, które mnie uniewinniać nie powinny w zasadzie. Na wytknięte błędy widocznie drukarskie, jak *Vithoricus, carius, Johannus, dnem*, chyba odpowiem przytoczeniem innych jeszcze opuszczonych jakoto: *Kurowski* na str. MCCC zamiast MCCCC, *accida zam. avida*, nadto w krytyce p. Swieżawskiego popraw str. 506 wiersz ostatni *synodu zam. wyvodu*, str. 507 wiersz 13 *zaradzali zam. zaradzalo*; a przecież korektor w *Bibl. Warsz.* ma wprawę niepospolitą, lepszą odemnie w wykrywaniu błędów drukarskich. *Et hoc memnisse juvabit.*

Po dwa razy ponawia p. Swieżawski wymówkę, „żem nie *komentował* wielostronnie synodu, żem na inne synodalne ustawy nie zwrócił uwagi, boby to uchroniło (mnie) od niejakich usterków w treści uchwał. Taką usterką ma być przy uchwale: *Item quia crimen fornicationis* domieszczony przezemnie dopisek tego brzmienia: „uiezawodnie dał powód do tego Maciej pleban z Węglewa (str. 69).”

Żem zaniechał analizy, dlatego tak samo nie zasługuję na zarzuty, jak każdy wydawca dokumentów lub kodeksów dyplomatycznych. *Non omnia, omni tempore, possumus omnes.* Wolno jednym wypalać cegły, drugim zaś budować z niej pałace, wolno téż jednym materyał dobrze zbadany wydawać, a drugim, podług smaku gmach budować naukowy. W pracy wyraźnie się ograniczyłem, a do tego miałem prawo. Podnoszenie więc, choćby tak znakomitego życzenia jak analiza,

¹⁾ Gdy p. Swieżawski przeciw mnie powołał się na p. Smolkę, wolno mnie się powołać na niego we własnej obronie. Oto (t. IV, p. 270) twierdzi p. Smolka, „że po r. 1505 przez lat 20 niéma ani wzmianki o kontrybucyach w aktach kap. gniezn.” i napisał dobrze, bo tak był przekonany. Tymczasem jest więcej niż 50 wzmianek w tym okresie, jest owszem cała geneza *Libri benef. Łaskiego*, wprowadzona z kontrybucyi. *Errarum humanum.*

do wysokości zarzutu, zdaje się w obec jasno zakreślonego planu nieco trącić wojowniczością.

Co się zaś dotyczy „usterku” w dopisku o Macieju, to właśnie znajomość dawniejszych uchwał synodalnych zniewala mnie bronić dziś jeszcze tego dopisku, pomimo przeciwnych uwag p. Swieżawskiego. Myśl p. Swieżawskiego jest taka: „to rozporządzenie (o podejrzanych kobietach) nie zaradzało *doraźnemu wybrykowi*, bo oto w tomie czwartym *Starodawnych pomników prawa polskiego*, daleko już wcześniej są zakazy, jako to: z r. 1320, 1331 i 1420.”

Jaśm nie nie mówię o *zaradzeniu* doraźnemu wybrykowi, bo ten już był spełniony, tylko o *ponowném* ogłoszeniu ustawy o kobietach r. 1456, które najprawdopodobniej wywołał Maciej z Węglewa, o którym mówi protokół *tego właśnie synodu* jako o przestępcy. Nikt nie przeczył że są wcześniejsze od roku 1456 ustawy pod tym względem. Odsyłanie mnie do t. IV *Starod. pomn. pr. pols.* nie mogą pod względem treści nazwać trafnym, gdyż cytaty wszystkie powyższe prócz synodu Mikołaja Trąby z r. 1420, mają tylko ciasne lokalne znaczenie dla diecezji krakowskiej, a w niczem nie wiązały gnieźnieńskiego duchowieństwa. Dla udowodnienia, że jeszcze były wcześniejsze ustawy *contra crimen fornicationis* może więcej dosadnie byłyby cytaty ze zbioru synodów zobowiązujących *całą prowincję* polską, a wydanych przez Helcia lub Hubego. Chociażby nawet prawa kanonicznego kodeks pargaminowy rękopiśmienny z XI wieku w bibliotece kapituły gnieźnieńskiej się znajdujący, jeszcze może wcześniejsze niż synodalne okazał pod tym względem rozporządzenia, toby to wszystko razem wzięte, nie obalało mego uzasadnionego domysłu, że do wznowienia ustawy dał pewnie powód ów Maciej. Właśnie owo częste odnawianie dawniej znanych i istniejących przepisów wskazuje na *kaźdorazową, doraźną* przyczynę, albo ogólną albo indywidualną, a ponieważ podług aktów Maciej z Węglewa zawinił, prosta rzecz, że dla zaradzenia na przyszłość obostrzono, a odnowiono dawniej znany przepis. W czem się można dopatrzeć logicznej „usterki” nie rozumiem.

Nie wchodząc w spór o rzeczy mniejszej wagi, jak np. czy streszczenia może są mniej jasne od samego tekstu, co zresztą w porządku, gdyż rys, rzut, nie zastąpi nigdy całości, pozwalam sobie podziękować za szczególną uwagę, jaką p. Swieżawski poświęcił na 2^{1/2} stronicach Biblioteki, maleńkiej rozprawce mojej i prosić na przyszłość o tę samą nieobojętność *).

Z głębokim uszanowaniem uniżony sługa

Ks. dr. Łukowski,

Prefekt sem. duchow.

*) Z przyjemnością odczytaliśmy sprostowanie szanownego wydawcy tekstu ustaw synodu nieznanego Jana ze Sprowy, bo w niem prócz cennych uwag dla piszącego, znaleźliśmy formę literacką, umożliwiającą odpowiedź i na niesłuszne zarzuty. Uwagi w sprostowaniu odnoszące się do aktu Jakob-

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

W artykule pod tytułem *Zawisza Czarny*, pomieszczonym w zeszycie lutowym z 1878 r. *Biblioteki Warszawskiej* czytamy, że Barbara z Rożnowa, wnuczka Zawiszy Czarnego, zaślubiła Stanisława Tęczyńskiego, jak się okazuje z zapiski sądowej 3809 z d. 3 marca 1466 roku. W przypisku autor artykułu powyższego dodaje, że na zasadzie zapiski sądowej, należy sprostować wiadomość znajdującą się w Herbarzu Niesieckiego, że Barbara z Rożnowa była żoną Jana z Tarnowa. Rozpatrzywszy się w źródłach współczesnych, znajdujemy inne wiadomości.

sona, nie wszystkie są równie ważne, i za dowód błędności *mój recenzji*, która *tylko rozprawy ks. Ł. z Rocznika* dotykała nie mogą być poczytane. Opierają się bowiem na faktach, *dopiero teraz podawanych w sprostowaniu*: 1^o Argument poczerpnięty z różnicy dat aktu Jacobsona i obecnie wydanych ustaw, *dopiero teraz podany*, jest sam w sobie niedostateczny. Bo różnica w dacie zwołania jakiego synodu, i ogłoszenia jego ustaw, trafić się może przy tym samym synodzie, jak tego dowodzą dzieje synodu z r. 1420 wieluńsko-kaliskiego (t. IV, *Star. pom. pr. pol.*, str. 176, 257, 258 n.). 2^o Sz. autor w wydaniu swém (*Rocz. Tow. Prz. N. Pozn.*, t. IX, str. 58—59) podawał w wątpliwość *tylko datę synodu w r. 1450*, o nią tylko *bojował* z Jacobsonem względnie do czasu wstąpienia Jana ze Sprowy na stolicę arcybiskupią, więc względnie do dziesiątków i jednostek daty. Dzisiaj, ale dzisiaj dopiero, to jest *dopiero w sprostowaniu* chodzi księdzu Ł. już o *osobę zwołującego synod* na zasadzie *dokładnego* wyluszczenia osnowy aktu Jacobsonowego i podaje w wątpliwość przez to wszystkie cyfry i daty, czego poprzednio nieuczynił. To już nie jest sprostowanie, ale nowy wywód, na który też nowemi uwagami odpowiadamy. Do téj pory, legalnie odpowiedzialny jestem tylko za krytykę sądu autora, o ile ją wyluszczył w Roczniku. 3^o Niemając rozróżnionego drukiem dodatku ks. Ł. od tekstu Jacobsona (str. 59 n. 4) i *tylko na zasadzie rozprawy ks. Ł.* stawiając swą hipotezę chronologiczną o dacie aktu Jacobsona (którego rozprawy nie miałem w ręku), łatwo mogłem wpaść w błąd skutkiem niejasności druku u Sz. autora, oraz niewyczerpanie materiału spornego w jedném miejscu odrazu. 4^o Dodam, że Sz. autor akt Jacobsonowy wliczając choć „przekładowo” do wzmianek o synodach Łaskiego, może być obowiązany dowieść tego. P. Smolka powiada, że synodów (jak podawany przez ks. Ł.) zajętych herezjami było przed 1542 r. tylko dwa, 1523 i 1527, oraz prowincjonalny roku 1525, 13 czerwca (*Spr. i Rozb.*, IV, str. 25). Zachodziłoby więc pytanie, do którego aktu Jacobsona odnosi się, jeśli datę „1450 r. 23 lutego” poprawić należy, co do czego, Sz. autor zostawia nas w niepewności. 5^o Co do uwagi jakoby uwłaczał zasłudze księdza Łukowskiego w fakcie wydania ustaw 1450 r. położonej, zostawiając jego wydanie z wcześniejszą wzmianką dr. Smolki o byciu tych ustaw, ośmielę się zwrócić uwagę Sz. autora, że on

Szymon Starowolski w dziele swoim *Monumenta Sarmatorum* (wydaném Cracoviae, 1655. fol. 645, 650) powiada: „Barbara z Rożnowa, wnuczka Zawiszy Czarnego, żona Jana Amora z Tarnowa, kasztelana krakowskiego, matka Jana Tarnowskiego hetmana w. k., umarła i pochowana w Tarnowie 1517 r., w wieku lat siedmdziesiąt. Stanisław Orzechowski, który znał osobiście hetmana Tarnowskiego, był na jego pogrzebie w Tarnowie, i opisał jego żywot, wyraźnie powiada w tym życiorysie, że matką hetmana Tarnowskiego była Barbara z Ro-

sam w Roczniku (IX, str. 59, n. 3) w swoim artykule zestawia „potwierdzenie ks. Polkowskiego, że istniał synod dan 1456 r. w Gnieźnie,” ze swoją pracą, bo mówi, że już po napisaniu jęj, przeczytał artykuł ks. P. o Gnieźnie, mieszczący to potwierdzenie ale „ponieważ wbrew chwalebne mu zwyczajowi przy tęg ważnej wiadomości ks. P. żadnego nie podał źródła, nikt nas przeto nieposądzi o wyzyskiwanie pracy czynnego ks. Pol.” To co sam więc czyni ks. Ł. z swą pracą względem „wiadomości” księdza Polkowskiego, co jam uczynił odnośnie jego pracy do referatu dr. Smolki. Urazy więc słusznej ks. Ł. do mnie za porównanie obcęg „wiadomości” z jego wydaniem tekstu mieć nie może.

6^o Dotąd w moich zarzutach używałem wyrazu „może” albo formy wątpliwości „albo—albo” (jak np. co do wzmianki 21 listopada 1458 o zwołaniu synodu, która się odnosi albo do nowego nieznanego, albo do znanego z roku 1459). Wyraźnie są to tylko wątpliwości których wyrażenie było dobre chyba, skoro sprowadziły tak użyteczne wyjaśnienia Sz. autora. Nadmienię przeto tylko, że uwzględnianie wiadomości o synodach i poczytywanie tych wiadomości o bycie synodów za dowód bytu ich, choć ich uchwał nie mamy, nawet w pracy Sz. autora, znajdujemy cytaty (ze Starowolskiego). Pozwolę sobie dodać, że jeżeli dr. Smolka, zdaniem autora, pomylił się w dobrej wierze, twierdząc na zasadzie własnego przeglądu akt kapituły gnieźnieńskiej, iż po rok 1505 przez lat 20 niema w nich żadnej wzmianki o kontrybucjach etc., a takich wzmianek, (wedle ks. Łukowskiego) jest 50; któż może twierdzić na pewno, czy znowu ktoś po ks. Łukowskim robiąc kwerendę w aktach, nie znajdzie pomyłki opuszczeń jego mimowolnych? Dodamy za autorem *errare humanum* ale i *humanum confiteri peccata*, nie zaś bronić się tak, jak to czyni autor tu i poniżej. 7^o Przychodzą moje zarzuty najważniejsze, na które Sz. autor detalicznie nieodpowiedział. Pierwszym zarzutem, tym cięższym, że autor broni się od roli komentatora, i chce być tylko wydawcą, jest *niedokładność wydania tekstu ustaw*. Autor przyznaje się do nięj, wszakże broni się uwagą, że u dr. Smolki i u Swieżawskiego są omyłki drukarskie.

Wyznajemy jednak, że chyba kompetentni przyznają, że 1) druk *źródła* nie może zasłaniać się omyłkami uwag; 2) że błędy w nazwach, a nawet w zrozumieniu tekstu takie, że już składnia łacińska winna była ostrzedz wydawcę o niepowtarzaniu błędnego skrócenia tytułu, jako imienia własnego po raz drugi po polsku, są już błędami nie korekty literalnej ale *myśli*. Tego żadne przysłowie nie wytłumaczy. Drugi zarzut odnosił się do strony komentatorskiej wydania. Sz. wydawca w sprostowaniu broni się uwagą, że wydawcy dokumentów (pojedynczych) lub kodeksów dyplomatycznych nie są do

żnowa, z rodu Zawiszów. W dziele Niesieckiego *Korona Polska* (wyd. lwowskie, 1743, fol. 325) czytamy: „drugą żoną Jana Amora z Tarnowa kasztelana krakowskiego, była Barbara z Roźnowa, wnuczka Zawiszy Czarnego, herbu Sulima, starosty spizkiego, dziedziczka na Łopuszny i Bujtkowie, *pozostała wdowa po Stanisławie Tęczynskim*. Przytem Niesiecki cytuje akta ziemskie lwowskie z r. 1507 i genealogią Mieleckich, spokrewnionych z Tarnowskimi. Wiadomości powyższe poczerpnięte z dzieł Starowolskiego, Orzechowskiego i Niesieckiego, z łatwością dadzą się pogodzić z zapiską sądową 3809 z d. 3 mar-

objaśnień obowiązani, i w ogóle co do wyboru pracy panuje swoboda. Nie przecząc téj ostatniej, uważamy że nad *swobodę jednostki, wyższém jest prawo nauki*. Nauka, jak okazuje wydawnictwo np. Piekosińskiego, niezapomina przy wydaniu tekstu o komentarzu do niego, i między innymi wadami kodeksu Wielkopolskiego Raczyńskiego jest ta, że wydawca tylko *wydrukował* ale *nie naukowo* swe dyplomaty. Podobno zaś chodzi o postęp w robotach nie zastój lub cofanie się. Potém Sz. autor został cząstkowym komentatorem swego tekstu, skoro polemizuje z Jacobsonem, ks. Fabiszem co do dat, skoro do § 2 dodaje uwagę z treści akt nie ustaw wzięty „niezawodnie dal do tego powód Maciej pleban z Węglewa.” Skoro już wyjaśnia tekst uchwał, nie jest prostym drukarzem tekstu przez się odkrytego i mielibyśmy prawo domagać się, by cytata innych uchwał synodalnych wykazał, że „to rozporządzenie drugie synodu z r. 1456 niezaradza li *doraźnemu* i indywidualnemu wybrykowi.” Widząc, że Sz. autor nie rozumiał méj myśli *ukrytej nie bez racyi w głównej cytacie* różnych faktów, muszę dodać to, że miałem zamiar przez tę cytata nawet i krakowskich uchwał okazać, że tak § 2 jak 9 (równie przeze mnie ilustrowane cytata) choć są może wydane *à propos* jednostki, przecie coś więcej znaczą. Gdy tych jednostek bywa tyle, że synody prowincyi i dycezyi muszą wciąż jedno powtarzać i to *w różnym stopniu*, oczywiście, że aplikuje się wprawdzie uchwała, dajmy na to z XI wieku (jak złośliwie dodaje Sz. autor) w wieku XIV i XV. Wszakże widząc tę aplikacyą *à la longue*, nie tylko w XIV i XV wieku, ale nawet w XII i XIII wieku robioną z jedną i téj saméj racyi (1197, 1258); spotykając daty w licznych dokumentach z tego czasu, oficjalne podpisy synów osób, których ojcostwo nie zawsze da się usunąć z pod zarzutu § 2 z 1456 r., musieliśmy wyrazić naszą hipotezę, że w tym § 2 z 1456 r. tkwi wskazówka nie wypadku indywidualnego *doraźnie* karconego to jest (jakem ja rozumiał) „wyjątkowo, raz ten tylko, i na jednéj osobie *w całym* ciągu dziejów polskich,” ale objaw pojedynczej pewnej stałej właściwości jednego ze stanów naszego społeczeństwa historycznego. Sz. autor zechce i teraz sam wyrozumić z tych umyślnych omówień, o co nam właściwie chodzi, a czego z racyi bieżących nie wypada świekiemu podnosić, i szeroko udowadniać. Powiedzmy nakoniec, że nauka zyszoze jeżeli przyznanie się do błędu nie uważając za ujmę swéj godności, wyznamy obaj, że Sz. autor nie wywiązał się należycie z wydania i objaśnienia, a sprawozdawca zbłądził, wierząc tekstowi autora bez zajrzenia do pracy Jacobsona.

ca 1466 r., wziętą z dzieła Helcla: *Starodawne prawa polskiego pomniki*. Barbara z Roźnowa, żona Jana z Tarnowa, kasztelana krakowskiego, zmarła i pochowana w Tarnowie 1517 r. w wieku lat siedm-dziesiąt; w r. 1466 miała lat osiemnaście, mogła więc zaślubić Stanisława z Tęczyna, a następnie owdowiawszy, wyszła powtórnie za mąż za Jana z Tarnowa, na co przytoczyliśmy dowody. Mniemam, że nie należy się śpieszyć z poprawianiem i sprostowaniem szacownej pracy Kacpra Niesieckiego, najzasłużeńszego i najpracowitszego z heraldyków naszych, nierozpatrzuwszy się pierwój dokładnie w źródłach historycznych współczesnych, tak drukowanych jak i rękopiśmiennych, i nie porównawszy takowych krytycznie.

Pisałem d. 3 kwietnia 1878 r.

X. Z.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Maj 1878. — Artyści nasi przygotowują album pamiątkowe dla uczczenia Jubileuszu J. I. Kraszewskiego, do którego pomysł dał malarz Tytus Maleszewski. Wojciech Gerson wykonał rysunek do okładki albumowej: w pośrodku popiersie Jubilata, w narożnikach postacie alegoryczne poezji, malarstwa, rzeźby i architektury. Okładkę podług tego rysunku, wykona jeden z tutejszych rzeźbiarzy w wypuklorzeźbie na drzewie. Semiradzki nadesłał szkic olejny zatytułowany *Hypathos*, podług powieści *Caprea* i *Roma*.

— Kongres literacki w Paryżu ma się rozpocząć dnia 4 czerwca r. b. Na takowy otrzymali zaproszenia literaci z Warszawy: A. E. Odyniec, Felicjan Faleński, Józef Kenig, Edward Lubowski i Wacław Szymanowski.

— Wystawa obrazów Jana Matejki otwartą została w salach ratusza warszawskiego. Mieści się tu 10 utworów pędzla naszego mistrza, a między tymi większych rozmiarów *Kazanie Skargi*.

— Z drukarni J. Bergera wyszedł *Zródło dziejowych* tom X, Sprawy Wołyńskie za Jagiellonów. Akta i listy, wydał i szkicem historycznym poprzedził Aleksander Jabłonowski. Warszawa 1878 roku (w 8-ce str. CLXIV i 156).

— Kilka słów w przedmiocie zabezpieczenia losu rzemieślników i robotników miasta Warszawy. (Warszawa w Druk. Gazety Lekarskiej 1878, w 12-ce str. 36).

— We Lwowie nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta wyszły „D-ra Antoniego J. nowe opowiadania historyczne. Wydanie drugie, obejmują: Nad krzyżem,—Losy kresowego miasteczka, Zemsta kozacza.“ Autor znany jest z talentu podawania w wierném malowidle zajmujących obrazów przeszłości.

— *Zestawienie przedmiotów i autorów w 32 tomach Tygodnika Ilustrowanego z lat 1859—1875* przez K. Estrejchera. Warszawa nakładem i drukiem J. Ungra (w 12-ce str. 276). Mamy już więc z 3 poważnych wydawnictw, spis bibliograficzny przedmiotów, niezbędny podręcznik dla pracujących na polu historyi i literatury krajowej. Ułożył z dwóch K. Estrejcher, jeden z pierwszych bibliografów polskich, który zajął się tak mozolną pracą, dla *Biblioteki Warszawskiej* i dla *Tygodnika Ilustrowanego*, w którym mnóstwo znajduje się cennych artykułów dla dziejów przeszłości naszej. Wszedł też już poprzednio w r. 1876 podobny spis do *Ilustracji Kłosy*, ułożony przez Maksymiliana Glücksberga.

— Z powodu, że w odczycie mianym publicznie w sali ratuszowej nazwano *Stwoza* Norymberczykiem i zaprzeczono pochodzenia jego polskiego, p. Artur Gruszecki nadesłał z Krakowa, swoją naukową odpowiedź, którą *Gazeta Polska* w nr. 74 z r. b. zamieściła.

— *Kronika Rodzinna* w kilku zeszytach swoich wydrukowała utwory poetyczne p. Maryi, które powszechną znawców zwróciły uwagę, tak świeżością myśli, jak artystyczną formą. Szczególniej pod tym względem zalecają się poezye p. n. *Zle Wychowana* i *Niewierny Stróż*.

— *Bibliografi Polskiej XIX wieku* K. Estrejchera wyszedł tomu V zeszyt pierwszy, obejmujący od *W* do *Wor*. Tom ten zamyka całość tego olbrzymiego wydawnictwa, w którym każdy z autorów ma jaknajdokładniejszy spis wszystkich prac swoich, jakie drukiem ogłosił. Dziełem tym K. Estrejcher daje nieocenioną pomoc, dla pracujących w kierunku badań rozwoju literatury ojczystej.

— Na konkursie dramatycznym lwowskim, pierwszą nagrodę (złr. 600) otrzymała komedia Kazimierza Zalewskiego, redaktora *Wiek*u p. n. *Artykuł 264*. Drugą, komedia Kajetana Kraszewskiego (brata młodszego J. I. Kraszewskiego) *Uproszone Zaloty*, w 3-ach aktach.

— Pisaliśmy już o pięknej myśli wzniesienia pomnika dla Zofii Chrzanowskiej, słynnej bohaterki z czasów króla Jana Sobieskiego; teraz otrzymujemy wiadomość, że Galicyjski wydział krajowy udzielił subwencyą na wzniesienie pomnika dla niej w Trembowli. Dotąd ze składek powiatu trembowelskiego uzbierało się na ten cel już 4,000 złr. Wykonanie powierzone zostało warszawianinowi p. Marconiemu, profesorowi modelowania w lwowskiej szkole politechnicznej, który wykonał już projekt pomnika.

Według projektu tego, znakomita matrona-bohaterka przedstawioną będzie na szczycie baszty ułożonej z płyt kamienia trembowel-

skiego, sam zaś posąg Chrzanowskiej, odznaczający się charakterem twarzy prawdziwie heroicznym, wykonany będzie z białego jak marmur, kamienia szydłowieckiego.

Przed kilkunastu laty odtworzył nam tę postać historyczną Al. Lesser, w obrazie olejnym.

— Dnia 29 marca r. b. w pałacu senatorskim na Kapitolu odbył się uroczysty obchód pamiątkowy na cześć Adama Mickiewicza, z powodu inauguracji popiersia jego, wykonanego przez Wiktora Brodzkiego. Promotorem tego obchodu był nowy syndyk Rzymu książę Emanuel Ruspoli, wielki wieszczka naszego wielbiciel. Książę zna dobrze część naszego kraju, gdyż bawi często we Lwowie, jeżdżąc do dóbr swoich do Rumunii; wdowcem jest bowiem po księżnie Vogorides z Jass, która mu wielki majątek zostawiła. Dzisiejszy obchód był nader uroczysty. Odbywano go w sali Gobelinów (deglì Arazzi), gdzie stoi popiersie Dantego. Wszyscy prawie Polacy znajdujący się w Rzymie obecni byli tej wspaniałej ceremonii. Prześliczne popiersie stało wśród sali uwieńczone zielonym laurem. Na złotych krzesłach prezydencyi zasiadał książę syndyk, a obok niego senator hrabia Terencyusz Mamiani, margrabia Anzelm Guerrieri-Gonzaga, p. Jan Seovazzi bibliotekarz parlamentu i p. Armand Lévy dawny przyjaciel Mickiewicza.

Inauguracja popiersia nieśmiertelnego poety była tém ważniejszą, iż był to pierwszy cudzoziemiec, którego postać stawała na Kapitolu.

Głos zabierali z kolei książę Ruspoli, hrabia Mamiani, p. Armand Lévy i p. Curzio Antonelli, młody poeta rzymski, który zadeklamował przy końcu swój piękny przekład białym wierszem słynnego ustępu z *Dziadów*, o posągu Marka Aureliusza na Kapitolu.

— Książę Wacław Sztulc, znany z mistrzowskich tłumaczeń najpiękniejszych utworów poezji polskiej, z którymi zapoznał Czechów w publikacji, wydawanéj w Pradze p. n. *Narodni Biblioteka*, przez Fr. Zakreja, ogłosił przekład poezji Mickiewicza: *Grażyny*, *Konrada Waleńroda*, *Sonetów Krymskich*, *Dziadów* (t. I—IV), *Ballad* i drobnych poezji. Pracę swoją poświęcił czcigodnej pamięci księcia Jerzego Lubomirskiego. Egzemplarz tego dzieła nadesłał szanowny tłumacz A. E. Odyńcowi z przypisem: „Dostojnemu towarzyszowi wielkiego wieszczka Adama, p. A. E. Odyńcowi ze czcią i miłością Wacław Sztulc.” Przekłady te odznaczają się nie tylko wiernością, ale właściwą siłą i powabem oryginałów.

— Akademia umiejętności moralnych i politycznych w Paryżu ogłosiła konkurs na napisanie najlepszej rozprawy o Ludwiku Wołowskim, o jego życiu i pracach (*Louis Wolowski sa vie, ses travaux, et ses oeuvres*). Nagroda wynosi 1,500 franków. Termin nadesłania prac naznaczony na d. 31 grudnia 1879 r.

— Dnia 15 maja r. b., wśród wielkiej uroczystości w Pradze Czeskiej, odsłonięto pomnik Jungmana. Dr. Riger w mowie podniósł działalność Jungmana, i przekazał pomnik miastu w imieniu stowa-

rzyszenia *Swoboda*, które się jego wzniesieniem głównie zajmowało. Burmistrz podziękował za dar tak drogi, poczem przy okrzykach: *Sława!* i przy śpiewie pieśni narodowych, okryto ten pomnik wieńcami z kwiatów i zieleni.

W roku 1873 ks. Wacław Sztulc przypomniał wielkie zasługi tego męża w broszurze p. n. „Josef Jungman, na pamiątkę dnia 13 czerwca 1873 věnuji druhom, přátelům, rodákům“ (w Pradze, 1873 r., w 8-ce, str. 28).



Dnia 28 kwietnia r. b. w Drzewicy umarł ś. p. *Paweł Kaczyński*, emeryt, b. profesor w szkole przygotowawczej do Instytutu politechnicznego i Instytutu gospodarstwa i leśnictwa w Marymuncie. Ceniony przez Staszica, odznaczył się pożytecznymi wynalazkami. W latach 1866 i 1867 redagował *Pamiętnik techniczny*. Wiele jego rozpraw mieściły nasze czasopisma, i od pierwszego roku powstania Biblioteki Warszawskiej był stałym jej współpracownikiem. W *Rocznikach Towarzystwa rolniczego* ogłoszoną została ważna jego praca *O oszczędnem użyciu drzewa*.

SPROSTOWANIE.

W poezyi L. Sowińskiego w zeszycie za maj r. b. zaszyły omyłki, które sprostować należy:

Str. 331 w pierwszym wierszu zamiast *Druhu zagłady*, czytać należy *Duchu zagłady*. W wierszu 14 zamiast *szyderstwa*, — czytać *oszczerstwa*. Wiersz 21 zamiast:

Siła twém prawem w pożodze i dymie,

czytać:

Siła twém prawem, a twoje drogi
We krwi, pożodze i dymie.

W wierszu 24 zamiast *kochanki*, czytać *bachantki*.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca *Józef Berger*.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

Z R. 1878.

—

Historya.

stron.

Dwa wspomnienia pośmiertne. Pius IX.	1
Wiktor Emanuel jako król Włoch Zjednoczonych.	173
Warszawa, jej życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat 30 (1800 — 1830). Przez K. Wł. Wójcickiego.	59
Imiona starodawne polskie. Przez Zygmunta Glogera.	211

Filozofia.

Najnowsze objawy filozofii pesymistycznej w Niemczech. Filozofia wyzwolenia. Napisał Seweryn Smolikowski.	258
--	-----

Sztuki piękne.

Poezya ruchu w muzyce. Studium estetyczne. Przez Bolesława Wil- czyńskiego.	349
Przegląd teatralny (za rok 1877).	419

Literatura.

Pięć ustępów z cyklu powieści historycznych J. I. Kraszewskiego. Ocenił Ernest Świeżawski.	223
---	-----

KRONIKA PARYŻKA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

- Życie i śmierć geniuszu greckiego*, ostatnia praca Edgara Quineta.—*Wiedeń i życie wiedeńskie*, przez Wiktora Tissota: Sacher Masoch, Kulczycki, założyciel kawiarni w Wiedniu.—*Wspomnienia hr. d'Haussonville*.—*Nabab*, powieść Alfonsa Daudet.—*Poczcniwy biédak*, obrazek dramatyczny.—*Les Bourgeois du Pont Arcis*, dramat Wiktoryna Sardou.—*Rozbitek*, poemacik Franciszka Coppée.—Zwłoki Krzysztofa Kolumba odkryte w San Domingo.—Zmarli członkowie Akademii Nauk: Becquerel, Wiktor Regnault, Claude Bernard. — Obchód dwusetletni połączenia Flandryi z Francją.—Rękopisy pozostałe po Thiersie.—*Dioscuren*.—Noworocznik wiedeński: *Dziady*.—Dziennikarstwo u różnych ludów Europy. 119
- La guerre de cent ans*: dramat wierszem pp. Franciszka Coppée i d'Artois.—*Historya Bertranda du Guesclin i jego czasów*, dzieło p. Luce.—*Dawid z Angers* p. Jouin. Listy Stanleja z Afryki Środkowej (1874—1877 r.).—*Balsamo*, dramat Aleksandra Dumasa.—*Brzegi Adryatyku i Czarnogórze* p. Iryarte.—Zmarły astronom Secchi.—Głowa wolności na wystawie, rzeźbiarza Bartholdego.—Panna Kamilla Morzkowska. 274
- Kronika lwowska. Przez Władysława Zawadzkiego. 428

Dramat.

- Zakład śmiertelny Ottona. Dramat w pięciu aktach Henryka Spicera. Przełożył z angielskiego Feliks Jezierski. 80

Powieść.

- Syn Marnotrawny. Opowiadanie z końca XVIII wieku. Przez J. I. Kraszewskiego. 31, 191, 375

Pedagogika.

- Wykład nauk historycznych dla naszej młodzieży. Rozważył Edw. Zdz. Grabowski. 12

Przemysł.

- Drogi żelazne w Królestwie Polskiem. Równowaga między interesem towarzystw prywatnych a interesem ogółu. Przez Antoniego Wrotnowskiego. 301, 406

Z wystawy paryzkiej. 490

Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.

- Obrazki geograficzne. Napisał L. Tatomir. Lwów, 1878 r., w 8-ce, str. 392. Nakładem K. Wilda. Przez A. Wałeckiego. 146
- Dwutygodnik Naukowy poświęcony archeologii, historii i lingwistyce. Numera: 1, 2, 3, 4, 5. Kraków. W drukarni Wł. L. Anczyca. 1878 r. Przez S. 150
- Wykaz zabytków przedhistorycznych na ziemiach polskich. Zeszyt I. Porzeczka Warty i Baryczy zestawił I. N. Sadowski. W Warszawie. 1877 r., (w 8-ce, str. 60). Przez R. 153
- Lud, jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, guśla, zabawy, pieśni, muzyka i tańce. Przedstawił Oskar Kolberg. Serya XI. W. Księstwo Poznańskie. Część trzecia. Kraków, 1877 r. (w 8-ce str. 246). Przez W. 158
- Sprawozdanie z obchodu jubileuszowego czterystoletniej rocznicy założenia Wszechnicy Upsalskiej, dnia 4, 5, 6 i 7 września 1877 r., Towarzystwu Przyjaciół Nauk w Poznaniu złożył w ofierze Wawrzeniec hr. Engeström (Poznań, 1877 r.). Przez Z. 311
- Encyklopedia Kościelna, podług teologicznej Encyklopedyi Wetzera i Weltego, z licznymi dopełnieniami, przy współpracownictwie kilkunastu duchownych i świeckich osób, wydana przez księdza Michała Nowodworskiego. Tom I, w Warszawie, 1873 r. Tom XI, 1878 r., w 8-ce. Przez R. 317
- Fotografie społeczne, zebrane przez autora Kłopotów Starego Komentanta. Lwów, nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta (tomów 3, w 8-ce). Tom I str. 248: Kaprys panny Julii.—Sąd polubowny. Tom II: Przegrana sprawa.—Pan komornik.—Pani inspektorowa. Tom III str. 224: Mania Curaciosa.—Intromisia lekarza. — Zęby Warszawianki. — Naiwności szlacheckie. Przez Tadeusza Wójcickiego. 320
- Podkomorzy koronny Zygmunta III. Napisał Ludwik Zarewicz (Lwów 1876). Przez I—d. 500
- Kronika Kollegium Lubieszowskiego XX. Pijarów, przez ks. Antoniego Moszyńskiego. Kraków 1876 r. (w 8-ce, str. 174). Przez R. 504
- Dzwony w gubernii Kieleckiej (Rzecz archeologiczno-historyczna). Przez Ks. Władysława Siarkowskiego. Warszawa 1872 r. (w 8-ce, str. 50). Przez W. 506

Korespondencje.

Do Redakeyi Biblioteki Warszawskiej. 160, 509, 514

stron.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACK. I ART.	162, 320, 517
NEKROLOGIA.	172, 347, 520
Sprostowanie.	520

Zestawienie przedmiotów zawartych w 136 tomach Biblioteki Warszawskiej z lat 1841—1874. Przez Karola Estrejchera. W Krakowie, w drukarni Leona Paszkowskiego. (W 8-ce str. VII, 319). Na czele redakcyja w treściwym zarysie podaje w tym spisie bibliograficznym, wiadomość o pierwotnym zawiązku swego pisma i pierwszych założycielach, aż do roku 1875. Wydanie całe odbito w 500 egzemplarzach.

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Cena egzemplarza rs. 1, kop. 50 (złotych 10).

PRENUMERATA
BIBLIOTEKI WARSZAWSKIĘJ

NA ROK

1878.

Biblioteka Warszawska wychodzi zeszytami miesięcznemi.

Prenumerata roczna w Warszawie rs. 9, na prowincyi z opłatą pocztową rs. 10. Półroczna w Warszawie rs. 4 kop. 50, na prowincyi rs. 5.

Główna ekspedycya Biblioteki Warszawskiej znajduje się w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie (Krakowskie-Przedmieście, Nr. 415). Każdy z prenumeratorów z prowincyi, *wprost do téj księgarni* przesyłać zechce prenumeratę pocztową, a zarazem *podaj* dokładnie swoje nazwisko, miejsce zamieszkania i najbliższą stacyą pocztową, z kądem w opaskach pod oddzielnym adresem, zeszyty najregularniej po wyjściu odbierać będzie.

Prenumeratę przyjmują oprócz ekspedycyi głównej, w księgarni Gebethnera i Wolffa będącej, wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne.

Skład główny: *w Lwowie* w księgarni Gubrynowicza i Schmidta, plac Św. Ducha L. 10.—*w Krakowie* w księgarni G. Gebethnera i Spółki.

Prenumeratę przyjmuje nadto w Warszawie *Księgarnia Komiso-wa*, ulica Chmielna Nr. 8.



Redakcya Biblioteki Warszawskiej:
Nowy-Świat, N-r 68.